

STRAŻNICY Z KRAINY CIENI

SANKTUARIUM

księga druga

Rozłąka

SARAH FINE

SANKTUARIUM

KSIĘGA DRUGA

ROZŁAKA



Tytuł oryginału: *Fractured*

Redakcja: Urszula Przasnek

Korekta: Karolina Wąsowska

Skład i łamanie: Ekart

Text copyright © 2013 by Sarah Fine. By arrangement with the author.

Cover photo-illustration © 2013 by Tony Sahara

All rights reserved.

Polish language translation copyright © 2017 by Wydawnictwo Jaguar Sp.
z o.o.

ISBN 978-83-7686-545-4

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

youtube.com/wydawnictwojaguar

instagram.com/wydawnictwojaguar

facebook.com/wydawnictwojaguar

snapchat: jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Skład wersji elektronicznej: Michał Latusek

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Pierwszy

Drugi

Trzeci

Czwarty

Piąty

Szósty

Siódmy

Ósmy

Dziewiąty

Dziesiąty

Jedenasty

Dwunasty

Trzynasty

Czternasty

Piętnasty

Szesnasty

Siedemnasty

Osiemnasty

Dziewiętnasty

Dwudziesty

Dwudziesty pierwszy

Dwudziesty drugi

Dwudziesty trzeci

Dwudziesty czwarty

Dwudziesty piąty

Dwudziesty szósty

Dwudziesty siódmy

Dwudziesty ósmy

Dwudziesty dziewiąty

Trzydziesty

Trzydziesty pierwszy

Trzydziesty drugi

Trzydziesty trzeci

Trzydziesty czwarty

Trzydziesty piąty

Trzydziesty szósty

Podziękowania

Almie, mojej osobistej wojownicze.

PIERWSZY

Siedziałam na krześle pod ścianą, a mój argus krążył przy wejściu, tupiąc ciężko. Serce łomotało mi w piersi, dotrzymując rytmu tłukącej mi się w głowie instynktownej, animalistycznej myśli: *Uciekaj, uciekaj, uciekaj.*

Zagłuszany przez popęd racjonalny umysł przedarł się jakoś ze swoim podszeptem: *To nie jest przecież sytuacja zagrażająca życiu. Wyjdę z tego. Miejmy nadzieję.*

Pochyliłam się do przodu, opierając mocno stopy na posadzce, i zaczęłam obliczać, w ile sekund zdołałabym dotrzeć do drzwi.

Po zawziętym spojrzeniu strażniczki poznałam, że rozważa to samo. Stała w drzwiach ze skrzyżowanymi rękami na piersiach.

– Nawet o tym nie myśl, słonko. Jestem za ciebie odpowiedzialna. To poważna sprawa.

Odchyliłam się na krześle i lekko stuknęłam głową o ścianę.

– Nie, to ty zrobiłaś z tego wielkie halo.

Diana mruknęła swoje tak wiele znaczące, potępiające „hm”.

– Właśnie przesłaś przez coś strasznego, a teraz...

Od konieczności wysłuchania wykładu ocaliło mnie pukanie do drzwi, jednak na myśl o tym, kto za nimi stoi, serce zabiło mi szybciej. Wstałam na miękkich nogach, a Diana nacisnęła klamkę i otworzyła.

Do tej pory widywałam go zwykle w mundurze i pancerzu, więc w cywilnym ubraniu wciąż stanowił dla mnie nowość. Tydzień temu śmiertelnie niebezpieczny Strażnik pojawił się w mojej szkole jako przeciętny uczeń. Cóż, „przeciętny” to może nieodpowiednie słowo. Nie mógłby wyglądać przeciętnie nawet wtedy, gdyby chciał. A chciał. Dzisiaj ubrany był w niebieskie dżinsy i szarą bluzę z kapturem. Miał wyraziste rysy twarzy, oliwkową cerę, kruczoczarne włosy i oczy tak ciemne, że tęczęwki wydawały się wręcz hebanowe. Zrobił poważną minę, ale dobrze już znałam to spojrzenie.

Usiłował wyglądać na łagodnego, ale kiepsko mu to wychodziło. Nadal sprawiał wrażenie faceta, który może zabić i nawet się przy tym nie zmęczyć.

Może dlatego, że naprawdę był do tego zdolny.

– Dobry wieczór, pani Jeffries. – Mówił perfekcyjną angielszczyzną, ale każdą spółgłoskę wymawiał twardziej, a samogłoskę niżej, przez co ta wyrazista artykulacja pasowała do jego fizjonomii. Wyciągnął rękę na powitanie. – Jestem Malachi Sokol. Miło mi panią poznać.

Sprawdziłam reakcję Diany. Jej brwi podskoczyły pod niebo. Przez całe życie pracowała jako wychowawca w więzieniu o średnio zaostrzonym rygorze, miała więc świetne wyczucie niebezpieczeństwa, a widok Malachiego bez wątplenia włączył jej dzwonek alarmowy. Ucisnęła jego rękę i odsunęła się, by go

wpuścić do środka.

– Mnie również jest miło. Lela wspominała, że przyjechałeś do Stanów niedawno?

– Tak, czasowa wymiana uczniów. Trafiła mi się szansa na zapoznanie się z kulturą amerykańską, zanim zdam maturę – odpowiedział, ale nie patrzył już na Dianę.

Patrzył na mnie.

Na jego ustach powoli pokazał się zabójczo pociągający uśmiezek, potem wyciągnął zza pleców owinięty w celofan bukiet kwiatów, kilka żółtych, białych i zielonkawych jeszcze pąków.

– To dla ciebie.

Zajęło mi to kilka sekund, ale udało mi się wreszcie nakłonić rękę do współpracy i wzięłam od niego kwiaty.

– Dziękuję – zdołałam jeszcze wydusić.

Malachi zmarszczył czoło, najwyraźniej zaniepokojony moją reakcją, ale szybko zwrócił się znów do Diany.

– Chciałbym przedstawić pana Rafaela, mojego opiekuna na czas wymiany.

Do przedpokoju wszedł Rafael. Ukłonił się i podał rękę Dianie.

– Dobry wieczór, jestem John Rafael. Bardzo dziękujemy za zaproszenie na kolację. Ucieszyłem się, że Malachi tak szybko nawiązał znajomość.

Kiedy się uśmiechnął, jego twarz z przeciętnej, trudnej do zapamiętania przemieniła się w... cóż, po prostu anielską. Zawsze, gdy to robił, żałowałam, że nie mam przy sobie aparatu.

Napięcie widoczne w postawie Diany ustąpiło, kiedy tylko przywitała się z Rafaelem. Uśmiechnęła się ciepło.

– Ja również się cieszę. Z powodu Leli – powiedziała, a ja omal nie wybuchnęłam śmiechem, bo całe popołudnie klóciłyśmy się o to, czy mogę wyjść wieczorem z Malachim. Po raz pierwszy, odkąd z nią zamieszkałam, powiedziałam, że mam spotkanie z chłopakiem, a sądząc po tym, że usłyszawszy to, chwyciła się za serce, musiałam ją naprawdę zaskoczyć. Szczególnie że po samobójstwie Nadii obie przechodziłyśmy nerwowy okres. Diana najwyraźniej nie potrafiła zrozumieć, jak to się stało, że tak nagle otrząsnęłam się z żałoby.

Nie wiedziała, że podążyłam za przyjaciółką poza śmierć, że ją widziałam i że nie tylko miałam nadzieję, że Nadia jest w lepszym miejscu, ja po prostu wiedziałam to na pewno. Dopilnowałam, żeby tak się stało.

Oddałam za to własną wolność.

Zostawiłam Dianę i Rafaela dzielących się blaskami i cieniami wychowywania nastolatków i poszłam do kuchni po wazon. Wyjęłam go z szafki, a kiedy się odwróciłam, Malachi stał przy mnie.

– Nie podobają ci się? – zapytał.

Potrząsnęłam głową.

– Są wspaniałe. Po prostu... pierwszy raz dostałam kwiaty. – Pogłodziłam płatki. Był to jeden z tych tanich marketowych bukietów. Tegan, która po śmierci Nadii zajęła miejsce na tronie miss popularności w liceum w Warwick, prychnęłaby zapewne pogardliwie na widok przywiędłych, wystrzępionych pąków, ale dla mnie...

Malachi musnął palcami moje ramię.

– A ja pierwszy raz je wręczyłem. – Roześmiał się cicho. – Długi czas nie widziałem kwiatów w ogóle.

Kilka ostatnich dziesięcioleci spędził w otoczonym murami mieście z betonu, stali i śluzu, gdzie jedynymi rzeczami, które rosły, były pragnienia nieżyjących, zrozpaczonych ludzi, którzy tam utknęli. No, właściwie to nie do końca. Bo przecież pomiędzy nami coś się narodziło i urosło.

Położyłam rękę na jego dłoni. Jeszcze nie przywykłam do swobodnego dotykania go. Jego skóra była taka ciepła. Prawdziwa. Była *tutaj*.

– To niesamowite.

Rozpromienił się i przyciągnął mnie do siebie, ale w tej właśnie chwili do kuchni weszła Diana. Malachi odsunął się ode mnie i odchrząknął spłoszony.

– Mam nadzieję, że lubisz makaron – Diana zwróciła się do niego. Pozornie lekkim tonowi jej głosu towarzyszyło jednak znaczące spojrzenie. Ostrzegła go.

– Przypuszczam, że smakowałoby mi wszystko, cokolwiek pani ugotuje – odparł.

Nie wątpiałam w szczerść tego stwierdzenia. Tak naprawdę ostatni raz Malachi zjadł coś porządnego na początku lat czterdziestych, przed śmiercią.

Nakrywaliśmy do stołu, a Rafael tymczasem wlewał lemoniadę do szklanek. Kolacja była pomysłem Diany, która uparła się, że musi poznać Malachiego i jego „ludzi”, zanim mnie z nim wypuści z domu. Podczas przygotowań ciągle marszczyła brwi, jakby zastanawiała się, czy Malachi przyszedł uzbrojony. Ja również o tym myślałam. Wielokrotnie widziałam Malachiego z gracją i zabójczą precyzją wykańczającego Mazikiny, ale po raz pierwszy mogłam obserwować go przy tak przyziemnej czynności jak rozkładanie sztućców. Sądząc z tego, jak skupiał się na własnych rękach i jak przykładął się do umieszczenia każdego przedmiotu na stole, pewnie też bez reszty zajmowało mu to myśli. Umierałam z niecierpliwości, chciałam wreszcie zapytać go o to, co dzieje się w jego głowie, żeby lepiej go poznać. Liczyłam, że teraz, skoro oboje wyrwaliśmy się z piekła i byliśmy na ziemi, będziemy mieć wiele okazji, żeby porozmawiać.

Jednak zeszły tydzień nie był dla nas łaskawy. Spędziliśmy razem niewiele czasu, a i ten przeznaczaliśmy głównie na naukę Malachiego poruszania się we współczesnym świecie, czyli na przykład posługiwanie się mikrofalówką czy komórką. Do tego popołudniami, po szkole, grzecznie chodziłam z Dianą do

różnych lekarzy, którzy mieli ocenić, czy nie potrzebuję hospitalizacji na oddziale psychiatrycznym. Kiedy wreszcie Diana upewniła się, że wszystko ze mną jest w porządku, natychmiast zapytałam, czy mogę wyjść z Malachim. Nie mogliśmy pozwolić sobie na dalsze zwlekanie.

– Skąd dokładnie jesteś? – zagała go Diana, kiedy zasiedliśmy przy stole.

– Z Bratysławy. Ze Słowacji.

– Czym zajmują się twoi rodzice?

Aż ścisnęło mi się gardło na widok lekkiego, smutnego uśmiechu, którym obdarował Dianę.

– Tata ma sklep z butami, a mama zajmuje się domem. Świetnie gotuje. – Spuścił na moment głowę. – Brakuje mi jej kuchni.

Podejrzliwa mina Diany natychmiast złagodniała.

– Tęsknisz za domem, biedaku.

Malachi z trudem przełknął ślinę i głęboko odetchnął.

– Cały czas. Ale cieszę się, że tu jestem. I cieszę się, że poznałem Lelę.

– To miło, że pozwoliła pani Leli zabrać samochód – powiedział Rafael, podając Dianie pieczywo czosnkowe. Chciał odwrócić jej uwagę od Malachiego, a tym samym dać mu chwilę na pozbieranie myśli. Malachi nadal przeżywał śmierć rodziców, którzy zginęli z rąk nazistów.

– Uważam, że dziewczyna powinna prowadzić. Daje jej to niezależność. – Wcześniej Diana oświadczyła, że powinnam móc w każdej chwili wrócić do domu, gdyby Malachi za bardzo się „kleił”.

Rafael, dzięki swemu urokowi, tak pokierował konwersacją, że po chwili Diana zaczęła mówić o sobie, o swojej rodzinie i o tym, jak bardzo jest dumna z tego, że dostałam się na uczelnię. Podczas gdy on zajmował Dianę, ja obserwowałam jedzącego Malachiego. Każdy kęs przeżuwał niemal z czcią. Przynajmniej dziesięć razy powtórzył Dianie, jak wspaniale gotuje. Pewnie pomyślała, że to takie podlizywanie się, ale ja wiedziałam, że naprawdę wszystko mu smakuje. Jedzenie w Mrocznym Mieście było ohydne.

– Musimy się pospieszyć, żeby zdążyć na seans – powiedziałam. Nie mogłam się już doczekać, kiedy zostaniemy z Malachim sam na sam.

– Do którego kina się wybieracie? – zapytała Diana. – Chyba nie do Galerii Providence?

Oho, zaczyna się.

– Nie, ale to naprawdę nie...

Złapała widelec niczym broń i łypnęła na mnie groźnie.

– Widziałam nagranie z tymi szaleńcami. Nakręcili ich ledwie kilkanaście kilometrów stamtąd. Nie możesz się kręcić po tamtej okolicy, dopóki ich nie złapią.

Nie tylko Diana reagowała tak histerycznie. Mieszkałyśmy co prawda

w Warwick, ale Rhode Island to niewielki stan, więc informacje o pojawieniu się szaleńców postawiły na nogi całą ludność.

Rafał otarł usta serwetką.

– Widziałem to w wiadomościach. Nagranie jest tak słabej jakości, że to mógł być równie dobrze wściekły pies.

Diana popatrzyła na niego, jakby ją zdradził.

– Pies w dzinsach i trampkach? – Energiczniej niż trzeba przeżuła porcję makaronu. – Nie twierdzą, że to wilkołak albo coś takiego, nie zwariowałam jeszcze. Ale facet biegający na czworaka? Pewnie jakiś ćpun. A ja wam mówię, te świry są nieprzewidywalne. Tak czy owak, macie się trzymać z dala od tamtych rejonów.

– Kino jest tutaj, w Warwick – uspokoił ją Malachi, zarabiając sobie na aprobujące skinienie. Przerabialiśmy tę kwestię i Malachi odetchnął z ulgą, że podolał.

– Na co idziecie? – drażyła już spokojniej.

– Na „Nocnych łowców” – wyrecytował. – Ma dobre recenzje.

– Słyszałam, że to jatka – mruknęła i zaczęła sprzątać ze stołu.

Pomagając jej, z trudem powstrzymywałam się od histerycznego chichotu.

– Dzięki za kolację. I za to, że byłaś spoko.

Wzruszyła ramionami i fuknęła:

– Zapracowałam sobie na moje zaufanie, słonko. Nie popsuj tego, dobrze?

– Jasne. Nie musisz na mnie czekać.

– Niezła próba. Jutro szkoła. Ciesz się, że w ogóle cię puszcza. Wróć przed dziesiątą. – Diana wychyliła się z kuchni i obrzuciła Malachiego podejrzliwym spojrzeniem. – A ty lepiej jej pilnuj, młodzieńcze.

Malachi podszedł i ujął mnie za rękę.

– Przysięgam oddać własne życie w jej obronie.

Diana roześmiała się. Gdyby tylko wiedziała, że już nieraz to robił.

Wypuściła nas już bez większego zamieszania, choć nie powstrzymała się przed pożegnalnym uściśnięciem Rafała. Ten jednak nie miał nic przeciwko. Cokolwiek Diana sądziła o Malachim, Rafała polubiła od pierwszego wejrzenia, a to dobrze wróżyło.

– Misja wykonana – stwierdził Rafał, kiedy oddaliliśmy się od domu. – Bawcie się dobrze. Ja muszę być gdzie indziej, ale dajcie znać, gdybyście potrzebowali pomocy.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił go Malachi i uściśnął mi lekko dłoń. – Ale dziękujemy.

– A ja mam prośbę – odezwał się. – Potrzebuję pomocy, chodzi o Dianę. Dobrze, że w ogóle mnie dziś wypuściła, ale kazała wrócić tak wcześnie...

– Kiedy pani Jeffries nie będzie miała nocnej zmiany, a te powinny

w zasadzie pasować do grafiku twoich patroli, zadbam, żeby mocno spała.

Przygryzłam wargę. Głupio mi było robić to Dianie, ale nie miałam wyboru.

– Dzięki.

Rafael odjechał swoim nierzucającym się w oczy szarym samochodem, a my wsiedliśmy do mojej zdezelowanej toyoty. Przez chwilę siedziałam bez słowa, a serce waliło mi tak mocno. Trudno mi było uwierzyć, że naprawdę siedzę w samochodzie z Malachim. Mimo niesamowitych okoliczności przytłoczyła mnie zwyczajność tej chwili. Zerknęłam na niego, żeby sprawdzić jego reakcję. Gapił się na mnie otwarcie.

– No co?

Uśmiechnął się leciutko.

– Nic. Mam ochotę cię pocałować.

Te proste słowa podniosły temperaturę w samochodzie o tysiąc stopni.

– Taaak? – zapytałam bez tchu.

Pochylił się powoli.

– Mogę?

– Nie powinniśmy... Powinniśmy jechać... Diana może...

Wystarczyło, że poczułam na twarzy muśnięcie jego palców i cały mój opór zniknął.

– Ale tylko raz – wyszemrałam.

Na więcej słów zabrakło czasu, bo nasze wargi już się zetknęły, a ja poczułam się tak, jakbym stanęła w płomieniach i jednocześnie ziemia osunęła mi się spod nóg. Delikatnie gładziłam jego szyję, wodząc palcami po gładkiej, srebrzystobiałej bliźnie, pamiętając ze spotkania z Jurim, wyjątkowo groźnym Mazikinem i jedynym człowiekiem – nie, istotą – której odebrałam życie. Nasz pocałunek pogłębił się, języki splotły w pieszczocie, a moje myśli rozpadły się, pozostawiając w umyśle jedynie jego smak, nierówny rytm naszych oddechów i spalające pożądanie. Malachi wplótł palce w moje niesforne loki, a ja położyłam dłoń na jego piersi, żeby poczuć bicie serca. Kiedy jednak zsunęłam ją niżej, na brzuch, zamiast spodziewanych twardych mięśni natrafiłam na coś zupełnie innego. Na widok mojego zaskoczenia Malachi zatrzęsł się od śmiechu i odsunął.

– Musiałem je gdzieś schować.

Zerknęłam w stronę domu, obawiając się, że Diana podgląda nas zza zasłony, ale nie dostrzegłam żadnego ruchu. Poza tym słońce już zaszło, uznałam więc, że nas nie widać. Podciągnęłam jego bluzę, odsłaniając przytroczony pas z nożami do rzucania.

– Wiedziałam, że przyjdiesz gotowy – skomentowałam.

– Dla ciebie też mam. – Wziął zawiniątko z tylnego siedzenia. – Michael podrzucił nam to po południu, a Rafael zaraz schował tu.

Zajrzałam do środka. Noże, dwie pałki i... *Dobry Boże!*

– Dał nam granaty?!

– Ty zdecydujesz, czy je wykorzystamy, czy nie. W końcu jesteś dowódcą. –
Usiadł prosto na swoim fotelu i obserwował przez chwilę, jak oddycham nierówno.
– Poradzisz sobie, Lela. Jestem tu, żeby ci pomóc.

Jeszcze przez moment trzymałam się kurczowo kierownicy, po czym energicznie wetknęłam kluczyki do stacyjki.

– Mój pierwszy patrol w służbie Straży – powiedziałam cicho, żałując, że nie brzmi to bardziej autentycznie, a mniej wariacko. Żałując, że słowa te nie dodały mi odwagi, zamiast mnie zmrozić, i że nie obudziły we mnie dumy, a jedynie irytację na Sędzię Sanktuarium, która chłodną kalkulacją wmanipulowała mnie w rolę dowódcy „jednostki terenowej” na ziemi. Co gorsza, na dodatek zdegradowała Malachiego i wysłała go tutaj, zamiast dać mu to, na co zapracował dziesiątkami lat wiernej służby – pełną spokoju wieczność na Wsi. Oczywiście nie byłam zła, że miałam go przy sobie, po prostu czułam się winna. Przecież to, co zrobił, zrobił dla mnie.

Malachi umieścił pakunek pod nogami, a potem wyprostował się i uśmiechnął. Jakby nawet w najmniejszym stopniu nie żałował okoliczności. Jakbyśmy naprawdę wybierali się do kina.

– No to ruszajmy na polowanie.

DRUGI

Opuściwszy miasto, skierowałam się na autostradę. Malachi poruszył się niespokojnie, kiedy przyspieszyłam na West Shore Road.

– W porządku? – zapytałam.

– Tak, tylko... szybko.

Spojrzałam na niego uważnie.

– Nadal nie przywykłeś do jazdy samochodem?

– Uhm. Kilka razy przejechałem się w Bratysławie, ale to były inne samochody. – Uważnie obserwował drogę, pobocza, mijane sklepy, stacje benzynowe i biurowce. – Nic nie było takie jak tu.

– Wybacz. – Kiedy zatrzymałam się na czerwonym świetle, dotknęłam jego ręki. – Ciągle zapominam, że dla ciebie to wszystko jest nowe i obce. Ale świetnie sobie radzisz.

Nagrodził mnie seksownym uśmiechem.

– Tylko dzięki tobie i twoim naukom. Dokąd jedziemy?

Zacisnęłam ręce na kierownicy.

– Do Providence. Kamera, która uchwyciła Mazikiny, jest na terenie kampusu uniwersyteckiego, a dwóch świadków, którzy ich widzieli, to studenci. – Gdyby coś stało się któremuś ze studentów uczelni Browna, informacja znalazłaby się w ogólnokrajowych mediach, a policja zareagowałaby wzmożonymi działaniami. Tyle że to utrudniłoby nam zadanie.

– To gęsto zaludniony teren?

– Bardziej zurbanizowany niż Warwick, ale nie tak ciasno zabudowany jak miasto mroku. Ale sam na pewno zauważyłeś, że miasta na ziemi są inne. Ludzie dostrzegają, co się wokół nich dzieje, i dostrzegają innych ludzi. Nie błakają się po ulicach pochłonięci własnymi sprawami. – Mój wzrok padł na chodnik, po którym szło kilkoro ludzi z twarzami oświetlonymi ekranami komórek. – No dobra, czasami, ale nie ciągle.

Światło zmieniło się i znów przyspieszyłam, tym razem spokojniej, jednocześnie odbijając na zjazd na północ.

– To dziwne – zaczął Malachi, obserwując mijany krajobraz – że Mazikiny przedostały się dokładnie tu, gdzie mieszkałaś wcześniej.

– Co ty powiesz? Kto by pomyślał, że portal z piekła otworzy się na Rhode Island. – Zawahałam się, ale w końcu postanowiłam podzielić się z nim tym, co od początku chodziło mi po głowie. – Sądzę, że Sędzia dobrze wiedziała, gdzie wylądują, kiedy przebiją się przez mur niedaleko Sanktuarium. Może nawet... – Urwałam, bo nagle poczułam się jak głupiec cierpiący na manię prześladowczą.

– Celowo zwabiła cię do miasta mroku i wmanewrowała w służbę? – Nie powiedział jednak tego tak, jakby to było absolutnie nie do pomyślenia.

– Właśnie. Jeśli tak było, to Sędzia ma osobliwe przekonania co do cech dobrego Strażnika.

– Nie doceniasz się, Lela. – Malachi zachichotał.

– Miejmy nadzieję – mruknęłam.

Przed nami pojawiły się światła Providence. Zjechałam z autostrady i wjechałam w ulicę Wickenden. Minęłam salon, w którym zrobiłam sobie tatuaż z twarzą Nadii, potem skręciłam w lewo, na drogę prowadzącą w głąb wschodnich dzielnic miasta. Malachi przeczesywał wzrokiem plamy cienia na chodnikach. Zatrzymałam się trochę z boku, pod rozłożystym drzewem, które osłaniało nas przed światłem ulicznych latarni. Malachi natychmiast wziął pakunek na kolana.

– Musimy o tym porozmawiać – rzekłam, a kiedy popatrzył na mnie zdziwiony, wyjaśniłam: – Nie możemy sobie tu biegać po ulicach z granatami w kieszeniach. Poza tym... Wcale mi się nie uśmiecha noszenie ich przy sobie.

Malachi skinął głową ze zrozumieniem.

– Bo to dla ciebie nowość. Ale przywykniesz, jak trochę z nimi poćwiczysz.

– Tak, ale...

Wyjął z pakunku znajomo wyglądający pas. Stanowił on część pancerza, zestawu z czarnej skóry, jaki zrobił dla mnie Michael, kiedy rezydowałam w mieście za Bramą Samobójców.

– Załóż pas i weź jeden nóż. – Podał mi sztylet o lekko wygiętym ostrzu. – Tym się nie rzuca. Jest zakrzywiony, więc wygodniejszy do cięcia niż prosty, ale krzywizna nie jest na tyle duża, żeby utrudniała pchnięcia. Sam kazałem Michaelowi zrobić go dla ciebie.

– Uhm, dzięki. – Wzięłam pas, ale na nóż nadal patrzyłam z rezerwą. Bałam się, że prędzej sama się nim dziabnę, niż zrobię komuś krzywdę. – Ale może nie natkniemy się...

– Nie ma powodu, by zaniedbywać środki ostrożności. – Włożył nóż do futerału, który następnie przypiął do pasa. Ujął mnie delikatnie pod brodę i podniósł twarz. – Jeśli Mazikiny cię złapią, będziesz dla nich nie lada kąskiem. Już wcześniej Sil i Juri zorientowali się, ile dla mnie znaczysz, a teraz przecież jesteś w dodatku kapitanem. Nawet nie chcę myśleć, jak świętowałiby, gdyby dostali cię w swoje łapska. Proszę, weź.

Nie przychodził mi do głowy żaden argument, zapięłam więc pas, zarzuciłam kurtkę i wysiadłam z samochodu.

– To co... – Kiedy już ten moment nadszedł, nie miałam pojęcia, co robić podczas patrolu.

Malachi założył plecak. Jego baczny wzrok wędrował już w dół i w górę ulicy, a postawa zdradzała czujność i gotowość.

– Ok, Lela, w Mrocznym Mieście wiele razy łaziliśmy po ulicach w poszukiwaniu jakichś podejrzanych ruchów. Czasami chodziliśmy tak wiele dni

bez żadnych efektów. Na początek to miejsce jest równie dobre jak każde inne.

– Mamy się rozdzielić? – Tam często chodził na samotne patrole, a ja nie chciałam być mu kulą u nogi.

– Jesteś kapitanem, więc to twoja decyzja. – Westchnął. – Oczywiście w ten sposób sprawdzilibyśmy więcej terenu. Ale... – Podszedł na tyle blisko, że mogłam go dotknąć, na tyle blisko, że serce zabiło mi szybciej. – Wolałbym, żebyś pozwoliła mi iść ze sobą. – Pocałował mnie w czoło, a dotyk jego ust wywołał falę żaru w dole mojego brzucha. – No i jako twój starający się chciałbym mieć możliwość dotrzymania obietnicy danej pani Jeffries.

– Starający się? – Nie udało mi się powstrzymać chichotu.

– Wybacz. – Malachi spłoszył się i zakłopotał. – Wiem, że jestem porucznikiem, ale myślałem, że...

– Nie! Nie o to mi chodziło. Chciałeś powiedzieć, że jesteś moim chłopakiem, tak? Nigdy nie miałam chłopaka, ale... Podobają mi się ten pomysł.

– Chłopakiem? – Niezrozumienie w jego oczach pogłębiło się bardziej. – Nigdy bym nie śmiał... Nie chciałbym, żeby ludzie wzięli cię za... – Odchrząknął i wbił wzrok w chodnik. Zdałam sobie sprawę, że możemy mieć niewielki problem z porozumieniem na poziomie definicji. Problem wynikający z dorastania w kompletnie innych czasach.

– Za kogo? Chyba wiem, co masz na myśli, ale „chłopak” to ktoś, z kim się... – Cholera. Wiódł ślepy kulawego. – To znaczy, że jesteśmy razem. Że... uhm... umawiamy się. Ze sobą. I... z nikim innym. Ale nie na poważnie – dorzuciłam pospiesznie, czując zdradliwe ciepło na policzkach.

Malachi uśmiechnął się niepewnie.

– Możesz mnie nazywać, jak sobie chcesz, byleby to oznaczało, że mogę cię dotykać. – Musnęła palcami mój policzek.

– W porządku. – Z wysiłkiem oderwałam wzrok od jego ust. I natychmiast się upomniałam: *Skup się, Lela, to twoja praca.* – Mazikiny widziano sześć ulic stąd w tamtą stronę – powiedziałam, wskazując na Hope Street. Temperatura wewnątrz mnie opadła do powolnego ognia. – Czego Mazikiny mogą chcieć? – zapytałam, kiedy już powoli szliśmy ulicą. – Wiedząc to, moglibyśmy przewidzieć, co zrobią, prawda?

– Sądzę, że ich pragnienia są nieskomplikowane. Podczas przesłuchań tych osobników, które złapaliśmy w Mrocznym Mieście, każdy mówił to samo: że chce się wydostać z naszej krainy. Każdy. Uważają, że są tam uwięzieni.

– Myślisz, że chcą przenieść tu całą populację? – Dreszcz, który przebiegł mi po plecach, nie był wywołany zimnem, ale i tak objęłam się ramionami. – Jak myślisz, ile ich tam może być?

– Kiedyś zapytałem o to Rafaela. Powiedział, że na początku były tylko dwa, co oznacza, że mogły się rozmnożyć, a to z kolei znaczy, że teraz mogą być ich

setki tysięcy. Miliony. W końcu było to wiele lat temu. Więcej się od niego nie dowiedziałam.

– Aha, a zwykle jest taki rozmowny.

– Fakt. – Malachi się roześmiał. Zerknął na mnie z ukosa i jego wesołość zniknęła. – W mieście mroku byli zamknięci wewnątrz murów, a tu...

– Tu mają cały świat – dokończyłam. – Mogą się rozproszyć i iść wszędzie. I jedyne, co powstrzymuje ich przed kradzieżą ciał milionów ludzi, to... my.

Malachi wziął mnie za rękę. Mijaliśmy właśnie grupkę studentów, którzy wyszli z uczelnianego obiektu sportowego. Kiedy pogłodził kciukiem moje palce, musiałam się mocno wysilić, by skupić uwagę na jego słowach, a nie dotyku.

– Może mamy trochę czasu – powiedział. – Mazikiny są jak stado zwierząt. Trzymają się razem. W trakcie mojego pobytu w Mrocznym Mieście tylko raz miały dwa gniazda w tym samym czasie i to tylko dlatego, że ich grupa się bardzo rozrosła. Zazwyczaj wybierali jedno miejsce, bazę, i stamtąd robili wypady. Prawdopodobnie tutaj też postąpią tak samo, zaszyją się gdzieś, zanim nie opracują sposobu jak najszybszego zwiększenia swojej liczby. Podobnie jak ja, muszą się wpieryć sporo nauczyć o tym świecie.

Uścisnęłam go za rękę, mając nadzieję, że nie uczą się tak szybko jak on.

– A twoim zdaniem, jak najłatwiej byłoby im powiększyć swoją grupę?

– Jeszcze nie wiem, ale skoro Sil przedarł się przez mury, to on będzie tu rządził. A niestety, jest on najbystrzejszym Mazikinem, na którego się natknąłem. I dlatego jest ich przywódcą. Przypuszczam, że ściągnie tu także Ibrama i Juriego, żeby mieć obok siebie silnych, zaufanych towarzyszy. Większa grupa będzie potrzebowała jedzenia, schronienia i miejsca do przetrzymywania ofiar. Na pewno od razu spróbują założyć gniazdo.

– Skoro jest ich tak wiele, to jak wybiorą tych, którzy przejmą ciała porwanych ludzi? Zastanawiałeś się kiedyś nad tym?

– Podejrzewam, że mają jakiś system. Najsilniejsze Mazikiny, szczególnie przywódcy, przejmowały już niejedno ciało i dobrze potrafią udawać ludzi. Niektórzy nawet mają swoje ulubione typy, na przykład Juri, pamiętasz? Lubi mężczyzn z Europy wschodniej. – Malachi nachmurzył się i mocniej chwycił mnie za rękę. Jego konflikt z Jurim znacznie wykraczał poza zwyczajną walkę Strażnika i Mazikina. Podchodzili do tego osobiście, a podejrzewałam, że po tym, co Juri chciał mi zrobić w Mrocznym Mieście, Malachi z niecierpliwością wyczekuje potyczki.

– A więc część ma swoje typy ciał, a reszta? – dopytywałam się, chcąc zmienić przedmiot rozmowy. – A inni?

– Mazikin, który po raz pierwszy przejmuje ciało, zachowuje się jak zwierzę, a im słabsze i starsze przejął ciało, tym bardziej będzie zdradzał zachowanie Mazikina.

– Ana mówiła, że według niej Mazikiny są bardziej zwierzętami niż ludźmi. Malachi przytaknął.

– Muszą się najpierw nauczyć, a potem specjalnie przykładać do udawania człowieka.

A więc to dlatego zwracały na siebie uwagę. Zarejestrowały je nie tylko kamery ochrony, ale też kilku ludziom udało się nagrać je telefonem komórkowym i przynajmniej jeden z takich filmików był już na YouTubie.

– Dla nas to dobrze, że się jeszcze nie wprawiły i że zachowują się tak dziwnie. – Zatrzymaliśmy się, żeby przepuścić biegnącego z naprzeciwka chłopaka niosącego na barana dziewczynę. Podtrzymywał ją pod kolanami, a ona obejmowała go za szyję. W pewnej chwili pocałowała go w policzek i zapiszczała ze śmiechem. Jej szalik powiewał za nimi niczym porządek.

Malachi nie mógł oderwać od nich wzroku.

– Rzeczywiście, dobrze, że zachowują się dziwnie.

Szliśmy, omawiając kolejne pomysły. Mijaliśmy przecnicę za przecnicą, niezliczone kluby i bary, wędrowaliśmy zatłoczoną ulicą i bocznymi zaułkami. Liczyłam, ile razy mijała nas straż uniwersytecka i policja, i zastanawiałam się, za czym tak naprawdę się rozglądają, skoro nie wiedzą, z czym mają do czynienia. Żałowałam, że nie mogę na ich barkach zostawić tej sprawy i po prostu naprawdę iść z Malachim do kina.

Mój partner tymczasem nie wyglądał na przytłoczonego zawiłymi rozważaniami. Przygważdżał każdego przechodnia spojrzeniem tak natarczym, że niektórzy nawet odsuwali się od nas na sam skraj chodnika. Malachi był idealnym Strażnikiem, zwartym i gotowym na wszystko, traktującym swoje zadanie z pełnym profesjonalizmem. Ja również się starałam, usiłowałam zachować stałą czujność, ale godziny wlokły się niemiłosiernie, a mroźny chłód coraz bardziej dawał nam się we znaki. Zgrabiwały mi palce u stóp, zaczęłam potykać się na chodniku, który w zachodniej części kampusu był popękany i nierówny. Kiedy zatarłam dłonie i chuchnęłam, żeby je rozgrzać, Malachi wziął moją rękę i wraz ze swoją włożył sobie do kieszeni bluzy.

– Należało wziąć rękawiczki – zauważył, ściskając moją dłoń. – Masz palce jak sople lodowe.

Na sekundę przymknęłam oczy, rozkoszując się tym nieznanym uczuciem, tym czułym gestem i tym, co on oznaczał – Malachi troszczył się o mnie. A kiedy uniosłam powieki, zobaczyłam, że obserwuje mnie z takim napięciem, że aż przebiegły mnie ciarki.

– Tak, nie pomyślałam o tym – wyjąkałam. Nie chciałam tu być, nie chciałam nawet już iść z nim do kina. Nagle zapragnęłam zaszyć się z nim w jakimś przytulnym miejscu, gdzie mogłabym rozwikłać zagadkę tego szalonego pożądanego, gdzie mogłabym może przejąć nad nim kontrolę. Ponieważ teraz nie

miałam nad nim żadnej kontroli.

Kiedy zaczęłam wyciągać rękę z jego kieszeni, Malachi uniósł pytająco brwi, a potem nagle jego zielone oczy rozszerzyły się, bo wsunęłam mu dłoń pod koszulkę. Kiedy nasze ciała zetknęły się, zaparło nam dech w piersiach. Malachi zniżył głowę i przymknął oczy.

– Jesteś przeraźliwie zimna – szepnął i przyciągnął mnie bliżej.

– Nie chciałam... – Oczywiście, że chciałam, ale i tak zaczęłam wycofywać rękę.

– Nie rób tego. – Wsparł się czołem o moje czoło.

– Malachi... – Serce biło mi tak, że nie mogłam złapać tchu.

– Lela. – Objął mnie w talii. – Jest późno i strasznie zimno, a jutro mamy szkołę. Nie widzieliśmy niczego podejrzanego, więc może wrócimy i...

Urwał. Równocześnie usunęliśmy się, by zejść z drogi dwóm chłopakom w puchówkach i czapkach baseballowych. Podchwyciłam jeszcze urywki ich rozmowy o Red Soxach, ale odwróciłam się z powrotem do Malachiego.

– Wrócimy i... co? – zapytałam, wpatrując się w jego rozchylone usta, które znajdowały się centymetry od moich. Zdecydowanie za daleko.

Wplótł mi palce we włosy, a ja objęłam go, wyczuwając dłonią blizny na plecach, ślady po szponiastych pazurach Juriego. Parzyły mnie w opuszki. Malachi jęknął cicho i...

Gwałtownie uniósł głowę i spiął się w sobie.

– Na kolana, dupku. Już. – Gdzieś zza niego dobiegł nas czyjś spokojny, zdecydowany głos.

Goście w puchówkach. Miałam ochotę zdzielić się w ten swój pusty łeb za to, że skupiając się na Mazikinach, przestałam zwracać uwagę na inne zagrożenia czyhające na ulicy.

Malachi stał przez chwilę nieruchomo, wpatrując się we mnie. Tymczasem drugi napastnik wychylił się zza niego i spojrzał na mnie z ironicznym uśmiechem, na którego widok załała mnie fala adrenaliny. Kiedy się lekko cofnęłam, potrząsnął głową.

– O nie, nie, nawet nie drgnij – ostrzegł, wymachując nożem. – Tobą zajmiemy się za moment.

Nozdrza Malachiego drgnęły.

– Damy wam wszystko, czego chcecie – wyjąkał piskliwie i podniósł ręce gestem, którego spokój przeczył jednak brzmieniu głosu. – Wszystko, tylko nie róbcie nam krzywdy...

W tym momencie okręcił się, przytrzymując rękę uzbrojonego chłopaka pod swoim ramieniem, potem szarpnął się w bok, odwracając ode mnie odsłoniętą lufę pistoletu. Łokciem uderzył w krtań napastnika, potem kolaniem w krocze, jeszcze w brzuch, w udo i na koniec w twarz. Każdemu ciosowi towarzyszyły łupnięcia

i jęk. Widząc to, drugi napastnik rzucił się na plecy Malachiego, ale natychmiast padł uderzony potężnie łokciem, a kiedy zatoczył się, trzymając za pierś, oberwał miażdżącego kopniaka w kolano.

Wszystko to trwało niecałe pięć sekund.

Malachi wyrwał broń z bezwładnej dłoni chłopaka, który kulił się na chodniku, trzymając za krwawiący nos. Jego towarzysz podciągnął się na zdrowej nodze, przyciskając ręce do klatki piersiowej i rżąc spazmatycznie. Po chwili, pokurczony, przerażony niczym karaluch spryskany środkiem owadobójczym, uciekał w koślawych podrygach.

Malachi, z wyrazem czystej odrazy i nienawiści, cisnął broń w mrok zaułka, potem dobył spod bluzy jeden ze swoich noży. Otrząsnęłam się z szoku i zdążyłam złapać go za ramię, kiedy zamierzył się, żeby rzucić nóż.

– Nie, Malachi, niech ucieka!

– Chciał cię skrzywdzić – stwierdził ostro i napiął mięśnie, gotów cisnąć ostrzem.

– Nie! Nie możesz tego zrobić! To byłoby morderstwo!

Malachi zamarł z twarzą ściągniętą wściekłością. Opuścił rękę i patrzył, jak bandzior oddala się w podskokach, zostawiając krwawiącego kolegę na pastwę losu. Wciąż z nożem w dłoni, ukląkł przy łobuzie, który okazał się śmiertelnie wystraszone, chuderlawym dzieciakiem, prawdopodobnie młodocianym gangsterem usiłującym grać twardziela. Ale Malachi nie patrzył na niego jak na łobuza. Z zimnymi jak u rekina oczami chwycił smarkacza za włosy i szarpnął jego głowę do tyłu.

– O kurde, facet, nie chciałem ci nic zrobić! Przysięgam – bełkotał dzieciak przez zasmarkany, zakrwawiony nos, bojąc się nawet spojrzeć na Malachiego. Nie dziwiłam mu się.

Położyłam Malachiemu rękę na ramieniu.

– Musisz go puścić. Nie wezwie policji, bo sam nie chce mieć z nią do czynienia. – Staralam się przemawiać spokojnie, ale nie było mi łatwo. Nigdy jeszcze nie widziałam Malachiego tak bezwzględnie i drapieżnego.

Malachi pochylił się.

– Jeśli jeszcze raz cię zobaczę, nie pożyjesz na tyle długo, żeby tego pożałować – powiedział smarkaczowi prosto w twarz. Przytrzymał go mocno, dopóki dzieciak nie spojrzał na niego i z jeszcze większym przerażeniem uświadomił sobie, jak prawdziwe są te słowa. – Uciekaj – szepnął wreszcie, szczerząc zęby.

Dzieciak zawahał się, jakby bał się, że Malachi złapie go przy pierwszej próbie ucieczki, co wydawało się bardzo prawdopodobne.

– Lepiej zmykaj, koleś – poradziłam mu, przytrzymując klęczącego Malachiego za ramię. – Rób, co mówi.

Dzieciak spojrział na mnie ze zgrozą, ale zerwał się na równe nogi i pognął przed siebie, ciężko tupiąc o bruk i młócąc rękami powietrze. Malachi obserwował go, a sądząc z guli na zaciśniętych szczękach, wiele wysiłku kosztowało go, żeby nie wbić łobuzowi noża w plecy. Po kilku sekundach, które trwały wieczność, młodociany bandzior zniknął za zakrętem. Malachi spuścił głowę i nakrył ręką moją dłoń, jakby potrzebował tego kontaktu tak bardzo jak ja.

– Nic ci nie jest? – zapytałam drżącym głosem.

Malachi nienawidził broni palnej. Widział, jak jego brat umiera od kul nazistów. To jeden z powodów, dla których nie zasugerowałam Michaelowi, by wyposażył nas w broń palną.

– Wszystko w porządku.

Gapiłam się na plamę krwi zostawioną przez dzieciaka.

– Musimy się stąd zbierać.

Malachi, milcząc, wstał i schował nóż do futerału.

– Chodź. – Chwyciłam go za rękę. – Wracamy do domu.

Do samochodu dopadłam niemal biegiem, chciałam jak najszybciej oddalić się od miejsca napadu. Malachi nie odezwał się aż do chwili, kiedy włożyłam kluczyki do stacyjki.

– Rozczarowałam cię – stwierdził tak cicho, że ledwie go usłyszałam.

Usiadłam wygodniej za kierownicą.

– Nie. Wystraszyłeś mnie. Musisz zrozumieć, jak to wygląda tutaj. To nie miasto, do którego przywykłeś.

– Wiem.

Zapałam silnik i odjechałam od krawężnika.

– Ludzie tutaj nie są tacy jak tam. Nie tylko Mazikiny ci się postawią i nie tylko one stanowią tu zagrożenie. – Wiedziałam o tym aż za dobrze. – A Strażnicy nie posiadają tu takiego autorytetu, więc musisz uważać, żebyś nie wylądował w areszcie. Nie chciałbyś się tam znaleźć, uwierz mi. – Dobrze wiedziałam, o czym mówię. – Jesteś przyzwyczajony, żeby robić to, co uznasz za konieczne, ale tu nie możesz tak postępować. Przywykłeś do stanowienia i egzekwowania prawa, tu jednak nie masz takiej władzy.

– Tak, Kapitanie, rozumiem. – Jego głos był równie nieobecny jak wyraz twarzy. Skrzyżował ramiona i odwrócił się do okna. Neony i latarnie uliczne oblewały go różową, zieloną i żółtą poświatą. Miałam ochotę zatrzymać się i przytulić do niego, ale nie mogłam tego zrobić. Porządnie mnie wystraszył i musiał to zrozumieć dla dobra nas obojga. I dla dobra naszej misji.

Ale i tak czułam się nieswojo. Z nas dwojga to Malachi tak naprawdę był przywódcą, nie ja. I bardzo pragnęłam, żeby to on dowodził, choć jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że nie może. Nie tutaj. Nie na moim terenie, na którym wszystko, czego nauczył się w Mrocznym Mieście, mogło wpakować nas

w poważne tarapaty.

Skręciłam na podjazd położonej na uboczu uroczej wiktoriańskiej willi, znajdującej się niecały kilometr od rezydencji, w której mieszkała osierocona matka Nadii. Zastanawiałam się, czy Rafael wybrał to miejsce dla żartu, dom bowiem bardziej przypominał chatkę z piernika niż Strażnicę.

Z bolącym sercem weszłam z Malachim na werandę. Wydarzenia na ulicy położyły się między nami cieniem. Nie miałam pojęcia, jak to jest być w związku, ale to, co czułam, nie wydawało się w porządku.

– Odezwij się – wydusiłam w końcu.

Odwrócił się do mnie, jakby tylko czekał na pozwolenie.

– Nigdy mi przez myśl nie przeszło, że mogę być obciążeniem, Lela. – Otworzył usta i natychmiast je zamknął, jakby nie był pewien, czy powinien mówić dalej. – Chciałem być twoim atutem. Chciałbym usunąć wszystko, co mogłoby ci zagrażać.

Napięcie w jednej chwili wyparowało ze mnie. Objęłam go w pasie i wtuliłam głowę w jego pierś. Słyszałam łomot jego serca. To uczucie, ten dźwięk, ten zapach dodawały mi sił. Nikt inny na całym świecie nie mógł mi tego zapewnić. Przez tyle lat odgradzałam się od ludzi, nienawidziłam dotyku, którego tak długo nie byłam w stanie unikać. Ale z Malachim... było inaczej. On pozwalał mi dokonywać wyboru, czekał na pozwolenie, czekał na mnie, oddawał mi kontrolę. A kiedy pokazałam mu, że jestem gotowa, był przy mnie. Otoczył mnie ramionami i przyciągnął do siebie, a jego dłoń powędrowała po plecach w górę, zatrzymując się na włosach. Poczułam się tak, jakby w moim sercu rozjarzyła się kula światła, rozsyłając po całym ciele fale ciepła.

– Ależ jesteś moim atutem. I przecież mnie obroniłeś, prawda? Ale ja też chcę cię chronić, a to znaczy, że musimy być ostrożni.

– Zgoda. – Pocałował mnie w skroń. – Wiesz, Lela, tyle lat pracowałem nad poskromieniem gniewu, a dziś nieomal mu się poddałem. Gdyby nie ty, mógłbym uczynić coś, czego zawsze bym żałował. Dziękuję.

Kiedy nasze usta się zetknęły, ktoś otworzył drzwi i zalało nas światło z wewnątrz.

– To dopiero będzie nieziemski zabawa – odezwał się nieznajomy głos. – Mogę zaklepać sobie kolejkę, jak z nią skończysz?

TRZECI

Malachi dobył noża i popchnął mnie za siebie, zasłaniając masywnym ciałem.

– Wydaje mi się, że stoimy po jednej stronie – ciągnął obcy. Światło na werandzie zapaliło się. – Odłóż to.

Wysłałam zza Malachiego. W drzwiach stał chłopak, na oko w naszym wieku. Miał jasne włosy, które tworzyły chaotyczną strzechę, i ciemnoniebieskie oczy, nieco nabiegłe krwią. Męskie rysy twarzy były jeszcze trochę dziecięco zaokrąglone na owalu, jakby dopiero dorastał do ostatecznego wyglądu, ale ciało było już w pełni dojrzałe, pod koszulką rysowały się wydatne mięśnie. Nie wydawał się w żaden sposób przejęty tym, że Malachi trzymał mu nóż na gardle.

– Powiedz mi, proszę, kim jesteś i co robisz w moim domu – powiedział Malachi. Miał głos tak spokojny, jak zawsze tuż przed tym, kiedy zamierzał zrobić komuś krzywdę.

Blondyn odsunął się od ostrza i powoli wyciągnął rękę na powitanie.

– Jestem Jim. Zostałem przydzielony do tej jednostki. A wy to kto?

– Malachi. – Opuścił nóż, ale nie podał mu ręki.

Jim spojrzał na swoją wyciągniętą dłoń i otarł ją o spodnie.

– Dowodzisz tu?

– Nie. – Malachi spojrzał na mnie. – Ona jest Kapitanem.

Jim otaksował mnie od stóp do głów, zatrzymując wzrok na dłużej w miejscach, których można się było spodziewać. Miałam ochotę go walnąć. On tymczasem z uśmiechem podał mi rękę.

– Wobec tego witam, Kapitan...?

– Lela Santos. – Potrząsnęłam jego ręką, trochę lepka, jak się okazało. – Skąd jesteś?

Jego lubieżny uśmiezek stopniał.

– Z Oślepiającego Miasta.

– Oślepiającego? A kto tam trafia? – Zdawałam sobie sprawę z istnienia innych piekielnych miejsc w Krainie Cieni, gdzie ludzie szli po śmierci. Domyślałam się, że poza miastem mroku, do którego szli samobójcy, oraz Wsią, którą postrzegałam jako niebo, są także inne miasta.

Jim spojrzał na mnie smutno.

– Nienasyceni chciwcy, tak chyba można ich określić. Nałogowcy, hazardziści, oszuści, złodzieje.

– A ty do których się zaliczasz? – zapytał Malachi.

– To dość intymne pytanie, nieprawdaż? – Jim podniósł rękę i oparł się o framugę, albo nie dostrzegając, albo też ignorując groźny błysk w oczach mojego porucznika.

Pomyślałam, że trzeba będzie uważać na Jima.

– Skąd nazwa tego miasta?

– To najjaśniejsze miejsce na świecie – powiedział, ale nie wyglądało na to, by za nim tęsknił. – Tak jasne, że aż oczy bołą. Reflektory, latarnie, neony, słońce, wszystko równocześnie. Trudno ukryć cokolwiek w takim blasku. – Mrugnął do mnie. – Co jednak nie powstrzymuje mieszkańców przed podejmowaniem kolejnych prób.

– Byłeś tam Strażnikiem? Jak długo?

– Staram się o tym nie myśleć. A ty skąd jesteś?

Zawahałam się przez ułamek sekundy.

– Stąd.

– Uhm. – Skinął głową, ale zaraz zmarszczył czoło. – Jak to?

– To długa historia.

Jim wzruszył ramionami.

– Tak jest. – Wychylił się do wnętrza domu. – Hej! Henry! Chodź, poznasz naszego dowódcę. Spodoba ci się. – Wyszedł na werandę, odsuwając się od drzwi.

W progu stanął szczupły, przygarbiony mężczyzna. Miał podpuchniętą, ponurą twarz i najsmutniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałam, naznaczone ciemnymi podkowami i wieloma tragediami. Z drugiej strony, skoro był Strażnikiem, to pewnie życie go nie oszczędzało.

– Kapitanie Lelo Santos, poznaj kaprała Henry’ego Trávisa – przedstawił nowo przybyłego Jim.

Henry skinął nam poważnie. Jim stał, jakby oczekiwał fajerwerków, ale Henry nie wydawał się ani zaskoczony, ani rozczarowany, ani zły. Tylko zrezygnowany.

– Skąd jesteś, Henry? – zapytałam, starając się, by zabrzmiało to przyjaźnie.

Przez krótką, niezręczną chwilę milczał, a potem, ledwie poruszając ustami, powiedział:

– Z Pustkowia.

Nie wiem, czy to za sprawą beznadziejnego smutku w jego oczach, czy też smętnego tonu, ale uznałam, że nie chcę w tej chwili wiedzieć, kto kończył w tym miejscu.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że będzie nas więcej? – zwróciłam się do Malachiego.

– Sam o tym nie wiedziałem.

Jim wykrzywił usta w kpiącym uśmiechu.

– Widać Sędzia uznał, że przyda wam się pomoc. Po co tu jesteśmy? Jaka mamy misję?

– Mazikiny przedarły się przez mury Mrocznego Miasta i przeniknęły do świata żywych – zaczęłam.

– Zaraz – przerwał mi Jim. – Co to są te Mazikiny?

Malachi uniósł brwi.

– Jak to? Nie wiesz, co to są Mazikiny?

Jim pokręcił przecząco głową.

– W życiu o nich nie słyszałem.

– Ja też nie – odezwał się Henry w odpowiedzi na minę Malachiego. – Może wejdziecie do środka?

Delikatnie dotknęłam pleców Malachiego, bo napięcie widoczne w jego ramionach wyraźnie zdradzało, co sądzi o obcym zapraszającym go do jego własnej Strażnicy. Stare deski skrzypiały pod naszymi stopami, kiedy szliśmy do salonu, w którym stało parę krzeseł, każde z innej parafii, oraz sofa przykryta kwiecistą narzutą. Henry, który przysiadł na podłokietniku sofy, wyglądał trochę jak modliszka. Ja zajęłam miejsce na drewnianym, rzeźbionym krześle, a Malachi stanął obok. Chciałam złapać go za rękę, ale w ostatniej chwili przypomniałam sobie, że jestem dowódcą tych wszystkich facetów i powinnam zachowywać się jak wyższy rangą Strażnik.

– Jak to się stało, że wybrano was do tej misji? – zapytałam.

Jim, który usadowił się na skórzanym fotelu wypoczynkowym, spuścił głowę, niezwykle zainteresowany własnymi stopami. Henry podniósł na mnie oczy koloru pyłu.

– Zostaliśmy wezwani do Sanktuarium i otrzymaliśmy dyspozycję od Sędziego.

– I nic wam nie wyjaśniła?

– Nie, nie *wyjaśnił*. – Pewnie Sędzia objawiła im się jako mężczyzna, ale ja znałam ją jako kobietę. Najwyraźniej mogła przybierać postaci obu płci, wedle woli. – Powiedział tylko, że dołączymy do nowo utworzonej jednostki terenowej i że tam dostaniemy wszystko, co trzeba.

– Ale nigdy nie walczyliście z Mazikinami? – Głos Malachiego był bezdźwięczny z powodu kipiącego gniewu.

Jim potarł twarz.

– Może po prostu podzielił się z nami swoją wiedzą?

Malachi zacisnął szczęki, a ja nieomal słyszałam jego myśli – był wkurzony, że dostaliśmy miniaturową armię niedopasowanych żołnierzy, i zastanawiał się, czy nie lepiej poradzilibyśmy sobie bez nich. Chodziło mi po głowie dokładnie to samo.

– Mazikiny nie są ludźmi – wyjaśniłam. – To coś w rodzaju duchów, które opętują ludzi. Przejmują ich ciała, a wraz z nimi ich pamięć oraz umiejętności.

– Mazikiny panoszyły się w mieście, w którym byłem Strażnikiem – dodał Malachi. – Aż trudno uwierzyć, że nie przedarły się także do innych miejsc.

– Mnie nie tak trudno w to uwierzyć – zauważył Henry. – Nikt nie chciałby

znaleźć się na Pustkowiui. – Zadumał się na moment. – Część Pustkowiia to ogromna pustynia, a na jej skraju leży pod kopułą jakieś miasto. Chodziły plotki, że mieszkają w nim potwory.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Czy to może być ich kraina? – zapytałam Malachiego.

– To możliwe. Ale jeśli nie pojawiły się w Pustkowiui, to coś musi powstrzymywać je przed ucieczką z własnego miasta, coś poza faktem, że muszą robić to przez przejmowanie ciał istot mieszkających w innych miejscach.

– Wspominałeś, że opisują swoją krainę jako więzienie.

– Tak. Jeden z nich opisywał ją jako miejsce ognia i śmierci.

– Jeśli żyją pod słońcem pustyni na Pustkowiui, to ten opis pasuje – rzekł Henry. Słuchanie jego pustego głosu przypominało spacer po cmentarzu. – Niewielu mieszkańców Pustkowiia bywało na pustyni. Klimat jest zbyt ekstremalny.

– Zaraz... – Coś nagle przyszło mi do głowy. – Jim, mówiłeś, że w Oślepiającym Mieście jest bardzo jasno?

– No?

– A może Mazikiny wolą ciemność? – zwróciłam się do Malachiego.

Potał w zadumie kark.

– Niewykluczone. To wyjaśniałoby, dlaczego, między innymi, tak upatrzyły sobie moje miasto. – Uspokoił się nieco. – Może wobec tego będą bardziej aktywni nocą.

– A na czym polega ich aktywność? – zapytał Jim.

– Zabierają ludzi – odpowiedział Malachi. – W mieście mroku porywali ofiary z ulic, czasem nawet z mieszkań. Potem przywiązują je do stołu i odprawiają rytuał, podczas którego palą kadzidła i śpiewają w swoim języku. Sprowadzają ducha Mazikina z ich krainy, aby przejął ciało porwanego człowieka.

– Coś jak opętanie przez demona? – Henry się skrzywił. – Słyszałem o tym. A skoro tak, to pewnie można je wyegzorcyzmować? Po to tu jesteśmy? – Wyraźnie widać było, że nie podoba mu się ten pomysł.

– Niestety. – Malachi pokręcił głową. – Kiedy Mazikin przejmie ciało, nie ma już odwrotu. Ciało trzeba zabić. Tylko w ten sposób można z nimi walczyć.

– Nie tylko – zaprotestowałam cicho, mając na myśli, że Mazikina można uwięzić w czarnej wieży. Zmusza ona przechodzących do przywołania najgorszych wspomnień, a z tym Mazikiny mają problem, bo muszą przypomnieć sobie traumatyczne przeżycia własne oraz gospodarza.

– Jedynym sposobem jest zabicie ich – powtórzył Malachi z naciskiem. – No, chyba że chcesz, by dusze ludzi ugrzęzły w krainie ognia i cierpienia.

Któryś z Mazikinów powiedział mu, że po śmierci duch Mazikina powraca do swego miasta, a zesłana tam podczas opętania dusza ludzka jest wyzwalana.

Uniosłam ręce w geście kapitulacji.

– Na szczęście tutaj nie da się porwać kogoś ot tak – powiedziałam do nowych członków naszej grupy. – Większość ludzi ma krewnych, znajomych, kogoś, kto zgłosi zaginięcie na policję, a ta zajmie się sprawą i w efekcie Mazikiny mogą zostać odkryte. Ale już do tej pory udało im się przejąć przynajmniej kilka ciał, bo co noc nadchodzi więcej zgłoszeń, że ktoś je widział.

– Przynajmniej kilka? – powtórzył Henry. – To ile ich w ogóle jest?

– Wiele – powiedziałam. – Może nawet tyle, że starczy na każdą osobę w tym stanie.

Henry aż zamrugał.

– To co powstrzymuje ich od masowego ataku już teraz?

Malachi poruszył się niespokojnie.

– To nie takie proste. Wymaga koordynacji działań z Mazikinami pozostającymi w ich krainie. Dlatego najpierw zbierają ofiary, a dopiero potem, podczas jednego rytuału przejmują ciała całej grupy. Muszą robić to jednak pojedynczo, bo z tego, co widziałem, to długi i bolesny proces. Te Mazikiny, które już tu są, prawdopodobnie będą chciały zebrać grupę ludzi, a w niektórych wypadkach będą nawet szukali określonych typów. – Kiedy na mnie zerknął, wiedziałam, że ma na myśli Juriego.

– No i muszą zachować ostrożność, żeby uniknąć schwytania – dodałam. – Poza tym tutejsi ludzie nie poddadzą się bez walki. Biorąc to wszystko pod uwagę, mamy trochę czasu, żeby powstrzymać ich, zanim się rozplenią. – *Ale niezbyt wiele.*

– Przede wszystkim założą sobie gniazdo – podjął Malachi. – W jakimś odludnym miejscu, gdzie da się żyć, spokojnie przetrzymywać ofiary, a potem odprawić rytuał. Musimy znaleźć i zniszczyć to miejsce.

– Z tego, co mówicie, wynika, że gniazdo może być gdziekolwiek – stwierdził Jim sceptycznie.

– Poczekajcie. – Henry wstał i podszedł do wielkiej sterty gazet. Przeszukał ją, znalazł odpowiednią gazetę i przewrócił kilka stron. – Minęło trochę czasu od mojego poprzedniego pobytu na ziemi. Ostatnio mieszkałem tu w latach pięćdziesiątych, dlatego poprosiłem Rafaela o coś, co pozwoliłoby mi nadrobić zaległości – wyjaśnił, wręczając mi złożoną gazetę. – Mówiliście, że łapią ludzi. Zbierają ich. A takie coś, to normalne teraz?

Przeczytałam nagłówek: „Bezdomni walczą o przedłużenie okresu ochronnego i pozostawienie czynnych noclegowni”. Artykuł znajdował się na jednej z ostatnich stron.

Prawnicy reprezentujący bezdomnych postulują o przedłużenie okresu ochronnego, który kończy się pierwszego kwietnia. Nie robią tego jednak z powodu złej pogody. W zeszłym tygodniu policja otrzymała kilka zgłoszeń w sprawie ataków

na dwa największe obozowiska bezdomnych w mieście. „Wszystko dzieje się bardzo szybko. Wpadają i zabierają nasze jedzenie i zapasy. Dwóch gości zostało poważnie pobitych”, powiedział Orián Velasquez, mieszkaniec jednego z obozowisk, który aktualnie schronił się w miejskiej noclegowni. Schronisko ma być jednak zamknięte w piątek. „Nie jesteśmy przestępcami. Miasto powinno nas chronić”. Urzędnicy miejscy odpowiadają, że sprawą zajmuje się policja, ale w związku z zeszłorocznymi cięciami budżetowymi jest mało prawdopodobne, by wydłużono okres funkcjonowania schronisk.

– Chyba masz rację – powiedziałam do Henry’ego, a potem zwróciłam się do Malachiego: – Myślisz, że to mogą być Mazikiny?

Przeleciał wzrokiem artykuł.

– Możliwe. Choć spodziewałbym się po nich raczej porwań niż pobić.

– Może próbowali? Tylko że ci ludzie prawdopodobnie się bronili. Nie są tacy jak mieszkańcy Mrocznego Miasta. Uważam, że powinniśmy się temu przyjrzeć.

– Więc jak walczyć z tymi Mazikinami? – zapytał Jim.

– Jak z każdym – powiedział Malachi. – Trzeba tylko uważać na ich zęby, bo jad jest śmiertelnie groźny, no i na pazury, które przypominają szpony. Zadrapanie działa wolniej, ale zabija tak samo skutecznie, jeśli Rafael nie zdąży pomóc.

Łypnął na mnie groźnie. Na moim brzuchu do tej pory widniały trzy szramy po zadrapaniu – pamiątka po spotkaniu z Silem, ich przywódcą, który zdołał przedrzeć się do świata żywych. Nieustannie przypominały mi, jak groźne są Mazikiny. Sądząc po spojrzeniu Malachiego, bał się, co Sil mógłby mi zrobić, gdyby tylko dostał mnie w swoje łapy.

– Zęby i pazury. Pestka – skomentował Jim.

Malachi skrzywił się pogardliwie.

– Niektóre umieją naprawdę dobrze walczyć. Każdy jest w tej walce zaciekle. Nie lekceważ przeciwnika.

– No co ty? – Jim wywrócił oczami. – To co mamy robić? Po prostu wybić je wszystkie?

Wyrezyłam Malachiego, który najwyraźniej miał ochotę przywalić Jimowi za nonszalanckie podejście do sprawy. Przez taką postawę Strażnik mógł zginąć.

– Tak, musimy zabić każdego Mazikina, bo jeśli choć jeden zostanie, sprowadzi resztę. Nasze zadanie polega na pozbyciu się wszystkich.

– Ale najpierw musimy je namierzyć – zauważył Henry, przypominając mi tym samym, że do tej pory nie udało nam się tego dokonać.

– Jutro wieczorem ruszamy na patrol. Zaczniemy w miejscu, gdzie ostatnio je widziano, możliwe, że mają gdzieś w okolicy gniazdo. Potem sprawdzimy te obozowiska bezdomnych – zarządziłam. – Ja i Malachi mamy jutro szkołę. Nie mogę opuścić lekcji, bo... – Bo mój kurator, Nancy, tylko czeka na pretekst,

żeby mnie odesłać do poprawczaka. Nie chciałam jednak tego wyjaśniać. – Idziesz z nami do szkoły, Jim?

Henry'ego nikt nie wzięłyby za ucznia, ale Jim wyglądał jak nastolatek.

Jim przeciągnął się i ziewnął teatralnie.

– Wolę się przespać, jeśli nie macie nic przeciwko.

Malachi popatrzył na niego z niechęcią.

Siedzieliśmy w milczeniu, dopóki nie przypomniałam sobie, że to ja jestem dowódcą. Wyprostowałam się i ignorując zdradliwy rumieniec, zaczęłam udawać, że wiem, co robię.

– Dobrze. Wobec tego koniec na dzisiaj. Idźcie spać, a ja przyjadę po was wieczorem. – Wstałam.

Henry skinął potakująco, a wzrok Jima znów zaczął wędrować od mojej twarzy do biustu i z powrotem. Rozzłoszczony Malachi stanął pomiędzy nami, zasłaniając mu widok. Musieliśmy zachować dystans, więc rzucił mi tylko tęskne spojrzenie. A ja z trudem się powstrzymałam, żeby go nie dotknąć. Pomyślałam jednak, że Kapitan nie powinien rzucać się w ramiona swojego porucznika na oczach innych podwładnych.

Chcąc nie chcąc, wróciłam do domu.

Weszłam cichutko na palcach, ale zaraz za drzwiami dobiegło mnie rytmiczne pochrapywanie. Diana spała głęboko, tak jak to obiecał Rafael. Przemknęłam przez korytarz do mojego pokoju. Biurko było zavalone papierami i książkami, a oparty o krzesło stał plecak szkolny z aparatem fotograficznym w kieszeni. W kącie kupa brudów, pod łóżkiem trampki.

Moje poprzednie życie.

Podniosłam kurtkę, odkrywając czarny pas z futerałem na noże.

Moje obecne życie: dziwaczne połączenie normalności i szaleństwa, życia po życiu, poza życiem, nieśmierci i takich tam. Położyłam dłoń na piersi. Moje serce biło rytmicznie. Przypomniałam sobie, jak wyczuwałam bijące serce Malachiego. Czy to oznaczało, że żyjemy? Czy byliśmy żywi tylko dzięki pożyczonemu czasowi? Czy mieliśmy prawo żyć naprawdę, czy tylko wykonywać obowiązki Strażników? Czy cokolwiek, co możemy tu zrobić, poza eliminacją Mazikinów, będzie miało jakieś znaczenie? Czy zachowamy jakąś część tego dla siebie? Nie podpisałam żadnego cyrografu, który określałby jakiegokolwiek zasady.

Rafael mówił, że powinnam skończyć szkołę, że powinnam żyć jak „zwyczajna amerykańska nastolatka”. Ale ten świat nie był taki jak Mroczne Miasto, gdzie Strażnicy posiadali niepodważalny autorytet i władzę. Gdzie mogli po prostu załatwiać takie sprawy.

Nie, byliśmy teraz w cholernym Rhode Island, a ja byłam cholerną Lelą Santos. Dziewczyną mieszkającą w domu z nadopiekuńczą matką zastępczą. I w dodatku miałam zawiasy na kolejne trzy miesiące i szesnaście dni. Musiałam

chodzić do szkoły, żeby mój kurator nie odesłał mnie na koszt państwa do placówki edukacyjnej dla trudnej młodzieży albo do poprawczaka. Musiałam zabiegać o dobre stopnie, żeby nie stracić stypendium przyznanego mi na uniwersytecie Rhode Island. Może po udanym zakończeniu misji Sędzia dałaby mi szansę na studia? Może dałaby mi szansę na przyszłość?

– A jak na razie muszę tylko ocalić świat i wracać do domu przed dwudziestą drugą – mruknęłam.

Sędzia ostrzegła, że moje zadanie będzie trudne. Mnie raczej wydawało się niewykonalne.

CZWARTY

Po wybudzeniu się z koszmaru, w którym walczyłam z setkami Mazikinów, które z pożądanymi uśmiezkami wyciągały po mnie chciwe łapy, postanowiłam jak najszybciej wyruszyć do Strażnicy. Mimo że przyjechałam wcześniej, Malachi czekał już na mnie; siedział na huśtawce na werandzie. Wsiadł do samochodu i przyjrzał mi się z troską.

– Jak spałaś?

– Tak sobie. – Zjechałam z podjazdu i skręciłam w stronę szkoły.

– Coś się stało?

– Nic poza tym, że jest nas czworo przeciw milionom – odpowiedziałam ze ściśniętym żołądkiem.

– Dopóki będziemy działać, jest nadzieja. Sprowadzenie tak wielu Mazikinów zajmie trochę czasu, a i to przy założeniu, że nikt nic nie zrobi, żeby im przeszkodzić.

– Ale nasze szanse...

– Nigdy nie były duże. Nic nowego. – Westchnął. – W Mrocznym Mieście było nas tylu, że ledwie starczało, a moje prośby o dodatkowych ludzi i kolejne posterunki zawsze spotykały się z odmową.

– A Rafael pewnie mówił ci, że tego chcesz, ale wcale nie potrzebujesz? – Zaśmiałam się, ale natychmiast spowaźniałam, widząc, że z bezradną miną wpatruje się we własne dłonie.

– Czasami przychodzi mi do głowy, że oni wcale nie chcą naszego zwycięstwa, że po prostu lubią obserwować te zmagania – powiedział cicho, kręcąc głową. – Ale jeśli pozwoliłbym tej myśli pozostać na dłużej, tylko potęgowałaby mój gniew. Dlatego wolę wierzyć, że nie dostajemy więcej, bo resztę musimy znaleźć w sobie.

– Ja wołałabym armię.

– Ja też. – Zachichotał. – Ale to pozwala mi wierzyć, że jest jakiś powód, dla którego jej nie mamy.

Przez resztę drogi milczeliśmy. Rozważałam jego słowa. Czy to możliwe, że cała ta sprawa to tylko swego rodzaju gra ku uciesze Sędzi? A może to coś w rodzaju „doświadczenia wieku dojrzewania”, jak to raz mój kurator określił pobyt w poprawczaku? Z drugiej strony zbyt dużo wysiłku i zamieszania, jak na którąś z tych opcji. Potraktowałam ten pomysł bez przekonania, ale też nie zamierzałam się o to spierać. Skoro pomagało to Malachiemu wierzyć, iż jego wewnętrzna siła wyrówna nasze marne szanse, to nie chciałam odbierać mu tej nadziei. Szczególnie że wcześniej nie spotkałam nikogo tak silnego jak on. Nie miałam podstaw, by sądzić, że się myli, przynajmniej w tej części, która dotyczyła jego wiary w siebie.

Do szkoły dotarliśmy wcześniej, postanowiłam więc kupić sobie baton musli. Malachi stał obok mnie, jak zwykle czujny i gotowy, i obserwował korytarz, jednak zauważyłam, że zerknął w stronę wystawy automatu z przekąskami.

– Jadłeś śniadanie? – zapytałam.

– Jeszcze nie przywykłem do odczuwania głodu.

Wrzuciłam kolejne trzy ćwierćdolarówki i wzięłam baton także dla niego.

Z dietetycznym posiłkiem w dłoniach skierowaliśmy się do jadalni. Minęliśmy grupkę gotów drzemiących z głowami na plecach, następnie chudego pseudogangstera w brudnych dzinsach, uprawiającego dilerekę za jedną z kolumn otaczających przestrzeń pomieszczenia, pochylonych nad nieodrobionymi zadaniami maruderów i czirliderki skupione wokół...

Tegan.

Tegan siedziała przy stoliku pod banerem z napisem: „Zbiórka jedzenia dla upamiętnienia Nadii Vetter”.

– To ta twoja Nadia? – zapytał Malachi.

Przewróciłam oczami.

– Uhm. Nie mam pojęcia, co Tegan knuje.

Położyłam plecak na wolnym stoliku i usiadłam, obserwując, jak Tegan przyjmuje konserwy i datki od uczniów. Jej brązowe włosy sterczały w artystycznym nieładzie wokół drobnej twarzy, a ogólny wygląd sytuował ją na precyzyjnie wyznaczonej granicy pomiędzy supermodnym a dziwkerskim stylem. Jej świętoszkowata mina tak mnie zirytowała, że musiałam odwrócić wzrok.

– Zamierzasz to zjeść czy może przerobić na mąkę? – zapytał rozbawiony Malachi, siadając obok.

Popatrzyłam na zmaltretowany batonik.

– To wyraz mojej sympatii do nich.

W tej właśnie chwili Tegan nas zauważyła. Pomachała, przywołując mnie najpierw radośnie, a potem, gdy nie przybiegłam do niej natychmiast, zdecydowanie gwałtowniej.

– Jeśli mam uniknąć melodramatu, powinnam chociaż się z nią przywitać. Stara się być miła.

Malachi z zaciekawieniem przyglądał się gestykułującej Tegan.

– Mam iść z tobą?

To był nasz piąty wspólny dzień spędzony w szkole, ale większość przerw do tej pory spędziliśmy na omawianiu najlepszego sposobu trzymania noża albo techniki wysyłania SMS-ów, więc jak do tej pory nie mieliśmy czasu na nawiązywanie kontaktów towarzyskich. Wcale mi to nie przeszkadzało. Tym bardziej że czirliderki zerkały na Malachiego z minami, jakby chciały schrupać go na kolację.

– Uhm, może lepiej zajmę się tym sama – powiedziałam, wstając. – Zaraz

wrócę.

Tegan wyszła mi na spotkanie

– Zostawiłam ci wiadomość wczoraj wieczorem. Nie oddzwoniłaś.

Ach, ten zapach władczości o poranku.

– Nie miałam czasu, żeby sprawdzić telefon.

Celownik laserowy w oczach Tegan podniósł się ponad moje ramię i zatrzymał na siedzącym z tyłu Malachim, który kartkował podręcznik do historii w sposób, po którym poznałam, że nie umyka mu nic z tego, co dzieje się wokół, i gotów jest w razie potrzeby natychmiast zareagować. Wymownie chrząknęła, aż mi się pięści same zacisnęły.

– Tak, słyszałam, że się z kimś spiknęłaś. No, mam nadzieję, że to prawda.

– Ludzie przesadzają – zbyłam ją, czując, jak się czerwienię. – Sama o tym wiesz.

Jej różowe usta wygięły się w leniwym, domyślnym uśmiešku.

– To by była szkoda.

Nie wiedziałam, czy mam się cieszyć z tego pochlebstwa, czy kazać jej spadać. Zaczęłam już skłaniać się ku tej drugiej opcji, kiedy nagle jej uśmiech zniknął, jakby zrzuciła maskę zbyt ciężką, by utrzymywać ją dłużej.

– Chciałam z tobą pogadać – powiedziała cicho. – Tak sobie myślę. No wiesz. Od kiedy umarła... O różnych sprawach. I o ludziach...

Rozejrzałam się po sali. Czirliderki patrzyły na rozmawiającą ze mną Tegan, jakby oszalała, a gości ocknęli się z minami, jakby oczekiwali co najmniej walki w kisielu. Czy naprawdę właśnie mnie musiała wybrać na odbiorcę swoich przemyśleń o sprawach i ludziach?

– Takie tragedie skłaniają do przemyśleń – wyklepałam komunał zasłyszany od jakiegoś nauczyciela po śmierci Nadii. Wskazałam na baner. – Rozumiem, że to wynik twoich przemyśleń? – Już otwierałam usta, żeby zasugerować jakąś akcję zapobiegającą w ogóle samobójstwom, ale zrezygnowałam na widok jej udręczonej miny. – To... miłe. To słuszna sprawa. Nadii by się spodobało. – Nie zdołałam wykrzesać z siebie nic bardziej przyjaznego.

Tegan uśmiechnęła się niepewnie. Była typem organizatorki. Uwielbiała rozstawiać ludzi po kątach. Do tej pory działała jednak tylko w samorządzie uczniowskim, organizowała zbiórki na rzecz drużyny i tym podobne rzeczy. Dobroczynność nie była w jej stylu.

– Chciałam zrobić coś, co ma prawdziwe znaczenie – powiedziała, przyglądając się swojemu idealnemu manikiurowi francuskiemu. – Coś dla niej. Nie żadną kolejną bzdurę. Postanowiłam pomóc schronisku Kotwica. To noclegownia i jadłodajnia. Mama Nadii jest w zarządzie fundacji, moja też. – Przygryzła wargę i spojrzała na moje połamane, niepomalowane paznokcie. – Pomyślałam, że może poszłabyś jutro ze mną zanieść te rzeczy? Mogłybyśmy

wziąć południową zmianę przy wydawaniu obiadów. Potrzebują wolontariuszy.

To musiała być sprawka terapeuty Tegan.

– Gdzie to jest?

– Pawtucket. Wiesz, tam bliżej slumsów.

Znałam te okolice. Mieszkałam tam kiedyś. To było w tej części Providence, gdzie nagrano Mazikiny. A jeśli Henry miał rację, że wzięły na cel bezdomnych... Jęknęłam w duchu. Nadia uważała Tegan za swoją przyjaciółkę, a ja nie darzyłam jej aż taką antypatią, żeby życzyć jej nieodwracalnego opętania. Nie chciałam mieć jej też na sumieniu.

– Dobra... Przyjdę.

Błysnęła tryumfalnym uśmiechem, który aż krzyczał: „Misja wykonana!”

– Super. Aden też będzie.

Prychnęłam. Aden, jej chłopak miesiąca, był początkującym miotaczem w drużynie baseballowej i z tego, co wiedziałam, dupkiem pierwszej wody, jednym z tych złotych chłopców, którzy uważali, że należy im się od świata coś wyjątkowego. Wydawał mi się raczej typem, który prędzej wrzaśnie z samochodu „Spieprzaj, dziadu!”, niż poda bezdomnemu zupkę. – No, no, muszę przyznać, że zaczynam podziwiać twój dar perswazji.

Tegan uniosła brew i strzeliła oczami w stronę Malachiego.

– A twój facet? Możesz zabrać swoją zabaweczkę, jeśli chcesz. A może potrzebujesz mojej pomocy, by go przekonać?

Omam nie roześmiałam się, rozbawiona wizją Malachiego-zabaweczki. I omam nie walnęłam jej za tak jawną chęć zbliżenia się do niego.

– Zapytam go.

I wtedy Tegan wyciągnęła rękę i chwyciła mnie za ramię. Zesztywniałam. Nienawidziłam, kiedy ktoś dotykał mnie bez pytania. Tegan jednak najwyraźniej tego nie zauważyła. Podobnie jak tego, że Malachi zerwał się z krzesła, gdy tylko ruszyła ręką, i obserwował nas w takim napięciu, jakby Tegan zaczęła mi co najmniej grozić nożem. I jakbym sama nie mogła skopać jej tyłka. Mimo to jego troska mnie zachwyciła.

– Może mogłybyśmy kiedyś porozmawiać, Lela?

Zaniepokoił mnie ton, jakim wypowiedziała słowo „porozmawiać”, i poczułam ochotę, żeby pokazać jej terapeutce środkowy palec. Ale widok jej drżących warg i ten rozpaczliwy gest przytrzymania się mojego ramienia przypomniatł mi Nadię. Może Tegan też tylko nosiła piękną maskę, pod którą była słaba i bliska załamania?

– Jasne. – Przemogłam się.

Uśmiechnęła się. Zadzwoził dzwonek.

– To do zobaczenia – rzuciła i odeszła do swojego stolika.

– Uhm – mruknęłam, już się bojąc, że tego pożałuję.

Dzień szkolny toczył się jak każdy inny. Nauczyciele prześcigali się w wymyślaniu tematów projektów zaliczeniowych i zadań domowych, a ja zastanawiałam się, jak poradzę sobie z nauką, skoro po powrocie do domu muszę wymyślić sposób na zapobieżenie masowej inwazji Mazikinów.

Mijający mnie w korytarzu Aden skinął mi na przywitanie głową. Podobnie jak jego przyjaciel Ian Moseley, pierwszy pałkarz i gwiazda drużyny. I podobnie jak ich pięcioosobowa świta. Zastanawiałam się, czy to Tegan wpłynęła na ich zachowanie. Czy też może raczej fakt, że szłam za rękę z Malachim.

W końcu był przystojnym obcokrajowcem, który w niecałą godzinę od wstąpienia w progi naszej skromnej szkółki omal nie udusił Evana Crociere – jak dla mnie na wieki już znanego jako Brudne Dżinsy – naszego szkolnego dilera. Mało tego, oświadczył, że doszło do tego w obronie honoru Leli Santos, która jak wieść gminna niosła, sama kogoś zabiła i – również według plotek – była albo lesbijką, albo zimną suką, która prędkiej sprzedałaby kosę startującemu do niej facetowi, niż pozwoliła się dotknąć... Albo jedno i drugie. Nasze żywiołowe powitanie pod parkanem stało się źródłem plotek, od tygodnia przybierających coraz to fantastyczniejsze wersje.

Razem chodziliśmy tylko na dwa przedmioty – na matematykę i literaturę – jak dla mnie zdecydowanie za mało. Najwyraźniej jednak Rafael uważał, że nie musimy spędzać ze sobą całych dni. I... może miał rację. Ciężko było mi się skupić, siedząc obok Malachiego, ale nie byłam w tym osamotniona. On sam, mimo że rozpraszał wszystkich wokół, pozostawał całkowicie skoncentrowany na nauce. Nie spuszczał wzroku z podręcznika lub nauczyciela i cały czas skrupulatnie robił notatki.

Oglądałam go jak fascynujący film. Obserwowałam, jak trzyma łokieć na blacie, przyciska kciuk do czoła, a pisząc, podpira głowę. W pewnej chwili jednak uświadomiłam sobie, że takie baczne przyglądanie się wszystkiemu na korytarzach nie wynika tylko z przyzwyczajenia Strażnika. Malachi po prostu chłonał szkołę oczami. Każdy plakat, osobę, szafkę, witrynę z trofeami – jego wzrok powoli przesuwiał się po każdym drobiazgu, a mózg przyjmował obraz i zapamiętywał. Malachi uśmiechał się przy tym swoim prawie niedostrzegalnym uśmieszkiem. Gdybym to ja tak nagle znalazła się w liceum, nie byłoby mi łatwo, on tymczasem wyglądał, jakby wygrał na loterii. Ciągle chciałam zapytać, skąd ta radość, na jaką przyszłość liczył tu na ziemi. Chciałam też bardzo być częścią tej jego przyszłości.

Podczas przerwy na lunch spotkaliśmy się w jadalni. Załadowaliśmy tace i ruszyliśmy zgodnie w stronę stolika w rogu sali. Nagle dostrzegła nas Tegan i zaczęła przywoływać do stołu, przy którym siedziała z Adenem i grupką przyjaciół.

Malachi trącił mnie ramieniem.

– Strasznie chcą, żebyś z nimi usiadła.

– Myślę, że raczej chodzi im o ciebie. – Roześmiałam się.

Uniósł brwi.

– O mnie? – zapytał skonfundowany.

– Naprawdę nie wiesz, jak wyglądasz?

Tegan i Laney Fisher bezczelnie gapiły się na jego tors, Jillian Flemming i Alexis Campbell na twarz, a męska część grupy taksowała go od stóp do głów, jakby oceniali, czy naprawdę jest takim twardzielem.

Malachi spojrzał na swoje dżinsy i biały T-shirt.

– Rafael mówił, że ludzie tak się teraz ubierają. Twierdził, że w ten sposób się wtopię. Mogłaś mi powiedzieć, że...

Pochyliłam się ku niemu, z trudem opanowując się przed jawnym wdychaniem jego zapachu.

– Nie chodzi o ubrania. Zresztą, nieważne. Ciekawisz ich, bo jesteś tajemniczy. Jeśli jesteś gotowy odpowiadać na dziesiątki pytań z serii „Skąd jesteś?” i „Jak tam jest?”, to nie mam nic przeciwko, żebyśmy się do nich przyłączyli.

Malachi spojrzał na stół Tegan.

– Ten chłopak, Aden, chodzi ze mną na gimnastykę.

Kiedy Aden pochwycił jego spojrzenie, wstał i teatralnym gestem zachęcił nas do podejścia. Teraz już wszyscy się na nas gapili.

– Niech to licha, koleś, chyba zawróciłeś Adenowi Matthiewsowi w głowie.

– Zachichotałam. – Przynajmniej ma dobry gust. Teraz to już na pewno musimy tam iść.

– To rozkaz? – Malachi spojrzał tęsknie na samotny stół w kącie.

Przytaknęłam poważnie.

– To kodeks liceum, paragraf dwudziesty trzeci punkt piętnasty. Jeśli dwójka najpopularniejszych ludzi w szkole zaprasza cię do stolika, jesteś zmuszony do pozytywnego odzewu. Poza tym możesz potraktować to jako trening wytrzymałości na ból.

Sądząc po jego minie, doszłam do wniosku, że Malachi uwierzył w istnienie takiego kodeksu.

– No, skoro tak trzeba.

Kiedy podeszliśmy, Aden i Tegan usiedli, Ian i dwaj inni chłopcy przesunęli się na skraj, a Levi przesiadł się na drugą stronę, do swojej dziewczyny Jillian. Skończyłam dosłownie wprasowana pomiędzy Iana i Malachiego. Byli podobnej budowy – wąskie biodra, szerokie bary – co dawało mi sporo miejsca na tyłek i prawie w ogóle na resztę. Zastanawiałam się, czy uda mi się dokończyć kanapkę, zanim utonę w testosteronie i zapachu Axe.

Właśnie odgryzłam pierwszy kęs, kiedy do stołu zbliżył się z tacą Greg, były chłopak Nadii, wyraźnie zirytowany moją obecnością przy stoliku gwiazd. Był

jednym z satelitów, dzieciaków, które rozpaczliwie chciały należeć do tej kliky. Niestety, podobnie jak ja, jeździł gruchotem, a jego ciuchy miały metkę z nazwą marketu, a nie jakiejś znanej marki. W sumie powinnam mu współczuć... Ale nie współczułam. Nie traktował Nadii dobrze. Poza tym uważałam, że jest miernotą z wybujałymi aspiracjami i że uczeplił się jej, bo do pewnego stopnia nobilitowała go.

Skupiłam się na rozmowie, Ian tymczasem sprasował mnie mocniej, robiąc miejsce Gregowi.

Laney odrzuciła kasztanowe włosy na plecy.

– Jak ci się podoba w naszej szkole? – zapytała głośno, powoli i wyraźnie artykułując każde słowo.

Aden i Ian zachichotali, ale Malachi uśmiechnął się do niej uprzejmie.

– Podobają mi się zajęcia, szczególnie literatura. Rilkego czytałem jedynie w oryginale, więc cieszę się, że mam możliwość poznania go także po angielsku.

Laney zrobiła słodkie oczy i seksownie oblizała dolną wargę.

– Ach, mówisz taką piękną angielszczyzną. – Westchnęła. W tym momencie pisnęła, podskakując, po czym spiorunowała siedzącą naprzeciw Tegan. – Przecież to prawda. – Nadąsała się i schyliła, żeby rozetrzeć bolącą łydkę.

Wzięłam do ręki widelec, jeszcze nie do końca pewna, czy chcę nim dźgnąć Laney, czy jednak użyć do jedzenia sałatki. W podejmowaniu decyzji przeszkodził mi łokieć Iana.

– Przepraszam, leworęczny jestem. Tylko współczuć tym, którzy siedzą obok mnie. – Przyciągnął łokieć do boku.

– Trzeba widzieć, jak macha nią w polu – odezwał się Greg, najwyraźniej starając się nawiązać przyjazną pogawędkę. – Miotacze się całkiem gubią. Między innymi dzięki temu wygramy tegoroczny sezon. – Zwrócił się do Malachiego. – Pewnie uprawiasz sporty w swojej szkole? – Wyglądał, jakby z miejsca chciał dołączyć mojego porucznika do drużyny.

– Nigdy nie miałem takiej możliwości. – Malachi pokręcił głową.

Aden zrobił zdumioną minę. Pewnie dlatego, że w szatni widział mięśnie Malachiego. Niemrawo grzebiąca w sałatce Tegan odłożyła widelec i objęła go w pasie.

– To co dzisiaj robimy? – zapytała.

Aden pocałował ją w policzek.

– Dzisiaj mamy męski wieczór, Teg, wybac.

– No to może porobimy coś w sobotę – zaproponowała nieśmiało.

Kilkakrotnie podniósł i opuścił brwi.

– No, myślę, że moglibyśmy – powiedział wreszcie i znów skupił się na Malachim. – Chcesz dzisiaj z nami wyskoczyć na miasto? Pokażemy ci różne miejsca.

Ian, Greg i Levi uśmiechnęli się radośnie, a dziewczyny nadęsały.

Malachi otarł usta serwetką. Drugą ręką musnął pod stołem moje udo.

– Dzięki, ale może kiedy indziej. Ja i Lela mamy plany na ten wieczór.

Tym razem przyszła moja kolej na rumieniec. Powiedział to tak zwyczajnie, ale równie dobrze mógł wykrzyknąć. Oczy wszystkich przy stole natychmiast zwróciły się na mnie, a odbijała się w nich cała feeria emocji – od urazy, poprzez zaciekawienie, aż po zachwyt. Greg gapił się na mnie, jakby po raz pierwszy zauważył, że jestem dziewczyną. Laney miała minę, jakby lada moment miała umknąć do łazienki i uderzyć w płacz. A Ian... Oślupiałam, dostrzegając w jego spojrzeniu błysk zainteresowania. Przez cały rok nikt z nich nawet na mnie nie spojrzał, ja na nich zresztą też nie, a teraz... Wyglądało na to, że wystarczył przystojniak u mego boku, bym natychmiast znalazła się w centrum zainteresowania.

– Może wyskoczmy gdzieś po tej ochotniczej harówce, do której zmuszają nas dziewczyny. – Aden wymownie wzruszył ramionami. – Auu! – Roztarł ramię, w które Tegan walnęła go ostrym łokciem.

– Ej, wal go w lewe! – Greg się oburzył. – Prawe jest własnością szkoły.

Tegan uśmiechnęła się do niego landrynkowato, ale niechęć do Grega była tym, co nas łączyło.

– Zapamiętam – obiecała lodowato, a potem zwróciła się do nas: – Ale wy na pewno jutro przyjdziecie, prawda? Reszta tych frajerów mnie wystawiła.

Powstrzymałam się przed przewróceniem oczami.

– Nie zamierzam tego przegapić.

– Jesteś naprawdę dobrą przyjaciółką, Lela. – Rozpromieniła się. – Ach, a będziesz mogła mnie podwieźć? Tata by mnie zabił, gdyby ktoś ukradł mi alufelgi albo oderwał znaczki od mojej beemwicy.

Malachi uściskał moją dłoń. Wystarczyło, żebym jednak nie rzuciła jej w twarz, gdzie może sobie wsadzić znaczki od tego swojego samochodu, ale nie powstrzymało mnie przed zastanawianiem się, czy nie dodać przyjaźni z Tegan do mojej listy rzeczy niemożliwych.

PIĄTY

Po szkole wróciłam do domu, żeby zawalczyć z nauką i zjeść kolację z Dianą. Przy stole zostałam wymaglowana na temat kina i na temat zachowania Malachiego. W pierwszej kwestii skłamałam, w drugiej mogłam ją z czystym sumieniem uspokoić. No prawie, bo jednak pominęłam ten fragment, kiedy omal nie zabił dwóch bandytów.

Po kolacji obejrzałyśmy wiadomości, a potem musiałam wysłuchać tyrady Diany o nowych przypadkach pojawienia się Zwierzoluda. A w każdym razie o jednym. Niepokoiły mnie te wieści, podobnie jak doniesienia o samozwańczych łowcach pragnących pochwyć Zwierzoluda, a przynajmniej go nagrać. Władze miasta ogłosiły wzmocnienie patroli policyjnych w rejonie East Side i Pawtucket, a policja wydała oświadczenie, że osoby noszące broń muszą posiadać na nią pozwolenie i że nie będzie pobłażania dla obywateli łamiących prawo. Wydawało się, że mniej przejmują się Zwierzoludem, a znacznie bardziej ewentualnymi wyskokami zwykłych ludzi. Z jednej strony mi ulżyło, z drugiej przeklinałam w duchu sytuację. Im więcej ludzi się pilnowało, tym mniejsza szansa na porwanie, ale niektórzy urządzali sobie regularne polowania na Mazikiny i wszystko to z łatwością mogło się wymknąć spod kontroli.

Po wyjściu Diany na dyżur w więzieniu pojechałam po moich Strażników i najpierw zrobiliśmy sobie rundkę po Providence, a potem wąskimi uliczkami East Side pojechaliśmy w rejon, gdzie najczęściej zgłaszano pojawianie się Mazikinów. Miejsce to znajdowało się nieopodal schroniska, w którym następnego dnia mieliśmy serwować zupełnym bezdomnym, tym większą więc miałam nadzieję, że gniazdo nie znajduje się w pobliżu, i tym większą determinację, żeby je znaleźć.

Jim nie wyglądał najlepiej, ale pomyślałam, że może tak jak Malachi nie przywykł do jazdy. Brałam też pod uwagę możliwość, że jest najzwyczajniej skacowany; Henry oświadczył, że nie wie, skąd Jim wziął alkohol, ale kiedy byliśmy w szkole, młodszy Strażnik nieźle się sponiewierał. Po powrocie ze szkoły Malachi zastał go w łazience wymiotującego do wanny. Sądząc po milczeniu, w jakim przebiegała nasza podróż, pomyślałam, że ostatnie godziny musiały dać się we znaki całej trójce.

Teraz, wykąpany i przebrany w nowe ubrania, Jim wyglądał jak zwykły uczeń. Podobnie jak reszta z nas, był uzbrojony, choć nie ostentacyjnie; miał pałkę w plecaku i nóż w kieszeni.

– Co teraz? – zapytał głosem wyraźnie sugerującym, że wolałby być teraz w domu i odsypiać poranne wyskoki.

– Teraz czekasz na rozkazy – warknął Malachi.

Jim skrzywił się i potarł skronie.

Dotknęłam ramienia Malachiego, ale natychmiast cofnęłam rękę, zdałam

sobie bowiem sprawę, że Henry przygląda nam się bacznie.

– Jim i ja obejdziemy północną i zachodnią stronę, a wy południową i wschodnią, aż do obozowisk wzdłuż rzeki Blackstone. Spotkamy się tu o północy.

Malachi miał minę, jakby chciał się sprzeczać, i wcale mu się nie dziwiłam. Też wolałabym iść z nim, ale dokładnie przemyślałam sprawę. Ani Jim, ani Henry nie wiedzieli nawet, jak wyglądają Mazikiny, a z kolei wysłanie Jima z Malachim groziło uduszeniem tego pierwszego.

– Jak mamy reagować, jeśli zobaczymy Mazikina? – dopytywał się Malachi.

– Jeśli nie zaatakuje, nie pokazujcie mu się. Dajcie znać, gdzie jesteście, i idźcie za nim. Musimy znaleźć gniazdo, a to ważniejsze niż eliminacja jednego osobnika.

– To dobra taktyka, Kapitanie – Malachi się uśmiechnął.

Poczułam, jak w piersi rozchodzi mi się ciepło, którego tak potrzebowałam. Nie wątpiłam, że powiedział to szczerze.

– Dziękuję. Uważajcie na siebie – powiedziałam, patrząc jednak na Henry’ego, który bacznie mi się przyjrzał, po czym kiwnął głową.

Jim i ja pomaszzerowaliśmy kawałek ulicą, a potem skręciliśmy w mniejszą, boczną przecnicę. Była dziewiąta, jeszcze wcześniej, ale cieszyłam się, że latarnie rozpraszają zmrok. Krążyliśmy po okolicy ponad godzinę i nie widzieliśmy nic bardziej podejrzanego od grupki nastolatków zmierzających w stronę wstrząsanego basami klubu. Miałam właśnie zaproponować powrót na główną ulicę, kiedy dobiegł nas tupot, a potem rozległ się męski śmiech. Wciągnęłam nosem powietrze, sprawdzając, czy poczuję charakterystyczny dla Mazikinów zapach kadzidła, ale nos podrażniła mi tylko zmieszana woń czosnku i przypraw dobywająca się z jakiejś kuchni.

– Lepiej to sprawdzmy – powiedziałam, kiedy do śmiechów dołączyły okrzyki i łomoty.

– Chyba ktoś się tam dobrze bawi – skomentował Jim. – To chyba nie zbrodnia?

Zignorowałam jego uwagę i spięłam się, rozpoznając głos mówiącego.

– Hej, koleś, nie celuj tym we mnie. Ej, mówię poważnie, Aden.

Głos należał do Iana Moseleya. Żołądek mi się ścisnął na widok wychodzących zza rogu młodych ludzi. Aden, Ian, Greg i Levi, ubrani w kurtki i czapki, szli luzackim, nierównym krokiem uprzywilejowanych chłopaczków, którym wydaje się, że świat jest jednym wielkim lunaparkiem. Idący na przedzie Aden trzymał w rękach pistolet do paintballa z długą, wąską tubą zamiast lufy.

– Spoko, wszystko pod kontrolą – wybełkotał do kumpli, potrząsając bronią i wystrzeliwując kilka pocisków w pobliski mur. – Ups.

Ian sięgał właśnie, chcąc zabrać zabawkę koledze, kiedy dostrzegł mnie i Jima.

– Lela? – zawołał, mrużąc oczy, jakby nie wierzył, że to ja.

– Hej! – Pomachałam mu nerwowo. Zdałam sobie sprawę, że czeka mnie parę krępujących chwil.

Na widok Jima Ian uniósł brwi.

– Myślałem, że macie się spotkać z Malachim?

– Uhm...

– Plany się zmieniły – powiedział Jim, obejmując mnie i przyciągając do siebie.

Machinalnie kuksnęłam go w żebra łokciem. Odsunął się ze stęknieniem, wywołując tym rechot podpitych chłopaków. Ian, który jako jedyny w tym towarzystwie wydawał się trzeźwy, podszedł, jakby chciał stanąć w mojej obronie. Aby go uspokoić, zmusiłam się do uśmiechu.

– Z Malachim umówiłam się później.

Aden zaśmiewał się tak bardzo, że aż się chwiał.

– Pracowita z ciebie dziewczyna – zdążył wybełkotać, zanim Ian go popchnął. Stracił równowagę i zatoczył się na skrzynkę pocztową, której uwiesił się, nadal chichocząc.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedział Ian. – To idiota.

– Co tu robicie? – zapytałam, zerkając na pistolet do paintballa.

Greg pomachał zawadiacko swoją bronią. Miałam nadzieję, że ta również strzela wyłącznie farbą lub śrutem.

– Polujemy na Zwierzoluda!

– No proszę – mruknął Jim. – To tak jak my.

– Poważnie? – Ian się zdumiał.

– No co ty! – Machnęłam lekceważąco na Jima, choć miałam ochotę walnąć go w dziób, żeby się zamknął. – Byliśmy tu u znajomych.

Aden odkleił czoło od skrzynki.

– Masz tu znajomych? Ziomale z Królów czy MS-13? No, Lela, powiedz. – Rozchichotany oparł głowę na ramionach.

– Jaja sobie robisz, koleś? – zbeształ go Ian. – Zamknij się.

Odetchnęłam głęboko.

– Naprawdę myślicie, że traficie tu na te dziwadła?

Ian przewrócił oczami, ale reszta pokiwała głowami potakująco.

– I co? Zamierzacie... pokonać ich pukawkami od paintballa?

Zawiana trójka zaczęła się bełkotliwie odgrażać, na co Ian schował twarz w dłoniach i wczepił się palcami w skraj czapki, jakby chciał się w niej cały schować.

– Wiesz – zwróciłam się do Iana – w jednym Aden ma rację. To paskudna okolica. Nie znacie terenu, a zwracacie na siebie uwagę. Wszędzie tu pełno glin szukających takich niespełnionych bohaterów, może lepiej się gdzieś przenieście?

Najlepiej do Warwick...

Opuścił ręce.

– Hej, ona ma rację. To był głupi pomysł. Chodźcie. Samochód jest tam. – Chwycił Adena za kurtkę i oderwał go od skrzynki. Poganiając przed sobą pijane stadko, obejrzał się jeszcze przez ramię. – Dasz sobie radę? – zapytał, łypiąc na Jima.

Zmusiłam się, żeby podejść bliżej mojego partnera Strażnika.

– Jasne. Widzimy się w poniedziałek.

– Na razie. – Ian westchnął.

Gdy tylko zniknęli za rogiem, złapałam Jima za rękaw i pociągnęłam w przeciwną stronę, przeklinając pod nosem.

– Nawet mnie nie przedstawiłaś. – Jim udął oburzenie. – I coś mi się wydaje, że ten gostek był zazdrosny.

– Zamknij się – warknęłam. – I nie waż się mnie więcej dotykać.

– Hej, próbowałam tylko pomóc. – Zachichotał.

Zacisnęłam zęby i szłam naprzód, nie patrząc nawet, gdzie idę, przez co o mało nie skręciłam nogi. Już miałam ochrzanić Jima za głupawy uśmieszek, kiedy on nagle spowaźniał.

– Ktoś tam jest, w alejce – szepnął, wskazując na koniec ulicy.

Przyspieszyliśmy kroku. Znów wciągnęłam nosem powietrze i tym razem wyczułam woń kadzidła, choć tak słabą, że na moment zwątpiłam w swoje zmysły.

– Gdzie widziałeś... – zaczęłam, ale wtedy, gdzieś za drzewami, dosłownie kilka metrów od nas, rozległ się niski śmiech. Zmroziło mnie. Nie słyszałam nigdy, żeby człowiek wydawał taki głos. Przypominał chichot hieny... I brzmiał dokładnie tak jak głos Mazikina. Trąciłam Jima i przyłożyłam palec do ust.

Zaczęliśmy się skradać w tamtym kierunku. Do śmiechu dołączyły łomoty i szuranie. Schowana za drzewem, usiłowałam dojrzeć, co się tam dzieje, ale widziałam tylko wystające zza sterty śmieci jakieś nogi. Wychyliłam się na tyle, na ile starczyło mi odwagi, i wtedy zobaczyłam przygięty grzbiet i długi jasny warkocz leżący wzdłuż kręgosłupa. Ktoś kuczał przy tamtych nogach. Istota ta pohukiwała i mamrotała, przegrzebując śmieci i ciskając za siebie pogięte puszki oraz papiery.

Jim przysunął się tak blisko, że znów miałam ochotę uderzyć go łokciem.

– To jeden z nich? – wyszemrał.

– Chyba tak.

– Jak się upewnimy?

– Będziemy go obserwować.

Istota nadal kopała w śmieciach.

– A może po prostu go zapytamy? – Jim westchnął niecierpliwie i zanim zdołałam go powstrzymać, odsunął się ode mnie i zawołał: – Hej! Ty tam! Jesteś

może Mazikinem?

Kobieta z warkoczem poderwała się i odwróciła. Jej twarz znaczyły smugi brudu, a na brodzie widać było ciemną plamę krwi. Warknęła na zbliżającego się do niej Jima.

– Mazikin – wychrypiła.

– Jim! Nie! – krzyknęłam, ale mnie zignorował.

Zanim zdecydowałam, które z nich wolę zabić, kobieta rzuciła się do ucieczki, a Jim bez wahania ruszył za nią.

– Złapię ją! – wrzasnął.

– Nie! – wydzieralam się, biegnąc za nim.

Kobieta skręciła w stronę skrzyżowania. Dobrze oświetlonego skrzyżowania. Pełnego świadków, którzy zobaczą jedynie nastolatka goniącego bezdomną. Tuż za skrzyżowaniem znajdowała się stacja benzynowa, na której stało akurat kilka samochodów. Mazikinica obejrzała się przez ramię, szczerząc się w mrozącym krew w żyłach, częściowo bezzębnym uśmiechu.

– Jim! – krzyknęłam dosłownie w tej samej chwili, w której ona zaczęła wrzeszczeć:

– Pomocy! Napadł na mnie!

Łysy mężczyzna w średnim wieku i starszy w czerwonym szaliku, którzy akurat tankowali, podnieśli głowy. Kiedy Mazikinica wpadła na skrzyżowanie, ruszyli jej naprzeciw.

Jim zwolnił na tyle, że wreszcie go dogoniłam. Nie podcięłam mu nóg, ale wskoczyłam na plecy. Zatrzymał się.

– Ty kretynie! – syknęłam mu do ucha. – Uciekamy! Musimy...

– Złaż ze mnie! – Otrząsnął się tak gwałtownie, że omal nie wylądowałam na tyłku. – Już ją miałem! – Znowu rzucił się do biegu, a ja, oszołomiona jego niesubordynacją, ruszyłam za nim, choć i tak nie miałam szansy dopaść go po tej stronie ulicy.

Mazikinica, łkając głośno, wpadła w rozłożone ramiona staruszka. Mężczyzna otarł jej zakrwawioną brodę szalikiem.

– Ej! – krzyknął łysy do Jima. – Uderzyłeś ją?

– Nie. – Jim zatrzymał się parę metrów od niego. – Ale zamierzam.

– Uspokój się! – krzyknęłam, przystając przy nim.

Łysy dłużył już przy komórce. Wszystko wymknęło się tak bardzo spod kontroli, że aż kręciło mi się w głowie.

– Poradzimy sobie z tym – zapewnił mnie staruszek. – Powinnaś trzymać się od niego z daleka. Zabiorę tę panią do środka i pomogę jej się oczyścić.

– Policja jest już w drodze – zawołał łysy, wymachując telefonem.

Jim jakby ich nie słyszał. Rzucił się na Mazikina. Zdażyłam zastąpić mu drogę i popchnąć mocno. Kiedy znów chciał mnie odepchnąć, straciłam resztki

cierpliwości. Zarzuciłam mu ramię na kark i podskoczyłam, wymierzając kopniaka kolaniem w podbrzusze.

– Dość tego! – wrzasnęłam.

Stęknął, łapiąc się za brzuch, ale szybko się wyprostował. Zawyły syreny. Jim rozejrzał się zaskoczony, a ja spoliczkowałam go mocno, chcąc, żeby w końcu zwrócił na mnie uwagę. Kiedy wreszcie spojrział, powiedziałam cicho:

– Jim, musimy stąd spadać. Chyba że zamierzasz spędzić noc w areszcie.

– Tam gdzie jego miejsce – warknął łysy, wciąż trzymając w pogotowiu telefon i bacznie nas obserwując.

Naraz cała agresja wyparowała z Jima.

– Areszt?

Policja była tuż, tuż.

– Tak właśnie powiedziałam. Chyba że szybko wrócisz do samochodu.

Po praz pierwszy tej nocy zrobił to, co mu kazałam.

Gnaliśmy przez ulicę, ścigani okrzykami łysola. Przebiegliśmy obok drzew, po zasłanej liśćmi trawie, a kiedy mijaliśmy stertę śmieci, zwolniłam, widząc leżącego nieruchomo bezdomnego. Szyję i ręce miał pogryzione, pewnie walczył z Mazikinem, broniąc swojego dobytku, a potem i siebie przed porwaniem. Na jego policzkach widać było zadrapania, a oczy były szeroko otwarte. Był martwy.

Przyspieszyłam, zrównałam się z Jimem i razem już biegleśmy bocznymi uliczkami. W ostatniej chwili przykucnęliśmy za samochodem, kryjąc się przed nadjeżdżającym na sygnale, migającym światłami radiowozem. Ostrożnie otworzyłam drzwi, wślizgnęłam się za kierownicę, Jim zaś wpełzł na tył. Kiedy złapałam oddech, napisałam SMS-a do Malachiego, wyznaczając miejsce spotkania kilka ulic dalej. Zakładałam, że nauczył się planu miasta na pamięć – przynajmniej na niego mogłam liczyć.

– Czekaj, chcesz wracać do Strażnicy? To idiotyczny pomysł. Przecież mieliśmy zabijać te Mazikiny, a ty właśnie jednemu pozwoliłaś uciec!

– Zamknij się! – wrzasnęłam, waląc pięścią w deskę rozdzielczą. – Nie rozumiesz, kretynie, że mogłeś nas wpakować do aresztu?! Nadal jesteś pijany? Zgłupiałeś, żeby tak gonić kobietę na zaludnionej ulicy?! Grozić na oczach świadków?! Do tego zignorowałeś moje rozkazy! Nawet się nie ważyłeś odezwać, bo cię uciszę nożem!

Nareszcie chyba coś do niego zaczęło docierać, bo w drodze na miejsce spotkania siedział cicho. Malachi co prawda odpisał, że będą, ale i tak poczułam ulgę, widząc go siedzącego z Henrym na krawężniku. Henry wsiadł szybko do tyłu, a Malachi usadowił się obok mnie. Nie zdążył jeszcze zapiąć pasów, a ja już wyjechałam z piskiem opon na ulicę i wyminęłam jakiś samochód.

– Co się stało? – zapytał.

Potrząsnęłam głową, wiedząc, że jeśli wdam się teraz w wyjaśnienia, znów

zacznę krzyczeć.

– Widzieliśmy jednego. – Jim mnie wyręczył. – W parku. Zabił jakiegoś starszego gościa.

Jechałam ostrożnie. Czulałam na sobie wzrok Malachiego.

– Zaczęłaś działać wbrew rozkazom. – Malachi się domyślił.

Nozdrza mi drgnęły, zacisnęłam ręce na kierownicy... Żałowałam, że to nie szyja Jima. Malachi dotknął mnie delikatnie.

– Jesteś ranna?

– Nie. – Gdybym tylko wspomniała o przepychance z Jimem, Malachi bez wątpienia wyprułby mu flaki.

– Pogwałciłeś rozkazy, prawda? – zapytał zabójczo spokojnie, obracając się do Jima.

– Pobiegłem za nim! – Jim się bronił.

– To niesubordynacja – warknął Malachi. – Zaalarmowałeś Mazikina, zdradziłeś naszą obecność. Naraziłeś naszego Kapitana.

Położyłam mu dłoń na mocno zaciśniętej pięści. Rozluźniła się nieco.

– Przecież nic się jej nie stało – burknął Jim.

– Podejrzewam, że nie dzięki tobie – wtrącił się Henry. – Jim, to, co robisz, nie dotyczy tylko ciebie. Musimy sobie pomagać, inaczej ktoś z nas może zginąć.

Jim huknął pięścią w podsufitkę.

– Zamknijcie się już!

– Nie po raz pierwszy zignorowałeś rozkazy, prawda? – Malachi się domyślił. – Założę się, że naraziłeś już życie innego Strażnika...

– Przestań! – wrzasnął Jim histerycznie. – Nic o mnie nie wiesz!

Zwalniałam właśnie przed czerwonym światłem, gdy Jim otworzył drzwi i wyskoczył w biegu. Zahamowałam gwałtownie. Jim ledwie zdołał dopaść chodnika. Miał czerwone oczy i ciężko dyszał. Spojrzał na mnie, zawahał się, a potem obrócił się i odbiegł.

– Przed nami może i ucieknie – podsumował Henry. – Ale przed swoimi demonami nie ma szans.

SZÓSTY

Długo jeździliśmy po mieście, szukając Jima, wreszcie po prawie czterech godzinach poddaliśmy się i wróciliśmy do Strażnicy. Miałam nadzieję, że uda mi się spędzić z Malachim chwilę sam na sam, ale byliśmy tak zmęczeni i przygnębieni utratą towarzysza, że przed powrotem do domu uściśnęłam mu tylko na pożegnanie rękę. Na widok jego tęsknego spojrzenia pożałowałam, że nie jesteśmy zwyczajnymi nastolatkami, na których barkach nie spoczywa ciężar ocalenia świata.

Padłam wykończona na łóżko, a następnego dnia, choć była to sobota, zerwałam się już o siódmej. Chciałam jak najszybciej otrząsnąć się z koszmaru, w którym siedziałam w samochodzie z Jimem, on prowadził, jechaliśmy międzystanówką pod prąd, wprost na ciężarówkę. Po prysznicu zasiadłam do śniadania, ale moje płatki zdążyły już rozmoknąć, bo nieopatrznie postanowiłam wpierv sprawdzić, czy nie mam jakichś wiadomości w telefonie. Były trzy. Musiały przyjść bardzo późno, kiedy zmęczona zapadłam już w kamienny sen.

2:17 „Mam tw num od Teg. Aden uciekł. Widziałas go? Daj znać”.

2:29 „Jesteś w okolicy? Adena nie ma. Wiesz gdzie szukać?”.

3:34 „Jest. Sorki za aferę”.

Cieszyłam się, że Aden się znalazł, ale jednocześnie zastanawiałam się, w jakim stanie nasza gwiazda sportu stawi się w schronisku.

Zabrzęczały klucze i po chwili w progu stanęła Diana.

– Cześć, słonko, o, widzę, że wcześniej wstałaś – powiedziała zmęczonym głosem, wchodząc ciężko do domu.

– Dzień dobry. Jak zmiana?

Machnęła ręką, co oznaczało „tak sobie”, zdjęła kurtkę, a potem poszła do kuchni.

– Hej! – zawołałam, chowając telefon do kieszeni. – Mam pytanie. Zgłosiłam się na dzisiaj do pomocy Tegan jako wolontariuszka.

Diana uśmiechnęła się, wyciągając z szafki pudełko z płatkami.

– To ta dziewczyna, która zorganizowała w szkole czuwanie po śmierci Nadii? – Kiedy przytaknęłam, podjęła: – Co będziecie robić?

Skrzyżowałam palce pod stołem.

– Idziemy do jadłodajni dla ubogich. Będziemy rozdawały posiłki.

Zamarła.

– Jadłodajnia? Tu? W Warwick?

Kusiło mnie, żeby skłamać, ale Diana zbyt dobrze знаła okolicę, więc szybko by się zorientowała.

– Nie, w... Pawtucket.

Jej uśmiech zniknął. Odwróciła się do mnie z poważną miną.

– Przecież rozmawialiśmy już o tym. Nie chcę, żebyś się tam kręciła. Co noc jest coraz więcej meldunków o tych szaleńcach. Dopiero co słyszałam, że parę godzin temu jakiś bezdomny został właśnie w tamtym rejonie pobity na śmierć!

Wzruszyłam ramionami, choć serce waliło mi młotem.

– Ale te rzeczy dzieją się nocą, a my będziemy tam w biały dzień. Całą grupą. Będziemy spełniać dobre uczynki. – *A przy okazji może natkniemy się na jakiegoś Mazikina.* Skoro atakowały bezdomnych, obojętne w jakim celu – by pościć ich ciała czy obrabować z jedzenia – może Strażnicy powinni pilnować właśnie schronisk.

– Nie możecie iść gdzie indziej? – zapytała Diana, krzyżując ramiona na piersi.

– Diano, przecież będę tam z innymi ludźmi, z kolegami ze szkoły i odpowiedzialnymi dorosłymi. W tej jadłodajni stołują się bezdomni... – Odchrząknęłam. – Gdyby nie ty, może i ja mieszkałabym teraz na ulicy. Chciałabym jakoś się odwdziżyć losowi.

Była to szczerza prawda, chociaż obawiałam się, że zabrzmiała przesadnie melodramatycznie. Ale oczy Diany zalśniły wilgocią. Odwróciła się, by je otrzeć.

– Idź, dziecko. Tylko uważaj na siebie, dobrze? Nie zniosłabym, gdyby coś ci się stało.

Teraz z kolei mnie zapiekły oczy i musiałam przełknąć kluczę w gardle.

– Dziękuję. – Odstawiłam miskę do zlewu. – Nie martw się, dam sobie radę – powiedziałam cicho.

Zaśmiała się krótko i z podejrzaną chrypką.

– Jasne, nie martwić się. – Machnęła w kierunku drzwi. – Idź. Spełniaj dobre uczynki.

Nie trzeba mi było tego powtarzać. Kwadrans później wjechałam na podjazd Strażnicy, wbiegłam po schodach i zapukałam, a kiedy nikt nie odpowiedział, weszłam. Na stole kuchennym leżała karteczka z informacją od Malachiego. Uśmiechnęłam się na widok drobnego, starannego pisma: „Jim nie wrócił. Trenujemy z Henrym w piwnicy”.

Jęknęłam. Za godzinę miałam podjechać po Tegan, a jeden z moich podkomendnych zniknął. Sumienie zakłuło mnie trochę, kiedy zdałam sobie sprawę, że właściwie nawet mnie to nie martwi, że może będzie nam bez niego lepiej. Niezbyt to była szlachetna myśl, ale cóż, Jim sprawiał problemy, a tych mieliśmy i bez niego aż nadto. Mogłam mieć tylko nadzieję, że Sędzia i Rafael uznają, iż przydzielenie go do tej misji było pomyłką.

Zatrzymałam się na szczycie schodów, przysłuchując się przez chwilę dobiegającym z dołu stęknięciom i sapaniom. Piwnica naszej obecnej Strażnicy stanowiła niemal kopię sali ćwiczeniowej w Mrocznym Mieście, tyle że była trzy razy mniejsza i oświetlona halogenami zamiast lampami gazowymi. Malachi

mówił, że Rafael otwiera tam czasem coś w rodzaju przejścia do Krainy Cieni i że następnego dnia po naszym powrocie na ziemię Michael, zbrojmistrz, pojawił się tu w ten sam sposób. Podejrzywałam, że takie sztuczki mogą zrobić tylko aniołowie, tym bardziej że choleryczny tłuszcioch przybył magicznie wraz z całym warsztatem kowalskim i sporym arsenałem. Najdalsza ściana piwnicy obwieszona była równiutko kijami, nożami i innymi ostrymi narzędziami, których wcześniej nawet nie widziałam na oczy. W rogu leżały manekiny treningowe, a posadzka została wyścielona gąbkowymi matami, na tyle grubymi, by przy upadku nie połamać sobie kości.

Na całe szczęście, bo kiedy schodziłam z ostatniego stopnia, Henry grzmotnął właśnie na ziemię z głuchym łupnięciem. Jego twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie, który odsłonił krzywe zęby, a z gardła wydobył się niepokojący, świszczący oddech. Już miałam zapytać, czy nie potrzebuje pomocy Rafaela, kiedy zorientowałam się, że to nie symptomy bólu.

Henry się śmiał.

Malachi wyciągnął rękę i pomógł mi się podnieść. Przez chwilę stali, dysząc ciężko. Kiedy starszy Strażnik otarł rękawem pot z czoła, Malachi uśmiechnął się do niego szczerze.

– Henry naprawdę umie walczyć.

Henry stęknął.

– Nie ma to zbyt wielkiego znaczenia, jeśli przeciwnik jest silniejszy i bardziej bezwzględny. Jeszcze wiele się mogę od ciebie nauczyć. Zawsze byłem lepszy w walce dystansowej. Na Pustkowiui posługiwałem się kuszą.

– Co robią Strażnicy na Pustkowiui, skoro nie macie tam Mazikinów? – Zaciekawiałam się.

– Bronimy każdego, kto tego potrzebuje – odparł Henry poważnie. – Mamy inne stwory. Wilki wielkie jak ludzie, sępy, których rozpiętość skrzydeł sięga sześciu metrów, ludzi, którzy całkowicie zatracili człowieczeństwo. Nawet jeśli każdy mieszkaniec jest mordercą, zło może mieć różne odcienie. I naprawdę jest ich wiele. – Unikał mojego wzroku.

Zmierzyłam go spojrzeniem. Henry przyznał właśnie, że jest mordercą, ale... W zasadzie każdy z nas był mordercą. A on przecież został wybrany do służby w Straży, a potem do tej misji. I w przeciwieństwie do Jima nie zignorował rozkazów. Zaczynałam wierzyć, że Henry może nam się przydać.

– Jakiego zasięgu kuszy używałeś?

Unióśł brwi, jakby nie spodziewał się po mnie takiego pytania, ale po chwili jego usta ułożyły się w coś na kształt słabego uśmiechu.

– Jakieś sześćdziesiąt metrów. – Spojrzał na mnie niepewnie.

– Czyli generalnie z takiej odległości możesz zabić, tak?

Przytaknął.

– To może nam się przydać. Może i my moglibyśmy się czegoś od ciebie nauczyć, Henry.

Skinął głową.

– Idę się umyć przed wyjściem – powiedział cicho i z tym samym słabiutkim uśmiechem pomaszerował na górę.

– Świetne posunięcie, Lela – pochwalił mnie Malachi, gdy tylko drzwi do piwnicy się zamknęły.

– Słucham? – Popatrzyłam na niego, wyrwana z zadumy. Miał na sobie spodnie dresowe i przepocony T-shirt, ściśle opinający tors.

– Henry obawiał się, że będziesz oceniała go na podstawie zbrodni z przeszłości, a ty pokazałaś, że cenisz go za to, co może zrobić tu i teraz. Zaskarbiłaś sobie jego lojalność. To ważne dla dowódcy.

– Szkoda, że nie potrafiłam zrobić tego samego w przypadku Jima. – Westchnęłam.

Skinął, zaciskając zęby.

– Myślę, że Jim dołączył do Strażników dopiero niedawno – powiedział po chwili.

– Skąd ten pomysł?

Popatrzył mi w oczy.

– Gdy ludzie zostają skazani na służbę... zwykle tego nie akceptują.

– Tak było z tobą?

Przesunął dłonią po włosach i karku.

– Przynajmniej trzy razy próbowałem uciec, zanim zrozumiałem, że to niemożliwe. Gorzej, nawet nieraz zdarzyło mi się zaatakować kapitana Filipa i Takeshiego, który był wtedy porucznikiem i moim przełożonym. Ta sytuacja wywoływała we mnie gniew i agresję, wytrącała mnie z równowagi.

– Ile czasu zabrało ci pogodzenie się z tym?

– Dopiero po ponad roku zaakceptowałem nowe życie – odpowiedział po chwili zastanowienia.

– Rok?! – Aż się zająknęłam.

Malachi skrzyżował ręce na piersi.

– Mam nadzieję, że Jim przystosuje się szybciej. – Kącik jego ust uniósł się lekko. – Ty nie miałaś z tym najmniejszych problemów.

– Szczerze mówiąc, wcale nie jest tak różowo. Staram się, ale czasami mam ochotę rzucić tę całą odpowiedzialność i zwyczajnie iść do kina, albo coś takiego.

– A mógłbym iść z tobą? – zapytał z uśmiechem, podchodząc do mnie.

– No pewnie – szepnęłam. Nagle nie mogłam złapać tchu, kiedy jego palce musnęły mi szyję.

– Jest tu tyle różnych rzeczy, których chciałbym doświadczyć – wymruczał.

– A co byś wybrał, gdybyś mógł zrobić wszystko, na co miałbyś ochotę? –

zapytałam, przypominając sobie, że w szkole wyglądał tak, jakby wygrał los na loterii. – Gdybyś był wolny. Gdybyś nie był Strażnikiem?

Zastanowił się przez chwilę.

– Chyba bym podróżował. Chciałbym zobaczyć, jaki jest teraz świat. Pojechałbym do Bratysławy, żeby pospacerować tamtymi ulicami i powdychać zapachy miasta, wiedząc, że nic mi nie grozi.

– A potem?

– Chciałbym studiować. – Spojrzał na mnie z uroczym zakłopotaniem. – Żeby zostać nauczycielem. Albo informatykiem. Podobają mi się te komputery.

– Więc generalnie chciałbyś być przeciętnym facetem? – Mój głos zabrzmiał chrapliwie, słysząc w nim było napięcie. – I mieć przeciętne życie?

Otoczył mnie ręką w talii.

– Niczego bardziej nie pragnę. Chciałbym mieć pracę, dom, rodzinę. Chciałbym budzić się w niedzielę i móc wylegiwać się przez cały dzień z ukochaną. Chciałbym bawić się z dziećmi na podwórku, obserwować, jak rosną, wiedzieć, że mają przyszłość, że nikt im jej nie odbierze.

Serce ścisnęło mi się z bólu. Naraz ja także zapragnęłam, żeby miał to wszystko, zapragnęłam tego najbardziej na świecie. I nie tylko tego. Chciałam być częścią jego życia. Przesunęłam palcami po jego policzku.

– Może kiedyś będziesz to miał. Może to osiągalne.

– Może – szepnął.

Skrzypnęły drzwi.

– Hej, pani Kapitan – zawołał Henry z góry.

Odkoczyłam od Malachiego.

– Tak?

– Może pojedę przodem? Powęszę trochę w okolicy? – W przeciwieństwie do Jima czy Malachiego Henry potrafił prowadzić samochód, a Rafael załatwił mu prawo jazdy. Plan przewidywał, że do schroniska pojedzie z Jimem nierzucającym się w oczy szarym sedanem, ale w tej sytuacji i tak jechałby sam.

– Jasne – powiedziałam, z trudem łapiąc oddech. – Spotkamy się na miejscu.

Drzwi zamknęły się i znów zostaliśmy sami.

– Mamy trochę czasu do spotkania z Tegan, może trochę poćwiczymy? – zaproponował, przysuwając się bliżej i okręcając sobie pasmo moich włosów na palcu. – A może wolisz... – Pochylił się i musnął wargami moje usta, budząc tak silną falę pożądania, że aż się cofnęłam, rozedrgana i rozkojarzona.

– Powinniśmy poćwiczyć! – pisnęłam, wątpiąc w swoje możliwości samokontroli. Pod natłokiem tych wszystkich nowości, które pragnęłam z nim dzielić, zbyt szybko zapominałam, po co tak naprawdę tu byliśmy.

– No to do roboty, Kapitanie – powiedział nieco zdziwiony i odsunął się. – Pokaż, co potrafisz. – Przywołał mnie gestem, zachęcając do starcia.

Nie miał pojęcia, jak bardzo uwodzicielsko to wyglądało.

Stałam na macie, dysząc jak po szybkim biegu. Po półgodzinnym wykonywaniu chyba z tysiąca kopnięć kolanami piekły mnie uda i łydki. Piekły też mięśnie brzucha i ramion – efekt uderzeń dłońmi i łokciami. Związałam byle jak niesforne włosy, żeby mi nie przeszkadzały, ale kosmyki wydostały się z upięcia i przykleiły do spoconego czoła. Zdjęłam bluzę i ćwiczyłam tylko w koszulce, a Malachi w ogóle rozebrał się do pasa.

Nie mogłam się przez to skupić.

Stał naprzeciwko mnie niczym pająk czekający na drgnienie sieci. Poruszały się tylko jego oczy, śledzące każdy mój ruch.

– Czekasz na jakiś sygnał? – zapytałam.

– Zawsze. – Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

– Czułabym się mniej niezręcznie, gdybyś zaatakował. Wiesz, jak Mazikin.

– Może muszę to poćwiczyć.

Zaśmiałam się, robiąc kolejny krok w jego stronę.

– Zabawny jesteś.

Zamarkowałam atak z lewej, uniknęłam jego riposty i wróciłam na pozycję.

Cały czas patrzył mi w oczy.

– A ty niebezpieczna.

– Staram się.

– Przenoś ciężar na tylną nogę, w ten sposób będziesz mogła swobodniej poruszać się do przodu. Nie możesz ograniczać się do górnej części ciała, bo...

Zanim skończył, zaatakowałam. Z łatwością zablokował przedramieniem większość moich ciosów, ale udało mi się dosięgnąć dłonią jego torsu. Zadudniło, a na jego skórze został wyraźny ślad.

Natychmiast opuściłam rękę.

– Przepraszam!

Nie zdążyłam złapać tchu, kiedy uderzył mnie w klatkę piersiową i popchnął, przygwałdzając do ściany.

– Nigdy nie waż się wycofywać w ten sposób w trakcie walki – powiedział, puszczając mnie. – Musisz przełamać ten nawyk, Lela. Atakujesz, zyskujesz przewagę, a potem nie przestajesz zadawać ciosów, aż do końca.

Odepchnęłam się od ściany z uniesionymi pięściami. Malachi był srogi i ledwie wstrzymywał gwałtowność – zawsze tak wyglądał podczas naszych ćwiczeń, skupiony, zdeterminowany, by mnie czegoś nauczyć.

Uchyliłam się przed jego ciosem i zacisnęłam zęby, kiedy kopniak kolanem w bok pozbawił mnie równowagi. Zamiast bólu poczułam ponurą zawziętość, nieopisane wprost pragnienie, żeby go nie zawieść. A do tego... obezwładniające pożądanie. Zbyt potężne, by je pojąć, zbyt przerażające, by je analizować. Tkwiło we mnie bez przerwy, nisko w brzuchu, przeżerało mnie.

Podniosłam się, ale trzymałam się nisko, żeby nie dosięgnął mnie kolejny cios. A potem skoczyłam mu na plecy, opasałam szyję i trzymałam tak, dopóki nie przerzucił mnie na ramię, a potem nie powalił na plecy. W ułamku sekundy przygwoździł mnie do maty. Zetknięcie się z jego ciałem wzbudziło we mnie fale gorąca. A powinnam się bać. I bałam się, ale równocześnie tego właśnie pragnęłam.

Malachi nie zaczął jednak dusić mnie czy bić, tylko wpatrywał się we mnie pociemniałymi oczami, dysząc ciężko. Serce łopotało mi coraz szybciej. Przesunęłam dłońmi po jego ramionach, po nierównościach blizn, po twardych mięśniach, wilgotnej od potu skórze. Ujęłam w ręce jego twarz.

– Wygrałeś – wyszeptalam, przyciągając go do siebie i dając sygnał, na który, jak wierzyłam, czekał.

Kiedy nasze usta się zetknęły, Malachi zamarł, ale tylko na moment. Potem jakby coś się w nim przełączyło, przygniótł mnie do podłogi, wplatając palce we włosy. Jego pocałunek był gwałtowny, zaborczy, jakby pragnienie narastało w nim od dawna i tylko czekał na znak, by dać mu ujście. Całował moją szyję, jego jęki mieszały się z moimi westchnieniami, a wszystko toczyło się jak głaz z góry, jak lawina. Nie byłam w stanie kontrolować tego, co wyzwoliłam, a... nie miałam pewności, czy tego chcę.

Natłok wrażeń zmysłowych – ciężar ciała Malachiego, gładkość jego skóry, twardość mięśni, zapach – oszołomiły mnie kompletnie, otwierając drzwi, które do tej pory pozostawały zamknięte, wyzwalaając uczucia do tej pory uwięzione. Żądzę i lęk. Teraz i wtedy. Dotychczas, kiedy się całowaliśmy, Malachi pozwalał mi prowadzić, wyznaczać tempo.

Tym razem było inaczej.

Jego dłonie przesuwaly się po moim ciele, po ramionach, po bokach, a błądzący po skraju stanika kciuk obudził we mnie jednocześnie przyjemność i stare strachy. Nie potrafiłam go powstrzymać. Był za duży. Zbyt silny. Zbyt... Nie. Tego właśnie pragnęłam. Wygięłam się ku niemu, gdy rozciągnął mi dekolt i zaczął pieścić językiem obojczyk. Pałaca żądza ułatwiała odegnąć wspomnienia z przeszłości do głębokiej dziury w moim umyśle. To *mój* wybór. Tylko *mój*.

Jego palce przesunęły się po biodrze, a potem zamknęły na udzie, pożądliwie, niecierpliwie. Objęłam go za szyję, wsunęłam palce we włosy i trzymałam się go jak ostatniej deski ratunku, pozwalając unosić się falom naszych pragnień. I kiedy osiągałam już tę równowagę, to poczucie pewności, że wszystko jest w porządku, że jestem bezpieczna, że Malachi mnie nie skrzywdzi, on uniósł trochę biodra i ułożył się pomiędzy moimi udami. Nie zdołałam powstrzymać jęku.

Malachi zastygł z ustami przylgniętymi do nasady mojej szyi. A potem nagle zsunął się ze mnie szybko, jak żmija, zostawiając mnie leżącą na podłodze, całkowicie oszołomioną.

– Nie powinienem... – wydyszał. – Przepraszam... Ja...
– Przestań – powiedziałam ze wzrokiem wbitym w sufit. – Przestań, proszę.
– Zebrałam się na odwagę i spojrzałam na niego.

Siedział skulony, z kolanami przyciągniętymi do piersi, zasłaniając usta dłonią. Wpatrywał się we mnie z taką zgrozą, jakby mnie właśnie ranił nożem.

– Zapomniałem się... – wyszeptał. – Zapomniałem, że... Że ty...
Zapomniałem.

Potarłam oczy, usiłując wymazać z pamięci obraz tego, co malowało się na jego twarzy. Stało się właśnie to, czego się bałam. Patrzył na mnie jak na kogoś po przejściach, kogoś z urazem, a to w mojej głowie odbijało się echem obawy, że tak rzeczywiście jest. Powinnam się cieszyć, że jest taki wrażliwy. Wielu na jego miejscu zignorowałyby mój jęk. Ale zamiast radości czułam gniew, bo wcale nie chciałam mieć tego problemu. Pragnęłam być normalna.

– Skoro już jesteś taki zapominalski, to czy możemy o tym zapomnieć?

– Nie – powiedział głucho. – Spójrz na mnie.

Podniosłam wzrok. Przysunął się do mnie i już nie robił wrażenia struchlałego ze zgrozy, ale zastanawiałam się, czy tego nie ukrywa.

– No, patrzę.

I, na Boga, było to przerażające i rozkoszne jednocześnie. Wszystko, czego pragnęłam, skoncentrowało się w tym jednym momencie wraz z tym, czego mieć nie mogłam, bo zostało to już zabrane.

– Przepraszam, że cię wystraszyłem.

– Wcale mnie nie...

– Nie okłamuj mnie, Lela. Słyszałem. Czułem to. I... – Przymknął oczy i przeczesał palcami włosy. – Siebie również wystraszyłem. Czasami to, co do ciebie czuję, jest takie... ogromne. Nie przywykłem do tego. Przez ostatnie siedemdziesiąt lat udało mi się nauczyć nic nie czuć.

– Nie wierzę w to – wychrypiałam. – Kochałeś Takeshiego. I Anę.

– Tak, ale to co innego. Ty to co innego. I nie wiem, jak się zachowywać. Bardzo się staram, ale czasami... – Zaśmiał się cicho. – Wybacz, jestem taki niezręczny. Część mnie pragnie cię chronić. Przed wszystkim. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Utkwiłam badawczy wzrok w jego poważnej twarzy, czując, jak mocno bije mi serce.

– A ta reszta ciebie? Czego pragnie?

Podniósł na mnie prawie czarne oczy, obserwując mnie w napięciu.

– Ta reszta...

Zabrzączał mój telefon i Malachi zamilkł. Wstał, kiedy sięgałam po aparat. Oczywiście Tegan. Wysłała mi wiadomość, żebym po drodze kupiła jej kawę.

Kiedy podniosłam głowę, Malachi był już na schodach.

- Hej, czekaj! – zawołałam, ale nie przystanął.
- Muszę wziąć prysznic przed wyjściem – rzucił tylko przez ramię. – Porozmawiamy później, dobrze?
- W porządku – mruknęłam, odprowadzając go wzrokiem i przeklinając w duchu Tegan i jej uzależnienie od kofeiny.

SIÓDMY

Jadłodajnia znajdowała się niedaleko stacji benzynowej, gdzie ścigaliśmy Mazikina. W tej części dzielnicy dominowały wielkie bliźniaki z ogromnymi werandami i balkonami, stare, o butwiejących drewnianych elewacjach, z których odłaziła farba. Pod nagimi drzewami leżały sterty rozkładających się liści. W małych ogródkach frontowych, otoczonych koślawymi ogrodzeniami, tłoczyły się wypłowiałe po zimie zabawki.

Siedząca z przodu Tegan westchnęła po raz tysięczny. Zerknęłam na nią i znów musiałam ugryźć się w język, żeby nie skomentować jej stroju – podartych dżinsów i flanelowej koszuli, które aż krzyczały przesadą. Od szyi w górę wyglądała jak zwykle, czyli bogato – nieskazitelny makijaż, idealne pasemka, małe brylantowe wkrętki w uszach.

– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? – zapytałam.

– Adena nie będzie. Wysłał mi SMS-a, że wczoraj balował do późna i teraz odsypia. Niech robi, co chce. Kończę z nim.

Ulżyło mi, bo to oznaczało, że Ian odholował go bezpiecznie do domu, ale uznałam, że pewnie nie to Tegan chciałyby usłyszeć.

– To kicha. Jak się czujesz?

Spojrzała na siedzącego z tyłu Malachiego, który w milczeniu wbijał wzrok w okno, wypatrując ewentualnych zagrożeń.

– Już od dawna było tak sobie. Ale nic mi nie jest, pogadamy o tym później.

– Jasne – powiedziałam, czując wyrzuty sumienia, bo znacznie bardziej wolałabym porozmawiać z moim chłopakiem niż z Tegan o jej chłopaku. Zatrzymałam się przy schronisku. – Wchodzimy od razu?

Tegan skinęła potakująco. Przyglądała się jednemu z zaniedbanych domów, po chwili jednak otrząsnęła się jak mokry kot i przycisnęła do piersi kopertę z datkami, jakby bała się, że ktoś będzie próbował ją jej wyrwać.

Przewróciłam oczami, otworzyłam bagażnik i już miałam dźwignąć pudło z puszkami, kiedy ubiegł mnie Malachi.

– Wezmę to – powiedział i położył dłonie na moich.

Zapłonęła we mnie nadzieja i tysiąc innych uczuć. Pomyślałam, że może już przestał się przejmować tym, co stało się w piwnicy. Uśmiechnął się do mnie niepewnie.

– Weź artykuły sypkie.

Z łatwością podniósł ciężkie pudło i ruszył za Tegan. Zabrałam swój pakunek i właśnie podchodziłam do wejścia, kiedy przy krawężniku zaparkował czerwony samochód. Tegan aż klasnęła na widok wysiadającego Iana.

– Ach, więc udało mi się wjechać na poczucie winy!

– Wiedziałem, że Aden nie da rady. – Potrząsnął głową i stanął przy mnie. –

Narobił wczoraj niezłego bajzlu.

Malachi popatrzył na niego bardzo uważnie. Przez tę kołomyję z Jimem zapomniałam mu powiedzieć, że wpadłam na polującą na Mazikiny drużynę baseballa, uzbrojoną w karabinki do paintballa.

– Ale udało ci się dostarczyć go do domu? – zapytałam.

– Tak, dogoniliśmy dupka kilka ulic dalej. – Ian zdjął baseballówkę, przeczesał palcami włosy i znów nałożył czapkę. Potem zerknął na mnie nerwowo. – Przepraszam za to... – Ruchem podbródka wskazał na wybrzuszenie w mojej bluzie, gdzie w kieszeni spoczywał telefon.

– Za co? – Malachi obrócił się ku mnie tak gwałtownie, że w pudełku zadzwoniły puszki.

Ian musiał wyczuć wrogie vibracje.

– Aden nam wczoraj uciekł – zaczął, ostrożnie dobierając słowa. – Wiedziałem, że Lela zna ten rejon, więc wysłałem jej SMS-a czy ma jakiś pomysł, gdzie go szukać. – Machnął w stronę schroniska. – W każdym razie, ja jestem. Co mam robić, Teg?

Nie wspomniał o naszym spotkaniu. Ani o Jimie. Pewnie uważał, że chroni mnie w ten sposób przed zazdrością Malachiego. Nie było to konieczne, ale uznałam, że to nawet... miłe. Wchodząc do schroniska, uśmiechnęłam się do niego przelotnie. Odpowiedział tym samym.

Jadłodajnia już tętniła życiem. Z kuchni były fale gorąca i zapachów. Część wolontariuszy gotowała już zupę i robiła kanapki. Jakaś kobieta w siatce na włosach i zaczerwienionej od gorąca twarzy przywołała nas machnięciem chochli.

– Wpiszcie się na listę, jeśli chcecie zaświadczenia o pracy na rzecz społeczności. A ty – wskazała na mnie – załóż siatkę albo zwiąż włosy.

Zrobiłam kucyk, który związałam frotką noszoną na przegubie. Dołączyliśmy do grupki wolontariuszy składającej się z nastolatków i kilku osób dorosłych. Wśród nich był również Henry, który udawał, że nas nie zna.

Po wpisaniu się na listę przeszliśmy błyskawiczne szkolenie. Pouczono nas, jak duże porcje wydawać i jak zachowywać się w przypadku skarg czy próśb. Ledwie pracownik schroniska skończył z nami rozmawiać, do sali weszło kilka osób dziwnie poubieranych. Wszyscy oni mieli niepewne miny, choć niektórzy wyglądali tak, jakby wstąpili tu w drodze do pracy, a inni, jakby była to ich ostatnia szansa na jakikolwiek posiłek. Było wśród nich kilkoro dzieci o pustym spojrzeniu i poważnych twarzach. Przypominały mi mnie samą sprzed paru lat. Odwróciłam wzrok.

Henry, Malachi i Ian przynieśli gary z zupą, a ja i Tegan złapałyśmy za miski i łyżki. Wkrótce w sali zrobiło się tak tłoczno, że przy długich stołach nie było gdzie szpilki wcisnąć i niektórzy musieli brać swoje porcje na wynos. Pracownik schroniska pospieszał nas, mówiąc, że muszą wydać dziennie ponad siedemset

posiłków. Wyglądało to na ledwie kontrolowany chaos.

Zerknęłam na Malachiego, który spod zmarszczonych brwi obserwował ludzi w jadłodajni. Wiedziałam, o czym myśli – bezdomnych było bardzo dużo, a nas, Strażników, teraz już tylko trzech. W tej sytuacji dostrzeżenie czegoś podejrzanego graniczyło z cudem. Przydałaby się nam ta dodatkowa para oczu.

Mimo że na zewnątrz mróz srebrzył trawę, w środku panował upał gęsty od zapachów potu, pomidorówki, minestrone, rumu, papierosów i niemytych ciał. Kiedy ze stojącego przy mnie kubła zaczęły wysypywać się zużyte jednorazowe naczynia, skorzystałam z okazji, żeby wyrwać się na zewnątrz.

– Zaraz wracam – rzuciłam Tegan, wymownie pokazując pełny wór na śmieci. Machnęła do mnie zdawkowo.

Kiedy otworzyłam drzwi, owiało mnie zimne powietrze. Wdychałam je chciwie. I rzuciłam worek ze śmieciami.

Czyżbym to sobie wyobraziła? Czyżby to były jakieś omamy zapachowe wywołane nadmiarem woni w jadłodajni?

Nie. Wdychałam chłodne powietrze i naprawdę czułam ten zapach. Słodki, mdlący aromat kadzidła. Zapach, który kojarzył mi się tylko z jednym – z Mazikinami.

Zrobiłam parę kroków w stronę podwórka za domem. Z moich ust unosiły się obłoki pary. Niesiona wiatrem woń przywoływała mnie. Wróciłam na front, chcąc sprawdzić, czy jakiś Mazikin nie próbuje wyżebrać miski zupy albo pozyskać nowego ciała. Przed wejściem stała kolejka ludzi, ale słodka woń okazała się tu zdecydowanie słabsza. Wycofałam się na tył budynku. Za podwórkiem stał kolejny rząd domów. Przecisnęłam się obok śmietnika i ruszyłam wąskim przejściem, zasłanym śmieciami. Zapach intensywniał i z każdym wdechem moje serce biło coraz szybciej. Skręciłam w lewo i szłam w górę ulicy, dopóki nie zorientowałam się, że woń słabnie. Zawróciłam.

Mijałam właśnie uliczkę prowadzącą do schroniska, kiedy spomiędzy budynków przede mną wyłonił się mężczyzna o wychudłej, zarosniętej twarzy i tłustych włosach. Miał na sobie grubą koszulę flanelową, a obcięte palce rękawiczek ukazywały brudne, nierówne paznokcie. Mężczyzna niósł zatłuszczoną torbę papierową. Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem, coraz bardziej oddalając się ode mnie. Ruszyłam za nim, wdychając woń kadzidła.

Szłam ulicą, mijałam dom za domem, przeszukując wzrokiem każde przejście pomiędzy budynkami, wpatrując się w każde okno i usiłując dostrzec coś podejrzanego. Zapach stawał się coraz wyraźniejszy, wiedziałam więc, że idę w dobrym kierunku, nawet gdyby okazało się, że facet to zwykły, tyle że bardzo brudny człowiek. Ulica była ślepa – kończyła się przy siatce odgradzającej pustą działkę, za którą widać było cmentarz, za nim z kolei biegła ruchliwa droga międzystanowa. Woń kadzidła była tak silna, że aż zakręciło mi się w głowie.

Właśnie zastanawiałam się, czy mężczyzna zamierza przejść jakoś przez siatkę, kiedy skręcił w stronę stojącej po sąsiedzku wielkiej willi w kolonialnym stylu, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Zatrzymałam się kawałek dalej i przyjrzałam budynkowi. Zabite deskami okna. Graffiti na chodniku. Opuszczona? Cała okolica sprawiała takie wrażenie, jakby przeżerająca ją rdza wygnała normalnych mieszkańców gdzie indziej. Jedno było pewne – na frontowych drzwiach wisiał nakaz eksmisji.

Może znajdowała się tu melina narkomanów albo pijaków mety. Albo siedlisko bezdomnych, którzy ogrzewają się, paląc wszystko, co wpadnie im w ręce. Albo...

Albo gniazdo Mazikinów.

ÓSMY

Drżącymi palcami wygrzebałam z kieszeni telefon i wysłałam Malachiemu adres willi. Znajdowałam się kilka przecznic od schroniska, liczyłam jednak, że przywiezie go tu Henry i już wszyscy razem podejmiemy decyzję, co robić.

Czekając na odpowiedź, postanowiłam zrobić rekonesans, by dowiedzieć się, z czym będziemy mieć do czynienia. Choć większość okien była zabita, sklejka miejscami przegniła i odstawała od framugi, a kilka piwnicznych okienek w ogóle nie było zabezpieczonych.

Położyłam się na ziemi i zajrzałam przez rozbitą szybkę.

Rozbielone zimowe słońce stało na tyle wysoko, by rozjaśnić trochę wnętrze. Pomieszczenie piwniczne było zawałone pudłami i różnymi gratami. Nie zauważyłam w środku żadnego ruchu. Sięgnęłam ręką do biodra, do którego pod wpływem nalegań Malachiego przytroczyłam nóż.

Kiedy wstałam, moją uwagę przyciągnął jakiś dźwięk. Z wnętrza domu dochodziły ciche jęki. Ogłuszona łomotem własnego serca, przekradłam się na tyły domu i przeczołgałam pod okienkami na drugą stronę. Jęki były głośniejsze bliżej frontu. Urywane łkanie przenikało przez ściany i rozchodziło się w zimnym powietrzu niczym dym. Skuliłam się pod zasłoniętym sklejką oknem, gdzie słyszałam je najlepiej.

– Zamknij się, powiedziałem! – warknął ktoś groźnie.

– Proszę, proszę... – Płaczliwy głos, męski, ale wysoki, jak u chłopca. Bardzo przerażonego chłopca. – Wypuść mnie, proszę. Przysięgam, że nikomu nie powiem!

Potem rozległ się krzyk, który przeszył mnie jak ostrze.

– Zrobie to jeszcze raz, jeśli się nie zamkniesz – powiedział prześladowca. – Moi bracia i siostry usiłują tam na górze spać. Będę miał kłopoty, jeśli ich obudzisz.

Zazgrzytałam zębami, oderwałam się od okna i pobiegłam znów na tyły, po drodze wyciągając telefon. Tym razem zadzwoniłam do Malachiego. Nie odbierał. W końcu włączyła się poczta głosowa. Wybrałam numer Henry'ego. To samo. Omal nie zadzwoniłam do Jima, ale uświadomiłam sobie, że nawet gdyby odebrał, nie zechce albo nie będzie mógł mi pomóc.

W tej sytuacji mogłam próbować wyciągnąć chłopca sama albo wrócić do schroniska i ściągnąć tu moich podkomendnych, którzy najwyraźniej nie umieli posługiwać się telefonami. Oczywiście mogłam również zadzwonić na policję, ale oni co najwyżej przegnaliby Mazikiny z domu, a te szybko znalazłyby sobie inne miejsce. Dla nas najlepiej byłoby, gdyby Mazikiny siedziały wszystkie w jednym miejscu. Wtedy moglibyśmy po prostu spalić ten dom z nimi w środku.

Chłopak przeraźliwie krzyknął, przyspieszając tym samym moją decyzję.

Mazikin powiedział, że jego bracia i siostry śpią „tam na górze”. Ponieważ znajdował się na parterze, musiał mieć na myśli piętra. Była więc szansa, że uda mi się uwolnić chłopaka, nie zdradzając swojej obecności. A może w tym czasie dotrze tu Malachi.

Wysłałam SMS-a do Tegan: „Niech Malachi odbierze wiadomości”, a potem przez rozbite okno wślizgnęłam się do zatęchłej piwnicy. Trzymając nóż w pogotowiu, otworzyłam drzwi prowadzące bezpośrednio na podwórko, zapewniając sobie drogę ucieczki.

Schody prowadzące na parter były w fatalnym stanie, ale wspinałam się bardzo ostrożnie i udało mi się pokonać je bezgłośnie. Drzwi stały otworem. Skuliłam się i wyjrzałam na korytarz oświetlony jedynie smugami światła dochodzącymi z nielicznych niezastłoniętych okien. Ciszę mąciły jedynie ciche łkania chłopca. Trzymając się ściany, przemknęłam obok salonu zagraconego okropnymi kanapami, na których leżały porozpruwane poduszki. W kątach walały się sterty ubrań, a na środku dywanu widniała plama wymiocin, od której bił obezwładniający smród kadzidła i stęchlizny.

Nagle zamarłam, słysząc kroki na piętrze. Sufit nade mną zaskrzypiał, a zaraz potem rozległ się cichy, niski chichot. Uznałam, że to Mazikin strażnik poszedł na górę do swoich towarzyszy i ucieszyłam się, bo to oznaczało, że nie muszę tracić czasu na szukanie go. Po chwili śmiech i skrzypienie ucichły. Podjęłam ostrożną wędrówkę ku frontowej części domu.

Przekradłam się przez korytarz, uważając przy tym, żeby nie ocierać się o ściany upaprane różnymi ohydztwami, z pewnością jakimiś wydzielinami tworzącymi smugi i wysychające skupiska. Tynk znaczyły wgniecenia i pęknięcia, a na podłodze na końcu korytarza dostrzegłam kłęb brązowych, kręconych włosów wraz z płatem pokrytej zakrzepłą krwią skóry. Zdławiłam obrzydzenie i zajrzałam do frontowego pokoju.

Serce stanęło mi na widok tego, co ujrzałam.

Pomieszczenie rozjaśniało światło przefiltrowane przez podartą firankę zwisającą z jednego z niezabitych okien. Pośrodku stał niski, masywny stół otoczony czterema misami, w których paliło się kadzidło. Do każdej z nóg stołowych uwiązano linę. Postrzępione końcówki więzów były brązowo-czerwone. Ołtarz, miejsce, gdzie dokonywali rytuałów przejścia ciała.

– O Boże – wyrwało mi się.

– Kto to? – wyszeptał ktoś blisko.

Zamrugałam i zaryzykowałam wyjrzenie na schody prowadzące na piętro, ale wyżej ginęły w mroku. Z nożem w gotowości odwróciłam się znów do pomieszczenia. Pod oknem kulił się przywiązany do grzejnika chłopak, na oko może z rok młodszy ode mnie. Trząsł się z zimna. Miał na sobie tylko brudny, niegdyś biały T-shirt. Jego ramiona pokrywały zadrapania, paskudne, ropiejące

szramy. Spod zmierzwionej jasnej czupryny wyglądały zielone, okrągłe ze strachu oczy. Na brudnej twarzy jaśniały smugi po łzach.

Usłyszałam echo głosu Any, Strażniczki w Mrocznym Mieście, mówiącej, po czym poznała, że Nadia nie została jeszcze opętana – Nadia płakała.

– Nie zrobię ci krzywdy – wyszeptalam i położyłam palec na ustach. Powolutku, świadoma, że każde skrzypnięcie podłogi może ściągnąć tu Mazikiny, podeszłam do chłopaka i uklękłam przy nim. Śmierdział moczem i potem. Rozciąłam mu więzy na poobcieranych do krwi przegubach. Chłopak nie spuszczał oczu ze schodów. Oboje wiedzieliśmy, że właśnie tam czai się niebezpieczeństwo. Rozcinając więzy, odkryłam, że jego ręce poznaczone są nie tylko zadrapaniami. W zgięciach łokci widniały siniaki i ślady po igłach. Chłopak był taki młody, a już uzależniony.

– Powiedzieli, że mają towar – szepnął, zauważywszy, na co patrzę.

Jeszcze raz uciszyłam go gestem i pokręciłam głową. Opowie mi wszystko później, kiedy już będziemy bezpieczni. Ale w środku kipiałam. A więc w ten sposób Mazikiny zdobywają ciała. Zwabiają uzależnione dzieciaki do domu, a potem wysyłają ich dusze prosto do piekła. Wreszcie rozciąłam ostatnią pętlę i przytrzymałam chłopca, który osunął się na gąbczasty, zawilgocony dywan. Przyciągnął do piersi poranione nadgarstki i przylgnął do mnie, roztrzęsiony, z twarzą wykrzywioną w grymasie bólu.

– W porządku. Już wszystko dobrze – wyszeptalam, tuląc go.

Choć nie znoszę kontaktu fizycznego z obcymi, naprawdę chciałam go pocieszyć. Dobrze wiedziałam, jak się czuje, chciałam mu dodać odwagi. Chciałam, by wiedział, że nie jest niczym, że ma przyszłość, że nie jest sam. Gdyby nie Diana, byłabym taka jak on. Trzymałam go więc w ramionach jak matka, sama walcząc ze wspomnieniami tych chwil, kiedy byłam zupełnie załamana i nie miałam nikogo, kto mógłby mnie pocieszyć.

Wreszcie chłopak otrząsnął się, otarł twarz, jeszcze bardziej rozmazując łzy, i bojaźliwie spojrział na mnie spod niechlujnej strzechy.

– Nazywam się Nick.

Pokręciłam głową i zasłoniłam usta, jednocześnie uśmiechając się pokrzepiająco. Skinął głową i rozciągnął w uśmiechu zakryte usta. Był to najśłodszy uśmiech nadziei, jaki widziałam, i postanowiłam sobie na niego zasłużyć. Przysunęłam usta do jego brudnego ucha.

– Możesz chodzić? Musimy uciekać.

Kiedy skinął potakująco, pomogłam mu wstać i podtrzymałam, kiedy się zachwiał. Wskazałam drogę do piwnicy i krok za krokiem ruszyliśmy w stronę drzwi, pokonując pasma światła przenikającego przez dziury w deskach, w którym wirowały drobinki kurzu.

Deski na suficie skrzypnęły. Nick zatrząsł się. Ujęłam go pewnie za rękę

i pociągnęłam do przodu. Przemknęliśmy obok kuchni i salonu. Z góry dobiegło nas warknięcie, a potem stękanie. Ktoś się obudził. I znów seria syknięć i pokasływań.

– Co oni tam robią? – wyszemrał mi Nick do ucha.

Byłam przekonana, że Mazikiny rozmawiają w swoim języku, ale nie chciałam go wystraszyć, więc wzruszyłam ramionami i pociągnęłam w stronę piwnicy. Na górze zaczął się ruch. Zamieszanie. Usłyszeli nas. Byliśmy już na schodach.

– O Boże! – krzyknął Nick przerażony, nieomal zagłuszając narastający tupot.

Słyszając chrapliwe przekleństwo dobiegające od strony frontowego pokoju, wiedziałam, że lada moment nas złapią. Chciałam zasłonić sobą Nika, ale ten przepchnął się w panice na schody, strącając mnie w dół. Poczułam ból w łokciu, w kolanie, uderzyłam skronią o barierkę, a potem wylądowałam przodem na betonowej posadzce. Nick był obok, zerwałam się więc i rzuciłam w stronę wyjścia.

Drzwi nagle otworzyły się z hukiem, a na tle jasnego prostokąta pojawiła się ciemna sylwetka. Rozpoznałam ją natychmiast.

– Malachi! – jęknęłam.

Kolejne sekundy rozdzieliły się na fragmenty następujących po sobie obrazów i dźwięków, jakby czas rozszedł się w szwach. Malachi zmrużył oczy, a jego ryk zatrzymał mi serce. Poczułam palce Nicka na plecach, kiedy runęliśmy ku mojemu porucznikowi.

Błysnęły noże, Malachi zamachnął się i ostrza świsnęły w powietrzu. Poczułam podmuch stali przelatującej mi obok twarzy.

Uderzyły w coś za mną, z łupnięciem wbijając się w ciało.

Odwróciłam się. W piersi chwiejącego się Nicka tkwiły noże. W jego oczach dostrzegłam rozpacz i zdumienie. Wyciągnął rękę, jakby chciał się mnie przytrzymać, a potem przewrócił się. Otworzył usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk.

DZIEWIĄTY

Zanim uderzył o ziemię, jego oczy były już martwe. Dusza uleciała tam, gdzie było jej miejsce. Wpatrywałam się w te oczy, pragnąc, by wrócił, by żył. Przecież mu to obiecałam. Nie myśląc o zagrożeniu, schyliłam się. Zaskoczenie odebrało mi rozsądek i refleks.

Malachi skoczył naprzód, wyrwał noże z piersi Nicka i dźgnął w brzuch nadbiegającego Mazikina – tego samego, który doprowadził mnie do tego domu. Mazikin zgiął się wpół i z jękiem runął na ziemię. Malachi schował noże, złapał mnie za rękę i szarpnął w stronę wyjścia.

– Idziemy. Henry czeka w samochodzie.

Nie mogłam oderwać wzroku od pustych oczu Nicka.

– Ale on...

– Idziemy! – wrzasnął Malachi, obrócił mnie i popchnął ku wyjściu.

Wypadłam na zewnątrz. Oczy mnie piekły, paliło mnie w piersiach.

– Musimy...

– Musimy uciekać – przerwał mi Malachi, ciągnąc w stronę ulicy.

Z całych sił powstrzymałam się przed oglądaniem się przez ramię. Wsiadliśmy do samochodu i Henry ruszył natychmiast, klucząc wąskimi uliczkami.

– To było gniazdo – zdołałam wyjąkać, dysząc ciężko.

– A ty weszłaś tam, nie czekając na mnie. Na nas – powiedział ostro Malachi. – Zignorowałaś własne rozkazy.

– Mazikiny zorientują się, że ktoś tam był – zauważył Henry. – Mogą się przenieść.

– Wrócimy tam wieczorem i spalimy ten dom. – Malachi obrzucił mnie wzrokiem. – Atak za dnia byłby nierozważny, biorąc pod uwagę, że brakuje nam jednego Strażnika, a dowódca jest ranny.

Czułam ból promieniujący od łokcia do dłoni i od kolana w dół. Głowa pulsowała tępo. Przyłożyłam dłoń do skroni, żałując, że nie mogę wymazać z pamięci twarzy Nicka.

– Musimy być ostrożniejsi – mruknęłam pod nosem.

– I kto to mówi?! – warknął Malachi, a potem przytulił mnie, nie zważając na to, że Henry dowie się, iż jesteśmy dla siebie nie tylko dowódcą i podkomendnym. Ujął mnie za brodę i uniósł mi twarz. – Jak twoje rany?

– Spadłam tylko ze schodów. Wyjdę z tego. – Nie byłam tego taka pewna, ale w tym momencie nie miało to znaczenia.

– Nie powinnaś wchodzić tam sama – wycedził przez zaciśnięte zęby. – To było nierozważne.

Usłyszałam podszept gniewu, ale starałam się mówić spokojnie.

– Wysłałam ci SMS-a. A potem dzwoniłam.

Zarumienił się.

– Nie słyszałem dzwonka, było za głośno. Dopiero Tegan poczuła wibracje w kieszeni i powiedziała, że dzwoniłaś. To mój błąd, przepraszam. Ale to nie usprawiedliwia ciebie.

Przełknęłam ślinę, nie pomogło to jednak zmniejszyć guli w gardle.

– Trzymali tam dzieciaka. Robili mu krzywdę.

Malachi potrząsnął głową.

– Nie uszkadzają swoich ciał. Chyba że...

– To nie jest miasto mroku! Tu ich więźniowie nie będą współpracowali albo poddawali się ot tak. Dzieciak nie siedział potulnie, próbował uciec. Podrapali go. – Łzy zapiekły mnie w oczach. – Ujrzałam szansę, żeby go stamtąd wyprowadzić. Nie mogłam go tak zostawić.

Twarde spojrzenie Malachiego złagodniało, kiedy Henry wykrzyknął:

– Uwolniłaś kogoś? To gdzie jest?

Nie mam pojęcia. Przygryzłam wargę, czując, jak po policzku spływa mi łza. Malachi ujął moją twarz w dłonie. Wzdrygnęłam się, widząc na nich krew. Kiedy przemówił, jego głos był już całkiem łagodny.

– Został tam?

Potrząsnęłam głową, ledwo oddychając ze strachu. Malachi przyglądał mi się bacznie.

– Uciekł, zanim się pojawiłem?

Znów zaprzeczyłam.

– Biegł za mną.

Malachi zamarł. Krew odpłynęła mu z twarzy.

– Nie. Nie. To był Mazikin – wyjąkał. – Gonił cię... Chciał... Chciał cię dopaść. Musiałem... Bronilem cię...

– I obroniłeś mnie – wykrztusiłam. – Ten drugi to był Mazikin.

– Ale chłopak...

– On nie.

Malachi odsunął trzęsące się dłonie, spojrzał na nie i nagle chyba zobaczył krew na palcach.

– Jesteś pewna?

Zanim odpowiedziałam, zaczął nerwowo wycierać ręce o spodnie. Ale krew już zaschła, szorował więc nimi gorączkowo, a potem zdrapywał plamy paznokciami. Chciałam go powstrzymać, ale szarpnął się do tyłu i schował ręce pod pachami. Siedziałam bezradnie, nie wiedząc, co począć. Malachi wyglądał tak, jakby lada moment miał eksplodować, a ja nie umiałam rozbrajać bomb. Zapadło ciężkie milczenie.

Kiedy Henry wyjechał na autostradę, przypomniałam sobie o Tegan. Sięgnęłam po telefon, ale nie znalazłam go. Nie było też noża. Musiałam zgubić

jedno i drugie podczas ucieczki. Zebrałam się w sobie i dotknęłam ramienia Malachiego.

– Mogę pożyczyć twój telefon?

Podał mi aparat, unikając mojego spojrzenia. Udając Malachiego, napisałam do Tegan, że mnie znalazł, i zapytałam, czy Ian może odwiedzić ją do domu. Odpowiedź otrzymałam niemal natychmiast.

„Co z Lelą?!”

„Załatwiła coś” – odpisałam.

„Powiedz, że ma przesrane”.

Westchnęłam.

„Skoro muszę...”

Trąciłam Malachiego. Odebrał ode mnie telefon i schował do kieszeni, po czym wrócił do tarcia rąk. Krwi już nie było na nich widać, ale skórę miał podrażnioną do żywego. Siedziałam nieruchomo, obserwując własnego porucznika, którego tak bardzo pragnęłam... Który właśnie zabił dzieciaka. Niewinnego. Człowieka, któremu obiecałam ratunek.

Żal nabrzmiał mi w piersiach, miażdżąc serce, wypełniając płuca i blokując gardło. Czy Nick poszedł na Wieś? A może raczej w takie miejsce jak Oślepiające Miasto? Jim mówił, że tam właśnie szli uzależnieni. Ale przecież Nick był taki młody... Potrzebował wyrozumiałości i litości. Pragnęłam wierzyć, że właśnie to otrzyma, widziałam jednak zbyt dużo, by nie mieć wątpliwości. Budziło to we mnie taki żal, że aż chciało mi się krzyczeć, choć przecież znałam go zaledwie parę minut. Wystarczyło, bo przez ten czas zdążyłam trzymać go roztrzęsionego w ramionach, ujrzeć jego ból i ten nieśmiały, pełen nadziei uśmiech, który wrył się w moją pamięć.

To właśnie dla takich jak on pragnęłam pokonać Mazikiny. Porywały bezdomnych, dzieci żyjące na ulicach, ludzi, których nikt nie zauważał i o których nikt nie dbał. Wykorzystywali tych, którzy wycierpieli już tak wiele, skazywali ich na piekło.

– Henry, jak odwiedzisz nas do Strażnicy, wrócisz tu i będziesz obserwował dom. Dasz nam znać, jeśli będą próbowały się przenieść. Uderzymy wieczorem, ale masz rację, jeśli uznają, że odkryliśmy gniazdo, uciekną. – A biorąc pod uwagę dwa trupy w piwnicy, porzucony telefon oraz nóż, było to wielce prawdopodobne. Szczególnie jeśli ta Mazikinica opowie Silowi o naszym wcześniejszym pościgu i o tym, jak ten idiota Jim zapytał, czy jest Mazikinem. To oznaczało, że pewnie już wiedzą o Strażnikach ścigających ich w krainie żywych.

– Mogę iść z Henrym – odezwał się Malachi. Przestał już obsesyjnie trzeć rękę, ale teraz zaciskał je na kolanach tak mocno, że pobiegały mu knykcie.

– Nie, nie możesz – oświadczyłam i była to najłatwiejsza decyzja, jaką podjęłam tego dnia.

Malachi przymknął oczy. Żal wezbrał we mnie gwałtownie i już nie mogłam powstrzymać się przed dotknięciem go. Wiedziałam, że będziemy musieli przez to przejść, porozmawiać o tym, zrobić wszystko, by to się nie powtórzyło. Ale w ten chwili Malachi był zdruzgotany, a patrzenie na niego w tym stanie było dla mnie prawie tak samo bolesne jak śmierć Nicka. Przesunęłam palcami po jego czole, oferując mu tym gestem wsparcie, oferując mu siebie. Nie wsparcie dowódcy, tylko partnerki.

Henry zatrzymał się na podjeździe.

– Potrzebujecie chwili, zanim wyjadę? – zapytał, obserwując nas we wstecznym lusterku.

– Tak – odpowiedziałam, czekając, aż Malachi przytuli się do mnie tak, jak robił to czasami, kiedy potrzebował mojej bliskości.

– Nie – zaprzeczył Malachi. Otworzył gwałtownie drzwiczki i wyprysnął na zewnątrz, zostawiając mnie z zawieszoną w powietrzu ręką.

Przełknęłam z trudem.

– Masz wszystko, czego ci trzeba, Henry? Wiesz dokładnie, co masz robić?

Henry przytaknął, patrząc na mnie w lusterku.

– W porządku. Wobec tego widzimy się później. Uważaj na siebie.

Wysiadłam i powlokłam się do Strażnicy. Szłam powoli, bo każdy krok okupiony był przeszywającym bólem od kostki do kolana. Opierając się na poręcz, wdrapałam się na piętro, gdzie słychać już było szum prysznica. Kiedy podeszłam do łazienki, spod drzwi wydostawała się para. Wsparłam się czołem o ścianę i obserwowałam wirujący obłok. Malachi usiłował się oczyścić. Wiedziałam, przez co teraz przechodzi. Sama kilka razy próbowałam zrobić to samo. Może nawet więcej niż kilka razy. Znałam to uczucie, kiedy siedzi się pod strumieniem wrzątku, pragnąc, by to wystarczyło.

Zdawałam sobie też sprawę, że Malachi potrzebuje teraz czasu, więc ostrożnie zaczęłam schodzić na dół.

Na parterze natknęłam się na siedzącego w salonie Jima. Zupełnie jakby czekał, aż go tam znajdę. Miał podartą koszulę i był rozczochrany, ale wydawał się trzeźwy. Usiadłam na krześle, wsparłam się łokciami o kolana i zwiesiłam głowę. Byłam cała obolała.

– A więc postanowiłeś wrócić.

– Rafael mnie znalazł i przywiózł. Kazał mi pomyśleć, co chcę zrobić, a potem ci o tym powiedzieć.

– Co zrobić z czym?

– Ze sobą, dalej. Czy tu zostanę.

– I co postanowiłeś? – Podniosłam głowę.

Twarz Jima wykrzywił grymas cierpienia.

– Nie jestem... Nie jestem dobrym Strażnikiem.

No co ty powiesz?

– To dlaczego wobec tego zostałeś przydzielony do tego oddziału? – zapytałam, starając się unikać oskarżycielskiego tonu. – Schrzaniłeś coś? To ma być jakaś druga szansa?

– Bardziej ostatnia szansa – powiedział. Wstał gwałtownie i zaczął krążyć po pokoju.

– Nie rozumiem.

– Miałem wybór, tu albo Pustkowie – wymamrotał.

– Chcesz powiedzieć, że alternatywą przyłączenia się do tej jednostki było zesłanie na Pustkowie? – Zdumiałam się, pamiętając, co o tym miejscu mówił Henry. – Rany, chłopie, i ty w ogóle rozważasz odejście, mając taką perspektywę?

Jim skrzyżował ręce.

– Tak, bo zdałem sobie sprawę, że Henry miał rację. Polegacie na mnie, a ja... – Przygarbił się i odwrócił do mnie. – Nie jestem zbyt dobrym Strażnikiem, moi partnerzy giną.

Zajrzałam głęboko w jego niebieskie oczy i dostrzegłam w nich ból.

Poczucie winy.

Żal.

– Powiedz, co się stało.

Skrzywił się i przecząco pokręcił głową.

– Potraktuj to jak rozkaz.

Zamknął oczy.

– Nazywał się Bomani. Zginął przeze mnie. To dlatego tu jestem.

Czekałam, aż na mnie spojrzy.

– Może więc to jest twoja szansa na odkupienie.

– Nie zasługuję na tę szansę – wyrzucił z siebie gwałtownie. – Ty naprawdę nie rozumiesz. Bomani był bardzo dobrym Strażnikiem. Wspaniałym. I właśnie miał zostać wypuszczony na Wieś. Pozbył się wszelkich dóbr materialnych i żył tylko tym, co niezbędne, chlebem i wodą. W Oślepiającym Mieście, gdzie wszyscy są uzależnieni i chcą mieć wszystkiego więcej niż inni, gdzie każdy chce być tylko na haju, to właśnie oznaka, że jest się gotowym. Wiedzieliśmy, że Bomani niedługo odejdzie. A ja... Nienawidziłem go. Ciągłe wchodził mi w drogę, wiecznie próbował powstrzymać od wyjścia, od zdobycia tego, czego pragnąłem. – Znów zaczął krążyć nerwowo jak zwierzę w klatce. – Pewnej nocy miałem dość. Wykradłem się ze Strażnicy na spotkanie z dziewczyną. Okazało się, że była to pułapka. Myślałem, że będzie miała coś dla mnie, ale to ona i jej banda chcieli czegoś ode mnie. Grafiku i tras patroli Strażników. Chcieli nas zdejmować po jednym, chcieli swobody w robieniu swoich interesów. – Spuścił głowę i zaśmiał się gorzko. – Bomani był sprytny i to obróciło się przeciw niemu. Śledził mnie do mieszkania, w którym miałem spotkanie, i usiłował mnie stamtąd wydostać. Ale ja

się bałem. Wiedziałem, że zgłosi to dowódca, a ten mnie ukarze. Że zostanę zamknięty w Celi Ciszy, maleńkim, całkiem pustym pomieszczeniu, gdzie będę musiał być sam... ze sobą. – Wzdrygnął się, a ja nagle pojęłam, skąd ten jego histeryczny lęk na wspomnienie o zamknięciu w areszcie.

Zakrył twarz dłońmi.

– To nie powinno mieć dla mnie takiego znaczenia. Zresztą i tak zasłużyłem na karę. Ale myślałem tak egoistycznie... Kiedy rzucili się na Bomaniego... – Urwał, opuścił rękę i spojrzał mi w oczy. – Pozwoliłem im go zabić. To dlatego tu jestem, Kapitanie. – Otarł oczy rękawem. – Zadowolona?

Wpatrywałam się w niego, przeczuwając, że teraz wszystko zależy od mojej reakcji na tę straszną opowieść. Stał z założonymi rękami, podczas gdy ginął inny Strażnik. Na samą myśl o tym robiło mi się niedobrze. Ale pamiętałam też, co Malachi powiedział o Henrym, jak ważne jest wybaczenie przeszłości i zaufanie. A do tego to cierpienie przebijające się w głosie Jima... Musiałam chociaż spróbować.

– Posłuchaj, Jim. Teraz musisz powiedzieć mi prawdę, nie to, co uważasz, że chciałabym usłyszeć, ale prawdę, dobrze?

Łypnął na mnie nieufnie.

– Jeśli teraz mógłbyś tam wrócić, do tej sytuacji, wiedząc, że czeka cię kara...

– Nawet bym się nie zastanawiał – szepnął. – Co noc, codziennie przeżywam to na nowo. Gdybym ich powstrzymał... Sam dałbym się zabić, gdyby to miało coś zmienić.

– Więc przyjmij tę szansę, Jim. Nie pij. Słuchaj rozkazów. Pomóż nam ocalić ludzi. Nie bez powodu zostałeś przydzielony do tej misji. Muszę w to wierzyć. Nie przypuszczam, żeby Sędzia podejmowała decyzje ot, tak sobie. I to z pewnością nie jest wyjątek. A to oznacza, że cię potrzebujemy, że bez ciebie nam się nie uda.

Nie odwrócił wzroku, wprost przeciwnie, spoglądał na mnie desperacko.

– Ale co, jeśli...

– Wszyscy popełniamy błędy. Czasami bardzo poważne – powiedziałam, wsłuchując się w odgłosy na górze. Szum prysznic ustął. – Ale to nie znaczy, że możemy wykorzystywać te błędy jako wymówki. Coś takiego tylko pogarsza sprawę. Jeśli naprawdę chcesz upamiętnić Bomaniego, powinieneś podjąć to wyzwanie. Jeśli jednak jego śmierć nic dla ciebie nie znaczy, odejdź na Pustkowie. Twój wybór.

Opadł na kanapę, jakby nie miał już siły stać.

– Naprawdę chcesz, żebym został?

– Szczerze? Nie wiem. Wczoraj mogłeś wpakować nas w poważne kłopoty. I jestem prawie pewna, że zaalarmowałeś Mazikiny o naszej obecności tutaj. Ale,

jak powiedziałam, muszę wierzyć, że twój pobyt tu ma głębszy cel. W innym razie Sędzia odesłałaby cię prosto na Pustkowie, prawda? Po co inaczej dawałaby ci w ogóle wybór?

Jim zmarszczył czoło.

Na górze trzasnęły drzwi. Westchnęłam.

– Jeśli chcesz z nami pracować, dam ci szansę. Ale nie zdziw się, że będę trzymała cię krótko. Daj mi znać, co postanowisz. Teraz muszę iść na górę i porozmawiać z porucznikiem.

Mogłabym przysiąc, że kiedy kuśtykałam w stronę korytarza, usłyszałam szept Jima:

– Dziękuję.

DZIESIĄTY

Wspinając się po schodach, powtarzałam sobie w myślach przemowę, bardzo podobną do tej, którą właśnie zafundowałam Jimowi. Liczyłam, że i tym razem pomoże. I to nie tylko Malachiemu, ale i mnie. Dzięki rozmowie z Jimem zrozumiałam, na czym muszę się skoncentrować. Czyn Malachiego był potworny i tragiczny. Nic takiego nie mogło się już wydarzyć. Aby jednak tak się stało, musieliśmy wszystko dokładnie planować i ćwiczyć.

Ale... przecież to był tragiczny, ale wypadek. Malachi pojawił się nagle, bez rozeznania sytuacji i w ferworze walki popełnił błąd. Mogło się to przytrafić każdemu z nas. Chciałam, żeby to zrozumiał. Drzwi do dwóch pokoi na piętrze stały otworem. W jednym panował straszny bałagan, w drugim nieskazitelny porządek. Prawdopodobnie ten pierwszy należał do Jima, a drugi do Henry'ego. Trzecie drzwi były zamknięte. Podeszłam do nich i zapukałam.

– Nie teraz – zawołał Malachi.

– To ja.

Milczenie. Trwało chyba z minutę. Wystarczająco długo, żeby serce zaczęło mi bić mocniej.

– Wejdz. – Nareszcie.

Otworzyłam. Siedział przy biurku. Po prysznicu przebrał się w spodnie dresowe i T-shirt. Miał wilgotne włosy, jakby tylko lekko wytarł je ręcznikiem. Nadal był blady. Dłonie miał czerwone, a wokół ust pojawiły się głębokie zmarszczki, jakby w ciągu ostatniej godziny postarzał się o kilka lat.

– Powinnaś wezwać Rafaela, żeby cię uzdrowił – odezwał się. – Ten siniak wygląda paskudnie i mocno kulejesz.

– To może poczekać. Najpierw chciałam porozmawiać z tobą.

Skrzywił się i odwrócił wzrok.

– Malachi! – Wyciągnęłam do niego rękę. – Wiem, jak okropnie się czujesz...

– Nie masz pojęcia jak – przerwał mi ostro, wstając z krzesła. – Nie masz bladego pojęcia.

– Dobrze, ale mogę sobie to wyobrazić. I przecież widzę.

Zadrgały mu nozdrza, kiedy wypuszczał powietrze.

– To się już nigdy nie zdarzy. Przysięgam.

Prawie dotknęłam jego palców, ale cofnął ręce, założył je na kark i wpatrywał się w moją dłoń, jakby była jadowitym wężem. Odchrząknęłam.

– Wiem, że nie chcesz, by to się powtórzyło, ale wobec tego musimy porozmawiać, jak temu zapobiec...

– Wiem, jak to zrobić – wszedł mi w słowo.

– Naprawdę? To, to dobrze. – Nastawiałam się na gadkę motywacyjną, ale

najwyraźniej sam sobie z tym poradził. – A możesz mi powiedzieć, jaki masz plan?

Spojrzał mi w oczy i opuścił ręce.

– Nie mam wyjścia. – Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, a potem przygarbił się, jakby ruszał na wroga. – Nie mogę tak dalej, Lela. Myślałem, że dam radę, ale przemawiały przede mną arogancja i głupota.

Potrzebowałam kilku sekund, żeby przetrwać jego słowa, a kiedy dotarł do mnie ich sens, aż otworzyłam usta ze zdumienia.

– Jezu, Malachi! Chcesz zrezygnować?! Jim właśnie się zastanawia, czy nie odejdzie. Nie możesz tego zrobić. Bez ciebie nie mamy szans.

W jego oczach dostrzegłam ból, ale zniknął szybko.

– Nie o to mi chodziło. Nie zamierzam zrezygnować. Nie zrobiłbym tego nawet wtedy, gdybym mógł. Wiem, że mnie potrzebujesz.

– Naturalnie. – Odetchnęłam i zrobiłam ku niemu niezdarny krok na bolącej nodze. Tak bardzo potrzebowałam jego bliskości, tak bardzo pragnęłam, by wziął mnie w ramiona. – Wystraszyłeś mnie.

Złapał mnie za przeguby rąk, zanim zdążyłam go dotknąć.

– Nie mogę dalej z *tym*.

Serce zaczęło mi bić szybciej. Stałam z wyciągniętymi rękami, które przytrzymał.

– Z czym...? – wykrztusiłam przez ściśnięte gardło.

– Skoro jestem twoim porucznikiem, powinienem być tylko nim i nikim więcej. Nie możemy się w ten sposób dotykać. – Wbił wzrok w podłogę. – I nie możesz na mnie tak patrzeć.

– Ale przecież mówiłeś... U Sędzi, mówiłeś, że... – Mówił, że mnie kocha.

Powiedział to. Słyszałam. Ten moment wrył mi się w pamięć w każdym najdrobniejszym szczególe.

Zamknął oczy.

– Mimo to między nami koniec. Przez to nie mogę wykonywać swoich obowiązków. To, co stało się dzisiaj, jest tego najlepszym dowodem. Tak bardzo bałam się, że coś ci się stanie, że zabiłem bezbronного chłopca. Człowieka, który potrzebował mojej pomocy. Człowieka, którego usiłowałam uratować.

– Każdy mógł popełnić taki błąd – protestowałam łamiącym się głosem. – Miałaś ułamek sekundy na ocenę sytuacji.

– Jestem Strażnikiem już od siedemdziesięciu lat i jeszcze nigdy nie popełniłem takiego błędu. – Otworzył oczy, a ja ujrzałam w nich odbicie siebie samej, zrozpaczonej, zdesperowanej. – A nawet gdyby, to tutaj jest inaczej. Jesteśmy w krainie żywych. Ten chłopak był niewinny, a ja pozbawiłem go życia. – Puścił mnie i zrobił wielki krok w tył. – A wszystko przez moje uczucia do ciebie.

Stałam jak idiotka, z uniesionymi ramionami, z niezaspokojonym

pragnieniem kontaktu z jego ciałem, z nim.

– Wiem, że trzeba czasu, by odnaleźć się w nowym miejscu. Ale nie chodzi o mnie, nie chodzi o nas. – Zdawałam sobie sprawę, jak żałośnie brzmią moje słowa, ale było mi to obojętne. – Proszę, porozmawiajmy o tym.

– Nie zmienię decyzji.

Zrobiłam ku niemu krok. Cofnął się.

– Obwiniasz mnie o to.

– Nie. Ponoszę wyłączną odpowiedzialność za to, co się stało. Ana ostrzegала mnie, że ze względu na ciebie zaczynam popełniać błędy, a ja zignorowałam jej słowa. Ale teraz widzę, że miała rację. Jestem o tym całkowicie przekonany.

Czułam się, jakby cisnął we mnie głazem. Omal nie zgięłam się w pół z bólu.

– Co?! – Zamrugalam, żeby odpędzić łzy. – Przecież mówiłeś, że postępujesz właściwie...

– Myślałem, że jestem gotowy na opuszczenie Mrocznego Miasta – przerwał mi ostro. – A potem pojawiłaś się ty. Byłem głupi, uwierzyłem, że to przeznaczenie, że to nagroda za te wszystkie lata służby. Dlatego odpuściłem wszystko inne, myślałem, że już tego nie potrzebuję. I pozwoliłem, żeby kierowały mną emocje. – Zaśmiał się gorzko i przesunął ręką po włosach. – Przez chwilę wydawało mi się nawet, że możemy być razem, że pójdziemy na Wieś. A gdy przysłano nas tutaj, nadal wmawiałem sobie, że możemy być razem, nadal kurczowo trzymałem się marzeń o przyszłości. – Zwiesił głowę, ukrywając przede mną twarz. – Byłem takim głupcem.

– Nie, nie. Nie jesteśmy żadną pomyłką – zaprzeczyłam łamiącym się głosem. – To, co jest między nami, jest dobre. Przejdziemy przez to, rozwiążemy problemy. Możemy walczyć o tę przeszłość. Nie musimy...

– Przestań – powiedział, podkreślając słowa gestem. – Proszę cię, przestań.

– Ale przecież mnie kochasz – wyjąkałam. – Nie możesz tak po prostu przestać.

– Mogę – rzekł cicho. – Muszę. To, co stało się dzisiaj, to zbyt wiele.

– I mógłbyś tak po prostu odpuścić? Ot tak... – Przed oczami zawirowały mi plamy i iskry, kiedy uderzyła mnie prawda tego, co powiedziałam. Właśnie tak. Po prostu. I czemu miałabym się temu dziwić? W końcu to nie pierwszy raz. Tylko ja zapomniałam na chwilę, jak niewiele znaczę. Nogi ugięły się pode mną, musiałam oprzeć się o biurko. – W porządku, rozumiem.

– Chyba jednak nie – szepnął tak cicho, że ledwie go usłyszałam.

– Proszę?

Potrząsnął głową, jakby chciał oczyścić umysł.

– Nie chodzi o ciebie. Chodzi o mnie, o naszą misję. Jestem za bardzo skupiony na tobie i to wpływa na moje działania. Popełniam błędy. Nie mogę być

tym, kogo potrzebujesz, skoro bez przerwy myślę...

– Postaram się – obiecałam błagalnie, nie chcąc zaakceptować faktów, bo były zbyt bolesne. – Nie będę już wchodziła do akcji sama. Nie będę...

– Proszę, uszanuj moją decyzję. – Skrzyżował ręce na piersiach. Knykcie zaciśniętych na ramionach palców pojaśniały. – Od teraz nasze stosunki będą się ograniczały do płaszczyzny zawodowej. Jako dowódca możesz liczyć na moją lojalność i wsparcie. Będę wykonywał twoje rozkazy, jakie by nie były. – Zacisnął usta i przełknął głośno. – Ale nie będę dla ciebie nikim więcej.

Nigdy nie wypowiedziano większego kłamstwa. Zebrałam się w sobie, nie chciałam być znów żalosna. Sięgnęłam do najgłębszych pokładów dumy, pragnąc otoczyć się nią jak zbroją. Usłyszałam własny głos, który dochodził jakby gdzieś z zewnątrz.

– Oczywiście, uszanuję twoją decyzję.

Zachwiał się lekko, ale szybko się opanował.

– Dziękuję – mruknął. – A teraz, jeśli wybaczysz, chciałbym pobyć sam.

– Oczywiście. – Okręciłam się na pięcie i wybiegłam, czując, jak moja zbroja roztapia się, odsłaniając żal i mętlik w miejscu, gdzie niegdyś biło moje serce. Oślepiąca łzami, obolała, półprzytomna, rozpaczliwie chciałam znaleźć się w miejscu, gdzie mogłabym krzyczeć i płakać w samotności. Za bardzo się jednak spieszyłam. Noga zawiodła mnie w połowie schodów. Potknęłam się i poleciałam w dół, wiedząc, co mnie czeka. Ale nie uderzyłam o ziemię. Ktoś złapał mnie i pomógł odzyskać równowagę.

– Masz dzisiaj dzień katastrof schodowych – zauważył podtrzymujący mnie Rafael.

– Skąd...? Zresztą, nieważne.

– Chodź do salonu, Lela. Musisz odetchnąć.

Nie protestowałam, kiedy mnie objął. Bałam się, że bez jego wsparcia mogłabym upaść. Bolało mnie kolano, bolała mnie głowa i bolało mnie złamane serce. Rafael podprowadził mnie do kanapy. Opadłam na nią, wzięłam poduszkę i przycisnęłam ją do siebie. Potrzebowałam czegoś się uchwycić, przytrzymać, żeby się nie załamać.

Rafael przykucnął przede mną. Miał na sobie zwykłe spodnie i zwykłą koszulę. Strój, dzięki któremu łatwo się go zapominało... Podobnie jak mnie, najwyraźniej.

– Nie będę pytał, gdzie boli – powiedział łagodnie.

– To był koszmarny dzień. – W duszy modliłam się, żeby nie kazał mi o nim opowiadać.

Spojrzał na schody, a potem na mnie.

– W tym domu jest tyle cierpienia.

Widząc cień smutku na jego twarzy, wpadłam na pewien pomysł.

– Możesz... Możesz temu ulżyć? Tak jak robisz to z innym bólem? – Na szalejącym w mojej duszy oceanie rozpaczony pojawiła się bańka nadziei. – Mógłbyś... Jakoś to wymazać, uspić nas, żebyśmy niczego nie pamiętali po przebudzeniu. Możesz? Bo... – Uderzona falą wspomnień z ostatnich kilku chwil, prawie straciłam głos. – Bo nie wiem, czy dam radę... – Spuściłam głowę, żeby nie widział łez, które popłynęły mi z oczu. – Przykro mi, naprawdę. Ale nie dam rady.

Ujął mnie palcami pod brodę.

– Oczywiście, że dasz.

– Znajdź kogoś innego. Oddaj dowództwo Henry'emu. Błagam.

Jego uśmiech nieomal mnie oślepił.

– Ta rozmowa zadziwiająco przypomina tę, którą nie tak dawno prowadziłaś z Jimem, nie uważasz?

– Nie mam siły myśleć jeszcze o tym, że przecież słuchasz każdego mojego słowa – warknęłam.

Ponieważ nie przestawał się uśmiechać, odwróciłam się do okna. Wreszcie mnie puścił.

– Jesteś na tyle bystra, Lela, żeby dostrzec podobieństwo. Jim również wątpił, czy podoła temu zadaniu, a ty powiedziałaś, że musi wziąć za nie odpowiedzialność. Malachi mierzy się teraz ze swoim największym lękiem. Jest ofiarą, był świadkiem rzezi swoich krajan, swojej rodziny, całkiem niewinnych ludzi, a teraz sam jest odpowiedzialny za śmierć niewinnego dziecka. A mimo to jest zdeterminowany, by robić swoje.

Odchyliłam się na oparcie. Miałam ochotę wrzasnąć Rafaelowi w twarz. Jasne. Malachi jest taki zdeterminowany, że kiedy mu przeszkodziłam, odepchnął mnie bez wahania, z całym spokojem łamiąc mi serce.

– Tak, jego oddanie jest godne podziwu. – I było, naprawdę. Tyle że ten ból był ponad moje możliwości.

– Twoje również, Lela. – Wyciągnął z kieszeni telefon, identyczny jak mój. – Pomyślałam, że ci się przyda. A jeśli dasz mi kluczyki, ja i Henry przyprowadzimy ci samochód.

– To moja komórka? – zapytałam, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu kluczyków. – Zabrałeś ją z gniazda Mazikinów?

Pokręcił przecząco głową.

– Nie, ale wiedziałem, że będziesz potrzebowała nowego.

Telefon zawibrował. Wzięłam aparat od Rafaela. Na ekranie nowego telefonu wyświetliła się wiadomość od Henry'ego.

„Podpalili gniazdo wszędzie gliny masa ludzi nie wiem za kim iść”.

– Niech to szlag! – krzyknęłam i znów musiałam spojrzeć na wibrujący aparat.

„Rozkazy?”

„Wracaj”, odpisałam, a potem rzuciłam telefon na ławę.

– Może jednak przemyślisz kwestię mojego dowodzenia? – warknęłam. – Bo jak na razie wszystko, co robię, się sypie.

– Wobec tego musisz się bardziej postarać. – Rafael się zaśmiał.

W ostatniej chwili ugryzłam się w język, żeby nie kazać mu się odpieprzyć. Najwyraźniej rozbawiło go to jeszcze bardziej, bo poklepał mnie po kolanie. Cofnął jednak rękę, kiedy jęknęłam.

– Albo raczej postarać się o nieśmiertelność dla wszystkich – prychnęłam, trzymając się za spuchnięte do granic możliwości kolano. – Skoro każecie nam walczyć z Mazikinami, to czemu nie daliście nam supermocy? Albo czemu sami z nimi nie walczyacie?

Rafael spoważniał.

– Sędzia nie ma władzy nad Mazikinami. Tak jest już od tysięcy lat. Nie może się bezpośrednio angażować w sprawy z nimi związane. A ja w tej sprawie jestem związany przysięgą Sędziego.

– Czekaj, zaraz. Sędzia obiecała Mazikinom, że nie będziesz...?

– Pamiętaj, tylko to, czego potrzebujesz – przypomniał ostrzegawczo.

Przygryzłam wargi, zastanawiając się, co potrzebowałabym wiedzieć.

– To nie pierwsza ich ucieczka, prawda? Ana mi o tym mówiła.

Rafael usiadł na podłodze.

– Owszem.

– I powstrzymali je ludzie-Strażnicy.

– Tak.

– A więc jesteśmy w stanie to zrobić, prawda? Możemy zwyciężyć?

– Nie umiem przewidywać przyszłości. Nie posiadam takiego talentu.

Przyglądałam mu się bacznie, poszukując wskazówek.

– Teraz są silniejsze, tak?

Skinął potakująco.

Przełknęłam metaliczny posmak strachu.

– Podsumowując, dowodzę akcją mającą na celu powstrzymanie złych demonów gotowych zabić, kto wie ilu niewinnych ludzi, a jeśli nie uda mi się tego zrobić szybko, rozplenią się i staną niepokonane.

Uśmiechnął się znowu, tym razem jednak zdecydowanie upiornie.

– Cieszę się, że rozumiesz.

– Wiesz, byłoby chyba lepiej, gdybyś mnie uspił – powiedziałam łamiącym się głosem. – Mówiłeś, że nie będziesz pytał, gdzie mnie boli, ale i tak ci powiem. Wszędzie. Nie tylko w kolanie, nie tylko głowa. Nie chcę tych uczuć. To dla mnie zbyt wiele.

Nawet nie wysilił się na współczucie.

– To rany wyniesione z innej bitwy, Lela. W tym bólu nie potrafię ci ulżyć.

Zresztą to i tak nie byłoby dla ciebie dobre.

Położyłam się na kanapie.

– No to lepiej mnie posklejaj, jeśli mam znów wyjść i walczyć. – Nie żeby mi było spieszno do wychodzenia. Teraz najbardziej potrzebowałam spokoju, który towarzyszył uzdrawiającym zabiegom Rafaela. Pragnęłam, żeby choć na chwilę świat się ode mnie odchrzanił.

– To mogę zrobić – mruknął Rafael i w następnej chwili pogrążyłam się w głębokim śnie.

JEDENASTY

Obudziwszy się w poniedziałkowy poranek, po raz pierwszy ucieszyłam się, że muszę iść do szkoły. Weekend upłynął mi na bezowocnych patrolach, a w przerwach na wyplakiwaniu się w poduszkę, żeby Diana nie usłyszała mojego łkania. Jim postanowił zostać i jak na razie trzymał się rozkazów. Podobnie jak Malachi. On zresztą wykonywał je perfekcyjnie, jak to on. Na chłodno, co bolało bardziej, niż mogły to wyrazić słowa. Strażacy odkryli dwa ciała w gnieździe Mazikinów. Były tak spalone, że nie dało się rozpoznać ofiar. Policja prowadziła w tej sprawie śledztwo. Podejrzewała, że dom był meliną narkomanów. Mylili się. Przeczesałiśmy okolicę, ale bez efektu. Znaleźliśmy się znów w punkcie wyjścia.

Potrzebowałam zająć czymś myśli. No i trochę się przespać.

Przypomniałam sobie, że w poniedziałek mam dwie lekcje z Malachim. Dobrze, że Henry miał go podwozić do szkoły, bo nie wiedziałam, czy dałabym radę siedzieć z nim w jednym samochodzie. Obawiałam się, że te słabiutki szwy, dzięki którym ledwie się trzymałam, mogłyby pęknąć, gdybym znalazła się tak blisko niego.

Kiedy wjeżdżałam na szkolny parking, oślepiło mnie jaskrawe poranne słońce odbijające się od latarni, okien i szyb nielicznych samochodów. Wysiadłam z wozu z bijącym sercem, żałując, że zgodziłam się na spotkanie z...

Tegan zaparkowała obok, po czym wysiadła z dwoma kubkami kawy.

– Nie wiedziałam, jaką pijesz, więc wzięłam czarną – powiedziała, podając mi jeden.

Wzięłam kubek w obie dłonie i przez chwilę rozkoszowałam się jego ciepłem, łagodzącym chłód rzeńskiego poranka.

– Dzięki.

– Wolisz zostać tu czy wsiądziemy do mojego samochodu?

Nie uśmiechało mi się przebywanie z Tegan na tak małej przestrzeni, ale na widok szarego sedana prowadzonego przez Henry'ego po prostu wskoczyłam do małego BMW.

– No dobrze – powiedziała, sadowiąc się za kierownicą. – Jak ci minęła reszta weekendu?

Pociągnęłam łyk kawy, parząc sobie gardło.

– Spoko. Ale chyba nie spotkałaś się ze mną, żeby poplotkować o weekendzie?

Zamrugnęła zaskoczona.

– O razu do rzeczy, co? Żadnego kitu, co?

– Nigdy nie miałam na to czasu. – Ani potrzeby oszczędzania jej uczuć.

– No, skoro tak... Ten fiolet z twojej bluzki pasuje do podków pod oczami – zauważyła.

– Ty też nie wciskasz kitu. Mało spałam.

– Przez Nadię?

– Nie.

Tęsknota za Nadią towarzyszyła mi bez przerwy, a szczególnie dokuczała w takich momentach jak ten, bo Tegan usiłowała się zbliżyć, a nie mogła zastąpić mi przyjaciółki, która odeszła. Ale przecież nie to nie pozwalało mi zasnąć.

Tegan zmierzyła mnie twardym spojrzeniem.

– Wszystko dobrze, Lela? Bo myślałam, że tak, ale w sumie... Co się stało w sobotę?

Zamknęłam oczy. Byłam zbyt załamana, żeby wymyślić jakąś przyzwoitą historyjkę.

– Ten... zapach z kuchni był tak koszmarny, że zrobiło mi się niedobrze. Wyszłam, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Zostałam napadnięta. Jakiś facet się przyczepił. Nie miałam portfela, więc... Pobił mnie i zostawił.

Oczy Tegan zrobiły się jak spodki i załśniły słusznym gniewem.

– Zostałaś pobita?! Wysłałaś mi esa, żeby Malachi odebrał, i nawet o tym nie wspomniałaś?! – Stuknęła drobną pięścią w kierownicę, uruchamiając klakson. – To któryś z tych bezdomnych? Rozpoznałabyś go?

Potarłam skronie. Głowa mi pękała.

– Spokojnie, Tegan. Nie... Nic mi nie jest. Zostawmy to. Nic mi się nie stało. Nie powinnam się tam kręcić sama. Mam nauczkę.

Poruszyła się nerwowo i zastukała paznokciami o kierownicę.

– Nie wdałaś się... w coś nielegalnego, prawda?

Potrzasnęłam głową, ale nie potrafiłam spojrzeć jej w twarz.

– Nie ćpasz czy coś takiego, no nie? – wyszeptwała.

– Co?! Zgłupiałaś?! Nadia w ogóle nic ci o mnie nie mówiła?

Skuliła się, wciągając głowę w ramiona.

– No dobra, przepraszam. – Była blada jak ściana. Wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć. – Nadia mówiła, że jesteś przeciwna narkotykom, że są głupie i w ogóle, ale pomyślałam, że może po jej śmierci... No wiesz... Nieważne. – Przygryzła wargę. – Byłam wczoraj na jej grobie.

Wcisnęłam się w oparcie. Ja byłam tam ostatnio podczas pogrzebu. Pewnie zabrzmiałoby to fatalnie dla kogoś, kto nie wiedział, przez co przesłam, żeby pomóc Nadii.

– Nienawidziłam cię! – Tegan wyrzuciła nagle z siebie te słowa i zrobiła minę, jakby ją także zaskoczyły – Nadal cię nienawidzę. Trochę.

Po raz kolejny przeklełam w duchu terapeutę, który kazał jej ze mną nawiązać relację. Pochyliłam się, a przez głowę przemknęły mi wszystkie obelgi, jakie pojawiały się tam przez cały ten rok.

– Przyniosłaś mi kawę, żeby to właśnie mi powiedzieć? Nic nigdy ci nie

zrobiłam. Poza tym, że ja ciebie też nienawidzę, ale ja mam powód, bo zachowywałaś się wobec mnie jak ostatnia suka.

– Wiem.

– Czemu? Bo nie mam kasy? Bo nie mam takiej rodziny, domu jak ty?

Popatrzyła na mnie ze zgrozą.

– No coś ty! Nie o to chodziło. – Trzęsącą się ręką odstawiła kawę, wzięła serwetkę i zaczęła się nią bawić, mamrocząc coś niezrozumiale.

– No? Dawaj! – warknęłam. – Skoro mamy to zrobić, to do dzieła. Gadaj.

– Bo byłaś dla niej dobra! – krzyknęła.

Zacisnęłam palce na kubku tak mocno, że aż odskoczyła pokrywka. To Nadia była dobra dla mnie.

– Ty też na pewno byłaś dla niej dobra.

Prychnęła drwiąco.

– Nie wciskaj mi tu kitu. Myślałam, że ci na to szkoda czasu. A tu proszę, córka szklarza.

Wzruszyłam ramionami.

– Przecież przyjaźniłyście się znacznie dłużej niż my.

Rozdarła serwetkę na pół.

– Niby tak. Ja też myślałam, że jestem dobrą przyjaciółką. Nigdy nie odmawiałam, gdy mnie o coś prosiła.

Pociągnęłam łyk kawy, mimo że smakowała jak smoła z popiołem. Przełknęłam ją z wysiłkiem.

– Trudno jej było odmówić.

– Ale ty to zrobiłaś. – Drżącymi palcami skubała serwetkę. – To ja dałam jej te pigułki – wydusiła wreszcie. – I to nie pierwszy raz. Mówiła, że chce się rozluźnić, a tacie zostało oxy po operacji sprzed roku. Nie przypuszczałam, że weźmie je wszystkie... Wiem, to straszne.

Zagapiłam się na nią. Wiedziałam, że oczekuje pocieszenia, słów, że wszystko jest w porządku. Ale nic nie było w porządku. Pigułki. Nadia miała z nimi problem, jeszcze zanim się poznałyśmy, i one właśnie ją zabiły. Do cholery, nawet po śmierci ciągle ich szukała. Odstawiłam kubek i zaparłam się rękami o kolana.

– Nie mów mi tego, Tegan. Po prostu nie mów.

Pociągnęła nosem i wyjęła z torebki chusteczkę.

– Odpiernicz się.

Nagle uderzył mnie absurd tej sytuacji: ja i Tegan razem, w samochodzie, przeklinające na siebie. Zaczęłam się śmiać.

– Wzajemnie – prychnęłam i na dodatek pokazałam jej środkowy palec.

Przyjęła moją pokręconą ofertę pokoju. Także uniosła wymanicuirowany palec i do tego wystawiła język. Obie potrzebowałyśmy zejść z tego gorącego

tematu. Żadna z nas nie chciała pozostać na tym tak niebezpiecznym gruncie, więc wykorzystaliśmy głupie zachowanie, bo to akurat miałyśmy na podorędziu.

Przez chwilę w milczeniu obserwowałyśmy Malachiego, który powoli szedł chodnikiem w stronę szklano-ceglanej fasady szkoły.

– Laney ma ochotę odbić ci chłopaka – odezwała się Tegan. – Tak tylko mówię, żebyś wiedziała.

Zanim jednak zdążyłam odpowiedzieć, Malachi spojrzał na parking i jego wzrok wyraźnie padł na mój samochód. Zjechałam niżej na siedzeniu, modląc się, żeby nie popatrzył na stojące obok czarne BMW albo żeby słońce go oślepiło.

– Łooo. Rosyjskie ciacho jakby trochę zmarniało – skomentowała Tegan. – Wygląda prawie tak kiepsko jak ty.

Skuliłam się w fotelu.

– Nie jest Rosjaninem. I owszem, nie ma się najlepiej. I nie chcę o tym gadać.

Odchyliła się na oparcie i też zjechała, tak że nasze głowy się zrównały. Kuksnęła mnie łokciem.

– Nie ma sprawy. Ale w razie czego jestem. Jeśli chciałabyś jednak pogadać.

– Powaga? Chcesz gadać o moich problemach sercowych?

– Hmm. Nie bardzo. – Znow pokazała mi palec.

Szturchnęłam ją w plecy na tyle mocno, że się skrzywiła.

– No, tak lepiej. Idziemy?

– Uhm. Pewnie będzie dzisiaj trochę nefajnie z Adenem, ale dam radę.

– Współczuję.

Wysiadłyśmy. Parking był już pełen samochodów i uczniów. Grupka baseballistów skupiła się wokół wiśniowego SUV-a Iana. Prowadzili ożywioną konwersację, Greg gestykułował, zamasyście wywijając trzymanym w rękę iPhonem. No proszę, a nie żadnym badziewiem z klapką. Najwyraźniej starał się pochwalić całemu światu. Ian udawał, że słucha go z zainteresowaniem, ale popatrywał to na mnie, to na Tegan.

– Martwił się o ciebie w sobotę – rzuciła Tegan i pomachała do niego.

Odwróciłam wzrok, kiedy Ian popatrzył na mnie.

– Fajnie, że się pojawił. Rozmawiałaś z Adenem po jego niepojawieniu się?

Prychnęła z irytacją i spiorunowała wzrokiem bogu ducha winnych kumpli Adena.

– Uhm. Owszem. Wpadł w sobotę wieczór i chciał mnie wyciągnąć na miasto. Zachowywał się dziwnie, tak mocno naciskał, że tata postraszył go nawet policją. Potem wspomniał też o zakazie zbliżania się do mnie. Czekał. – Wyłowiła z torebki dzwoniący telefon.

– Niech go sczyści. Czwarty raz już do mnie dzisiaj dzwoni. – Przyłożyła aparat do ucha. – Mówiłam, żebyś usunął mój numer – syknęła. – Nie... Co?! A po

co chcesz z nią rozmawiać? – Popatrzyła na mnie zdziwiona, potem jej oczy rozszerzyły się nagle, odwróciła się w stronę budynku szkoły i zadarła głowę. – Co ty tam, do cholery, robisz?! – zapisała. – Co? Nie... Co?! Nie, czekaj, już, masz, daję ci ją!

Oślupiałam, kiedy wepchnęła mi do ręki telefon.

– Powiedział, że chce z tobą rozmawiać, a jeśli nie przekażę ci słuchawki, to skoczy – powiedziała roztrzęsiona.

Przyłożyłam telefon do ucha, zbyt oszołomiona, żeby zrobić cokolwiek innego. Wokół narastało zamieszanie, początkowo rozlegały się śmiechy, ale szybko zastąpiły je okrzyki zaniepokojenia i nerwowe poruszenie. Aden Matthews stał na dachu trzypiętrowego budynku, dokładnie nad wejściem, z wysuniętą w bok jedną ręką i telefonem w drugiej.

– Tak? – odezwałam się, mając wrażenie, że świat nagle przechylił się ostro, spuszczać mój poranek prosto do wariatkowa. – Aden?

– Lela – usłyszałam. – Lela.

Głos Adena był rozedrgany. Może chłopak był na haju?

– Cześć, Aden. Co ty tam robisz? Przecież zaraz dzwonek... – To było idiotyczne, ale co miałam powiedzieć? Nigdy wcześniej nie rozmawiałam z nikim stojącym na dachu.

Zachichotał.

– Lela. Lela i Malachi.

Wpatrywałam się w niewielką postać stojącą na dachu, widziałam czubki butów wystające poza krawędź.

Miałam nadzieję, że ktoś wezwał już ochronę. Rozejrzałam się wokół. Ian gapił się na przyjaciela, przyciskając do ucha komórkę.

– Uhm. Tak – powiedziałam. – Zejdz, Malachi na pewno z wami wyjdzie, jak...

– Kapitan Malachi. Przekaż mu pozdrowienia od Ibrama.

Z popękanego asfaltu pod moimi stopami wychynęły lodowate palce grozy i złapały mnie za nogi, przytrzymując w miejscu.

– Co powiedziałeś?

– Wiemy, że tu jesteście.

Wybuchnął niskim, szyderczym śmiechem. Zaskoczona oderwałam telefon od ucha.

Usłyszałam w słuchawce krzyk. Aden odwrócił się, żeby na kogoś popatrzeć. Na chwilę rozłożył ramiona, ale zaraz znów przytknął słuchawkę do ucha.

– Sił wie, że tu jesteście. Wie, kim są wasi przyjaciele. Wkrótce go zobaczycie.

A potem ciało, które niegdyś należało do Adena, uczyniło krok naprzód i runęło na betonowy chodnik liceum w Warwick.

DWUNASTY

Wszyscy krzyczeli. W szeroko otwartych ustach wibrowały języki, w wykrzywionych ze zgrozy twarzach błyskały białka oczu.

Ale w mojej głowie panowała cisza, zupełnie jakbym miała na niej hełm ze szkła dźwiękochłonnego.

Skoczyłam naprzód, zanim uderzył o ziemię.

Nie dlatego, że chciałam go ratować. Na to było za późno.

Chciałam przesłuchać Mazikina, który zajął ciało Adena.

Kiedy jednak usłyszałam łupnięcie, chrzęst i plaskot, wiedziałam, że istota, która przejęła jego ciało, nie będzie w stanie odpowiedzieć na moje pytania. Ze świstem wypuściłam powietrze z płuc. Serce mi podskoczyło i zaczęło bić jak oszalałe.

Wreszcie dotarły do mnie dźwięki, ponad które wybijał się jeden – rozpaczliwe, zwierzęce wycie. Odwróciłam się, przekonana, że na parkingu znajduje się jeszcze jeden Mazikin. Ale nie. Tegan przepchnęła się chwiejnie w stronę pogruchotanego ciała Adena. Ten potworny głos dobywał się z jej gardła. Połowa uczniów stukala w telefony, wybierając prawdopodobnie numer alarmowy, żeby wezwać całkiem niepotrzebną karetkę. Albo może porobić zdjęcia i wstawić je na Facebooka. Ian i reszta drużyny nadal stali zbici w grupkę przy samochodzie, bladzi jak duchy.

Ktoś położył mi rękę na ramieniu. Szarpnęłam się.

– Wszystko w porządku? – zapytał Malachi, wciskając rękę do kieszeni. – Co się stało?

Wskazałam brodą na ciało Adena otoczone teraz wianuszkiem ludzi. Pozieleniali ze zdenerwowania nauczyciele z rozłożonymi ramionami starali się powstrzymać napór uczniów. Szkolna pielęgniarka, łkając, klęczała przy głowie Adena. Dyrektor szarpał ją za rękę i krzyczał, żeby wszyscy się uspokoili. Szkolny psycholog, ruda pani Ketzler, przyciskała do siebie roztrzęsioną Tegan, kołyszając ją w ramionach. Krople łez zmieszane z czarnym tuszem płynęły po jej pełnych policzkach i spadały na jasne włosy Tegan.

– To był Mazikin – powiedziałam cicho. – Chyba Ibram. – Ten sam, który zabił Anę, partnerkę Malachiego ze Straży.

– Co powiedziałaś? – zapytał ostro Malachi.

– Dopadli Adena. Został opętany. – Odsunęłam się z drogi jadącej karetki. Kiedy stanęła i syreny ucichły, ze środka wyskoczyło dwóch ratowników.

Malachi poszedł za mną do samochodu. Nie zdawałam sobie sprawy, że nadal ściskam w dłoni telefon Tegan, dopóki nie zaczął dzwonić. Schowałam go do kieszeni i opowiedziałam swemu porucznikowi, co się wydarzyło.

– Pamiętasz, jak w piątek Aden zapraszał cię na wypad z kupłami? Poszli

polować na Mazikiny. Wpadliśmy na nich z Jimem w Pawtucket. – Popatrzyłam na skupionych wokół Iana baseballistów. – Nie powinnam ich tak zostawić, powinnam iść za nimi.

Malachi spoglądał to na zwłoki, to na bladych sportowców.

– Myślisz, że natknęli się na Mazikiny?

Przytaknęłam.

– Jeśli Ibram opętał Adena, to miał wgląd w jego wspomnienia. Pewnie cię rozpoznał. Mnie zresztą też.

– Poświęcili Adena, żeby przekazać nam wiadomość – rzekł Malachi.

I dotarła. Mogli zabić każdego z naszych bliskich tak, żeby z zewnątrz wyglądało to na samobójstwo. Nie było przesłanek, żeby to podważyć.

– A jeśli Aden nie był jedyny? – zapytałam.

Baseballiści obserwowali, jak ratownicy wnoszą do karetki ciało Adena. Z głośników huczał głos dyrektora, ogłaszającego, że zajęcia na ten dzień zostają odwołane, ale uczniowie, którzy potrzebują wsparcia psychologicznego, mogą przyjść do stołówki. I że zawiadomiono rodziców. To oznaczało, że Diana prawdopodobnie dotrze do domu w ciągu pół godziny i tam będzie na mnie czekała.

– W sobotę Ian zachowywał się normalnie – zauważył Malachi, obserwując sportowców, którzy ruszyli w stronę szkoły. – Ale od tamtej pory minęły prawie dwie doby. A patrząc stąd, ciężko stwierdzić coś w przypadku Grega czy Leviego.

– Spróbuj się do nich jakoś zbliżyć – powiedziałam, wyciągając z kieszeni telefon Tegan. To Ian próbował się z nią skontaktować. Czyżby chciał przejąć pałeczkę po Adenie? – Masz rację. Od piątku minęło sporo czasu. Niewykluczone, że któryś z nich też został opętany. Mogą również próbować dobrać się do innych. W sobotę Aden, to znaczy Ibram, usiłował wywabić z domu Tegan. Gdyby nie jej tato, może by mu się to udało.

– Wobec tego przepytam ich – oświadczył Malachi, łypiąc groźnie na plecy znikającego w wejściu Iana.

Na widok tego spojrzenia wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć jego ramienia, ale powstrzymała mnie niewidzialna granica, która w mojej wyobraźni otaczała teraz jego ciało.

– Tylko spokojnie, dobrze? Zachowuj się jak ciekawy kumpel, a nie prowadzący przesłuchanie Strażnik. Jeśli poczujesz zapach Mazikina, daj mi natychmiast znać, ale nic nie rób. Nie chcę, żebyś wypruwał flaki uczniom w jadalni.

Popatrzył na moją zawieszoną w powietrzu rękę.

– Zrozumiałem, Kapitanie.

Wolałabym, żeby mnie uderzył. Sprawiłoby mi to mniej bólu niż ten obojętny dystans. Z trudem odetchnęłam.

– I weź od każdego numer telefonu, dobrze? Musimy mieć z nimi kontakt, bo Ibram wyraźnie zaznaczył, że Mazikiny wiedzą, kim są nasi przyjaciele. Pójdę teraz do Tegan. Spotkamy się później.

Odeszłam bez pożegnania, zbyt udręczona, by zdobyć się na grzeczności, zbyt przygnębiona, żeby spojrzeć mu w oczy. Nie miałam też siły na rozmowę z Tegan, ale wiedziałam, że tak właśnie należy postąpić. Jeśli Mazikiny dokonały infotracji szkoły i polowały na moich znajomych, Tegan będzie na szczycie ich listy.

Musiałam odwiedzić Tegan do domu. Była zbyt roztrzęsiona, żeby prowadzić. Poza tym nie chciałam jej zostawiać samej, póki nie dowiem się, kto z uczniów jeszcze może być Mazikinem. Prawdopodobnie wiedziały, że mogą do mnie przez nią dotrzeć.

– To nie ma sensu – wyszeptała, przerywając milczenie. – Miał stypendium na BU, był tym podniecony. A w wakacje miał się wybrać w podróż życia, do Europy. Chciał się upić w irlandzkim pubie. W Irlandii.

Skręciłam w jej nieskazitelną ulicę, wzdłuż której ciągnęły się rzędy idealnie przystrzyżonych trawników.

– Przykro mi, Tegan.

– Czemu miałby zrobić coś takiego? Nie był przygnębiony. Raczej odwrotnie. Wiodło mu się świetnie i cieszył się tym.

– Może... Może był na haju albo coś...

– W sezonie? Coś ty, Lela, przecież robią im testy na narkotyki. Mógłby stracić stypendium.

Cholera.

– Czasami pewne choroby psychiczne pojawiają się nagle.

Skuliła się na siedzeniu pasażera.

– W sobotę zachowywał się dziwnie. I ten zapach. Też mi przeszło przez głowę, że może coś palił.

Niedobrze zrobiło mi się na myśl, że Mazikin aż tak się do niej zbliżył. I że może spróbować ponownie.

– Może leczył się na własną rękę? Samoleczenie może być groźne. – Z określeniem tym zetknęłam się kilka lat po tym, jak trafiłam do opieki społecznej. Miałam sześć lat i jeszcze nie rozumiałam, co to znaczy, ale usłyszałam, jak tego słowa używa pracownik opieki, wyjaśniając moim rodzicom zastępczym, dlaczego mama nie pokazała się na wyznaczonej wizycie. Pamiętam, że stałam wtedy boso, w piżamie, w ciemnym przedpokoju, słuchając, jak obca pani mówi, że mama jest chora psychicznie. Że próbowała uwolnić się od głosów dzwiczących jej w głowie i wzięła tyle tabletek, że straciła przytomność. Długo zastanawiałam się, co to jest przytomność i skąd ją wziąć dla mamy.

Tegan pociągnęła nosem.

– Tak jak Nadia?

Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

– Uhm. – Zatrzymałam się przed bramą zagrażającą podjazd do domu Tegan. Tegan podała mi kod, który wbiłam, a potem jechałyśmy jeszcze spory kawałek, zanim dotarliśmy do budynku.

Kiedy zaparkowałam, Tegan objęła się, jakby marzła, mimo że w samochodzie było ciepło.

– Zastanawiałaś się kiedyś, gdzie teraz jest Nadia? Wierzysz w te bzdety o życiu pozagrobowym?

Oparłam czoło o kierownicę, żeby nie zauważyła mojej miny – gorycz mieszała się we mnie z trwogą, gniewem i tęsknotą. Były to zbyt bolesne uczucia, żeby się nimi dzielić.

– Wierzę, że Nadia jest teraz w lepszym miejscu. – Wzięłam się w garść, przywołując neutralny wyraz twarzy, i odwróciłam się do niej. – W zasadzie to jestem tego pewna.

Tegan otarła łzy.

– Jestem znużona takimi gadkami.

Założyłam za ucho niesforne pasmo włosów.

– Rozumiem. Miałam to samo. Ale ja naprawdę to wiem, Tegan. Żadnego chrzanienia, pamiętasz?

Wpatrywała się we mnie z drżącymi ustami.

– Tak, żadnego chrzanienia. Mam nadzieję, że się nie mylisz.

– To nie oznacza, że za nią nie tęsknię. Zawsze będzie mi jej brakowało. I zawsze będę żałowała, że nie zrobiłam więcej, kiedy żyła.

Twarz Tegan skurczyła się z żalu.

– Ja też – wykrztusiła i zaczęła płakać. – A teraz jeszcze Aden. O Boże, czy to przeze mnie? – Łkała, wstrząsana poczuciem winy i rozpaczą, które tak dobrze znałam.

Wiedziałam, że powinnam ją objąć, ale nie byłam pewna, czy tego chcę.

A potem przypomniałam sobie te wszystkie momenty, kiedy odpychałam ciepłe gesty Nadii. Pomyślałam, jak bardzo pragnęłam dotyku Malachiego, jakie pocieszenie niósł ze sobą i jak bardzo za nim tęskniłam. Czy ta sytuacja była inna?

Dotknęłam ramienia Tegan. Położyła rękę na mojej i odetchnęła, pociągając nosem. A potem wydała chrapliwy dźwięk, coś w rodzaju śmiechu.

– Dzięki za dobre chęci, Lela. Naprawdę to doceniam.

Wytarła oczy rękawem, wysiadła i skierowała się do drzwi. Również wysiadłam.

– Hej! – zawołałam za nią. – Twój rodzice są w domu?

– Tak, mama jest.

Międliłam w rękę kluczyki.

– Dobrze, zadzwonię do ciebie później, żeby sprawdzić, jak się czujesz.

– Skąd ta troska, Lela? Zaczęłyśmy się nagle przyjaźnić?

Zacisnęłam pięść. Ząbki kluczyków wbiły mi się boleśnie w skórę. Tegan nie była Nadią. Nie mogłaby jej zastąpić. Ale nie chciałam, żeby coś jej się stało. I nie tylko dlatego, że Nadii na niej tak zależało. W trakcie tych wydarzeń i mnie zaczęło na niej zależeć.

– Też się nad tym zastanawiałam.

Zaśmiała się chrapliwie.

– Hej, Tegan. Myślę, że Aden wplątał się w jakieś kłopoty. Gdyby ktoś się u ciebie pojawił i podobnie się zachowywał, nie wpuszczaj go i nie wychodź z nim.

– Nie jestem głupia.

Oddałam jej telefon.

– No to zadzwonię później.

W drodze do domu wreszcie mogłam spokojnie pomyśleć o tym, co wydarzyło się przez kilka ostatnich godzin. Aden nie żył. Gdzie była teraz jego dusza? Czy utknęła w krainie Mazikinów, ponoć tak strasznej, że przy niej Mroczne Miasto wydawało się rajem? A może, gdy Ibram roztrzaskał jego ciało o chodnik, została uwolniona? Malachi wierzył, że tak właśnie dzieje się po śmierci opętanego. Dlatego z taką determinacją zabijał Mazikiny i ludzi, których ciała przejęły. Oczywiście w ten sposób Mazikiny dostawały szansę na powrót, ale Malachi uważał, że wyzwolenie duszy ludzkiej jest tego warte.

To jednak znaczyło, że jeśli Mazikiny przejęły Leviego, Grega czy innych, Malachi będzie chciał jak najszybciej ich zabić. I skończymy, mordując jednego po drugim kolegów ze szkolnej ławy. Nie w sensie dosłownym, bo już by nimi nie byli, ale tak bym się czuła, wspominając choćby urocze dołeczki uśmiechniętego Iana.

Skręcając na nasz podjazd, planowałam skontaktować się z resztą Strażników i sprawdzić, czy media nie donoszą o kolejnych podejrzanych atakach, ale moje plany legły w gruzach. Przed domem zobaczyłam dwa samochody. Jeden z nich należał do Nancy, mojego kuratora. Drugi był to radiowóz policyjny.

TRZYNASTY

Zaparkowałam przy chodniku i przez chwilę siedziałam w samochodzie, usiłując uspokoić się na tyle, żeby wybrać numer Malachiego.

Odebrał natychmiast.

– Gdzie jesteś? – Jego głos był jak nóż, ostry i zabójczy.

Wzięłam drżący oddech.

– U Diany, a ty?

– W domu. Z Jimem i Henrym. Mam nowe informacje.

Chcąc odwlec moment powiedzenia mu o moich kłopotach, zapytałam, czego dowiedział się od baseballistów.

– Ian przyznał, że widział w piątek ciebie i Jima. Potem podobno próbował namówić wszystkich na powrót, ale go zakrzyczeli. W okolicy schroniska zobaczyli kogoś idącego na czworaka i zaczęli go ścigać. Aden był najszybszy.

Zacisnęłam oczy. Nie chciałam nawet myśleć, co było potem. Jak musiał się bać, kiedy przywiązano go do ołtarza. Jak wielki musiał czuć ból.

Byłam raz świadkiem wchodzenia Mazikina w ludzkie ciało. Człowiek skręcał się jak precel i wrzeszczał w niebogłosość przez długie minuty, kiedy duch Mazikina, jak się okazało Juriego, wyszarpywał duszę ludzką i posyłał ją do piekła.

– Szukali Adena, wołali go – ciągnął Malachi. – Przez jakiś czas nie odpowiadał, ale kiedy mieli już wracać do Warwick, zadzwonił do Iana i poprosił go, żeby po niego podjechał. Zgadnij gdzie.

– Do gniazda.

– Ian pomyślał, że to melina narkomanów. Kiedy przyjechał, Aden czekał na werandzie z jakimiś podejrzanymi typami. Chciał, żeby reszta się do nich przyłączyła, ale nie zgodzili się. Ian był wściekły, bo wszyscy muszą się poddawać badaniom na narkotyki, a Aden zachowywał się nienormalnie. Pewnie już wtedy był opętany przez Ibrama.

Biedny Aden. I Ian.

– Mazikiny próbowały ich zmusić do wejścia do domu?

– Nie. – Malachi westchnął. – Aden na chwilę zniknął wewnątrz, pewnie dostał tam jakieś rozkazy od Sila, a potem wyszedł i wrócił z resztą chłopaków. Wysadzili go przed jego domem. Ian był przekonany, że Aden coś palił.

– Bo śmierdział?

– Tak. Ale jestem pewien, że żaden z pozostałych członków drużyny nie jest Mazikinem. Myślę, że ocalił ich strach przed wyrzuceniem z drużyny.

– Dzięki Bogu, że traktują swój sport tak poważnie.

– Zdobyłem numery większości z nich. – Odchrząknął. – Plus wszystkich czirliderek. Musiałem, po prostu siedzieli razem.

– To dobrze... dobrze... – Urwałam, bo Diana właśnie wyszła na ganek

i rozglądała się po ulicy. No tak, dostrzegła mój samochód. – Muszę już iść, Malachi...

– Co się stało? – Zaniepokoił się. Widocznie musiał wychwycić coś w moim głosie.

– Policja tu jest. I mój kurator.

– Po co? – Po odgłosach dobiegających z telefonu zgadłam, że pewnie zerwał się na równe nogi.

Ledwie mówiłam przez ściśnięte gardło.

– Zgubiłam w gnieździe telefon i nóż.

Zaklął.

– Odjedź stamtąd. Przyjedź tu. Coś wymyślimy. Poprosimy Rafaela, żeby...

Ale Diana już szła w stronę mojego samochodu, a na schodkach stał krępy blondyn z odznaką policyjną przy pasku.

– Za późno. Muszę do nich iść. Zadzwoń później. Jeśli dam radę. Przepraszam.

– Nie przepraszaj, tylko powiedz, czego ci trzeba! – krzyknął tak głośno, że odsunęłam telefon od ucha.

Zaczęłam mówić pośpiesznie.

– Obejmiesz dowództwo. Gdybym się nie odezwała, pójdziecie na patrol beze mnie. Znajdźcie schroniska i noclegownie, powęszcie wokół nich. Sprawdźcie parki. To najsensowniejsze miejsca, skoro polują na bezdomnych. I jeszcze to obozowisko opisane w artykule, który pokazał nam Henry. Sprawdzajcie, co u Tegan i reszty. Śledźcie ich profile na Facebooku. – Tak mocno ścisnęłam telefon, że aż zachrząścił.

– Mógłbym przyjechać do ciebie. Teraz. Mógłbym...

– To były rozkazy – przerwałam mu ostro, czując pieczenie pod powiekami. Policjant zaczął iść w moją stronę. Rozłączyłam się i schowałam telefon do kieszeni.

Diana otworzyła drzwiczki. Jej srebrne włosy, zwykle ściągnięte w ciasny kok, teraz unosiły się we wszystkie strony, a ciemnobrązową twarz znaczyła troska.

– Wiem, co wydarzyło się dzisiaj w twojej szkole. Dzwonili do mnie. Gdzie byłaś?

Wysiadłam. Detektyw zatrzymał się przy radiowozie i stamtąd nas obserwował.

– Przepraszam. Musiałam odwiedzić Tegan do domu. Widziałyśmy wszystko. O co chodzi z tymi glinami?

– Czekaliśmy na ciebie, słonko. Detektyw chciałby ci zadać parę pytań.

– O wydarzenia w szkole?

Jej twarz ściągnęła się mocniej, a zmarszczki pogłębiły się.

– Nie powiedzieli mi o co. Przypuszczam, że przepytują wszystkich

świadków. Wejdz, to się dowiemy.

Idąc za Dianą, czułam się tak, jakby mój mózg został rozdrobniony w mikserze. Istniało prawdopodobieństwo, że jeszcze tego wieczoru znajdę się z powrotem w poprawczaku. Odcięta od świata. Zamknięta. Miałam ochotę wrzeszczeć. Miałam ochotę uciekać. Pragnęłam, żeby do domu Diany wpadł z hukiem Malachi i zabrał mnie daleko stąd. Ale mimo to usiadłam po prostu przy kuchennym stole i zacisnąwszy dłonie na kolanach, starałam się wyglądać na smutną, oszołomioną, ale nie wystraszoną.

– Lelo – zaczęła Nancy, która była moim cieniem od dnia wyjścia z poprawczaka, czyli od roku. – Detektyw DiNapoli chciałby zadać ci parę pytań. – Przekręciła pierścioneł na tłustym palcu.

– Oczywiście – powiedziałam spokojnie, utrzymując wystarczający, ale nie nadmierny kontakt wzrokowy. Otwarta, ale nie wyzywająca. – Chodzi o to, co działo się dzisiaj w szkole? – zwróciłam się do detektywa.

– Nie, panno Santos. – DiNapoli schylił się do torby, która stała pod stołem, wyjął z niej coś i położył przede mną. Był to brudny, opalony, ale niestety niestopiony telefon. – Znaleźliśmy go w sobotę po południu.

Cały mój świat skurczył się do niewielkiego ogniska, w którym znajdował się mój telefon. Rafael przypisał mój numer do nowego telefonu, ale widocznie nie zrobił tego wystarczająco szybko. Ułożyłam usta w uśmiech zaskoczenia.

– Och, znaleźliście mój telefon! A co z facetem, który mi go zabrał?

Diana, stojąca nadal w drzwiach, patrzyła to na mnie, to na gliny.

– Zabrał? O czym ty mówisz, słonko? Widziałam przecież, jak rozmawiasz w samochodzie.

Pokazałam im mój nowy aparat.

– Tak, ale tamten mi ukradli w sobotę, a ten zdobyłam wczoraj. – Modliłam się, żeby w razie potrzeby Rafael mógł wyczarować z magicznej kieszeni paragon.

Diana uniosła brwi.

– A kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

Wzruszyłam ramionami, licząc, że żadne z nich nie usłyszy łomotania mojego serca.

– Nie chciałam, żebyś się denerwowała. Albo martwiła. To się stało, kiedy byłam w tym schronisku. – Spojrzałam na policjanta, a potem na Nancy, która rozsiadła się w fotelu Diany i drapała się po biodrze. – Wynosiłam śmieci, byłam przy pojemnikach, kiedy jakiś facet na mnie naskoczył i zabrał telefon.

– Zostałaś napadnięta? – Nancy się zdumiała. Pewnie uważała mnie raczej za typ napastnika niż ofiary.

– Tak, Nancy. Nie było to przyjemne. – Popatrzyłam na Dianę z nadzieją, że uwierzy w moje kłamstwa. – Wiedziałam, że będziesz się denerwowała, dlatego poprosiłam Tegan, żeby kupiła mi nowy aparat.

– Czemu nie zgłosiłaś tego na policję? – zapytał DiNapoli.

Zerknęłam mu prosto w oczy, zaczerwienione i zażawione.

– Bo nie chciałam kłopotów. Chciałam tylko stamtąd uciec. Poprosiłam znajomego, zabrał mnie do domu i wzięłam panadol.

DiNapoli pochylił się ku mnie.

– Byłaś ranna?

Cholera. Owszem, ale zostałam uleczona.

– To nic takiego. Popchnął mnie na pojemnik. I uciekł, jak tylko zabrał mi telefon.

– Rozpoznałabyś napastnika?

– Nie wiem. To było parę dni temu. – Sięgnęłam pamięcią do sobotniego poranka, usiłując przypomnieć sobie mężczyznę w koszuli, tego, który doprowadził mnie do gniazda. – Miał, hmm, miał bardzo długie paznokcie. I brudną twarz.

DeNapoli zacisnęła usta i wyjął z teczki jakieś zdjęcie.

– To ten?

Zdjęcie z kartoteki nie przedstawiało jednak Mazikina, tylko Nicka.

– Nie – szepnęłam, czując, jak na nowo pęka mi serce. – To nie on. Tamten był starszy.

Detektyw obserwował mnie bacznie. Staralam się wziąć w garść, kiedy sięgał po kolejną fotografię.

– A może ten?

Tym razem zdjęcie przedstawiało Mazikina. Tego, którego zadźgał Malachi. Tłuste, ciemne włosy, okrągła, zarosnięta twarz.

– Możliwe – mruknęłam.

– Znaleźliśmy ich ciała w piwnicy spalonego domu na Garden Street. Pod tym – policjant postukał w zdjęcie Nicka – leżał twój telefon. Udało nam się go zidentyfikować na podstawie odcisków palców i kartoteki dentystycznej. Spalony dom znajdował się kilka przecznic od schroniska, w którym byłaś.

Diana fuknęła zniesmaczona.

– Wiedziałam, że nie powinnam cię była tam puszczać – powiedziała, dodając swoje potępiające „mm-mm-mm”.

– Zginęli w tym pożarze?

DiNapoli przypatrywał mi się uważnie.

– Nie, nie zginęli w pożarze.

CHOLERA.

– Ach – zaczęłam niepewnie. – Tak mówili w wiadomościach.

Zmarszczył brwi.

– Nie, w mediach informowano tylko o znalezieniu dwóch ciał w budynku. Nie podawaliśmy przyczyny śmierci. – Obrócił palcem zdjęcie Mazikina, a jego wzrok powędrował w stronę przedpokoju. – Posiadasz broń?

W tym momencie zrobiło mi się ciemno przed oczami na myśl o leżącym pod łóżkiem czarnym skórzanym pasie, do którego przytroczony był pusty futerał po nożu. Z trudem przełknęłam ślinę, zastanawiając się, czy kolejnym przedmiotem wyciągniętym z torby nie okaże się nóż.

Diana stanęła przy mnie, zanim zdążyłam otworzyć usta. Nie przypuszczałam, że ktoś o tak słusznej tuszy jest w stanie w ogóle tak szybko się poruszać.

– Proszę wybaczyć, detektywie, ale muszę zapytać, dokąd to zmierza.

Położyła mi rękę na ramieniu. Spojrzałam na nią, czując na języku gorzki smak paniki.

– Diano, jej telefon został znaleziony na miejscu zbrodni – powiedziała Nancy, podchodząc do mnie.

DiNapoli podniósł ręce w pojednawczym geście, spoglądając na Nancy z niezadowoleniem.

– Staramy się sprawdzić dokładnie wszystkie wątki, pani Jeffries. Ofiary rzeczywiście nie żyły już, zanim wybuchł pożar. Uważamy, że morderca mógł podłożyć ogień, żeby zatrzeć ślady. – Jego wodniste oczy na moment spoczęły na mnie. Powstrzymałam się przed odwróceniem wzroku.

– A jak dokładnie zginęły? – drążyła Diana.

– Nie mogę zdradzać szczegółów – odparł detektyw. Podrapał się po brodzie i usiadł prosto. – Mieliśmy nadzieję, że Lela może nam udzielić jakichś informacji odnośnie do tych wydarzeń.

Zerwałam się z krzesła, które grzmotnęło o ścianę. Dorośli spięli się, jakby gotowali się do powstrzymania mnie, gdybym chciała uciekać.

– Sugerujecie, że zabiłam tych ludzi?!

– Masz w kartotece wyrok za brutalne zachowanie – rzuciła Nancy, w taki sposób, jakby od roku czekała, żeby to wreszcie powiedzieć.

Wezbrał we mnie gorący niczym lawa gniew.

– I łatwiej ci uwierzyć w to, że zabiłam dwóch facetów i spaliłam jakąś metę ćpunów, niż w to, że wyszłam na prostą? Dzięki za wiarę we mnie, Nancy.

Detektyw wzruszył ramionami.

– Jeden z nich zabrał ci telefon, sprowokował cię. Może drugi wszedł ci w drogę.

– Poważnie? Chyba mnie przeceniacie, skoro uważacie, że byłabym w stanie zrobić coś takiego. – Nick. Rozmazana kredka tworzyła smugi pod jego pustymi oczami. Usta miał rozbite i opuchnięte.

– Co to w ogóle za typy?– zapytała Diana ostro. – Albo nie, nawet nie musicie mi mówić. Pewnie ćpuny. Mieszkali na ulicy. Sprzedawali się za działkę. Obaj tak wyglądają.

Popatrzyłam na nią. W jej ciemnych oczach płonął ogień. Naraz poczułam

wdzięczność, że jest po mojej stronie.

Detektyw zerknął na zdjęcia wzrokiem, który wyraźnie świadczył, że Diana trafiła w sedno.

– Mm-mm-mm. Tak właśnie myślałam. Naprawdę myślicie, że licealistka ze stypendium do URI, która odbywała wolontariat w jadłodajni dla ubogich, zaatakowała i zamordowała dwóch takich typów? Może pozabijali jeden drugiego! A co z ich znajomkami? Dilerami? Alfonsami? Chcecie powiedzieć, że ta dziewczyna jest waszą główną podejrzaną, bo znaleźliście na miejscu zdarzenia jej telefon? Od ćwierć wieku pracuję w systemie penitencjarnym, detektywie, więc proszę wybaczyć mój sceptycyzm.

Wystawiła palec i machała nim groźnie. Głowa podskakiwała jej w przód i w tył, kiedy perorowała. Jak dla mnie, wyglądała jak biorący pomstę superbohater.

– Od tej pory Lela nie powie ani słowa bez adwokata. Znam nasze prawa i z całym szacunkiem, wiem, że nie możecie tak tu przychodzić i nas oskarżać.

– Prawnie opiekę nad Lelą sprawuje Departament Opieki Społecznej i Pieczy Zastępczej, nie ty, Diano – zauważyła Nancy, ale zabrała torebkę, a detektyw podniósł się do wyjścia.

– Zdaję sobie z tego sprawę – przytaknęła Diana. – Może więc skontaktujesz się z jej opiekunem i poinformujesz go, że policja usiłuje pogwałcić prawa obywatelskie tej dziewczyny.

– Proszę wybaczyć najście, pani Jeffries – powiedział detektyw. Sprawiał wrażenie nieco wytrąconego z równowagi. – Postaramy się zorganizować spotkanie z Lelą w innym terminie.

– Proszę bardzo. – Diana nie przestawała wymachiwać palcem. – A ty – zwróciła się do Nancy – załatw jej adwokata, jeśli to spotkanie miałoby dość do skutku. Lela nie jest żadnym śmieciem i nie wolno ci jej w ten sposób traktować. – Jej zwykle łagodny głos wibrował oburzeniem.

W osłupieniu obserwowałam, jak Nancy i detektyw robią odwrót, zamierzając się prawdopodobnie przegrupować i opracować strategię kontrataku. Kiedy tylko odjechali, Diana osunęła się na krzesło naprzeciwko mnie. Zatrzeszczało pod jej ciężarem.

– Przepraszam cię, słonko. Powinnałam zawczasu dowiedzieć się, o co im chodziło.

– Dziękuję. – Przechyliłam się nad stołem i wzięłam ją za rękę. Oczy Diany zrobiły się okrągłe, kiedy ścisnęłam jej palce. – Przysięgam, że nie zrobiłam nic tym dwóm.

Popatrzyła na mnie i oddała uścisk, pozbawiając mnie dopływu krwi do dłoni.

– Wiem, słonko. A nawet gdyby, byłabyś usprawiedliwiona. – Jej głos był

spokojny, ale wyraźny. – Jeśli ktoś chce wyrządzić ci krzywdę, masz walczyć bez wyrzutów sumienia. Nikomu nie pozwól się skrzywdzić.

Wpatrywałam się w jej czekoladowe oczy. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co mi się przytrafiło. Nigdy jej nie powiedziałam, że pobiłam prawie na śmierć ojca zastępczego, Ricka, bo całymi miesiącami wykorzystywał mnie, jak chciał, aż w końcu straciłam nad sobą panowanie. Przypuszczałam jednak, że Diana sama się wszystkiego domyśliła.

– Postaram się. Ale co teraz? Co mogą zrobić?

Pokręciła głową.

– Nie wiem, ale poradzimy sobie. Zadzwonię do twojego opiekuna społecznego, i to zanim zrobi to Nancy.

Objęłam się ramionami.

– Mogę iść do Malachiego? Proszę. – Musiałam jak najszybciej wracać do pracy.

Wydęła usta.

– Słonko...

– Proszę, Diano, bardzo potrzebuję z nim побыć.

Wstała, zabierając rękę.

– Znasz go tylko tydzień.

Zbeształam się w duchu, że nie poprosiłam o wyjście do Tegan. Byłam zbyt roztrzęsiona, żeby myśleć jasno.

– Wiem, ale jest dla mnie ważny i czuję się przy nim bezpiecznie. – *Co prawda złamał mi serce i zabija mnie widok jego cudownej twarzy, ale co tam.*

Jej twarz złagodniała. Wahala się.

– Czy pan Rafael jest w domu?

– Na pewno. Przecież szkoła dzwoniła do wszystkich uczniów. Malachi jest pod jego opieką, na pewno wrócił sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku.

– No dobrze. Ale na kolacji masz być w domu.

– Dobrze. – Wstałam i najwolniej, jak potrafiłam, powlokłam się do swojego pokoju. Zamknęłam za sobą drzwi.

– Lela – powitał mnie Rafael. Siedział na moim łóżku.

– Kurde! – wyrwało mi się. – To jakaś makabra. Nie mogłeś usiąść przy biurku?

Uniósł brew, dając mi do zrozumienia, że moją reakcję uważa za idiotyczną. Wzięłam głęboki oddech i oparłam się o drzwi.

– Właśnie o tobie myślałam.

– I dlatego tu jestem. Sprowadziłaś mnie.

– Tak? Wystarczy, że o tobie pomyślę, i już się zjawiasz? Od kiedy to?

– Szczególne okoliczności. – Uśmiechnął się i wyjął z kieszeni wibrujący telefon. – Tak? Ach, pani Jeffries. Tak, jestem w domu. To straszne, co się stało.

Malachi jest przybity. Znał tego chłopca. Myślę, że towarzystwo Leli dobrze mu zrobi. – Spojrzał na mnie. – Dziękuję. Będę w domu, więc w razie czego proszę dzwonić. – Rozłączył się. – Możesz iść.

Schyliłam się i zajrzałam pod łóżko.

– Musisz coś ode mnie zabrać. Nie mogę tego nosić przy sobie.

Odsunął nogi, dając mi lepszy dostęp.

– Tego szukasz? – Uniósł pas z futerałem. – Nie chcemy, żeby oskarżono cię o morderstwo. – Wskazał na biurko, na którym leżał rachunek za telefon.

Klapnęłam na stołek.

– Nie mogłeś mi oszczędzić tego stresu z glinami tam na dole?

Spoważniał.

– Wbrew temu, co o nas myślisz, Lela, nie kontrolujemy ludzi. Mogę interweniować, jeśli to niezbędne, żebyś wykonywała swoją pracę, ale nie wolno mi się bezpośrednio angażować w sprawę Mazikinów. Nie mogę się też wtrącać w życie ludzi, jeśli nie jest to absolutnie konieczne. Proces śledczy musi przebiegać swoim trybem. Ale nie będzie żadnych dowodów, by wnieść przeciw tobie oskarżenie.

– Ale mógłbyś ich powstrzymać przed przesłuchiowaniem mnie, prawda?

Nie wydawał się zbity z tropu.

– Co mógłbym, a co zrobię, to dwie różne sprawy. Nie jestem tu, żeby spełniać twoje zachcianki. Jestem tu, żeby...

Powstrzymałam go gestem.

– Zapewnić mi to, czego potrzebuję. Wiem. W porządku. – Poskładałam paragon za telefon. – Dobrze, więc potrzebuję kilku rzeczy.

Przekrzywił głowę.

– Zamieniam się w słuch.

– Potrzebuję mocno zużytego sprzętu turystycznego.

– A dokładniej?

– Jednego namiotu, dwóch plecaków, jednego lub dwóch śpiworów. I trochę starych ciuchów. Coś takiego jak w mieście mroku. Tylko bez tego... no wiesz, bez tego lepkiego gluta. – Nie zamierzałam aż tak poświęcać się dla sprawy.

– Niezagluciały, ale mocno zużyty sprzęt turystyczny i ubrania. – Wstał. – Będą na ciebie czekały w Strażnicy.

Podniosłam się, żeby go zatrzymać.

– Hej, a gdzie poszła dusza Adena? Możesz mi powiedzieć, czy jest w krainie Mazikinów, czy gdzie indziej? Jak to tak naprawdę działa?

Na sekundę kontury Rafaela rozmyły się lekko. Spięłam się.

– Jak to powiedział ten policjant, nie wolno mi zdradzać szczegółów – odrzekł chmurnie.

– Dlaczego?

Poświęta wokół niego zniknęła.

– Potrzeba, Lelo. Liczy się tylko potrzeba. – Powiedziawszy to, zniknął.

CZTERNASTY

Ledwie podjechałam pod Strażnicę, Malachi wyskoczył na werandę i ruszył w moim kierunku szybkim krokiem. Wyglądał tak, jakby zamierzał wyrwać drzwiczki samochodu i pochwycić mnie w ramiona. Na widok rozpaczy i ulgi, które mieszały się na jego twarzy, serce zabiło mi mocniej.

A potem nagle zatrzymał się na krawężniku, jakby trafił na niewidzialną barierę. Kiedy wysiadłam, uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Czekaliśmy na wieści od ciebie, Kapitanie.

Zacisnęłam zęby.

– Przepraszam za zamieszanie. To nic takiego. W każdym razie mam taką nadzieję. – Powoli go wyminęłam, kierując się na werandę. *Obejmij mnie, dotknij, powiedz, że to był błąd. Powiedz, że chcesz być ze mną. Powiedz, że umierałeś z niepokojem, pocałuj mnie, spraw, żebym o wszystkim zapomniała.*

Nic takiego nie zrobił. Poszedł za mną, utrzymując należyty dystans, i tak samo weszliśmy do domu. Henry i Jim siedzieli w salonie przed komputerami. Puste krzesło przy jednej z klawiatur było wywrócone. Malachi schylił się i podniósł je.

– Wypełnialiśmy rozkazy, przeglądając Facebooka. Dzwoniłem do wszystkich osób, z którymi siedzieliśmy w piątek w jadalni, lub do nich pisałem. Wszyscy zostali sprawdzeni, wydają się być sobą. – Spojrzał na mnie dziwnie. – Ian Moseley pytał, jak się czujesz.

– Tak? W końcu to on stracił najlepszego przyjaciela.

– Tak, ale mówił... Wspomniał o Nadii, o jej samobójstwie.

Zaczęłam bawić się suwakiem kurtki.

– No tak. To... miłe z jego strony, biorąc pod uwagę, przez co dzisiaj przeszedł.

– Niezwykle miłe – powiedział z takim naciskiem, że aż na niego spojrzałam. Włosy miał w nieładzie, niektóre sterczały w różne strony. Dżinsy zsunęły mu się nisko na biodra, a koszulka była wystarczająco obcisła, żebym musiała odwrócić wzrok.

Pomyślałam, co Tegan mówiła o Laney.

– A do ilu dziewcząt dzwoniłeś, żeby je pocieszyć?

Odchrząknął.

– Nie sądzę...

– Do trzech – podsunął Jim.

Malachi popatrzył na niego takim wzrokiem, jakby miał ochotę spuścić mu lanie w ciemnym zaułku.

– W porządku – powiedziałam, siadając do komputera. Zamiast przynieść sobie krzesło, Malachi stanął za moimi plecami, i to tak blisko, że czułam bijące od

niego ciepło.

Połączyłam szukanie informacji z lekcją obsługi komputera. Weszliśmy na YouTube. Wstawiono dwa nowe filmiki ze Zwierzoludem, tyle że przedstawiały one dwa różne Mazikiny. Miały różne sylwetki i kolor włosów. Jeden kręcił się po cmentarzu przy spalonym domu, ale film nakręcono na długo przed pożarem. Nowszy zrobiono przy estakadach blisko wybrzeża.

– To tam znajduje się jedno z obozowisk bezdomnych – powiedziałam, wskazując widoczne w tle namioty. – Myślę, że miałeś rację co do obiektów zainteresowania Mazikinów, Henry.

Wstałam i przeciągnęłam się.

– Rafael zostawił dla mnie trochę sprzętu w piwnicy. Przygotuję parę rzeczy i wracam do Diany. Wieczorem ruszamy na patrol. Henry, pójdiesz ze mną.

Henry potwierdził skinieniem głowy i ruszył w stronę schodów.

Przechodząc obok, zerknęłam na Malachiego.

– Tak jak mówiłam wcześniej, ty i Jim obejdziecie okolice schronisk.

Poszedł za mną, kiedy skierowałam się do piwnicy.

– Co to za sprzęt?

W sali treningowej leżała sterta sprzętu turystycznego.

– Pójdziemy tam z Henrym w przebraniu – wyjaśniłam. – Dziś w nocy ma być cieplej, a nawet na filmie widać było, że ludzie już zostają tam na noc. Dołączymy do nich. Może uda mi się z kimś pogadać, a może nawet uda nam się być w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze.

Malachi wpatrywał się w kupę sprzętu, która przypominała stos śmieci.

– Masz nadzieję, że was zaatakują.

– Mam nadzieję, że uda nam się schwytać jednego i przesłuchać. – Podniosłam kraciasty śpiwór, który śmierdział trochę jak psia karma.

– Nie rozpoznają mnie, jeśli zakryję włosy i ubiorę się warstwowo. A Henry i tak wygląda jak włóczęga, więc nie musi się nawet bardzo przykładać.

– Jim i ja moglibyśmy być gdzieś w pobliżu. Moglibyśmy obserwować...

– Albo iść tam, gdzie wam kazałam – przerwałam mu ostro, wbijając wzrok w śpiwór. – Jest nas tylko czworo, Malachi. Musimy sprawdzać jednocześnie tak wiele miejsc, ile się tylko da. Ciągłe ich gubimy, to się musi skończyć.

– Oczywiście – powiedział, przyglądając się bacznie sprzętowi. – To była tylko sugestia.

Odłożyłam śpiwór i wygrzebałam ze sterty wełnianą czapkę. Nie zwracając uwagi na nieprzyjemny zapach niemytych włosów, który od niej bił, wcisnęłam ją na głowę.

– Widzisz? Wyglądam jak kloszard, prawda?

Usta Malachiego wykrzywiły się, a mnie podskoczyło serce.

– Nie bardzo. – Zamrugał i odwrócił się. – Jaką broń weźmiesz?

– Nie wiem. A co mi radzisz?

Wyprostował plecy.

– Noże. Broń musi być lekka i musisz mieć swobodę ruchu. – Podszedł do sterty. – Wybierz coś i ubierz się. – Zaczął przerzucać szmaty.

– Teraz? Muszę być przed szóstą w domu.

– Zdążymy przygotować strój i poćwiczyć w nim. Może i chcesz pojmać Mazikina, a nie zabić go na miejscu, ale nie możesz wchodzić bez przygotowania na wrogie terytorium. – Zmierzył mnie wzrokiem i uniósł wyzywająco brew.

– Nawet mi się to nie śniło – burknęłam.

Rzucił mi termoaktywną koszulkę z wielkimi plamami pod pachami.

– Dopasowany dół i obszerna góra.

Kilka minut zajęło nam skompletowanie mi stroju. Skończyło się na dwóch parach kalesonów i dziurawych dzinsach, które Malachi pomógł mi umocować porządnie w talii paskiem, do którego przytroczył poziomo dwa futerały na noże. Za każdym razem, kiedy zakładałam jakąś część garderoby, odwracał się i cierpliwie czekał, dopóki nie powiedziałam wyraźnie, że skończyłam i potrzebuję jego pomocy. Na pierś założył mi uprząż, w której mieściły się dodatkowe cztery noże. Kiedy zaprotestowałam, że to przesada, pochylił się, spoglądając mi w oczy.

– Lekceważenie niebezpieczeństwa jest błędem. Nie popełniaj go.

– Boję się, że sama się nimi dźgnę.

Wziął do ręki grubą, niebiesko-żółtą koszulę flanelową i przytrzymał, kiedy zakładałam. Poczułam muśnięcie jego torsu na plecach. Był blisko. Tak blisko. Zrobiłam krok naprzód, bo kusilo mnie, żeby się odwrócić i zarzucić mu ręce na szyję.

– Dobrze, więc pokażę ci, jak uniknąć zranienia się nożem... – Aż jęknęłam, kiedy sięgnął ręką pod koszulę. Wydobył stamtąd jeden nóż i przejechał ostrzem po dłoni. Nie zranił się. – To noże ćwiczebne – wyjaśnił, oddając mi broń.

Potem kazał mi wyciągać noże i atakować. Na stojąco. Na siedząco. W przykucnięciu. Na leżąco. Na czworaka. Z zamkniętymi oczami. Po wielu obrotach, od których kręciło mi się w głowie. W ciemności. Kazał mi rozstawić namiot i wejść do środka, a potem zamarkował atak z zewnątrz.

Godzinę później namiot był rozwalony, a moja koszula dosłownie w strzępach. Na moim podpuchniętym policzku widniał czerwony siniak – pamiątka po łokciu Malachiego, on z kolei miał solidnego guza, ślad po zderzeniu z moim kolanem.

– Jeszcze raz? – zaproponował, a kropla potu spłynęła mu po policzku.

– Muszę wyjść za parę minut, ale co tam.

– Chcesz przetestować jakąś konkretną pozycję? – zapytał uprzejmie.

– Może od tyłu? Z tym mam jeszcze problem.

Gapiliśmy się na siebie, a ja czułam, jak się rumienię, uświadamiając sobie

nagle dwuznaczność naszej rozmowy. Zastanawiałam się, czy Malachi też ją dostrzegł. I czy w ogóle zrobiło to na nim wrażenie.

Nie pokazał po sobie niczego.

– Świetnie – rzekł w końcu. – Pamiętaj, trzymaj ramiona blisko ciała. Rozrzucenie ich to zaproszenie do pozbawienia cię broni.

– Wiem – powiedziałam, odwracając się do niego plecami. – Ale dzięki za przypomnienie.

Z tyłu zapadła pełna napięcia cisza. Zamknęłam oczy, skupiając się na rękach, obolałych mięśniach, włoskach na karku, które mogły ostrzec mnie przed jego ruchem. Nastawiłam uszu, żeby usłyszeć jego oddech, wyobraziłam sobie, jak się zbliża. Zastanawiałam się, czy mi się przygląda i co sobie myśli.

I wreszcie dosłyszałam cichusieńkie kapnięcie kropli potu, które pozwoliło mi określić jego pozycję i to, że jest w ruchu. Nie czekałam, aż mnie zaatakuje. To ja przeszłam do ofensywy. Okręciłam się, przypadłam do ziemi i przejechałam nożem po ścięgnach pod kolanami, wystarczająco mocno, żeby je przeciąć, gdyby noże były ostre. Wiedział o tym, bo zaczął upadać w tył, ale wcześniej złapał mnie i pociągnął za sobą.

Uderzyłam głową o jego twardy tors, a potem wylądowałam na ziemi, omal nie przegryzając sobie języka. Zamachnęłam się i wraziłam mu nóż pod bok, zadowolona z jęku, który wydał. Grzmotnął mnie łokciem w ramię tak mocno, że straciłam czucie w całej ręce. Nóż wypadł mi z dłoni, ale gdy po niego sięgał, huknęłam go łokciem w górną część uda. Skulił się, by chronić wrażliwe miejsca, a ja wtedy na wpół sparaliżowaną ręką odepchnęłam nóż poza jego zasięg. Zebrałam się w sobie i uniosłam się, a potem kopnęłam kolaniem w tył jego uniesionej nogi, nie pozwalając mu odzyskać równowagi.

Lewą ręką sięgnęłam pod koszulę po drugi nóż, jednocześnie rzucając się na niego i przygniatając go całym ciężarem. Złapał mnie za nadgarstek, przetoczył się wraz ze mną i usiłował przygwoździć sobą do ziemi. Desperacko pragnęłam zwyciężyć. Żeby udowodnić, że potrafię. Że nie musi się o mnie martwić ani mnie chronić, że możemy być ze sobą – odepchnęłam tę głupią myśl i zrobiłam wykop obiema nogami. Nie zamierzałam pozwolić mu znów znaleźć się na mnie.

Podczas zmagania pozwoliłam mu kontrolować moją lewą rękę, prawą zaś udało mi się dobyć trzeci nóż. W chwili gdy sprzyjała mi grawitacja, odepchnęłam go nogą i z całej siły wyrzuciłam ramię w górę.

Malachi promieniał, patrząc na moją rękę, którą przykładałam mu nóż do gardła.

– Zabiłaś mnie – wyszeptał.

Unosiłam się i opadałam na jego poruszanej oddechem piersi niczym na fali. Patrzyłam mu w oczy, całkiem oszołomiona. Machinalnie wypuściłam nóż z dłoni i zaczęłam chciwie gładzić palcami jego szyję i podbródek. Zacisnął ręce na moim

łokciu i przymknął oczy. Odchylił głowę, odsłaniając gardło. Jego skóra była tak miękka i zapraszająca. Zapagnęłam poczuć ten mocny puls pod wargami, pod językiem, poczuć smak jego skóry, usłyszeć jego jęk. Ale... jeśli odchylił głowę, żeby uniknąć mojego dotyku? Jeśli tylko czekał, aż z niego zejdem i przestanę naruszać jego przestrzeń osobistą?

Stoczyłam się z niego i wstałam.

– Chyba pierwszy raz mi się to udało – powiedziałam głośniejszym głosem, niż było trzeba, żeby pokryć drżenie głosu.

Malachi nie podniósł się ani nie otworzył oczu.

Zachichotałam i trąciłam go stopą w biodro, desperacko pragnąc wyrwać ten moment z otchłani niezręczności. Ale chciałam również, żeby zauważył. Że go pokonałam. Że wcale nie jestem bezbronna. Że nie musi się o mnie martwić, ochraniać mnie.

– Udajesz trupa?

– Nie – powiedział spokojnie. – Dochodzę do siebie. – Leżał z rozrzuconymi na boki ramionami, jedną nogą wyprostowaną, a druga podkurczoną. Nadal odchylił głowę, odsłaniając gardło. Zwrócone do góry dłonie zaciskał w pięści.

Odsunęłam się, żeby powstrzymać się przed dotknięciem go.

– Nieźle mi poszło, prawda? Nie pozwoliłeś mi wygrać?

– Nie.

– No to... – Zagryzłam wargę, licząc na jakąś odpowiedź, ale Malachi nadal leżał nieruchomo. – Pozbierasz się jakoś?

– Kiedyś. – Ledwie poruszył ustami.

Nerwowo zaszurałam nogami. Każda kolejna sekunda pogłębiała moje zakłopotanie.

– Mam ci pomóc wstać?

– Idź, Lela, proszę. Chcę zostać sam.

Każde jego słowo uderzało we mnie niczym pocisk. Zrobiłam coś dobrze, ale nadal było źle. Miałam ochotę wrzasnąć: „Po prostu mnie uderz!”. Pragnęłam to wszystko cofnąć, być inną dziewczyną, taką, którą mógłby pokochać, którą by zechciał. Ale nie mogłam tego zmienić. Nie wiedziałam nawet, w czym tkwi problem. Nie do końca. Zagryzłam wargi, zdjęłam tępe noże i z bolącym sercem zostawiłam swoją ofiarę leżącą tam, gdzie upadła.

PIĘTNASTY

Do obozowiska dotarliśmy około dziesiątej wieczór. Wcześniej podrzuciliśmy Jima i Malachiego w okolicę jednego ze schronisk i pożegnaliśmy się z nimi, życząc sobie nawzajem dobrych łowów. Chciałam za wszelką cenę udowodnić ile jestem warta. W głowie szumiało mi od nadmiaru kofeiny i wybuchowej mieszanki niepokoju i wyczekiwania.

Przerośnięta trawa zachręściła nam pod butami, kiedy zesliśmy z chodnika. Przerzuciliśmy plecaki przez ogrodzenie, a sami precyzyjnie się na drugą stronę przez dziurę w siatce. Nad nami huczały samochody. Na autostradzie, pomimo późnej pory, nadal panował spory ruch. Dobiegający stamtąd hałas potęgowały podmuchy zimnego wiatru, który przenikał nawet przez moje trzy warstwy ubrań. Wyprostowane i ciasno upięte włosy ukryłam pod wełnianą czapką. Henry miał czerwoną kominiarkę zakrywającą czoło; wyglądał w niej jak jakiś obłąkany krasnal. Uparł się, żeby oprócz własnego plecaka nieść także namiot, który w ostatniej chwili podrzucił nam Rafael w miejsce tego zniszczonego podczas treningu.

– Hej, hej! – krzyknął ktoś ochryłym głosem wiekowego palacza. – Spieprzajcie stąd. – W wejściu do jednego z brudnych namiotów ustawionych przy kamiennej ścianie podpory pojawiła się głowa. Potem z namiotu wygramolił się mężczyzna z kijem baseballowym w dłoni.

Podniosłam ręce do góry. Henry rzucił nasz namiot i zrobił to samo.

– Szukamy bezpiecznego miejsca, żeby się rozłożyć na noc – zawołał. – Ani ja, ani moja dziewczyna nie chcemy sprawiać kłopotów. Chcemy się tylko spokojnie przespać.

Typ z pałką wstąpił w plamę światła rzucanego przez latarnię na estakadzie. Przypominał Eskimosa – był opatulony od stóp do głów, z wyjątkiem oczu, nosa i ust. Zarzucił kij na ramię, ale nadal trzymał go mocno rękami w rękawiczkach.

Wysunęłam się do przodu. Facet był skłonny w każdej chwili się wycofać. Widziałam to po tym, jak nerwowo popatrywał to mnie, to na Henry'ego. Bał się.

– Nie zrobimy ci krzywdy – powiedziałam, a Henry zrównał się ze mną. Widocznie też dostrzegł strach mężczyzny. – Poza tym to nie jest prywatny teren. Możemy tu być tak samo jak i ty.

Facet zaśmiał się chrypliwie.

– Ano tak, tylko pilnujcie własnych nosów. Słyszeliście o napaściach?

– Tak – odpowiedział Henry. – Byliśmy w obozowisku, do którego przyszli wczorajszej nocy. Dziś próbowaliśmy w schronisku, ale nie wpuścili nas razem, więc przyszliśmy tu. – Objął mnie, a ja oparłam się o niego, usiłując zrobić wrażenie, że jesteśmy parą.

Okutany mężczyzna wskazał pałką w stronę wody.

– Tam jest niezła miejscówka, bliżej brzegu. Tylko nie hałasujcie. Harriet by się to nie spodobało. Lubi, kiedy ludzie zachowują się przyzwoicie.

Powstrzymałam wzdrygnięcie.

– Harriet?

– Była zakonnica – burknął Okutany. – Też ma kij.

Henry zaśmiał się.

– Będziemy się starali nie zgorszyć siostry Harriet. Mamy trochę żarcia na zrzutkę. – Wskazał na nasze zniszczone plecaki.

Okutanemu zaświeciły się oczy.

– Zapasy zrzucamy tam. Dzięki.

Kiedy odszedł, rozbiliśmy namiot, a potem zanieśliśmy parę puszek i bochenek chleba na brudny stół ustawiony w jednej z plam światła. Podeszło do nas kilka osób, żeby się zapoznać.

Okazało się, że w obozowisku mieszkali Mike i Liz, para, która zatrzymała się na krótko w drodze z Maine do Georgii, chuda bezrobotna kelnerka, która straciła dom, i facet przypominający morsa. Ten ostatni jako jedyny nie posiadał namiotu. Był budowlańcem i sam zbudował sobie szałas z kartonów i blachy falistej. Budowlaniec śmierdział alkoholem i zezował lubieżnie na kelnerkę, aż ta uciekła do namiotu i zamknęła się w nim. W obozowisku przebywało też dwóch nastolatków, chudzielców w rozciągniętych swetrach. Patrząc w ich puste oczy, nie mogłam się nie zastanawiać, ile numerków dziś zrobili i ile czasu minęło, odkąd ostatni raz wstrzyknęli sobie w żyły to, co wcześniej zarobili. Pomyślałam też o Nicku. Czy ich znał? Czy dzielił z nimi materac albo igłę? Tacy właśnie ludzie jak ci chłopcy stanowili idealny cel dla Mazikinów. Gdyby zniknęli, nikt by ich nie szukał, nie tęskniłby za nimi. Ba, w zasadzie to już zniknęli i nikt ich nie szukał, i nie przejmował się nimi. Gdyby umarli, ludzie pokiwaliby tylko głowami, mówiąc, że to taka strata. Nawet nie szukaliby zbyt dociekliwie zabójcy. A jeśli Mazikiny by ich opętały, nikt nawet nie dostrzegłby różnicy.

Odesłałam Henry'ego do namiotu, a sama postanowiłam obejść obozowisko, żeby zorientować się w rozkładzie i rozmieszczeniu punktów najbardziej podatnych na atak. Z powodu hałasu dochodzącego z autostrady trudno byłoby usłyszeć nadchodzących napastników – to na pewno działało na naszą niekorzyść. Najbardziej narażone były namioty rozstawione bliżej wody, najbezpieczniejsze były te znajdujące się przy podporach. Najłatwiejsza droga ucieczki biegła wzdłuż pasa zieleni, który ciągnął się w jedną stronę aż do parku, a w drugą w kierunku dzielnicy, którą mijaliśmy, idąc tutaj.

Zaparkowaliśmy kilka przecznic dalej, w okolicy, gdzie mieszkańcy mijali nas ze spuszczonego wzrokiem, dobrze jednak wiedzieliśmy, że nas bacznie obserwują. Niezbyt to było bezpieczne miejsce do parkowania, ale wątpiłam, by ktokolwiek chciał ukraść naszego ponaddwunastoletniego forda.

Około północy weszłam do namiotu, trzymając latarkę nisko, żeby nie świecić Henry'emu po oczach. Siedział po ciemku, zręcznie nakładając belty na kuszę, którą przyniósł w plecaku, w częściach.

– Nic nie słyszę przez ten hałas – poskarżył się. – Nienawidzę hałasu.

– Rozumiem. Ja też. Muszę tam jeszcze wrócić, ale... – Nie chciałam przyznać, że zmarłam.

– Ach, całkiem zapomniałem – powiedział. Wyciągnął z plecaka rękawice i podał mi je. – „Koniecznie daj to Kapitan”, upominał mnie przed wyjściem. – Fatalnie naśladował akcent Malachiego. – „Na pewno zapomni ich zabrać”. – Wskazał brodą na moje czerwone, zmarznięte dłonie, w których ścisnęłam latarkę. – Widać miał rację.

Usiadłam, położyłam latarkę i wzięłam rękawice. Skórzane, ocieplane polarem, pasowały jak ulał. Nie wiem, co bardziej mnie rozgrzało – rękawice czy myśl, że Malachi zatroszczył się o mnie. Żałowałam tylko, że nie dał mi ich osobiście.

– Rozmawiałś z nim o tym, co zaszło? Wtedy, w gnieździe?

Zerknęłam na Henry'ego, starając się odczytać w mroku jego minę.

– Tylko tamtego dnia. – Kiedy złamał mi serce. – Później już nie.

Henry podrapał się po szyi.

– Hm... Myślę, że ciężko to przeżywa. Chyba nie sypia za dobrze. Nie kładzie się długo po powrocie z patrolu, godzinami trenuje w piwnicy. A kiedy zasypia... – Pokręcił głową. – Może nie powinienem ci tego mówić.

Staralam się zachować obojętny wyraz twarzy.

– Muszę mu pomóc, Henry. To mój obowiązek.

Henry rzucił mi niepewne spojrzenie.

– Chyba dręczą go koszmary.

Objęłam się za kolana, jakby otaczając ból, który obudził się we mnie na myśl o udręczeniu Malachiego.

– Postaram się z nim porozmawiać. – „Postaram się”, było tu kluczowym słowem.

Henry wzruszył ramionami i wyjął z plecaka zatęchły koc.

– Teraz moja kolej – powiedział.

– Gdzie będziesz?

– Znajdę jakąś kryjówkę, która da mi możliwość czystego strzału na linii drogi prowadzącej do namiotu. Tak robiliśmy na Pustkowiu. – Ściągnął brwi, jakby uderzyło go jakieś wspomnienie. – Nie zapewniało to całkowitego bezpieczeństwa, ale dawało możliwość wzajemnej ochrony.

– My? – Popatrzyłam mu w oczy. – Miałeś partnera, tak?

– Tak. – Wyczułam napięcie w jego głosie. – Dogadywaliśmy się. Nie chciałem go zostawiać.

Sposób, w jaki to powiedział, i błysk cierpienia w oczach sugerowały, że ich znajomość wykraczała poza ramy zawodowe.

– Miałaś wybór? Czy przyłączyć się do tej misji?

– Myślę, że zawsze istnieje jakiś wybór, ale wydawało mi się, że to szansa, której nie powinien odrzucić. Ale kiedy tu skończę, zamierzam po niego wrócić.

– Chcesz wrócić na Pustkowie?

– Muszę. Podejmując decyzję, liczyłem chyba na to, że zaskarbię sobie przychylność Sędziego i dzięki temu może wypuści Saszę. Nawet jeśli w zamian ja musiałbym zostać. – Popatrzył na mnie zażenowany. – Pewnie to głupio dla ciebie brzmi.

– Wcale nie. Uważam, że to sensowne – powiedziałam, z trudem pokonując rosnącą w gardle gulę. – No to skończmy to szybko, żebyś mógł po niego wrócić.

Uśmiechnął się z wdzięcznością, naciągnął kominiarkę na twarz, okrył się kocem i schował pod nim kuszę.

– Odpocznij tymczasem. Będę niedaleko.

Okryłam się śpiworem, nie zapinając go, na wypadek gdybym musiała szybko wyjść. Zgasiałam latarkę i leżałam w ciemnościach, myśląc o Henrym. Jego sytuacja była podobna do sytuacji Any i Takeshiego, rozdzielonych, gdy Takeshi został opętany przez Mazikina. Miałam nadzieję, że Ana znajduje się teraz na Wsi i że się odnaleźli, ale wiedziałam już, że obdarzenie uczuciami Strażnika to prośenie się o złamane serce.

Chcąc oderwać się od tych myśli, zaczęłam ćwiczyć dobywanie noży i ataki na niewidzialnego przeciwnika. Po południu ćwiczyłam bez rękawic, więc zajęło mi trochę czasu, zanim przywykłam do mniejszego czucia i gorszej sprawności palców. Podczas ćwiczeń poczułam iskierkę dumy, że tyle się nauczyłam i to tak szybko.

Przetoczyłam się, krzywiąc, bo cienka karimata nie stanowiła ochrony przed ostrym żwirem. Sięgałam właśnie po noże ukryte w futerałach na piersi, kiedy usłyszałam jakiś odległy odgłos. Krzyk? A może dźwięk dochodzący z autostrady? Nim doszłam, co to było, nieopodal namiotu rozległ się pohukujący śmiech. Wyskoczyłam ze śpiwora jak oparzona. Skulona w atramentowych ciemnościach, wycężałam słuch, ale dobiegał mnie tylko szum samochodów. Kilka sekund później pohukiwanie rozległo się znowu.

A potem ktoś krzyknął.

Naraz całe obozowisko wypełniło się piskami, szczękiem, łomotem i trzeszczeniem rozdieranej tkaniny. Wyprysnęłam z namiotu z nożem w jednej i latarką w drugiej ręce i w tym momencie uderzyła we mnie kupa łachmanów cuchnących kadzidłem. Upadłam, przetoczyłam się i kopniakiem odrzuciłam napastnika. Zerwałam się na nogi. Obozowisko przemieniło się w pole bitwy, panował totalny chaos. Ktoś wrzeszczał, żeby dzwonić na numer alarmowy, ktoś

inny łkał. Nie byłam w stanie zorientować się w sytuacji, bo wszyscy biegali, wrzeszczeli i wymachiwali latarkami.

Jakaś biegnąca na czworaka postać przystanęła w świetle mojej latarki i spojrzała na mnie. Miała białe, postrzępione włosy, szerokie barki i niesamowicie długie ramiona. Mazikin podniósł się i zaczął zbliżać na ugiętych nogach. Okropny przodozgryz ukazywał nierówne, połamane dolne zęby.

– Dossskonała! – syknął stwór i skoczył na mnie.

Ośloniętym warstwami odzieży ramieniem odtrąciłam koszmarne szpony, a potem uderzyłam potwora w twarz latarką. Głowa poleciała mu na bok, ale dzięki masywnym nogom zachował równowagę. Kiedy rzucił się na mnie, warcząc, uświadomiłam sobie, jak trudno będzie schwytać któregoś żywcem. Ze zwierzęcym krzykiem okręciłam się i dźgnęłam go nożem w bok, zatapiając ostrze głęboko, aż do kości. Stwór zgiął się wpół, uderzając twarzą w moje wystawione kolano. Rozległ się chrupot miazdzonej szczęki, trysnęła ślina i Mazikin padł na ziemię z wybałuszonymi oczami.

Drugi zaatakował mnie od tyłu. Aż żołądek podszedł mi do gardła, kiedy uderzyła we mnie fala jego smrodu. Ukąsił mnie w ramię, ale na szczęście nie przebił się przez warstwy tkanin. Schyliłam się, przerzucając go przez plecy. Zanim pozbierał się z ziemi, skoczyłam mu na klatkę piersiową i poderznięłam gardło. Podniosłam się, zadowolona, że wcześniej zgubiłam latarkę i nie muszę teraz oglądać ociekających krwią rękawic.

Odwracałam się, aby ocenić sytuację, kiedy nagle mój bark eksplodował straszliwym bólem. Wrzasnęłam i oślepią białymi płatkami tańczącymi mi przed oczami, upadłam. Nogami odepchnęłam od siebie napastnika. Zatoczył się w plamę światła rzucanego przez latarnie na autostradzie.

– Nie dostaniesz mojego obozu! – zaskrzeczała siwa kobieta, wymachując kijem baseballowym. Siostra Harriet w akcji.

– Nie chcę twojego obozu! – krzyknęłam, ściskając bark, który rwał straszliwym bólem i zdążył już spuchnąć do wielkości hipopotamka. – Bronię go!

Żwir uderzył w betonową konstrukcję nad moją głową, a siostra Harriet zatoczyła się, co uratowało mnie przed kolejnym ciosem. Jeden z nastolatków krzyczał przeraźliwie. Tak bardzo przypomniał mi sytuację z Nickiem, że aż zawołałam go tym imieniem. Mój głos utonął jednak w ogólnym zgiełku. Zastanawiałam się, gdzie jest Henry i czy też został zaatakowany.

Mimo oszołomienia bólem podniosłam się i dobyłam kolejnego noża. Lewe ramię zwisało mi bezwładnie. Wskazałam na Harriet ostrzem. Na widok mojej miny kurczowo przytuliła do siebie kij.

– Jeśli coś śmierdzi jak kadzidło, nie zastanawiaj się, tylko wal – rozkazałam. – I choćby nie wiem co, nie daj się im zabrać.

Biała jak płótno kiwnęła głową.

– Stań plecami do ściany! – zawołałam i zrobiłam to samo. Wpatrywałam się przed siebie, starając się przebić wzrokiem ciemności.

Harriet przylgnęła do betonu, a ja przesunęłam się, robiąc jej więcej miejsca z obawy, żeby podczas zamachu nie uderzyła mnie w głowę. Moją uwagę przyciągnął jakiś ruch w trawie nad wodą. Usłyszałam niski jęk. Ostrożnie ruszyłam naprzód. Adrenalina znieczuliła ból w strzaskanym barku.

Gdzieś z boku rozległ się tupot. Nie odwróciłam się do napastnika, ale zanim mnie dopadł, runął mi jak długi pod nogi, z bełtem sterczącym z pleców. Poczułam ulgę. To oznaczało, że Henry jest gdzieś niedaleko i strzela mimo ciemności.

I to celnie. Teraz wystarczyło przyprzeć jednego z napastników do muru i schwytać.

Z nabrzeża dobiegł mnie pogardliwy śmiech. Wydawała go kupa szmat o rozczochranej szopie loków, które sterczały dziko na wszystkie strony. Włosy były bardzo długie, częściowo zaplecione w warkoczyki, pomiędzy którymi tkwiły koraliki, liście i gałązki. Mazikinica targała przez wąski pas trawy nad wodą chudą kelnerkę.

– Hej, ty! – zawołałam, wychodząc z cienia pod estakadą i wciskając ból w zamkniętą przegródkę w mózgu. – Puść ją. Weź mnie.

Kelnerka szarpała się i piszczała, a z jej zranionej szyi kapła krew, plamiąc różową flanelową koszulę. Drobna Mazikinica przyciągnęła ją do siebie brutalnie.

– *No, ella es perfecta* – warknął stwór spomiędzy opadających na twarz włosów. Przez rozczochraną grzywę bardziej przypominał zwierzę niż człowieka.

– Jest trochę chuderlawa – zauważyłam, podchodząc bliżej. Za plecami usłyszałam stęknienie Harriet, a potem warknięcie, łupnięcie i jazgot. Mazikinica poderwała głowę, spoglądając w miejsce, skąd dochodził dźwięk. Rzuciłam się ku niej, zakładając łatwe zwycięstwo. Kiedy puściła kelnerkę i wstała, okazało się jednak, że jest mojego wzrostu. Palcami uzbrojonymi w połamane pazury odgarnęła włosy. Nasze spojrzenia spotkały się.

Stałam jak wryta, wpatrując się w nią.

Zrobiła to samo. Jej mina przeobraziła się, wyszczerzone zęby rozwarły się, a oczy, jeszcze przed chwilą płonące wściekłością, wypełniły się łzami.

– *Tú has crecido* – powiedziała drżącym, piskliwym głosem. Zrobiła ku mnie krok, mrugając powiekami. Łzy popłynęły jej po policzkach. – *Oh oh oh*. Taka... śliczna...

Cofnęłam się, żołądek podszedł mi do gardła, a świat roziskrzył się przed oczami.

– Nie. – Zasłoniłam się nożem. Wzdrygnęła się, ale nie przestała iść w moją stronę małymi, szurającymi kroczkami.

– *Mija* – zagruchała, wyciągając ku mnie brudne, nierówne szpony.

Nie mogłam się poruszyć. Stałam, sparaliżowana bólem, tym fizycznym

i tym w środku, a przed oczami przelatywały mi czerwone i czarne platy, a pośród nich obrazy gładkich dłoni, kręconych włosów, smutnego uśmiechu i złotobrazowych oczu, teraz przyćmionych duszą innej istoty.

– Nie, nie, nie, nie – bełkotałam, zataczając się do tyłu.

– *Lela* – wyszeptała Mazikinica.

– Nie! – krzyknęłam, skacząc ku niej. – Nie znasz mnie!

Zderzyłam się z nią, ale byłam oszołomiona i słaba. Odepchnęła mnie. Z całej siły uderzyłam o pień drzewa złamanym barkiem. Świecek stanęły mi przed oczami, nóż wypadł z dłoni, a ciałem wstrząsnął agonálny ból. Skulona podniosłam głowę. Mazikinica pozbierała się szybko i już rozglądała się, szukając drogi ucieczki.

– Chodź – przywołała mnie gestem. – *Come. Ven con migo. Lela.*

Podmuch wiatru odgarnął jej z twarzy włosy, ukazując zapadnięte policzki, pomarszczoną, obwisłą, zmęczoną i starą skórę. Ale te złotobrazowe oczy... Znałam je.

Widziałam je za każdym razem, spoglądając w lustro.

Kątem oka dostrzegłam przemykającą po trawie postać. W blasku księżyca rozpoznałam Henry'ego, który właśnie unosił kuszę.

Celując w moją matkę.

SZESNASTY

Wszystko działo się błyskawicznie, chociaż ja miałam wrażenie, że trwa całe wieki. W głowie włączył mi się stary film, wspomnienia wydobyte ze studni czasu. Widziałam jak kładzie koło mnie niebieskiego misia i czule okrywa mnie starym kocykiem. Chrypliwym głosem śpiewa kołysankę. Płacze w ciemności, jej gorące łzy spadają mi na twarz, a ja myślę, że to deszcz.

Zareagowałam instynktownie, zupełnie nie myśląc – kierowana impulsem po prostu ją zasłoniłam. Mazikin w jej ciele patrzył z szeroko rozwartymi bursztynowymi oczami i rozchyłonymi ustami. Bełt przeszył mnie, jakby był zrobiony z niczego, przebił jak worek ze skóry. Upadłam. Z odwróconej perspektywy obserwowałam, jak ucieka na dwóch nogach, a potem skacze naprzód i kontynuuje bieg już na czworaka. Po chwili zniknęła za wzniesieniem.

Zamknęłam oczy, chłonąc palący ból, czując, jak nasiąkają nim moje płuca.

– Niech to szlag! Kapitanie! – Ujrzałam rozmytą twarz Henry’ego. – Szlag!

– Przepraszam – pisnęłam jak dziecko.

– To był pewniak, prawie go miałem. A ty... – Wyrzucił z siebie wiązanek przekleństw.

– Któryś przeżył? Możemy go zabrać ze sobą? – Wypuściłam drżący wydech. Byłam senna, czułam się dziwnie. Połowa ciała bolała palącym żarem, a druga piekącym zimnem.

– Zwariowałaś?! Muszę cię stąd zabrać, zanim pojawi się policja!

Dźwięk syren pobudził mnie do działania.

– Pozbieraj bełty, Henry. I mój nóż, leży przy drzewie. Niczego nie zostawiaj. Dobij ranne Mazikiny, ale sprawdź dobrze, czy to na pewno one. Idź.

Henry zniknął na wieczność, którą spędziłam zanurzona w morzu oszołomienia, pośrodku całkowitego chaosu. Kiedy wrócił, ułożył mi lewą rękę na brzuchu. Spomiędzy zaciśniętych zębów wydarł się jęk. Bełt sterczał mi z piersi, poniżej złamanego barku.

– Możesz go wyjąć? – wystękałam, przekonana, że ból odejdzie, kiedy tylko wyciągnie pocisk. – Wyjmij go, proszę.

Nie odpowiedział. Okrył mnie kocem i wziął na ręce. Był zaskakująco silny jak na mężczyznę tak szczupłej postury. Przygarnął mnie mocno do siebie i wyniósł z obozowiska. Odgłos syren narastał. Henry zaczął biec, a ja przy każdym jego kroku czułam, że umieram.

Milion lat później trzasnęły otwierane drzwiczki i znalazłam się na tylnym siedzeniu forda, które śmierdziało przysmakami dla zwierząt i sfermentowanym sokiem.

– Pochyl się i nie ruszaj przez chwilę – powiedział Henry. – Przypnę cię.

– Fantastycznie – wymamrotałam, kiedy mocował pasy wokół mojego ciała.

– Zadzwoń do Malachiego i powiedz mu...

– Już załatwione.

Zaczęłam się zastanawiać, kiedy po drodze straciłam przytomność. Szczerze zapragnęłam powtórki. Najlepiej od razu.

Nagle podniosły mnie silne ręce. Co zaskakujące, nic nie bolało, choć nadal kołysałam się na morzu bez łodzi.

– Musimy wyciągnąć bełt – usłyszałam głos Rafaela. – Zakładam, że wolałabyś przespać ten moment.

– Słuszne założenie – powiedziałam, odkrywając, że znów leżę na boku, tym razem jednak na łóżku. Odwróciłam głowę i z nadzieją wciągnęłam powietrze nosem.

Nie, nie było to łóżko Malachiego.

– Gdzie on jest? – szepnęłam, zanim ugryzłam się w język.

Rafał przesunął gorącymi dłońmi po mojej szyi.

– Wie, że jesteś ranna, i poprosił o zgodę na opuszczenie posterunku. Henry zaraz po niego pojedzie.

– Nie. Niech Henry do niego zadzwoni i powie, że on i Jim mają skończyć patrol. – Bardzo chciałam, żeby wrócił, ale skoro miał być dla mnie wyłącznie porucznikiem, nie powinien rzucać wszystkiego tylko dlatego, że coś mi się stało. Nie powinnam tego od niego wymagać.

Rafał spojrział na mnie zaskoczony, ale skinął głową.

– Schrzaniłam to. Mam nadzieję, że Henry nie czuje się źle?

Rafał rozpiął uprząż z futerałami na noże i ostrożnie zdjął ją ze mnie, zatrzymując się co chwila, żebym mogła złapać oddech.

– Przeżywa, że weszłaś w drogę jego pociskowi, ale jest szczęśliwy, że żyjesz.

– Ja też.

– Chciałby tylko wiedzieć, dlaczego tak się stało. Powiedział, że wyglądało to tak, jakbyś chroniła Mazikina.

Jej twarz mignęła mi przed oczami. Jej oczy. Moje oczy. *Lela*, powiedziała. *Ven con migo*.

Westchnęłam, a ostre odłamki bólu wydawały się przeciskać od środka na zewnątrz, rozdierając mnie na strzępy. *Mama*, usiłowałam powiedzieć, ale żadne słowo nie wydostało się z moich ust. *Mamo. Mamomamomamomamo*.

Przenicowało mnie. Trzydzieści lat pogrzebanej tęsknoty przetoczyło się we mnie, miażdżąc. Tyle lat, tyle pragnień, fantazji o tym, że po mnie przychodzi, że mnie ratuje. Wszystko po to, żeby na koniec dowiedzieć się, że była uwięziona w nieświadomości, w miejscu, którego nie ma na żadnej mapie.

A teraz tkwiła jeszcze gdzie indziej, gdzieś, gdzie również nie dało się dotrzeć.

Rafael pochylił się nade mną. Bił od niego złoty blask, emanował, otaczając nas oboje. Jakby rozpiął nade mną skrzydła, a ja płakałam i płakałam, uderzana kolejnymi falami wspomnień i uczuć. Pod tą naszą mieniącą się osłoną schylił głowę i położył mi rękę na czole.

– Przepraszam – wydukałam. – Nie mogę przestać.

– Nie spiesz się – mruknął. – Poczekam.

Siedział nieruchomo z zamkniętymi oczami niczym kotwica w *tu i teraz*, nie pozwalając, by wspomnienia zabrały mnie ze sobą i uwięziły we *wtedy*. Złote skrzydła otaczały nas, lśniąc i migocząc diamentowym blaskiem, wręcz boleśnie pięknym, aż wypłakałam wszystkie łzy. Kiedy ucichłam, osłona z blasku zaczęła się kurczyć, wracając do jego ciała, i w końcu zniknęła. Otworzył oczy i spojrzał na mnie.

– Teraz cię uśpię i uleczę twoje ciało.

Kiwnęłam głową na zgodę, a on zabrał z moich barków ciężar świata.

Własne ciało wydawało mi się obce. Było ciałem wojownika. Stałam przed lustrem, a u stóp leżał ręcznik, który odrzuciłam. Strużki wody z mokrych włosów ciekły mi po plecach. Na piersi, tuż pod obojczykiem, widniała gwiazdzista, różowosrebrna blizna. Na brzuchu podłużne, srebrnobiałe ślady po zadrapaniach. Na ramieniu wytatuowana podobizna mojej przyjaciółki.

Znamiona stoczonych bitew.

Skóra była zespolona, gładka, udekorowana śladami świadczącymi o tym, że walczyłam. I przetrwałam. Ciało było zdrowe, ale dusza, to zupełnie co innego. Jak otwarta, wrażliwa rana, piekła i pulsowała boleśnie od zgiełku bitwy *teraz z wtedy*. Uniosłam brodę i spojrzałam na swoją twarz, widząc w niej tylko ją.

– Następnym razem cię zabiję – szepnęłam. – Nie zawaham się.

Odwróciłam się i dokończyłam przygotowywać się do szkoły. Parę godzin wcześniej ocknęłam się z głębokiego snu, zdrowa i wypoczęta, przynajmniej na zewnątrz. Strażnica tonęła w mroku i ciszy. Malachi, Jim i Henry nie wrócili jeszcze z terenu. Wymknęłam się. Wstydyłam się i nie chciałam z nimi spotkać.

Kiepski ze mnie Kapitan. Uznałam, że lepiej im będzie beze mnie.

Z tym większym zaskoczeniem natknęłam się na nich przed domem Diany, kiedy wychodziłam do szkoły. Jim wyskoczył z samochodu. Malachi szybko przesunął po mnie wzrokiem, ale odwrócił oczy, zanim sięgnęły twarzy. Henry wpatrywał się w ulicę przed maską samochodu.

– Kapitanie – powitał mnie Jim, dołączając do mnie na ganku. Uczesał się, ogolił i wyglądał teraz jak ideał amerykańskiego nastolatka. Otaksował mnie spojrzeniem, ale tym razem nie pożądlwym, a raczej w rodzaju „słyszałem, że byłaś śmiertelnie ranna”. Kiedy skończył mi się przyglądać, przygarbił się lekko. – Chciałem zapytać, czy... – Spojrzał po sobie i wtedy dostrzegłam, że ma przewieszony przez ramię plecak. – Mogę iść z wami do szkoły?

– Jasne – powiedziałam, przyglądając się, jak Henry odjeżdża, zabierając ze sobą Malachiego. – To nawet dobrze, bo Mazikiny polują na uczniów. Do jakiej szkoły chodziłeś przed... no wiesz. – *Przed śmiercią.*

– Nigdy nie chodziłem do szkoły. – Zachmurzył się.

– Jak to? – Nigdy nie pytałam, jak wyglądało jego życie, zanim został Strażnikiem. Henry’ego zresztą też, po prostu nie chciałam być wścibska. Skoro jednak chciał chodzić ze mną do szkoły, musiałam wiedzieć, czy nie będzie to bardziej kłopotliwe niż przydatne. – Wychowywałeś się w czasach, kiedy nie było szkół?

– Nie, dorastałem w miejscu, gdzie nie ma szkół.

– Czyli gdzie?

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Na Wsi.

Ze zdumienia aż otworzyłam usta.

– Co?

Zacisnął nerwowo palce na pasku plecaka.

– Zastanawiałaś się kiedyś, co się dzieje ze zmarłymi dziećmi? Albo niemowlętami?

– W zasadzie to nie. Czyli umarłeś w dzieciństwie?

– Można powiedzieć, że urodziłem się martwy – stwierdził pustym głosem. – Żyłem parę minut, zdążyłem tylko dostać imię. A potem wychowywałem się na Wsi z innymi dziećmi takimi jak ja. Wypuścili nas, kiedy osiągnęliśmy dojrzałość. Zostajemy tacy – wskazał na siebie – już na zawsze. Ale umiem czytać, szybko nadgonię.

– W porządku – mruknęłam, powstrzymując potok pytań, które cisnęły mi się na usta. – Lepiej się pospieszmy, żeby się nie spóźnić.

– Wydarzenia w obozowisku są na pierwszych stronach gazet – powiedział, kiedy wycofywałam samochód z podjazdu. – Znaleziono tylko jedną żywą osobę, kobietę.

– W jakim wieku? – zapytałam, zastanawiając się, komu się udało – Harriet czy kelnerce? A może kobiecie, która podróżowała z partnerem do Georgii? Czy mogła być to Mazikinica?

– Nie podawali. Mówili, że znajduje się w stanie krytycznym, ale policja ma nadzieję przesłuchać ją w sprawie napadu, bo jest jedynym żyjącym świadkiem.

– Ilu znaleziono martwych? – zapytałam z bijącym sercem.

– Czworo. Henry twierdzi, że zdjął dwoje, nie licząc ciebie oczywiście. Stałam na światłach i głęboko odetchnęłam, ignorując przytyk Jima.

– Ja chyba też zabiłam dwójkę.

– W takim razie to tyłu, ilu mówili. Czyli z ludzi nie zginął nikt.

Zacisnęłam ręce na kierownicy.

– Trudno powiedzieć. Nie wiemy, ile Mazikinów brało udział w napaści, nie wiemy też, ilu bezdomnych udało im się schwytać i zaciągnąć do kryjówki.

– To samo powiedział Malachi.

Westchnęłam, skręcając na parking.

– Co jeszcze mówił?

Jim spojrział na mnie przeciągle.

– Niewiele.

Wyjęłam kluczyki ze stacyjki. Mój wzrok przyciągnęła sterta kwiatów, zniczy i zdjęć ułożonych przed wejściem do budynku, w miejscu, gdzie Aden został złożony w ofierze w naszej prywatnej wojnie. Miejsce to, wlokąc się noga za nogą, mijali właśnie Ian i Greg. Greg terkotał coś przez chwilę, a Ian powiódł przekrwionymi oczami po tym prowizorycznym pomniku pamięci. Wyglądał, jakby nie spał całą noc. Zrobiło mi się go żal. Ponownie westchnęłam.

– Trafiliście na coś podejrzanego podczas wczorajszego patrolu?

Jim poruszył się niespokojnie.

– Tak jakby. Wszystkie schroniska były przepelnione, nigdzie nie mogliśmy wejść. Ale przy jednym, tym w Willard, poczuliśmy ich zapach. – Wzruszył ramionami. – W zasadzie to porucznik ich wyczuł.

– I?

– Kazał mi pilnować frontowego wejścia, a sam wspiął się drogą pożarową i wszedł przez okno na piętrze.

Dobrze, że nie wpadł do holu jak burza, wymachując nożami.

– Ale niczego nie znalazł – ciągnął Jim. – Doszliśmy do wniosku, że może Mazikiny kręciły się na zewnątrz, może szukały ofiar.

Przytaknęłam.

– Zwiększają swoją liczebność, wykorzystując ludzi, których nikt nie będzie szukał. W ten sposób nikt nie podniesie alarmu, zanim nie będzie ich tyle, że okaże się za późno na powstrzymanie inwazji.

– Ale ten twój kolega ze szkoły był inny. Wielu ludziom na nim zależało.

Przymknęłam oczy.

– Tak. Schwytali go, wykorzystując okazję. Ścigał ich, chciał złapać i ujawnić. Jestem pewna, że okazał się dla nich cenniejszy, niż początkowo sądzili.

Jim zaczął śledzić wzrokiem Tegan i Laney, które niosły na miejsce pamięci wielki bukiet i pompony czirliderskie.

– Mogą spróbować ponownie.

– Na pewno to zrobią. Będą ostrożniejsze, bo tak jak i my nie chcą zostać przyłapane, ale na wszelki wypadek musimy mieć wszystkich na oku. Masz jakąś historyjkę tłumaczącą twoją obecność tutaj?

– Tak, Rafael załatwił mi papiery. Na wszelki wypadek, gdybyś się zgodziła. Zostałem przeniesiony z prywatnej szkoły imienia Bishopa MacDonalda. –

Zarumienił się. – Dostałem zawieszenie za bijatyki i picie na terenie szkoły.

Zachichotałam.

– Czasami podejrzewam, że Rafael naprawdę ma spore poczucie humoru.

Bez urazy.

– W porządku. – Uśmiechnął się zakłopotany, a potem wskazał na Tegan. –

Uhm... Kto to? Znała Adena?

– Tak. Byli ze sobą przez jakiś czas. – Dostrzegłam błysk zainteresowania w jego oczach. – Ej, nie rozpraszaaj się. Masz się skupić na zadaniu.

Błysk przygasł nieco, ale nie zniknął całkiem.

– Tak jest, Kapitanie.

Otworzyłam drzwiczki i wysiadłam, napotykając natychmiast wzrok Malachiego, który stał przed wejściem. Oderwałam spojrzenie od jego obojętnej twarzy.

– Nikt z nas nie może teraz pozwolić sobie na angażowanie się w inne sprawy.

SIEDEMNASTY

Pierwsze lekcje minęły mi jak we śnie. Na literaturze gapiłam się na kark Malachiego. Nawet na mnie nie zerknął. Ale na przerwie, kiedy szłam do sali biologicznej, złapał mnie za ramię i pociągnął do korytarzyka obok sali gimnastycznej.

Nie zdążyłam nawet zaprotestować, kiedy jego twarz znalazła się tuż przy mojej. Po kamiennej minie nie zostało nawet wspomnienie. Był wyraźnie sfrustrowany, zaciskał mocno usta.

– Dlaczego? – wycodził.

Nie chciałam wiedzieć, o co tak naprawdę pyta, bo wtedy musiałabym mu odpowiedzieć. Dlaczego nie złapałam żywcem żadnego Mazikina? Dlaczego prawie dałam się zabić? Dlaczego nie pozwoliłam mu wcześniej wrócić z patrolu? Dlaczego byłam taka popaprana? Każde z tych pytań stawiało nas na grząskim gruncie. Każdy krok groził wejściem na minę w postaci mojego błędu czy wady. Skupiłam wzrok na jego ramieniu, na drobnej nierówności na szwie.

Grupka przechodzących uczniów obrzuciła nas zaciekawionymi spojrzzeniami. Zmusiłam się do uśmiechu.

– Musimy postanowić, czy udajemy, że nadal jesteśmy razem, czy nie – powiedziałam. – Ty decyduj, ale tak czy owak trzeba uniknąć teatru, bo to mogłoby mieć niekorzystny wpływ na nasza misję. – Mówiłam jak automat, recytowałam tekst, który ćwiczyłam cały ranek.

– Mam to gdzieś – odparł. Oparł dłonie o ścianę, odgradzając mnie ramionami. Jego bliskość, zapach, ciepło doprowadzały mnie do szaleństwa, jednocześnie pragnęłam go i chciałam uciec. – Chcę wiedzieć, co stało się wczoraj, Kapitanie – powiedział cicho. – Henry mówił, że oberwałaś bełtem, broniąc Mazikina. Muszę wiedzieć, dlaczego to zrobiłaś.

Zacisnęłam zęby. Załamałabym się, gdybym zaczęła teraz mówić o matce. Świeża, tkliwa rana w moim sercu otworzyłaby się, zostawiając mnie na tym korytarzu w kompletnej rozsypce.

– Muszę się skupić na lekcjach. I ty też – warknęłam, gapiąc się na napięte, falujące ścięgno na jego szyi. – Porozmawiamy o tym w Strażnicy. Później. A. Teraz. Odsuń się. – Ostatnie słowa wyrzuciłam z siebie jak pociski.

I widać sięgnęły one celu, bo Malachi opuścił ręce i wyprostował się. Miałam ochotę wciągnąć z powrotem wypłuty przed chwilą jad, rzucić się przez pole minowe z nadzieją, że Malachi mnie złapie i bezpiecznie przeniesie na drugą stronę. Nieomal uwierzyłam, że to możliwe.

Dopóki nie dostrzegłam jego drżących, zaciśniętych pięści.

– Tak jest, Kapitanie. – Cofnął się powoli. – A jeśli chodzi o tę pierwszą kwestię, to łatwiej będzie nie udawać.

Odszedł.

Położyłam prawie pustą tacę na stoliku obok Tegan, wpatrującej się pustym wzrokiem w talerz sałaty.

– Hej – zagaiłam. – Jak się masz?

– Daję radę – mruknęła. – Nie byłam na literaturze, bo kazali mi iść do Ketzler. Podejrzewa chyba, że mam myśli samobójcze albo coś takiego.

– A masz? – Przyjrzałam się jej uważnie. Była nieumalowana i wyglądała, jakby lada chwila miała się załamać.

Popatrzyła na mnie ostro.

– Skąd! Po prostu... – Zadrżała jej broda. Chwyciła nerwowo serwetkę.

W tym momencie na blacie wylądowała wylądowana taca i obok Tegan klapnął Jim. Wyjął z kieszeni paczkę chusteczek.

– Chcesz jeszcze jedną? – zapytał łagodnie.

Pociągnęła nosem i wzięła chusteczki.

– Dzięki. Przeżyłeś jakoś beze mnie swoją pierwszą literaturę? Sorki, że mnie nie było. – Ocierając oczy, trąciła go szczupłym ramieniem.

– Ledwo, ledwo – powiedział wesoło. – Peterson chyba uznała, że nie ma dla mnie nadziei.

Tegan zaśmiała się chrypliwie.

– Spokojnie, pomogę cię. Peterson mnie uwielbia. Już cię tak nie zostawię.

Popatrzyłam na Jima ponad jej opuszczoną głowę. Uniósł brwi, jakby pytał: „A czego się spodziewałaś?”. Łypnęłam na niego ostrzegawczo i zajęłam się swoim jabłkiem, pozostawiając ich pogrążonych w rozmowie o lekcjach, które jeszcze dzisiaj ich czekały. Naprzeciw mnie usiadła Laney. Była blada, jak zazwyczaj, ale oczy jej błyszczały. Nawet się nie przywitała, zbyt zajęta była rozglądaniem się po stołówce. Dobrze wiedziałam, kiedy namierzyła swój cel – jej rozanielona mina nie pozostawiała wątpliwości. Z cikliwym uśmiechem pomachała do siadającego na drugim końcu stołu Malachiego. I ona, i Tegan zmierzyły wzrokiem odległość, jaka dzieliła wybrane przez niego miejsce ode mnie. Niesamowite, jak wymowny potrafi być jeden drobny gest. Jedna decyzja, gdzie usiąść, oznajmiała z przytupem całej szkole, że nie jesteśmy już razem.

Laney natychmiast przesiadła się do Malachiego.

– Hej – powiedziała z nieśmiałutkim uśmiechem.

Wynagrodził ją zabójczym spojrzeniem, które rozdarło mi serce.

– Miałem nadzieję, że na ciebie wpadnę – zwrócił się do niej. – Pomożesz mi z projektem stronki na informatykę?

Na szczęście sekundę później ich widok przesłonił mi Ian. Energicznie wziął z tacy mleko i sok, po czym ustawił je dokładnie na swojej dziesiątej i drugiej. Automatycznie usiadł, a potem nagle zamarł na moment, jakby coś wytrąciło go z codziennego rytuału. Popatrzył na Malachiego, a potem na mnie. Uniósł brwi.

Spuściłam głowę i ze ściśniętym żołądkiem porwałam jabłko.

Kiedy Malachi i Laney zaczęli umawiać się na spotkanie podczas wolnej godziny w sali komputerowej, nogi same mnie poniosły do wyjścia. Po drodze minęłam Evana Brudne Dżinsy Crociere, który wręczał pakiet jakiemuś zielarzowi, Grega, który oparty o ścianę słał SMS-y ze swojego błyszczącego iPhone'a, Jillian i Leviego obściskujących się za podwójnymi drzwiami i wreszcie wyszłam na zewnątrz. Chciwie wciągnęłam do płuc chłodne powietrze, tłamsząc w sobie krzyk.

– Czemu tak pędzisz, Lela, zaczekaj – krzyknął Ian, wychodząc przez drzwi, które zatrzasnęły się za nim z hukiem.

Zatrzymałam się, spoglądając tęsknie na samochód. Nie mogłam, niestety, pozwolić sobie na zerwanie się ze szkoły. Minutę później ścigałaby mnie już Nancy, oskarżając o wagarowanie albo o coś jeszcze gorszego. Ian zrównał się ze mną. W jednej ręce trzymał sok, a w drugiej ścisnął kanapkę, z której wyciekał majonez.

Podniósł jedzenie do góry.

– Masz ochotę na piknik?

Beznadziejna propozycja, ale mogłam albo ją przyjąć, albo wrócić do oglądania, jak to Malachi flirtuje z Laney. Powlekliśmy się w kierunku murku oddzielającego chodnik od trawników i usiedliśmy na wprost miejsca pamięci Adena. Obracałam jabłko w dłoniach.

– Trzymasz się jakoś? – zagałam.

– Sam nie wiem – westchnął.

– Przykro mi, Ian, wiem, jak to boli.

Popatrzył na mnie przysłoniętymi grzywką, orzechowymi oczami, które ledwie mieściły ogrom jego smutku. Serce ścisnęło mi się boleśnie, bo przypominały nieco oczy Nicka.

– Wiem, że wiesz. W końcu byłaś blisko z Nadią.

Z trudem przełknęłam ślinę.

– Uhm.

– Dwoje w ciągu jednego miesiąca. – Zamrugął i spuścił głowę. – Co się dzieje?

– Nie wiem. Nadia od dawna miała problemy. Starła się je przed nami ukryć, ale wreszcie ją przerosły.

– Myślisz, że z Adenem było tak samo? Że trwało to już od jakiegoś czasu?

– Zaklął pod nosem. – Przecież byłem jego najlepszym przyjacielem, powinienem takie rzeczy wiedzieć. Za cholerę nie wiem, dlaczego pytam o to ciebie. – Popatrzył na swoją kanapkę, zaklął znowu i cisnął ją do stojącego nieopodal kosza. – Przepraszam – mruknął. – Nie powinienem tak do ciebie mówić.

– W porządku. – Zaczęłam wykręcać łyżkę jabłka. – Powiedziałeś tak, bo to wszystko jest niezrozumiałe. Zupełnie nie ma sensu.

– No. Zupełnie, jakby... Jakby w przeciągu paru godzin stał się kimś całkiem innym. Był czysty. Jestem tego pewien. No jasne, pił tamtego wieczora, ale wiesz, tak normalnie. A potem daje nogę i znajdujemy go w tej melinie? Jakby mu odbiło. Ale w życiu bym nie pomyślał... Do głowy by mi nie przyszło... – Urwał i popatrzył w górę, skąd skoczył Mazikin. – Kurrrrwa. – Głos mu się trząsał.

Na skraju miejsca pamięci stało zdjęcie ukazujące Adena na boisku. Wyglądał na nim jak nastoletni bóg – silny, bez skazy, ukochany przez fortunę, faworyt losu – przeznaczony do tego, by wieść idealne życie. Miała nadzieję, że wiedzie je teraz na Wsi, wolny od bólu, od zmartwień i tęsknoty do tego, co musiał za sobą zostawić.

– Myślę, że nie myślał jasno – powiedziałam cicho. – Myślę, że nie podjął świadomej decyzji.

– To znaczy?

Przygryzłam wargę.

– Sama nie wiem... – Ale wiedziałam. I żałowałam, że nie mogę tego wyjaśnić, bo Ian był bliski płaczu. Nie pasowało to do niego. Sam był jednym z kochanków fortuny, los obdarzył go w tylu dziedzinach, że nawet tego nie zauważał. Bogaty. Otoczony miłością. Świetny uczeń. Gwiazda sportu. Miał same piękne dziewczyny, świetny samochód. Ale jego oczy zdradzały zbitego z tropu, zranionego chłopca. – Chodzi o to, że tamten twój przyjaciel, że tamten Aden nie zdecydował się sam na samobójstwo. Nie zrobiłby tego. Nie mógłby. Z Nadią było inaczej.

– Tak sądzisz?

Przytaknęłam.

– Gdyby ta melina nie spłonęła, sam bym ją podpalił – oświadczył z mocą. – Chciałbym dorwać ćpunów, którzy dali mu to świństwo, chciałbym udusić ich gołymi rękami. – Łza spłynęła mu po policzku i kapnęła na rękaw. Otarł twarz i odwrócił się do mnie plecami. Jego ramiona zaczęły się trząść.

Cholera. To przez to, co powiedziałam? Niepewnie, gotowa na to, że mnie odepchnie, wyciągnęłam rękę. Powoli zbliżyłam ją do jego pleców, nie wiedząc nawet, czy powinnam ją po prostu położyć, czy może pogłodzić go. Wzięłam głęboki oddech i opuściłam dłoń na jego plecy. Odpęrzył się natychmiast, napięte mięśnie rozluźniły się pod moimi palcami.

– Dzięki, Lela – wyszeptał.

Zamarłam w tej pozycji, bojąc się nie tylko go dotykać, ale i cofnąć. Aż wreszcie dzwonek wyrwał nas z tej zaczarowanej chwili, przywracając do szkolnej rzeczywistości.

Na szóstej lekcji zostałam wezwana do gabinetu Ketzler. Skończyli już pewnie rozmowy z czirliderkami i baseballistami i przyszła kolej na dzieciaki, które nie należały do kręgu znajomych Adena, ale były świadkami jego śmierci.

Teraz był czas na mnie.

Ale w moim życiu działo się zbyt wiele równocześnie. Przede wszystkim musiałam się zająć powiększającymi się szeregami wroga. To było moim priorytetem. Mazikiny celowały w bezbronnych ludzi i rosły w siłę. Dopadły nawet moją mat... Nie. Odepchnęłam tę myśl i przydeptałam w drodze do pieczary Ketzler.

Mazikiny porywały bezdomnych. Jakby tego było mało, nie miałam wątpliwości, że ostrzyły sobie zęby na ludzi z mojej szkoły. Tegan. Iana. Grega. Na tych, którzy znaczyli wiele dla Adena. Znaczyli na tyle, by Ibram powiedział o nich Silowi. Na tych, których mogłyby wykorzystać przeciwko mnie i Malachiemu. Musiałam ich chronić. Nie mogłabym żyć z myślą, że Mazikiny dorwały któregoś z nich.

A na dodatek nie miałam pojęcia, co zrobić z Malachim. Ani nawet co o nim myśleć. Ale w jednym musiałam przyznać mu rację – emocje narażały na szwank powodzenie misji. Musiałam odpuścić i patrzeć na niego tak samo jak na Henry'ego czy Jima. Jak na towarzysza broni. Jak na innego Strażnika. Gdyby tylko było to takie proste.

– O, jesteś, Lela – powitała mnie siwa sekretarka, obdarzając trwożnym uśmiechem. – Czekają na ciebie. – Wskazała na niewielką salkę konferencyjną znajdującą się obok gabinetu Ketzler.

– Mam się spotkać z panią Ketzler – powiedziałam, przekonana, że się pomyliła. W salce konferencyjnej odbywały się zazwyczaj grupowe nagonki na uczniów. Ofiary były przypierane do muru i poddawane konfrontacji przez oddziały dorosłych. Przeżyłam to parę razy. Na przykład wtedy, kiedy Nancy, wspomagana przez Ketzler, dawała mi do zrozumienia, że „pracują drużynowo” i są po to, by mnie „wspierać”. W wolnym tłumaczeniu oznaczało to, Ketzler miała donosić, gdybym choć na milimetr przekroczyła granicę, a Nancy pojawiłaby się natychmiast, wymachując sądowym nakazem powrotu do poprawczaka.

– Pani Ketzler jest tam. – Sekretarka znów pokazała na salkę. – Razem z twoją opiekunką zastępczą.

Co do diabła, zaskrzeczał mi strach w głowie, kiedy kierowałam się ku wskazanym drzwiom. Otworzyły się, zanim położyłam rękę na klamce. Pani Ketzler powitała mnie z poważną miną i zatroskanymi oczami, jakbym właśnie szła na skazanie, a jej było z tego powodu przykro. Zapuściłam żurawia do pomieszczenia i ujrzałam Dianę, która miała dokładnie taką samą minę.

– Co się dzieje, Diano? – zapytałam, wchodząc do salki.

Przypisana do mnie pracownica opieki społecznej, Jen Pierce, siedziała w kącie, dzierżąc w dłoniach grubą teczkę z dokumentami. Nancy nie było. Naraz przyszła mi do głowy straszliwa myśl, której wcześniej w ogóle nie brałam pod uwagę. *O Boże, o Boże*, panikował mój umysł, a płuca przestały działać. Opadłam

na najbliższe krzesło wpatrzona w bolesną twarz Diany.

– Oddajesz mnie, tak? Za dziesięć dni już nie będę z tobą?

Przydarzyło mi się to już tyle razy. Ale pozwoliłam sobie wierzyć, że z Dianą będzie inaczej, że znalazłam u niej swój dom. Przeklinałam w duchu, że dałam się ponieść fantazji i nie byłam przygotowana na to, co miało nastąpić.

A przecież tak łatwo było mnie zostawić.

Nawet w tym tygodniu już raz mnie to spotkało.

Po chwili, podczas której wszyscy wydawali się przymrożeni do swoich miejsc, Diana wstała tak gwałtownie, że aż przewróciła krzesło. Pokonała dzielącą nas przestrzeń i objęła mnie, a ja po raz pierwszy nie miałam nic przeciwko tej wylewności.

– Nie ma mowy, słonko. Jak w ogóle mogłaś tak pomyśleć? – bełkotała nerwowo, a ja z każdą sekundą rozklejałam się coraz bardziej.

Diana chwyciła mnie za trzęsące się ręce, a potem ujęła za brodę, podnosząc ku sobie moją twarz.

– Nikomu cię nie oddam. Będiesz ze mną tak długo, jak tego zechcesz. Nie po to tu jestem. Przykro mi, że tak pomyślałaś.

Zamrugalam, wciąż trawiąc jej słowa.

Powiedziała, że nikomu mnie nie odda.

– Nie szkodzi – powiedziałam ogłupiała.

Jen podniosła krzesło Diany. Gruba teczka leżała na blacie. Diana puściła mnie z objęć i usiadła obok.

– Lelo, od bardzo dawna znajdujesz się w systemie pieczy zastępczej – zaczęła Jen, kładąc rękę na teczce. – Byłaś w wielu rodzinach zastępczych. Od samego początku pragnęliśmy dla ciebie stabilizacji, ale jak do tej pory nic z tego nie wychodziło...

Zerknęła na szkolną psycholog, która położyła mi dłoń na ramieniu. Nie zareagowałam na to, że wzdrygnęłam się i odsunęłam.

Jen odchrząknęła.

– W każdym razie... Wiemy, że wiele przeszłaś i że w domu Diany nareszcie odnalazłaś swoje miejsce. Tym samym stałaś się jednym z naszych sukcesów. Nie chcemy tego niszczyć.

Zerknęłam na Dianę.

– Ja też nie. – Skoro Diana nie zamierzała mnie oddać, to czy chcieli mnie jej odebrać?

Jen bawiła się swoim zegarkiem tak długo, że w końcu miałam ochotę wydrzeć go jej z rąk. Znów spojrzała na grubą teczkę zawierającą dokumentację z miejsc, wielu miejsc, w których byłam, oraz opis rzeczy, które mi się przydarzyły. Które przydarzyły mi się, bo ona na to pozwoliła. Może dlatego właśnie była taka wystraszona i udręczona?

– Proszę, Jen, dobijasz mnie. Co się dzieje?

Wreszcie spojrzała mi w oczy.

– Dzisiaj do mojego biura przyszła twoja matka. Wypełniła formularz z prośbą o spotkanie z tobą.

OSIEMNASTY

Mazikiny chciały rozmawiać. I zamierzały wykorzystać ciało mojej matki jako przekaźnik. Studnia bólu w mojej duszy zamarzła w sople lodu.

– Wszystko w porządku? – zapytała zaniepokojona Jen.

Ketzler porwała pudełko chusteczek i pomachała mi nim przed oczami. Popatrzyłam na nią. Przycisnęła pudełko do piersi, jakby poczuła się osobiście urażona, że ich nie chcę. Albo jakby pomyślała, że ma do czynienia z psychopatką. Ręka Diany zamknęła się na mojej, zlodowaciałej do szpiku kości.

– Tak – usłyszałam swój głos. – Spotkam się z nią.

Zdumiona Jen aż otworzyła usta.

– Lela, pamiętaj, że nie musisz. Masz prawo odmówić. Rita Santos straciła prawa rodzicielskie już dawno temu, ale jesteśmy prawnie zobowiązani poinformować cię, że wystąpiła z taką prośbą.

Mazikiny dobrze o tym wiedziały, bo ten, który przejął jej ciało, przejął także jej wspomnienia. Z pewnością nie były zainteresowane jej przeszłością, dopóki nie rozpoznała mnie tej nocy. Dopóki nie zdradziła swojej dawno utraconej córki. Teraz wiedziały, że są w posiadaniu czegoś niezwykle ważnego, i chciały wykorzystać to przeciwko mnie.

Nie zamierzałam do tego dopuścić. Uśmiechnęłam się do Jen.

– Wiem i cieszę się, że mi powiedzieliście. Chcę się z nią zobaczyć.

Diana ścisnęła mnie za rękę, ale patrzyła na Jen.

– Czy Rita była... Czy ma się dobrze?

Diana wiedziała, że moja matka była schizofreniczką.

Ugryzłam się w język, żeby nie odpowiedzieć. Nie, moja matka nie miała się dobrze. Była uwięziona w krainie Mazikinów, krainie ognia i śmierci, a ja nie mogłam do niej w żaden sposób dotrzeć. Nie mogłam zrobić dla niej nic poza wyzwoleniem jej duszy przez poderżnięcie gardła ciała, które przejął Mazikin. Ale raczej nie na pierwszym spotkaniu.

– Cóż. – Jen się skrzywiła. – Wiesz chyba, że miała poważne problemy ze zdrowiem psychicznym i to, niestety, się nie zmieniło. Lelo, nie wiem, czy ją pamiętasz...

Nie chciałam o tym rozmawiać. Zresztą nie miało to znaczenia, bo istota, z którą miałam się spotkać, nie była moją matką. Matka, kiedy była sobą, nigdy nie chciała się ze mną zobaczyć. Nigdy nie chciała mnie odzyskać. Nie pojawiła się na żadnej z wyznaczonych wizyt. I w końcu zniknęła. Odeszła w zapomnienie.

– Pamiętam wystarczająco dobrze – ucięłam. – Chciałabym wcześniej zaplanować to spotkanie. – Popatrzyłam na Dianę. – Nie martw się. – Uspokoiliam ją, bo wyglądała na tak samo zatroskaną jak wtedy, gdy odeszła Nadia. – Wiesz, co się mówi: najlepiej podomykać pewne sprawy.

Po ucieczce od Ketzler i pożegnaniu się z Dianą jakoś przetrwałam resztę lekcji, a po ostatnim dzwonku pobiegłam prosto na parking. Byłam już przy samochodzie, kiedy dogonił mnie Ian. Truchtał z plecakiem przewieszonym przez jedno ramię i miał zaróżowione z wysiłku policzki.

– Bieganie za tobą chyba zaczyna mi wchodzić w krew – zawołał lekko zdyszany.

Wrzuciłam torbę na przednie siedzenie i przytrzymałam przed sobą drzwi jak tarczę.

– Nie tak trudno mnie znowu złapać – powiedziałam i natychmiast zdałam sobie sprawę, jak dwuznacznie to zabrzmiało. – To znaczy...

– Wiem. – Roześmiał się. – Ale owszem, trudno. – Mimo że już nie biegł, policzki nadal miał czerwone i rumieniec zaczął schodzić mu niżej, na szyję. Spuścił głowę. – Chciałem tylko... uhm...

– Lepiej się czujesz?

– Tak, a ty?

Zmarszczyłam brwi.

– No, w sumie... Znaczy, jestem oczywiście przybita, jak wszyscy.

Poza tym załamana, w rozsypce, przestraszona, zmartwiona i generalnie czuję się, jakby mi ktoś zwałił na głowę cały świat.

– Ale nie o to mi chodzi, pytałem o... Malachiego.

– Ach. – Ścisnęło mnie w gardle.

– Nie jesteście już razem, prawda?

– Wiesz, znaleźliśmy się zaledwie kilka dni. To nic takiego – skłamałam.

Ian skinął głową.

– Ale wyglądało na to, że się lubicie. I to bardzo.

Prychnęłam lekceważąco.

– No, może. W każdym razie przeszło nam.

– A ten blondas, z którym byłaś w piątek? Widziałem go dzisiaj na stołówce.

– Spojrzał na mnie uważnie. – Chyba ma oko na Tegan.

Przewróciłam oczami.

– Nie przejmuj się. Nic mi nie jest. Chciałabym tylko, żeby wszystko wróciło do normy.

Przekrzywił głowę na bok.

– Do normy?

– No, do normy. Mojej normy. – Kłamałam dzisiaj jak z nut.

Kącik jego ust uniósł się lekko, a potem powiedział:

– Chodzisz do tej szkoły ponad rok, a nigdy wcześniej z nikim cię nie widywałem. Z żadnym gościem. Ani razu. To jest ta twoja norma?

– Przecież udzielałam się towarzysko – zaprotestowałam. Ale nie była to prawda. Owszem, chodziłam z Nadią na imprezy i odwoziłam ją do domu.

Uniósł ręce w geście poddania.

– Dobra, dobra. Nie chciałem cię urazić. Pomyślałem tylko... może wyskoczymy gdzieś razem?

Cała krew spłynęła mi do stóp. Ian Moseley, gwiazda sportu, chciał „gdzieś wyskoczyć”. Spojrzałam na niego. Uśmiechnął się smutno. Jednodoleczkowo.

– Hej, nie chciałem, żeby to zabrzmiało jak nie wiadomo co – zastrzegł. – Ale w związku z tym wszystkim, co się dzieje, pomyślałem, że... – Podrapał się po brodzie i zaśmiał cicho. – Sam nie wiem, co sobie myślałem. Jesteś po prostu spoko. Taka bez kitu, rozumiesz?

Otarłam wilgotne dłonie o dzinsy.

– Chyba tak.

Pomyślałam, że jeśli poznam go lepiej, będę mogła skuteczniej chronić go przed Mazikinami, które się na niego na pewno zasadzają. Jest młody, silny, ma przydatne zaplecze, no i Aden miał o nim pewnie dużo wspomnień. Mazikiny wiedzą już o nim prawdopodobnie wszystko.

– Jasne, możemy gdzieś wyskoczyć. – Uśmiechnęłam się. – Bardzo chętnie. – Nagle zdałam sobie sprawę, że tym razem nie kłamię.

Nie umawiając się konkretnie, wymieniliśmy się numerami telefonów. Powiedziałam, że będę na czuwaniu i pogrzebie. Uśmiechnął się dzielnie i na odchodnym rzucił, że się tam zobaczymy.

Do Strażnicy jechałam jak we mgle. W końcu odczułam brak snu. Nie mogłam tak żyć na dłuższą metę, zresztą pozostali także nie. W końcu byliśmy ludźmi i nasze ciała były po ludzku słabe. Sypiając po dwie godziny na dobę, nie bylibyśmy w stanie podejmować ani słusznych decyzji, ani skutecznie walczyć. W ciągu paru ostatnich dni wypoczęłam porządnie tylko wtedy, kiedy leczył mnie Rafael.

Nie pukałam do Strażnicy, po prostu weszłam. I natychmiast natknęłam się na czekających na mnie podkomendnych. Stali w korytarzu, wszyscy trzej z identycznie założonymi ramionami na piersiach. Aż roześmiałam się na ich widok.

– Hej, co to? Interwencja? Macie tu gdzieś schowanego terapeutę?

Przez ich twarze przemknął ten sam wyraz stropienia.

– Mówiłaś, że nam wszystko wyjaśnisz – odezwał się Malachi poważnie.

Henry wbił wzrok w moje buty.

– Chciałem dać ci szansę, zanim pójdę z tym wyżej – rzekł.

Weszłam sztywno do salonu i usiadłam.

– To znaczy zanim ściągniesz Rafaela, tak? A co on miałby zrobić? Zdegradować mnie? Jak dla mnie bajka.

Henry usiadł naprzeciwko mnie.

– Wczoraj rozmawiałaś z tą rozczochną Mazikinicą. Wcale nie wyglądało

to tak, jakbyś chciała ją schwytać.

– Wybacz, byłam nieco rozproszona – warknęłam z przekąsem.

– I właśnie dlatego do niej strzeliłem – burknął. – Usiłowałem cię wybawić z kłopotów.

Odwróciłam od niego oczy, a mój wzrok padł na stojącego w wejściu Jima, który obserwował nas nieufnie.

– Widzisz, Jim? – zawołałam do niego. – Też jestem porąbana. Powinniśmy założyć klub.

Uśmiechnął się blado, ale milczał. Henry zerknął na Malachiego, a potem pochylił się ku mnie.

– To nie jest zabawne, Kapitanie. Musimy wiedzieć, dlaczego zasłoniłaś sobą tego Mazikina, biorąc na siebie bełt. – Jego twarz zmieniła się, jakby opadła z niej maska, ukazując prawdziwą groźę i dramat, jakie musiał przeżywać. – Mogłem cię zabić! Czy wiesz, co by to dla mnie znaczyło?

– Rozumiem – powiedziałam spokojnie, za nic w świecie nie chcąc wyładowywać na nim gniewu i pogarszać jego samopoczucia. Wstałam. Nie mogłam usiedzieć na miejscu. – Nie znasz mnie, Henry, więc nie dziwię się, że możesz czuć się skołowany i myśleć, że ratuję stwory, które mamy zlikwidować. – Spojrzałam gniewnie na Malachiego. – Ale ty? Przecież mnie znasz.

Nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia.

– Myślałaś, że jest człowiekiem? Bo jeśli tak...

Pokręciłam przecząco głową.

– Nie, wiedziałam, że to Mazikin.

Spojrzał mi prosto w oczy.

– Mogłaś kazać się Henry’emu wycofać.

– Nie było na to czasu. Sam go zapytaj.

Malachi potarł kark.

– W takim razie mogłaś odpuścić i schwytać innego. Chyba że twoim zdaniem właśnie ten posiadał szczególną wiedzę na temat Sila i jego planów?

– Nie. Nie miałam żadnego powodu, żeby zakładać coś takiego. – Wręcz odwrotnie. Uważałam, że posiada wiedzę, ale o mnie, a mimo to ryzykowałam, żeby go ocalić.

Malachi zacisnął pięści.

– Przyjął na pierś pocisk przeznaczony dla tego stwora! I nie... – Zawiesił głos, jakby nagle coś przyszło mu do głowy. Potoczył wzrokiem po pozostałych. – Porozmawiam z Kapitanem na osobności – oznajmił stanowczo.

– Dla mnie bomba. – Jim wzruszył ramionami. – Muszę odrobić lekcje. – Odwrócił się i poszedł na górę.

Henry podniósł się powoli, mierząc mnie spojrzeniem. Nie miałam wątpliwości, że wystawiając się na jego strzał, zaprzepaciłam całą tę chwiejną

wiarę, jaką we mnie pokładał, i że wiele czasu minie, nim ją odzyskam, o ile w ogóle zdołam. Ale Malachiemu ufał, zdradzało to jego spojrzenie. Po chwili odwrócił się i skierował do piwnicy.

– Czemu po prostu nie powiedziałaś, że ją znałaś? – zapytał cicho Malachi, kiedy trzasnęły drzwi do piwnicy. Powoli zbliżył się do mnie. – Bo o to chodzi, prawda?

Oczywiście, domyślił się. Mogłam się tego spodziewać.

– Nie chciałam o tym rozmawiać. I nadal nie chcę. – Przycupnęłam na kanapie ze spuszczoną głową, pozwalając opaść na twarz włosom i zakryć rozpacz, która w końcu wzięła nade mną górę. – W zasadzie żałuję, że ten belt nie wbił się bardziej na prawo. Miałbyś ze mną spokój, a ja miałabym spokój z tym wszystkim.

Malachi opadł przede mną na kolana, jakby ktoś wybił mu dech z piersi.

– Nie mów tak, Lela – szepnął. Wyciągnął do mnie ręce, ale cofnęłam się gwałtownie i odsunęłam w bok. Nie chciałam go połowicznie. Pragnęłam go albo w całości, albo w ogóle. – Nie dotykaj mnie. To ty chciałeś trzymać się na dystans.

Skoczyłam na równe nogi. Okręciłam się ku niemu, mocno zaciskając pięści, gotowa skierować na niego swój gniew, bo bałam się, że padnę na podłogę i zacznę płakać, a wtedy nie byłabym w stanie przestać.

Malachi nadal klęczał przed kanapą ze zwieszoną głową, jakby usiłował uspokoić pozostały po mnie cień.

Zaczęłam mówić do jego pleców, ciskając słowami jak nożami.

– Powiem ci prawdę, a potem sam zadecydujesz, czy złożyć prośbę o pozbawienie mnie dowodzenia. Jesteś gotowy? Bo ironia tego wszystkiego jest zabójczo piękna. Ten Mazikin to była moja matka.

Malachi poderwał głowę.

– Tak. No to już wiesz. Widocznie mama mieszkała na ulicy. Dopadli ją. – Łatwiej było mi mówić, kiedy na mnie nie patrzył. Widok tego, co odbijało się w jego oczach, był nieznośny. – Pomyśl, jak byś się czuł, gdybyś od dzieciństwa nie widział swojej matki. Gdybyś był zbyt mały, żeby zapamiętać jej twarz, żeby pamiętać, czy cię kochała. I nagle, kiedy pojawia się przed tobą, kiedy spoglądasz w jej oczy, wszystko wraca. Wspomnienie, jak śpiewała ci do snu, jak cię hołubiła aż do chwili, kiedy dłużej nie mogła już tego robić. Wszystkie te wspomnienia zagrzebane głęboko w twoim umyśle. Skrywane całymi latami. Czekające, by cię zaskoczyć.

Wsunęłam palce we włosy i zaczęłam je nerwowo szarpać.

– Żałuję, że nie mogłam wyrzucić tych obrazów z głowy. Żałuję, że nie mogłam ich wyrwać. Przez te wszystkie lata nawet nie podejrzewałam, że tam są. A byłoby mi bez nich łatwiej. Bo nagle, kiedy stanęła przede mną, wszystkie one wróciły. Równocześnie. Kiedy Henry wymierzył, nie myślałam, co robię. Po prostu zadziałam.

Malachi wstał powoli, ale nie odwracał się.

– Tak! – wrzasnęłam, zanim otworzył usta, przekonana, że wiem, co powie.
– Wiem, w co wierzysz! Uważasz, że zaprzepąciłam szansę wyzwolenia duszy matki tylko dlatego, że chciałam chronić jej ciało! Teraz sama to wiem. Wiem już, jak trudno jest zabić Mazikina, który przejął ciało bliskiej ci osoby. Rozumiem. Pewnie odczuwasz teraz satysfakcję.

– Oczywiście, że nie – powiedział tak cicho, że ledwie go dosłyszałam.

Gwałtownie przeczesalam palcami włosy i ruszyłam w stronę wyjścia.

– Teraz wykorzystują ją, żeby się do mnie zbliżyć. Poprosili o spotkanie, twierdząc we wniosku, że moja dawno niewidziana matka chce nawiązać kontakt. A ty pójdziesz na to spotkanie ze mną. Jako tłumacz. Widzisz? Nie będę nawet rozumiała, co do mnie mówi. – Gorycz zmieniła mi głos, przydając mu chrapliwości. – Bo zakładam, że po tylu latach spędzonych z Aną mówisz po hiszpańsku.

– Owszem – rzekł, odwracając się w końcu.

Jego czarne oczy przepełniał smutek. Miałam ochotę nawrzeszczyć na niego za to, że tak na mnie patrzy. To było nie fair, musiałam jak najszybciej uciec, bo miałam ochotę paść mu w ramiona i błagać, by nigdy mnie nie zostawiał, a nie chciałam wyjść na głupią.

Desperacko dopadłam klamki.

– Świetnie, więc dam ci znać, jak wszystko ustalę. Będzie zabawnie. – Szarpnęłam drzwi. Chłodne powietrze ostudziło moją rozpaloną skórę. – Wrócę jutro wieczorem. Za niecały tydzień miasto zamyka schroniska, więc mamy mało czasu. Musimy zlokalizować nowe gniazdo, a nade wszystko odnaleźć Sila, zanim zaczną porywać bezdomnych i naszych kolegów. Przystudiuj swoje mapy i postaw resztę w stan gotowości. Od tej pory zwiększamy intensywność patroli, ale będziemy je odbywać na zmiany. Celem jest odnalezienie Mazikina i śledzenie go do gniazda albo schwytywanie jakiegoś żywcem i zmuszenie go do mówienia. Czy ten plan wydaje ci się sensowny?

Popatrzył na mnie i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. W końcu jednak zrezygnował, wyprostował się i rzucił:

– Tak jest, Kapitanie.

DZIEWIĘTNASTY

Mimo podejmowanych prób do końca tygodnia nie udało nam się odnaleźć gniazda. Wyznaczyłam trasy, włączając w nie okolice czterech schronisk i każdej nocy wyznaczałam dwóch Strażników do ich patrolowania. Trzeci miał monitorować Facebook i utrzymywać kontakt z naszymi znajomymi, żeby być na bieżąco i wychwycić ewentualne oznaki szaleństwa. Czwarty miał rozkaz wypoczywać. Zaplanowałam grafik tak, by każdy z moich podkomendnych miał wolną co trzecią noc i nakazałam im przesywać podczas niej minimum osiem godzin. Sama odmówiłam sobie tego luksusu.

Zresztą i tak nie mogłam zasnąć.

Za każdym razem, kiedy zamykałam oczy, widziałam, jak matka mnie przyzywa. *Ven conmigo*, wyszeptała wtedy. *Chodź*.

Zastanawiałam się, dlaczego to powiedziała. Czy przemawiał przez nią Mazikin usiłujący mnie porwać, czy może ukryte gdzieś w głębi jej wspomnienia były tak silne, że Mazikin czuł coś do mnie? Nie mogłam zdecydować, którą z wersji bym wolała, ale pytanie nie przestawało mnie dręczyć.

Kobieta, którą po ataku Mazikinów odwieziono do szpitala, zmarła po kilku dniach, nie odzyskując przytomności. Została zidentyfikowana jako Marie Clement, trzydziestodwuletnia bezrobotna kelnerka z zachodniego Warwick. Nadal nie ustalono przyczyny śmierci, ale ja wiedziałam. Mazikin, który przejął ciało mojej matki, ugryzł ją, a paraliżujący jad powoli ją zabił. Jej śmierć stała się wodą na młyn dziennikarzy. Zazwyczaj taka tragedia bezdomnego nie budziła większego zainteresowania, ale już wcześniej pojawiały się wzmianki o zmarłych odnalezionych w parkach, a teraz aż pięcioro ludzi zginęło jednej nocy. Mnożyły się pogłoski na temat przyczyn ich śmierci. Adwokaci zajmujący się sprawami bezdomnych głośno domagali się sprawiedliwości. Ten szum medialny utrudniał Mazikinom pozostawanie w cieniu, ale nie sprzyjał również i nam.

Moje życie ograniczyło się do służby w Straży. Jadłam automatycznie. Odrabiałam zadania jak na autopilocie, i do tego tylko niezbędne minimum, by uniknąć kłopotów w szkole. Siedziałam na lekcjach, ale mój umysł krążył wokół strategii, patroli i gdybań. Codziennie przez parę godzin trenowałam z podwładnymi, wyłączałam emocje i stawałam naprzeciw Malachiego gotowa na walkę na pięści czy noże. Za każdym razem łoł mi skórę i czasem wydawało mi się, że sprawia mu to przyjemność. Bo mnie owszem. Potrzebowałam czegoś, żeby dać upust frustracji, a sparringi się sprawdzały. Nie mogłam mieć pretensji, jeśli dawały mu to samo.

W piątek, dzień po pogrzebie Adena, kiedy przyjechałam do szkoły, Malachi siedział na murku przed wejściem. Ledwie zaparkowałam, a już szedł ku mnie. Jęknęłam, odchylając głowę na oparcie. Zapukał w szybę.

– Dzień dobry. Zakładam, że patrol przebiegł spokojnie?

Skinęłam potakująco, przetykając gorycz.

– Wyczuliśmy z Jimem zapach Mazikinów przy schronisku na Broad Street, ale nie udało nam się za nim pójść. Wydaje mi się, że jesteśmy bardzo blisko, ale coś nam umyka. Może dzisiaj zrobimy sobie przerwę.

– Nasi znajomi są dzisiaj w komplecie. Greg uznał, że chce zostać moim najlepszym kumplem i chce „poimprezować”. Poza tym nic wyjątkowego.

– W porządku. Dzisiaj masz wolne.

– Nie, Kapitanie. – Pochylił się. – Uważam, Lela, że tym grafikiem chcesz się ukarać.

– Ukarać się? I kto to mówi? – odwarknęłam. – Słyszałam, że późno się kładziesz, ćwiczysz, zamiast odpoczywać.

Twarz Malachiego jakby stężała.

– To moja sprawa, co robię w czasie wolnym. Wykonuję twoje rozkazy. Pełnię służbę.

I znów wołałabym, żeby mnie uderzył.

– Nie powiedziałam, że tego nie robisz – mruknęłam chrapliwie.

Obszedł drzwi i kucnął przy mnie.

– Zrób sobie dzisiaj wolne. Odpocznij. Wezmę patrol za ciebie. Jesteś dowódcą, musisz jasno myśleć. Zaskarbiłaś sobie zaufanie Jima, zaczynasz odzyskiwać zaufanie Henry’ego, nie zepsuj tego.

W jego oczach dostrzegłam troskę, ale nic ponad to. Tak pewnie rozmawiał z Aną czy Takeshim, swoim dawnym Kapitanem. Powinnam się cieszyć, że uczucia do mnie nie przeszkadzają mu w obowiązkach, ale czułam tylko piekielny ból.

– W porządku, rozważę to. Ale dzisiaj zamykają schroniska...

Pokręcił głową.

– Rano okazało się, że przez to zamieszanie wokół napaści ratusz ogłosił przedłużenie okresu ochronnego. Noclegownie mają pozostać czynne przez weekend, a w tym czasie policja ma intensywnie pracować nad rozwiązaniem sprawy.

– No dobrze. – Westchnęłam. – Wezmę dzisiaj wolne.

– Bardzo się cieszę, Kapitanie. Widzimy się na algebrze.

Malachi wstał, zarzucił plecak na ramię i odszedł. Wyglądał cholernie atrakcyjnie w blasku porannego słońca. Za chwilę podbiegła do niego Laney w spódniczce, której długość na pewno łamała regulamin szkolny. Do budynku weszli razem. Ze złością wetknęłam kluczyki do stacyjki z zamiarem ucieczki ze szkoły.

Ale Diana, Jen, Ketzler i Nancy, wredna kurator, od kilku dni trzęsły się nade mną jak nad jajkiem, gdybym więc poszła na wagary, mogłyby wziąć to za

oznakę „napięcia emocjonalnego”, jak określała to Ketzler, i odwołać moje poniedziałkowe spotkanie z matką. Wyrwałam kluczyki i wsadziłam je do plecaka.

Jeszcze przed lunchem miałam dopracowany plan działań na te dodatkowe dwa dni, z uwzględnieniem nowych miejsc do sprawdzenia i okolic do patrolowania. Postanowiłam też nawiązać kontakty ze społecznością bezdomnych, mając nadzieję na odkrycie czegoś. Podniesiona na duchu, udałam się do stołówki.

Tegan i Jim siedzieli już przy stole. Przez ostatnie dni Jim nie odstępował jej w szkole na krok. Nadal martwiłam się, że będzie go to rozpraszało, ale był trzeźwy i dobrze wykonywał obowiązki, więc cokolwiek się między nimi działo, pomagało mu... albo przynajmniej go motywowało. W dodatku Tegan wyglądała znacznie lepiej, no i ulżyło mi, że zwraca się o wsparcie do kogoś poza mną.

– Zmieniamy temat przewodni – usłyszałam jej głos. – Zamiast „Zaplątani w gwiazdy”, „Chwile i wspomnienia” na cześć Adena i Nadii. Pomyślałyśmy, ja i Laney, że powinniśmy jakoś ich w to włączyć.

Wątpiłam, by Jim wiedział, o czym mowa, ale bacznie wpatrywał się w jej usta i potakiwał. Usiadłam i kuksnęłam go mocno w bok.

– Pewnie nie mieliście balów maturalnych u Bishopa MacDonalda? – rzuciłam.

– Biedaku. – Tegan się zaśmiała. – Żadnych dziewczyn! Teraz masz chyba lepiej, co nie?

– I to jak. – Jimowi zaświeciły się oczy.

Jillian postawiła tacę na blacie i uśmiechnęła się przez ramię do Leviego. Levi i Ian ładowali jedzenie na talerze i rozmawiali o czymś, zaśmiewając się głośno.

– O, to nowy plakat? Szybko przysłali – powiedziała do Tegan, która rozwinęła właśnie błyszczący rulon.

– Tak, byli bardzo wyrozumiali i zgodzili się na zmianę w ostatniej chwili. Obiecali też, że jak tylko zaakceptujemy próbkę, zaraz ruszą z drukiem.

Ian kłapanął obok mnie i popatrzył na plakat, którym Tegan machała mu przed oczami.

– No, błyszczący się.

– W ogóle nie znasz się na sztuce. – Tegan z pogardą wydeła usta.

Levi usiadł przy Jillian, całując ją na przywitanie, a zaraz za nim pojawili się Malachi z Laney.

– Ładny – skomentował Levi, patrząc jednak na swoją dziewczynę, nie plakat. – Greg zarezerwował wczoraj limuzyny terenówki. U znajomego. Dostał fantastyczną zniżkę. Czyli to mamy zaklepane.

Laney uśmiechnęła się do Malachiego i kiedy tylko usiadł, przysunęła się do niego.

– Wiesz, co to bal maturalny?

– Nie – odpowiedział, spoglądając na plakat.

Nie chcąc na nich patrzeć, odwróciłam się do Iana.

– Macie dzisiaj mecz, prawda?

Ustawił mleko i sok na dziesiątej i drugiej.

– Uhm, pierwszy bez Adena – powiedział ze smutkiem w głosie. – W tym tygodniu, przez czuwanie i pogrzeb, nie mieliśmy treningów.

– Martwisz się.

Skinął potakująco.

– Greg jest niezłym miotaczem, ale Weterani mają w tym roku paru dobrych pałkarzy. – Odgarnął wpadające mu do oczu niesforne włosy. – Nawet nie mam ochoty grać – przyznał cicho. – Bez Adena siedzącego w boksie będzie już zupełnie inaczej. Ale chciałbym wygrać. Właśnie dla niego. – Pokręcił nerwowo kartonikiem mleka. – Hej, a może przyjdiesz?

Już miałam odmówić, ale przypomniałam sobie, że Malachi namawiał mnie na odpoczynek od służby. Postanowiłam więc zacząć wolne trochę wcześniej.

– Jasne. Postaram się.

Doleczki, które pojawiły się na jego policzkach, były oszałamiające.

– Super. Może spotkamy się po meczu?

Mój wzrok padł na Laney paplającej o smokingach i imprezach pobalowych. A kiedy położyła Malachiemu rękę na ramieniu, w zasadzie podjęła za mnie decyzję.

– Nie mam żadnych planów – powiedziałam, licząc na to, że moje następne słowa dosięgną Malachiego jak cios w brzuch. – Bardzo chętnie gdzieś wyskoczę.

Po krótkim spotkaniu z Malachim i Henrym, podczas którego podałam im nowe trasy patroli, poszłam na boisko. Gdyby nie namowy Malachiego, żebym wzięła wolne, krążyłabym teraz samotnie po ulicach, polując na Mazikiny. I to właśnie powinnam robić. Ale przypomniałam sobie, że przecież Mazikiny dobrze wiedziały, gdzie szukać mnie i moich znajomych, uznałam więc, że może to i lepiej, że będę na meczu.

Usiadłam na trybunie razem z Tegan, Jillian i Laney i zaczęłam rozglądać się za ewentualnymi zagrożeniami i podejrzanymi typami, jednocześnie naśladując dziewczęta, kiedy wiwatowały i kiedy siedziały cicho. Bywałam dość często na meczach z Na-dią, która chodziła z Gregiem. Siedząc teraz na twardej ławce, czując wiatr płaczący mi włosy, bardzo za nią tęskniłam. Tegan trzymała w szczupłych palcach kubek z gorącą czekoladą. Mnie również przyniosła. Wręczając mi napój, otaksowała mnie badawczym spojrzeniem.

– Hej, Laney. I jak, zgodził się? – zapytała, przechylając się poza mną.

Laney łypnęła na mnie kwaśno.

– Powiedział, że się zastanowi. Musi się chyba zapytać swojego gospodarza.

A w ogóle to nie twoja sprawa.

Boże. Laney zaprosiła Malachiego na bal. Łyknęłam gorącą czekoladę i skrzywiłam się, kiedy płyn spłynął, parząc mi język i gardło.

Tegan zachichotała, odwracając wzrok na styropianowy kubek.

– Namówiłaś go, żeby przyszedł z tobą dzisiaj?

Laney prychnęła.

– Dużo się uczy. Poza tym chyba pracuje gdzieś popołudniami.

Tegan zerknęła na mnie spod oka.

– W piątek wieczór też pracuje?

Nie byłam zachwycona, że Malachi wziął za mnie patrol. Od wtorku nie miał wolnego i podejrzewałam, że od tamtego czasu porządnie się nie wyspał. Owszem, był niezwykle odporny, ale był tylko człowiekiem. Martwiłam się o niego, jak zresztą za każdym razem, kiedy wychodził na polowanie na Mazikiny. W tym jednak momencie cieszyłam się, że poszedł, bo to oznaczało, że nie spotka się z Laney. Mimo to przez parę kolejnych rund wyobrażałam sobie, jak bierze ją w ramiona, całuje tak, jak całował mnie. I miałam straszną ochotę połamać łasce chude kulasy.

Ostrygi z liceum Warwick, jeszcze do zeszłego tygodnia faworyci mistrzostw stanowych, spektakularnie przegrali mecz – jeden do dziewięciu. Porażka była tym boleśnieszka, że resztę sezonu zadedykowali Adenowi. Ian odbił asa w drugiej rundzie i ponownie w czwartej, ale uderzenia nie zostały wykorzystane. Po meczu, kiedy drużyna schodziła z boiska, miał ponurą minę.

– Biedny Ian – pożałowała go Tegan, szczelniej okrywając się kurtką. – Jak się trzyma?

Spojrzałam na nią i dopiero wtedy zorientowałam się, że mówi do mnie.

– Hmm, czy ja wiem? Chyba nieźle. Zaraz mam się z nim spotkać.

Spojrzała na mnie bardzo dziwnie.

– Bądź ostrożna, Lela.

– Ostrożna?

– Nie złam mu serca! Przecież wiesz, że od dawna mu się podobasz, prawda?

Wpatrywałam się w jej twarz, usiłując rozeznaczyć się, czy przypadkiem nie żartuje. W wypadku Tegan ciężko było to jednak stwierdzić.

Kiedy szliśmy między rzędami w stronę betonowych schodków, trąciła mnie ramieniem.

– To, że ty nigdy nie zwracałaś na nich uwagi, nie znaczy, że oni nie zwracali jej na ciebie – powiedziała cicho.

Kiedy odeszła, jej słowa odbijały się echem w mojej głowie, aż powlekły mi umysł grubą warstwą strachu. Nie chciałam zranić Iana. Chciałam tylko... odetchnąć. Uciec na chwilę od własnego życia. Co było strasznie samolubne, bo przecież Mazikiny grasowały na ulicach, polując na ludzi. Kiedy dotarłam do wyjścia z szatni, byłam absolutnie przekonana, że nie powinno mnie tu być.

Zadzwoiłam do Jima.

– Cześć, Lela – odezwał się. – Henry i Malachi właśnie wyszli. Mają obejść te miejsca, które wypisałaś.

– Właściwie...

Przerwał mi, chichocząc.

– I mam ci przekazać, że masz wracać do domu i odpocząć.

– Hm?

– Mówię, że porucznik cię uprzedził. Zrób sobie wolne, Lela. Ostatnio jest spokojnie.

Ścisnęłam komórkę w rękę.

– W porządku. A co u ciebie?

– Tegan dzwoniła. Robi domówkę. Ludzie mają zebrać się i wspominać Adena i tę dziewczynę, która się zabiła.

Jim miał za zadanie pilnować naszych znajomych. Zazwyczaj polegało to na monitorowaniu Facebooka i dzwonieniu, ale dzisiaj był piątek.

– Miała na imię Nadia. Może się spotkamy u Tegan. Czekałam właśnie na Iana.

– Uhm – mruknął Jim. – Malachi nie będzie zachwycony. Miałaś się wyspać.

– Nie jego sprawa, co robię – fuknęłam, powtarzając jego wcześniejsze słowa. – Niech się skupi na patrolowaniu East Side i pilnuje, żeby nikogo nie porwano. I niech nie zawraca sobie głowy czymś innym, ok?

– Nie mam zamiaru się wtrącać.

– To dobrze. Dzięki. Jim? I pamiętaj, żadnego picia... I innych rzeczy. Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy.

– Jasne.

Ian wyszedł z szatni z dużą torbą sportową. Włosy miał jeszcze mokre po prysznicu, a ubrany był w dżinsy i ciepły sweter dopasowany w ramionach i klatce piersiowej.

– Cześć. – Rozpromienił się doleczkowato.

Wyłączyłam telefon, nie żegnając się z Jimem, i nagle zrobiło mi się sucho w ustach na wspomnienie tego, co Tegan powiedziała o Ianie.

– Hej. Zakładam, że idziemy do Tegan?

– A moglibyśmy nie? – zapytał, wbijając wzrok w ziemię.

U Tegan mogłabym pomóc Jimowi pilnować znajomych. Gdzie indziej byłabym w stanie pilnować tylko Iana, którego metr dziewięćdziesiąt nie wydawało się wymagać szczególnej ochrony. Będąc z nim sam na sam, musiałabym pewnie martwić się bardziej pilnowaniem siebie.

– Uhm – odchrząknęłam. – A co innego moglibyśmy robić?

– Może kino? – zaproponował, nie podnosząc oczu. – Wiesz, po prostu... nie chcę dzisiaj myśleć o tym wszystkim. Chciałbym porobić coś zwyczajnego.

Miałam ochotę dokładnie na to samo. Nie pociągała mnie rola żałobnika. Nie chciałam być Strażnikiem. Chciałam być dziewczyną. Zwyczajną dziewczyną. Taką, która idzie do kina i obżera się popcornem. I nikogo nie musi zabijać. Choć przez jeden wieczór.

– Świetnie – wyszeptałam.

Pojechaliśmy jego samochodem do centrum handlowego, gdzie opchaliśmy się burgerami i frytkami. Okazało się, że Ian też idzie do URI, więc gadaliśmy o uczelni, przedmiotach, baseballu i fotografice. Nie rozmawialiśmy za to ani o Adenie, ani o Nadii. Nie rozmawialiśmy też o Malachim. Nie musiałam myśleć o śmierci, zabijaniu ani o ratowaniu świata.

To było coś wspaniałego.

Potem podjechaliśmy do kina, gdzie zdecydowaliśmy się iść na komedię. Odetchnęłam z ulgą, że nie chciał iść na najnowszy film o apokalipsie i zombie, bo jak dla mnie temat za bardzo zahaczał o rzeczywistość. Uparł się, że zapłaci za bilety, a potem kupił wiadro popcornu. Roześmiałam się, kiedy mi je wręczał.

– Nie powiesz mi chyba, że nadal jesteś głodny?

Uśmiechnął się szeroko.

– No co ty? Ja ciągle jestem głodny. Poza tym jem, jak się denerwuję.

– A denerwujesz się?

Obrzucił mnie spojrzeniem typu „a jak myślisz?”.

– Chodź, uwielbiam zwiastuny.

Weszliśmy na salę jako pierwsi, więc mogliśmy wybrać sobie dowolne miejsca. Usiadłam ze ściśniętym żołądkiem. Byłam sama. W ciemnościach. Z facetem, ale nie z Malachim.

Wzięłam garść popcornu i wpakowałam sobie do ust.

– Ty też jesz, jak się denerwujesz? – wyszeptał, patrząc na mnie z łobuzerskim uśmieszkiem.

Sala powoli wypełniała się. Obecność innych ludzi sprawiła, że napięcie między nami nieco zelżało. Przyszło nawet kilka osób ze szkoły.

– Mam nadzieję, że jesteś gotowy na plotki na Facebooku – mruknęłam, obserwując Caroline, z którą chodziłam na zajęcia z literatury. Dziewczyna popatrywała na nas ciekawie znad telefonu, na którym coś szybko klikała.

– Wstydzisz się mnie? – zapytał, zjeżdżając na fotelu i trącając mnie ramieniem. – Może trzeba było się jakoś przebrać?

Też go trąciłam.

– Trzeba było.

Nie mogłam się powstrzymać i przysunęłam się do niego. Jego uśmiech był taki pociągający. Nasze twarze znajdowały się centymetry od siebie. Miał promienne, zielone oczy. Oczy, które jaśniały nawet w półmroku sali. Jego oddech pachniał popcornem.

I kadziłem.

DWUDZIESTY

Odsunęłam się gwałtownie. Na widok mojej miny jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

– Co się dzieje, Lela?

Światła przygasły, a sala zadrżała od huku pierwszych dźwięków muzyki do zwiastuna. Pochyliłam się i wciągnęłam nosem powietrze. Ian nawet nie drgnął, siedział jak zakłęty z twarzą zastygłą w krzywym uśmiechu. Uświadomiłam sobie, że byłam z nim przecież cały wieczór, więc zapach nie mógł pochodzić od niego. A to oznaczało, że od kogoś innego znajdującego się teraz w kinie, może nawet od wielu takich ktosiów. Moja dłoń powędrowała do paska, gdzie zwykle miałam przytroczony nóż. Cholera. Nie mogłam zabierać noża do szkoły, a przed meczem nie byłam w domu. Schyliłam głowę, aż jego włosy musnęły mnie w policzek i wyszeptałam mu wprost do ucha:

– Kojarzysz ten zapach?

Wpatrywał się w ekran, ale wyraźnie nie oglądał filmu. Wciągnął głęboko powietrze, a potem spiął się cały. Nie odwracając wzroku od ekranu, kiwnął potakująco głową. Tak myślałam, przecież Aden wydzieliał ten sam zapach w nocy, kiedy jego ciało przejął Mazikin.

Na ekranie wyświetlano zwiastun za zwiastunem, a ja rozglądałam się po sali. Niewiele widziałam, ale dostrzegłam paru znajomych ze szkoły. Siedzieli w tylnym rzędzie i przyglądali się nam ciekawie. Caroline i jej przyjaciele. Czyżby to oni...? W tym momencie do sali weszło paru facetów z wiaderkami popcornu w objęciach. Jakiś chłopak siedzący w naszym rzędzie uniósł się i pomachał do nich. Potem odwrócił się i spojrzał na mnie. Omal się nie wzdrygnęłam... A gdy z rzędu za nami dobiegło kaszłące postękiwanie, drgnęłam. Obróciłam się, wczepiając palce w rękaw Iana. Daleko, na lewo od nas, rozległ się trzeszczący, szczekliwy śmiech.

Poczułam dotknięcie na karku.

Zerwałam się na równe nogi. Para siedząca za nami patrzyła na mnie zbyt wystraszona, by kazać mi usiąść. Ian pociągnął mnie za rękaw.

– Co jest?

Opadłam na fotel, rozglądając się wokół. Byliśmy otoczeni przez Mazikiny.

Złapałam go za rękę.

– Musimy wyjść, szybko.

– Co? – wyszeptał. – Przecież nie śmierdzi aż tak bardzo. Nie zwiniemy się tylko dlatego, że jakiś trawiarz...

Byłam z nim nos w nos, zanim dokończył.

– Zbieraj dupę w troki, Ian, i chodź za mną. I to już.

Popatrzył na mnie jak na wariatkę, ale dał się zwlec z fotela i pociągnął

wzdłuż rzędu. Potykałam się o nogi siedzących – byłam zbyt zajęta sprawdzaniem, czy nikt za nami nie idzie, żeby uważać jeszcze i na to. Caroline i jej towarzyszki gapiły się na nas i szeptały między sobą, ale nie wstały. Kiedy dotarliśmy do przejścia, przepchnęłam Iana przede mnie.

– Patrz pod nogi. Uważaj. Idziemy do wyjścia awaryjnego.

Ponieważ parking przed kinem był zatłoczony, Ian zaparkował z boku, jego samochód stał gdzieś nieopodal bocznego wyjścia. I tam musieliśmy jak najszybciej dotrzeć.

W jednym z rzędów wstała kobieta z wysoko upiętym kucykiem i mocno podkreślonymi kredką oczami. Rozpoznałam ją – to ją gonił wtedy Jim aż do tej stacji benzynowej. Nie spuszczać wzroku z Iana, zaczęła schodzić przejściem równoległym do naszego. Widząc to, ponagliłam Iana. Mieliśmy szansę zdążyć przed nią. A potem kątem oka uchwyciłam jakiś ruch. Niech to szlag. Z rzędu za nami wyszło dwóch niechlujnych nastolatków i zaczęło deptać nam po piętach.

Ian zatrzymał się tak gwałtownie, że wpadłam na niego.

– Przepraszam – powiedział do kogoś z przodu. Uderzyła we mnie fala mdlącego zapachu. Złapałam go za koszulkę i szarpnęłam do tyłu.

– Hej! – krzyknął, uchylając się przed ciosem ręki o długich pazurach. Jakieś dziewczęta siedzące nieopodal zaczęły piszczeć, gdy Ian grzmotnął pięścią Mazikina blokującego mu drogę. Siwy chudzielec zatoczył się, lądując na kolanach piszczących dziewcząt.

– Idź, idź, idź – pospieszałam go, ale niepotrzebnie, bo już chwycił mnie za rękę i pociągnął w stronę wyjścia. Dopadliśmy drzwi parę kroków przed kobietą z kucykiem. Odepchnęłam ją kopniakiem, a Ian tymczasem otworzył drzwi, przez które zaraz mnie wypchnął.

– Co do kurwy...?! – wrzasnął, odwracając się do kobiety i dwóch nastolatków, którzy wybiegli za nami. Ruszyli w naszym kierunku, ale w drzwiach pokazała się głowa biletera.

– Wzywam policję! – krzyknął trwożliwie mężczyzna.

Kobieta odwróciła się, opadła na czworaka i zasyczała na niego. Bileter rzucił mi jeszcze wystraszone spojrzenie i zatrasnął drzwi, zostawiając nas na zewnątrz.

– Słyszeliście go – zawołałam do Mazikinów. – Zaraz będzie tu policja. Lepiej spadajcie.

Mazikiny przekrzywiły głowy.

– Żadnych syren – oznajmił jeden z nastolatków, ten w koszulce opinającej się na wydatnym brzuchu. – Ty, chłopak. – Wskazał na Iana. – Jesteśmy tu, żeby cię zabrać.

– A tamta – wychrypiała Kucyk, pokazując mi palcem – to jedna z nich! – Spojrzała na towarzyszy i zaczęła pokasływać i stękać w tym dziwnym języku

Mazikinów.

Zakłęłam na widok trzech kolejnych napastników, którzy wyszli z za kina i oflankowali nas z prawej. Książkowa zasadzka. Obserwowali nas, a potem śledzili. Na początku nie wiedzieli, że jestem Strażnikiem, interesował ich Ian. Tak jak podejrzewałam, Ibram obrał go sobie na cel.

– Ian – odezwałam się cicho. – Uciekaj. Biegnij do samochodu.

Chwycił mnie mocniej za rękę i zaczął wycofywać się w kierunku parkingu.

– Jaja sobie robisz?

Ścisnęłam jego dłoń, a potem wyrwałam się.

– Przykro mi, że tak się stało.

Siwy chudzielec wyprysnął z kina, ocierając z twarzy krew. Odsłonił zęby. Były spiłowane w szpice.

– Dziewczyna z włosami – warknął, wyraźnie mnie rozpoznając. – Nie wiedziałem, że go chronisz, ale to dobrze. – Machnął na nas szponami.

Mazikiny zaatakowały równocześnie. Ian rzucił się do ucieczki, rozwijając niesamowitą prędkość. Dwa Mazikiny puściły się za nim. Zdążyłam tylko poczuć skurcz strachu o niego, gdy Kucyk znalazła się już przy mnie. Kopnęłam ją w brzuch, a potem zdzieliłam łokciem w kark, w końcu chwyciłam za ramię i miotnęłam nią w grubaska. Inny Mazikin rzucił mi się na plecy, więc pochyliłam się gwałtownie do przodu, przerzuciłam go na ziemię, nadepnęłam z całej siły na krtań i natychmiast uderzyłam kolejnego napastnika pięścią w twarz.

Obiłam sobie kostki. W palcach pulsował ból. Usłyszałam w głowie spokojny, pewny głos Malachiego, napominający, żebym używała łokci i kolan. Żebym atakowała krótkimi, szybkimi ruchami, nie dając szansy na kontratak.

Miałam jednak nikłe szanse. Bez broni, wobec znaczącej przewagi Mazikinów. Mogłam kilku z nich poranić, ale nie mogłam wygrać tej potyczki. Okręciłam się i pognałam w stronę ulicy, klucząc pomiędzy samochodami, ścigana odgłosami ciężkiego dyszenia i coraz głośniejszym tupotem zbliżających się na czworaka przeciwników.

Wreszcie jeden z nich mnie dopadł, skoczył na plecy i rozorał mi szpiczastymi zębami rękaw i młóćące powietrze ramię. Upadłam. Rozległy się krzyki, widocznie mieliśmy publiczność. A to fatalnie, bo byłam gotowa zabić tego Mazikina gołymi rękami. Wiedziałam, kim jest chudzielec – tylko raz spotkałam Mazikina z tak spiłowanymi zębami. Mocno zaciskał szczęki na moim ramieniu, więc przekręciłam się, wtoczyłam na niego i przygniotłam całym ciężarem ciała.

– To ty, Clarence? – wydyszałam, zamierzając wbić mu te kły w gardło. – Myślałeś, że łatwo ci z nami pójdzie?

Wybałuszył oczy, które na dźwięk wypowiedzianego imienia rozbłysły. Próbował odgryźć mi kawał ciała, ale grzmotnęłam go w bok. Puścił mnie.

Zapiszczały hamulce. Drugi Mazikin skoczył mi na plecy.

– Głupia dziewczucha – syknął Clarence, kiedy jego towarzysz ściągał mnie z niego. – Teraz jesteś nasza. Sil będzie zachwycony, że cię złapałem.

Ten drugi chwycił mnie za włosy, ale nagle zaskrzeczał i szarpnął się, kiedy spadł na niego potężny cios. Clarence patrzył okrągłymi oczami na coś ponad moim ramieniem.

Wydostałam się z płataniny i skoczyłam na równe nogi, gotowa stawić czoło nowemu zagrożeniu. Okazało się jednak, że pomiędzy mną a zbliżającą się ostrożnie grupą Mazikinów stoi Ian.

Ian trzymał w rękach kij baseballowy, którym wymachiwał groźnie. Jego pierwsza ofiara – Mazikin, który skoczył mi na plecy – jęczała u moich stóp.

W tę chwilę ciszy wdarło się wycie syren policyjnych. Clarence zaskrzeczał coś do pozostałych. Zupełnie jakby dzieliły jeden umysł, Mazikiny opadły jednocześnie na czworaka i zaczęły uciekać. Niektóre zostawiały krwawe ślady, inne kulały.

– Musimy się stąd zwijać – powiedział Ian. Wrzucił kij do otwartego bagażnika i pomógł mi wsiąść do samochodu. Sam wskoczył na przednie siedzenie. Silnik cały czas chodził.

Ian nie ruszył jednak z piskiem opon, tylko spokojnie wrzucił bieg i po prostu wyjechał z parkingu. Skuliłam się, kiedy mijaliśmy gapiów, ale zdałam sobie sprawę, że kiedy Ian wymachiwał kijem, zasłaniał nas samochód, więc jeśli ktokolwiek cokolwiek widział, to wyłącznie mnie uciekającą przed bandą biegnących na czworaka świrów.

– Szyby są przyciemniane – odezwał się Ian, nadal lekko zdyszany. – Nie musisz się chować.

Wyjrzałam ostrożnie przez okno. Stojący na końcu parkingu niebieski van wystrzelił jak z procy, podskoczył na krawężniku i śmignął po chodniku, omal nie potracając jakiejś pary. Przy wtórze ryku klaksonów samochód wpadł na jezdnię, skręcił ostro i zniknął mi z pola widzenia.

Ian zachował swój subtelny styl jazdy. Podjechał spokojnie do wyjazdu, włączał kierunkowskazy, zwalniał przed progami i zatrzymywał się na żółtym świetle. Po wjeździe na główną drogę przyspieszył, przekraczając limit prędkości dokładnie o 5 mil. Obserwowałam przez tylną szybę, jak dwa radiowozy, które śmignęły obok nas, wjeżdżają na parking kina, za późno na cokolwiek poza zebraniem zeznań od świadków. Na całe szczęście to Mazikiny zrobiły wielkie przedstawienie. Nas łatwo było zapomnieć.

Zranione ramię bolało.

– Dzięki za ratunek – wycedziłam przez zęby.

Ian odwrócił głowę.

– Jesteś ranna.

Obejrzałam rękę, starając się w nikłym świetle ocenić jej stan.

– Może zawieźć cię do szpitala?

– Nie, nie, nie trzeba.

Potrzebowałam pomocy Rafaela, ale zakładałam, że mam jakąś godzinę, zanim stan się pogorszy. Zakładałam tylko, bo przecież pierwszy raz w życiu zostałam ugryziona przez Mazikina.

Ian zaśmiał się gorzko, potrząsnął głową, a potem ostro skręcił w prawo. Wjechał na parking szkolny i zatrzymał się przy moim wozie. Nie zdjął jednak z kierownicy rąk o pobielających knykciach. Jego ramiona uniosły się, kiedy nabrał tchu. Potem odwrócił się do mnie.

– No? – zaczął bardzo spokojnie. – Może powiesz mi, co się dzieje?

Dotknęłam rany i skrzywiłam się, czując pod palcami lepka, ciepłą krew. Jad rozchodził się w moich żyłach falami gorąca. Na szczęście mój mózg działał, a przynajmniej na tyle, żeby wytworzyć stek kłamstw.

– To byli ci goście od Adena, wiesz, nie?

– Ten sam zapach – potwierdził Ian. – Tamtej nocy Aden też tak śmierdział. Ale to mnie chcieli dopaść. I zachowywali się tak, jakby cię znali.

– Raczej wiedzieli o mnie. Daj spokój, Ian, chyba nie wierzysz, że jestem pensjonarką? – Liczyłam, że nie podejmie wyzwania. Plotki o mnie krążyły po szkole od dnia, kiedy się tam pojawiłam, czemu więc ich nie wykorzystać?

– Nie, Lela, nie, ale... Chcesz powiedzieć, że byłaś w jakimś gangu czy coś takiego?

Nigdy. Ale chwilowo nie przychodziło mi nic innego do głowy. Wzruszyłam ramionami.

– Aden tak właśnie uważał... – Zaciskając zęby, spróbowałam poruszyć palcami, ale ręka była odrętwiała. Musiałam jak najszybciej dostać się do domu. – Przykro mi, naprawdę.

– Kłamiesz. – Pokręcił głową. – Wiem, że kłamiesz. Tu chodzi o coś innego.

– Słuchaj, ja... Chyba po prostu dopadła mnie przeszłość – powiedziałam, żałując w duchu, że zabicie Clarence'a jeden raz to za mało. – Ale postaram się, żeby nikt już cię nie niepokoił, ok?

Zaklął i gwałtownie otworzył drzwiczki. Potem szarpnięciem otworzył tylne, wdrapał się do bagażnika i usiadł obok mnie. Instynktownie chwyciłam klamkę najbliższych drzwiczek.

– A kto się postara, żeby ciebie już nikt nie niepokoił? – warknął. – Spójrz na siebie. Jesteś ranna. Gdyby nie ja, mogliby cię poważnie skrzywdzić.

Poczułam nagłe znużenie. Oparłam się o siedzenia i przytuliłam do siebie bezwładną rękę.

– Umiem sobie poradzić.

Roześmiał się.

– Co ty nie powiesz? To jedna z tych rzeczy, za które cię lubię. Ale napadło

na nas siedmiu zaćpanych szaleńców, Lela. Wiem, że potrafisz spuścić komuś łomot, ale nie jesteś superbohaterem.

– Nie twierdę, że jestem. Mówię tylko, że czułabym się fatalnie, gdybyś został w to wplątany.

– Za późno. Właśnie krwawisz na moją tapicerkę.

Otworzyłam drzwiczki i wygramoliłam się z samochodu, jednocześnie wygrzebując z kieszeni kluczyki. W nogach czułam już podobne mrowienie jak w ręce. W Mrocznym Mieście Malachi był w stanie biec ponad godzinę po ugryzieniu przez Juriego, modliłam się więc, żebym wytrzymała przynajmniej tyle samo.

– Lela! Zaczekaj! – zawołał Ian, wyskakując za mną. – Nie mówiłem dlatego, żebyś wysiadła!

– Muszę wracać do domu. Jestem wykończona i nie chcę, żeby w ranę wdała się infekcja czy coś takiego. – Wskazałam na ramię.

– Zadzwoń do mnie jutro – powiedział stanowczo, ale zdradziło go pytanie malujące się w jego oczach.

– Dobrze. I uważaj na siebie, proszę. A gdybyś zobaczył ich samochód, natychmiast daj mi znać.

Kąciki jego ust uniosły się w niepewnym uśmiešku.

– I co wtedy zrobisz?

– No dobra. – Westchnęłam. – Zadzwoń w takim razie na policję. Jak sobie chcesz. Tylko proszę cię, uważaj.

– Ty martwisz się o mnie? – zapytał, podchodząc. Niepewnym gestem dotknął palcami mojej brody. Pozwoliłam mu unieść twarz, choć jego bliskość przepełniała mnie paniką. – To ja raczej martwię się o ciebie – rzekł miękko.

– Do zobaczenia – wyszeptalam i odwróciłam się, żeby otworzyć samochód.

– Odwiozę cię do domu.

– Nie, nie trzeba, naprawdę.

– Lela... – Westchnął. – No dobrze, ale w takim razie pojedę za tobą. Chcę wiedzieć, że dotarłaś bezpiecznie.

Zacisnęłam powieki, powstrzymując się od krzyku. Nie miałam na to czasu, choć to było słodkie, tym bardziej po tym, jak zachował się w kinie.

– Strata benzyny, moim zdaniem, ale jeśli cię to uspokoi...

Otworzyłam wreszcie samochód. Kiedy siadłam za kierownicą, ze wszystkich sił skupiłam się na tym, żeby spokojnie i niespiesznie dojechać do domu Diany. Na podjeździe pomachałam na pożegnanie Ianowi, a kiedy odjechał, ruszyłam do Strażnicy. Rafael już czekał na werandzie. Chwiejnie wspięłam się na schodki. Na szczęście nikogo poza nim nie było, więc uniknęłam melodramatycznych scen. Pozwoliłam mu się odesłać w błogi niebyt, z którego kilka godzin później obudził mnie odgłos stłumionych łupnięć.

W korytarzu paliło się światło, zakradłam się więc pod drzwi piwnicy i zaczęłam nasłuchiwać. Stękania, ciężki oddech i szuranie. Przypomniałam sobie słowa Henry'ego, że Malachi trenuje, kiedy nie może spać. Najciszej, jak umiałam, zeszałam parę stopni i popatrzyłam w dół przez drewnianą barierkę.

W świetle lamp jego skóra lśniła od potu, uwydatniając mięśnie. Malachi kontrolował każdy swój ruch od początku do końca, co natychmiast wzbudziło moją zazdrość. Błyskawicznie wyprostował rękę, najpierw swobodnie, zwodniczo płynnie, ale blisko celu zwinął pięść i uderzył manekin w pierś, pozostawiając wgłębienie w miejscu uderzenia. Obrócił się w miejscu, zadał trzy ciosy kolanem, a w końcu ogłuszył go ciosem łokciem. Kukła upadła na ziemię zgięta wpół, z niemal oderwaną głową. Malachi okręcił się z zamiarem zniszczenia następnego manekina, a wtedy ujrzałam jego minę, nieobecną, roztargnioną. Jakby działał na autopilocie, jakby ciałem był tutaj, ale umysłem bardzo daleko stąd.

Jeszcze tydzień wcześniej dołączyłabym do niego. Objęłabym go, a on powitałby mój dotyk z radością. Nawet ta niebezpieczna misja wydawała się wtedy wykonalna, bo byliśmy razem i nic nie mogło nas rozdzielić. Ale teraz... Tyle rzeczy tarasowało mi drogę do niego, a nie wiedziałam, jak je obejść i czy to w ogóle możliwe. Obserwując go z tak bliska, a jednocześnie tak odległego, poczułam palącą samotność, bolącą jak otwarta rana. Wycofałam się cicho na górę, a potem pojechałam do domu.

DWUDZIESTY PIERWSZY

Poniedziałek wstał szary i mokry. Duże krople deszczu spływały po szybach do skrzynek, gdzie zieleniły się pierwsze pędy kwiatów. Tego dnia odbywały się kursy dla nauczycieli, więc czas wolny od lekcji spędziliśmy na treningach i dyskretnym obserwowaniu szkolnych kolegów. Drużyna baseballa miała dłuższy trening przed popołudniowym meczem wyjazdowym, musiałam więc odbyć krępującą rozmowę telefoniczną z Ianem, żeby jeszcze raz uczulić go na ewentualne pojawienie się vana i poprosić, by ostrzegł resztę drużyny. Ian ciągle dopytywał się, jak się czuję, a ja z trudem go zbywałam. Większość tej rozmowy składała się z pełnych zakłopotania chwil milczenia i paru z trudem wypowiedzianych zdań.

W czasie obiadu moi Strażnicy poruszyli temat, którego unikałam ostatnio nawet w myślach – mojego spotkania z „mamą”, które miało odbyć się po południu. Dzięki niemu pojawiła się najlepsza od kilku dni szansa na odnalezienie gniazda Mazikinów. Podczas spotkania miał mi towarzyszyć Malachi, zaś Jim i Henry obstawiać wyjście, żeby po naszym SMS-ie zacząć ją śledzić. Mazikiny wiedziały tylko o mnie i Malachim, reszty Strażników nie znały. Gdyby wszystko poszło po naszej myśli, moglibyśmy nawet już dziś zakończyć całą sprawę. Strażnicy sprawiali wrażenie jak zwykle zdeterminowanych, ale za każdym razem, kiedy wspomniałam o matce, Malachi obrzucał mnie baczny spojrzeniem. Zirykował mnie ten jego niepokój, że mogę zachować się nieracjonalnie, więc spędziłam jeszcze pół godziny, wyładowując frustrację na druciano-szmacianych manekinach.

Kiedy podjechaliśmy pod budynek opieki społecznej, Jen Pierce czekała już na schodach, kuląc się pod parasolką z połamanymi drutami.

– Witaj, Lela – zawołała na mój widok. – Chciałam się z tobą zobaczyć, zanim wejdziemy.

Czujnym okiem obrzuciła Malachiego, który w naciągniętym na twarz kapturze, wyglądał nawet bardziej imponująco niż zazwyczaj, a potem uścisnęła mu dłoń. Przedstawiłam go jako przyjaciela, który będzie dla mnie tłumaczył.

– Rita już jest – poinformowała nas Jen. – Czeką od dwóch godzin.

Malachi zmarszczył brwi. Jim i Henry stali już na swoich posterunkach, ale najwyraźniej i tak przybyliśmy za późno, żeby zobaczyć, skąd tu dotarła. Zastanawiałam się, ile Maziknów nas teraz obserwuje. Z powodu deszczu nie dało się wyczuć ich zapachu.

Jen poprowadziła nas długim korytarzem, w którym znajdowało się wiele zamkniętych drzwi.

– Ze względu na to, że masz już siedemnaście lat, czyli jesteś prawie dorosła, na spotkaniu nie będzie pracownika opieki, ale w razie czego, na przykład gdybyś

potrzebowała pomocy, zawsze możesz nas zawołać. Nie musisz się z nią widywać, więc w każdej chwili możesz wyjść.

– Będzie dobrze, Jen – uspokoiliam ją, wciskając roztrzęsione ręce do kieszeni. – To nic takiego.

Zatrzymując się przy pokoju konferencyjnym numer 133, rzuciła mi współczujące spojrzenie. Rita Santos-Mazikin siedziała na jednym z obrotowych krzeseł, zaciskając palce na poręczach. Udało jej się uładzić trochę niesforne włosy. Warkoczyki i koraliki zostały, ale zdołała wycesać liście i gałązki. Miała na sobie niedopasowaną błękitną garsonkę i poplamioną kremową bluzkę. Zastanawiałam się, czy ukradła to ubranie jednej z ofiar. Przesunęła po nas spojrzeniem złotobrazowych oczu, po czym skupiła wzrok na mnie. Pochyliła się nagle, jakby chciała rzucić się przez dzielącą nas szklaną ścianę. Malachi mruknął coś pod nosem i przysunął się do mnie. Jen, westchnąwszy, zapukała energicznie i otworzyła drzwi. Korytarz wypełnił się słabą wonią kadzidła.

– *Hola, Rita* – powiedziała. – *Ella está...* tutaj. – Odsunęła się i zwróciła do mnie. – Będę w korytarzu, niedaleko. Zostawię otwarte drzwi, dobrze?

Skinęłam głową, nie patrząc na nią, całkowicie pochłonięta obserwowaniem matki, która szeptała raz po raz moje imię. Nabrawszy w płuca korytarzowego powietrza, weszłam do salki i usiadłam za stołem naprzeciwko Rity. Nieznajomej. Mojej matki. Mojego wroga. Mazikina. Nie wiedziałam, jakiego określenia użyć, jak ją nazywać. Była dla mnie jednocześnie tym wszystkim. Podniosła się z krzesła, ale w tym momencie do pokoju wszedł Malachi i stanął pomiędzy nami.

– *Quédate sentada* – rzekł stanowczo, wskazując na jej krzesło. – *No voy a permitir que te acerques a ella.*

Rita odsłoniła w grymasie poźółkłe zęby.

– Nie... chcę... skrzywdzić.

Malachi popatrzył na mnie przez ramię.

– To twoje spotkanie – powiedział z miną zdradzającą rozmiar napięcia. Trudno mu było opanować się, kiedy miał Mazikina w zasięgu ręki.

Mimo w miarę starannego stroju i uczesania, Rita nadal miała nierówne, czarne od brudu paznokcie. Wpatrywała się we mnie z intensywną pożądlivością, kiedy zacisnąwszy dłonie na podłokietnikach, zapytałam:

– Po co chciałaś się spotkać?

Słuchała tłumaczącego Malachiego, nie spuszczając ze mnie wzroku. Odpowiedziała szybko, ostro, takim tonem, jakby nauczyła się zdań na pamięć. Kiedy skończyła, Malachi zwrócił się znów do mnie.

– Mówi, że Mazikiny chcą zawrzeć z nami pokój. Ich populacja rośnie i mogą zmieść nas w każdej chwili, ale nie widzą potrzeby zabijania nas, jeśli tylko przyjmujemy ich warunki.

Roześmiałam się, choć w brzuchu bulgotał mi strach.

– Jeśli mogliby pozbyć się nas z taką łatwością, to dawno by to zrobili.

Rita przekrzywiła głowę, słuchając Malachiego. Skinęła, jak gdyby spodziewała się tego rodzaju odpowiedzi.

– Briarcliff sto pięćdziesiąt – powiedziała, dobitnie wymawiając każdą sylabę.

Adres Tegan.

– Broadway dwadzieścia dziewięć.

Czy Ian przypadkiem nie mieszkał na Broadway?

Jej oczy zabłysły czymś mrocznym, głębokim.

– Kingston Court pięćdziesiąt trzydzieści jeden.

Malachi wystrzelił z krzesła, kiedy wyrecytowała mój adres, ale złapałam go za rękę, zanim jej dopadł.

Może i nie zdołaliby dotrzeć do Iana czy innych przez weekend, ale nie ulegało wątpliwości, że zagrożenie było bardzo realne. Pochyliłam się, zaciskając palce na rękawie Malachiego, który powoli siadał na swoje miejsce.

– Nie waż się ich tknąć – ostrzegłam cicho Ritę-Mazikina, czując na skórze żar gniewu. Moi przyjaciele. Diana. Zacisnęłam zęby. Teraz ręka zaciśnięta na kurtce Malachiego służyła mi za kotwicę – teraz to ja potrzebowałam go, żeby zostać na miejscu.

Widząc jej krzywy uśmiezek, wiedziałam, że tym razem nie potrzebowała tłumaczenia. Zachichotała cicho i zwróciła się do Malachiego.

– *No podrás impedirnos. Los dejaremos en paz solo si nos dés un sacrificio.*

Malachi zeszywniał.

– Czy ona właśnie powiedziała, że chcą ofiary? – wyszeptałam.

Skinął potakująco.

– W zamian za zostawienie wszystkich innych w spokoju.

– Czego chcesz? – zapytałam ją wprost.

Na twarzy Rity odbiła się najdziwniejsza mieszanina ekscytacji i smutku.

– *Tú, mija.*

Malachi wyrwał rękę z mojego uchwytu.

– *Eso nunca pasará* – warknął, podnosząc się z krzesła.

– Ej, co jej powiedziałaś? – dopytywałam się.

Równie dobrze mogłam być niewidzialna. Malachi zbliżył się do Rity złowrogo, a potem z całych sił pchnął jej krzesło, aż z miotającym się Mazikinem uderzyło o ścianę.

– *Debería de matarte ahora mismo* – powiedział spokojnie.

Im był bliżej, tym głośniejsze skrzeczała Rita i tym większą ochotę miałam, żeby zasłonić uszy przed jej wrzaskami.

– Daj spokój, Malachi – prosiłam. – Zaraz się tu zbiegną ludzie.

Nagle przyszło mi do głowy, że może być uzbrojony. Nie żeby potrzebował

jakiejś broni. Z krzyków Rity łatwo można było wywnioskować, że ona też o tym dobrze wiedziała.

Malachi stał nad nią z zaciśniętymi pięściami.

– Powinniśmy ją zabrać ze sobą, Lela. Zabierzmy ją do Strażnicy, przesłuchajmy. Dowiemy, się, gdzie mają gniazdo. A potem zabijemy to ciało i uwolnimy twoją matkę.

Nie mogłam zrozumieć jego błagalnego tonu. Coś, co powiedziała, doprowadziło go do rozpacz i sprawiło, że gotów był porzucić nasz dokładnie opracowany plan. Ten, który nie obejmował mordowania mojej matki w budynku opieki społecznej.

– Nie możemy jej zabrać – zaproponowałam. – Sam zobacz, zaraz zacnie wariować i ściąganie na nas biedę. – Spiorunowałam go wzrokiem, chcąc, żeby przypomniawszy sobie, co planowaliśmy. Czyli śledzenie jej do gniazda.

Malachi cofnął się, bo korytarzem przechodziło właśnie kilku pracowników socjalnych, którzy zaniepokojeni zerkali do salki.

– Lela – powiedziała Rita, obchodząc stół, żeby znaleźć się jak najdalej od niego. – Sil mówił, że jak przyjdiesz, da spokój twoim przyjaciółom. Odejdziemy stąd.

– Chcesz mi wmówić, że jeśli pójdę do Sila, to oszczędzicie moich przyjaciół i co, znikniecie? Ot tak? – To była jakaś idiotyczna propozycja. Gdzie by nie poszli i tak musielibyśmy ich ścigać.

Skinęła głową, łypiąc nad stołem na Malachiego, który był gotów rzucić się na nią, jeśli zbliży się do mnie choć o centymetr.

– *Podrías estar con tu mamá.*

– Zamknij się – warknął Malachi. – *Cuando te matamos, quedará libre el alma de su madre.*

Oczy Rity rozszerzyły się, a usta zastygły w kształt „O”. I naraz Rita zaczęła się śmiać tym piskliwym, koszmarowym rechotem.

– *No* – powiedziała – *Nunca será libre. Una vez que el alma de un humano se atrape, no tiene ninguna salida de la ciudad de los Maziquines.*

Malachi zamarł.

– Łżesz!

– Co powiedziała?! – Denerwowałam się. – Przetłumacz natychmiast!

Zignorował mnie. Zaczął obchodzić stół, zmuszając Ritę do ucieczki w moją stronę. Idąc za nią, mamrotał niezrozumiałe dla mnie słowa. Ona nie zwracała jednak uwagi na niego, cały czas szeptała do mnie.

– Sil mówi, żebyś przyszła – powtarzała. – Przyjaciele. Zabije ich, jeśli nie przyjdiesz. Zabierze ich. Zrobi z nich nas.

– A jeśli przyjdę? – zapytałam, obserwując z walącym sercem, jak się do mnie zbliża, czując mdłości od bijącego od niej słodkawego odoru.

– Nawet się nie waż brać tego pod uwagę, Lela. – Trudno było przeoczyć nacisk w tonie Malachiego.

– Przetłumacz, co powiedziała – wycodziłam.

Zrobił to. Rita uśmiechnęła się i odparła coś po hiszpańsku, a cokolwiek to było, przepełniło czarę. Malachi rzucił się na nią. Rita opadła na czworaka i czmychnęła za moje nogi, zasłaniając się mną. Złapała mnie za rękę, pocałowała ją, a potem cisnęła na stół zmięty papier i szarpnęła za klamkę.

– Czeka na ciebie – powiedziała. – Ale nie będzie czekał wiecznie.

Wyskoczyła na korytarz, zatrzasnęła za sobą drzwi i runęła w kierunku wyjścia, ale w pewnej chwili skręciła gdzieś w bok. Malachi porwał papier ze stołu i wystartował za nią, zdążyłam go jednak chwycić, opasując ramionami w tali.

– Nie możesz urządzić sobie pościgów – mitygowałam go. – Wszyscy się zbiegną.

Wychodząc z salki, wyszarpnęłam z kieszeni komórkę i puściłam Henry'emu i Jimowi wiadomość, że Rita będzie wychodziła, tylko nie głównym wejściem.

– Proszę, namierzcie ją – wyszeptalam do siebie, wiedząc, że nie spodziewają się tak szybkiego zakończenia spotkania. – Inaczej ją zgubimy.

Kiedy podeszliśmy do frontowych drzwi, ołowiane niebo i ulewa ograniczały widoczność. Ledwie widziałam drugi koniec ulicy. Po Ricie nie było ani śladu. Telefon zawibrował. Odpowiedzi od Jima i Henry'ego przysły prawie jednocześnie.

„Nie było jej przy bocznym wejściu”.

„Jestem ulicę dalej. Widziałem kogoś w wyjściu pożarowym, ale nie mogłem śledzić w aucie”.

Nie udało się nam.

Pchnęłam gwałtownie pierwsze szklane drzwi i przystanąłam w mokrym, wyłożonym płytkami przedsionku, wyglądając przez drugie drzwi na ścianę deszczu. Malachi dołączył do mnie chwilę później. Wręczył mi papier, na którym widniał numer telefonu. Wcisnęłam kartkę do kieszeni.

– Taki z ciebie tłumacz, że nadal nie wiem połowy z tego, co powiedziała – burknęłam.

Malachi gapił się na deszcz z twarzą starannie wystudiowaną w kamienną maskę.

– Przepraszam.

– Nie potrzebuję twoich przeprosin, potrzebuję, żebyś robił to, co do ciebie należy! Co to, u diabła, było?!

Powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Mówiła, że Sil chce ciebie w zamian za obietnicę, że nie opętają tych, na których najbardziej ci zależy.

– To zrozumiałam. Co jeszcze?

– Że jak do nich przyjdiesz, będziesz mogła być ze swoją matką.

Popatrzyłam na niego z ukosa.

– Słucham?

Nie spojrzał na mnie, a następne słowa dozował tak, jakby ze wszystkich sił starał się nie stracić panowania nad głosem.

– To znaczy, że zabiorą twoje ciało, a duszę odeślą do miasta Mazikinów, gdzie przebywa twoja matka.

Skrzyżowałam ramiona na piersiach.

– Długo tam nie pobędzie. Zabijemy to ciało i uwolnimy mamę.

– Lela... – Malachi odwrócił się do mnie. – Ona powiedziała, że nic, nawet zabicie ciała nie może wyzwolić duszy uwięzionej w mieście Mazikinów.

– To wtedy powiedziałaś, że kłamie, tak?

Przycisnęłam dłoń do brzucha. Jeśli to prawda, to oznaczało, że każdy opętany przez Mazikina nadal był uwięziony w ich krainie. Takeshi, mentor i przyjaciel Malachiego, przejęty przez Mazikina lata temu, Aden, moja matka, tysiące, może nawet miliony innych. Oznaczało również, że zabijając opętane ciała, dawaliśmy Mazikinom kolejne szanse, bo przecież ich złe duchy mogły powracać i przejmować coraz to nowe ciała.

W oczach Malachiego ujrzałam rozpacz. Przez tyle lat uważał, że zabijając Mazikiny, wyzwala dusze ludzi. Jeśli jednak Rita mówiła prawdę, wszystkie te dusze pozostawały nadal uwięzione i nie było nic, ani teraz, ani w przyszłości, co mógłby zrobić, by je ocalić.

Nie mogłam pozwolić, by tak cierpiał, więc podjęłam rozmowę.

– Mówiła coś jeszcze?

Malachi przeszył mnie spojrzeniem czarnych oczu.

– Tak. Powiedziała, dlaczego Sil tak się na ciebie uparł.

– No?

Malachi zamrugał i wbił wzrok w podłogę.

– Mazikiny uważają, że... – Zamilkł z otwartymi z ustami, jakby nie był w stanie wypchnąć z nich następnych słów. Cisza przedłużała się tak, że miałam ochotę krzyczeć. Wreszcie odezwał się: – Mazikiny uważają, że twoje ciało jest idealnym naczyniem dla ducha ich królowej.

DWUDZIESTY DRUGI

Deszcz ustał, zanim dotarłam do domu, gdzie czekała na mnie Diana. Zapach ulubionego chińskiego dania na wynos omal nie wycisnął mi łez z oczu, podobnie jak zaniepokojone spojrzenie, jakim obrzuciła mnie Diana, kiedy stanęłam w drzwiach.

– Jak poszło, słonko?

– Jen do ciebie nie dzwoniła?

Diana wzruszyła ramionami i zabrała się do nakrywania stołu.

– Owszem. Powiedziała, że Rita... Że spotkanie było krótkie.

Mnie wydawało się o wiele dłuższe, niż w rzeczywistości było. Odwiesiłam kurtkę i podeszłam do stołu, ogarniając wzrokiem absurdalną ilość jedzenia, jaką zamówiła.

– Albo się o mnie martwiłaś, albo uważasz, że w tym tygodniu jeszcze nie miałam nic w ustach.

– Sama zdecyduj. – Zachichotała, podsuwając mi talerz. – Mówiła coś? Czego chciała?

Spojrzałam w przepelnione życzliwością i troską oczy Diany. Sama myśl, że Mazikiny jej groziły, budziła we mnie żądzę mordy.

– Chciała stać się częścią mojego życia, ale niezbyt mi to pasuje.

Diana ściągnęła brwi.

– Potrafię zrozumieć potrzebę uczestniczenia w życiu własnego dziecka, ale sporo przez nią przeszłaś. Zrobisz, jak będziesz uważała, słonko. – Pochyliła się ku mnie. – Nie mam własnych dzieci, ale wiesz, że kocham moich wychowanków. Zawsze będzie tu dla ciebie miejsce, jeśli zechcesz, bez względu na to, gdzie sobie ułożysz życie.

– Dziękuję, Dianko – powiedziałam, mrugając, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy. – A z innej beczki, nie zauważyłaś ostatnio czegoś podejrzanego w okolicy?

– A co? Ktoś ci grozi?

– Nie, nie, nie wpakowałam się w żadne kłopoty – zapewniłam ją pospiesznie, usiłując balansować na cienkiej linii pomiędzy obudzeniem w niej czujności i włączeniem trybu totalnej paniki. – Ale gdybyś... Daj mi znać, gdybyś zobaczyła kogoś dziwnego, dobrze?

– Mm-mm-mm. – Potrząsnęła głową. – Wiesz, że tworzymy tu dość zwartą społeczność. Nikt o niczym takim nie wspominał, ale powiem sąsiadom, żeby mieli oko na wszystko. Ostrożności nigdy za wiele. Szczególnie przy tym szaleństwie, które opanowało Providence.

– No właśnie – stwierdziłam, siadając do stołu i zabierając się za nakładanie ryżu na talerze. – O to mi chodziło.

Pochłaniając kilogramy chińszczyzny, słuchałam Diany opowiadającej o ostatnich burzliwych wydarzeniach w zakładzie karnym. Patrząc na nią, zastanawiałam się, jak by wyglądało moje życie, gdyby była moją prawdziwą matką, gdyby chroniła mnie od dziecka. Było to czcze gdybanie, ale wyobrażałam sobie, że byłoby miło, nawet teraz, pozwolić jej być kimś takim dla mnie. Odkąd wróciłam do świata żywych, wiele rzeczy – dziwaczna przyjaźń z Tegan, wypad z Ianem, normalnym chłopakiem, który zdawał się mnie lubić – było właśnie takimi niby prawdziwymi relacjami, które jednak nie mogły wyjść poza to „co by było gdyby”. A wszystko dlatego, że nie byłam tu, by wieść prawdziwe życie. Byłam tu jako Strażnik.

Po sutym posiłku, a może i z małą pomocą Rafaela, Diana wcześniej zasnęła, a ja, sprawdzwszy dokładnie, czy wszystkie okna i drzwi na dole i górze są porządnie pozamykane, wymknęłam się z domu. Obeszłam okolicę, szukając zapachu kadzidła albo śladów czegoś niezwykłego. Na nic nie natrafiłam. Wreszcie pojechałam do Strażnicy, gdzie brodząc po kostki w kałużach, przedostałam się na werandę. Jim i Henry czekali na mnie w drzwiach. Choć był to wolny wieczór Malachiego, i tak rozejrzałam się za nim. Tego popołudnia rozstaliśmy się w milczeniu. Każdy temat do rozmowy wydawał się zbyt bolesny, a Malachi był bardziej wycofany niż zwykle.

– Nie ma go – powiedział Jim. – Laney przyjechała po niego parę minut temu.

– To dobrze – powiedziałam głosem, który zdradzał coś wręcz przeciwnego. – Ruszajmy z robotą. – Po dzisiejszej porażce postanowiłam, że Henry powinien zostać tajniakiem. Próby śledzenia Mazikinów nie przyniosły efektów, ale jeśli dałby się zrekrutować...

Henry zarzucił sobie na plecy podniszczony plecak i poprawił czapkę.

– Gotowy.

Podwieźliśmy go do parku Rogera Williamsa. Stąd Henry miał już iść sam, żeby nikt go z nami nie zobaczył. Zatrzymałam się na samym skraju parkingu.

– Dziękuję, że to robisz – powiedziałam, naraz zatroskana o niego. Starłam się nie myśleć za dużo o tym, o co go proszę, skupiając się na roli silnego dowódcy, ale nie było to takie proste. A jeśli skazywałam go na wieczne cierpienie w mieście Mazikinów? Wydawało się to całkiem prawdopodobne po tym, co oznajmiła nam Rita. A świadomość, że ktoś czeka na jego powrót, że on sam rozpaczliwie pragnie do tego kogoś wrócić, pogarszała moje rozterki.

– Malachi mówił, co wam powiedział ten rozczochrany Mazikin – rzekł Henry z cieniem uśmiechu na twarzy. – Nie pozwolę, żeby mi się to przytrafiło.

Skinęłam. Jeśli zostanie uwięziony w gnieździe, nie da im rady. W Mrocznym Mieście Mazikiny poruszały się piechotą, więc tam łatwiej było im uciec niż tu, gdzie jeździli samochodami. Dałabym głowę, że porywają ofiary,

korzystając z tej furgonetki albo innych wozów. Niepostrzeżone wymknięcie się byłoby dużo trudniejsze, szczególnie jeśli parkowali w jakimś garażu obok gniazda.

Z trudem przełknęłam ślinę, starając się nie wiercić nerwowo.

– Pilnuj się. Bądź czujny.

Henry spojrzął na mnie. Jego twarz w połowie skrywał cień, a w połowie oświetlała latarnia uliczna.

– Ponad sześćdziesiąt lat spędziłem na Pustkowie, Kapitanie.

Zamilkł, pozwalając, by sens tej wypowiedzi przeniknął do mojej świadomości. Chodziło nie tylko o to, że tam był, że przynależał do tamtego miejsca, ale że przetrwał, a skoro został Strażnikiem, Sędzia musiał widzieć w nim coś poza zdeprawowaną, grzeszną duszą. Henry musiał zorientować się po mojej minie, o czym myślę, bo dodał:

– Nie myśl, że jestem mięczakiem, przez to, o czym ci opowiedziałem. I nie zakładaj, że jestem lepszy, niż jestem w istocie.

– Nie chcesz zabijać, tak twierdziłeś.

– Ale to nie znaczy, że nie jestem do tego zdolny. Albo że nie robiłem tego. Robiłem, i to wiele razy, do tego z własnej woli.

– Wszyscy jesteśmy do tego zdolni, Henry. Właśnie dlatego tu się znaleźliśmy.

W jego oczach mignęło coś na kształt uznania.

– Racja, ale śmiem twierdzić, że mam jednak w tym więcej doświadczeni niż wy. Za życia na ziemi byłem zawodowym mordercą. Zapracowałem sobie na miejscówkę na Pustkowie. Ale w obu tych miejscach nauczyłem się nigdy nie tracić z oczu otoczenia.

– Nawet kiedy jesteś w bezpiecznym miejscu?

Henry zaśmiał się głucho, chropawo.

– Nie ma czegoś takiego, Kapitanie.

– Czyli jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

– Chcenie nie ma tu nic do rzeczy – oświadczył stanowczo. – Jestem skazańcem. Poborowym. Przywykłem do tego już dawno temu. Walka z tym nie ma sensu. – Zerknął przez ramię na Jima, który odpowiedział mu kamiennym milczeniem.

Wysiadłam z samochodu, zastanawiając się, czy za pięćdziesiąt lat też będę taka pusta i wyzuta z nadziei jak Henry. Ale przecież Malachi nie był taki, choć pełnił służbę już od dziesięciu lat, kiedy Henry dopiero umarł. Zdawało się, że czuł nadzieję. W każdym razie do niedawna. Teraz sama już nie wiedziałam, czy to prawda.

Henry zamknął drzwi i odwrócił się do nas, wyjmując z kieszeni telefon.

– Malachi naładował go dzisiaj i powiedział, że jak nie będę rozmawiał,

bateria wytrzyma kilka dni.

– Wyślij SMS-a, jak będziesz coś wiedział.

– Powodzenia, stary – powiedział Jim, wysuwając się naprzód.

Henry najwyraźniej uznał, że to zabawne.

– Tobie też. Dobrych łowów. Niedługo dam znać.

Odwrócił się i odszedł. Przypominał idącego stracha na wróble, wystrzępionego i tyczkowatego. Ale był silny, na tyle silny, żeby biec spory kawałek, niosąc mnie, a nie byłam chuchrem. Na pewno umiał o sobie zadbać.

– Gotowa? – zapytał Jim.

– Uhm. – Okręciłam kluczyki na palcu i wsiałam z powrotem do samochodu. Jim wskoczył na przednie siedzenie. – Pojedziemy do centrum.

Był już kwiecień, wreszcie się ociepliło, więc ludzie chętniej wychodzili z domów. Poza tym była to pierwsza noc, podczas której bezdomni nie mieli możliwości schronienia się w przytułkach.

Zaparkowałam w wąskiej uliczce, w pełni świadoma, że dostanę mandat. Naciągnęłam kaptur bluzy na twarz i wzięłam Jima za rękę. Wyglądaliśmy jak para przeciętnych nastolatków, a luźne ubrania były wygodne do ukrycia broni. Trudniej będzie latem. Liczyłam, że wypełnimy misję, zanim skończę szkołę, ale teraz słowa Henry'ego rozbrzmiewały mi echem w głowie i zdałam sobie sprawę, że nawet wykonanie zadania nie oznaczało wolności i powrotu do życia. Równie dobrze mogłam resztę egzystencji wieść jako Strażnik.

No, chyba że Mazikiny mnie złapią i wykorzystają moje ciało jako naczynie dla królowej.

– Miażdżysz mi rękę – ofuknął mnie Jim. – Jeszcze może mi się przydać.

Rozluźniłam kurczowy uścisk.

– Przepraszam.

– Wszystko gra, Kapitanie? Ten Mazikin dzisiaj dał ci chyba nieźle popalić? Bo Malachiego na pewno wyprowadził z równowagi. A przecież nawet nie był z nim spokrewniony.

– Ja też nie – wycedziłam.

– Wiesz, o co mi chodzi. – Jim wydobyl z kieszeni dzwoniący telefon. – Czekaj. To Tegan. – Przystanął przed witryną sklepu i odebrał, a ja obserwowałam, jak jego ponura mina zmienia się, łagodnieje i nabiera... Nie bardzo wiedziałam czego. Nadziei? Szczęścia? Kiedy nasze oczy się spotkały, jego uśmiech stopniał. Był na służbie. – Zadzwońię do ciebie później, dobrze? Nie, naprawdę. Na stówę.

Rozłączył się i odwrócił do mnie.

– Jak wygląda bal maturalny?

Roześmiałam się i podjęliśmy dalszą wędrówkę.

– Wyglądam na taką, która chadza na bale?

Wzruszył ramionami.

– Mógłbym pójść?
– Tegan cię zaprosiła? – No, no, ciekawy rozwój akcji.
– Chcę jej przypilnować. Ale boję się, żeby czegoś nie popsuć, bo nie rozumiem za bardzo tutejszych zwyczajów.

Przeszliśmy na drugą stronę ruchliwej ulicy. Blask neonów rozświetlał nam twarze na różowo i fioletowo. Czujnie rozglądałam się za granatową furgonetką albo innym podejrzanym, zbyt wolno jadącym samochodem.

– Pewnie wiele rzeczy wydaje ci się dziwnych. – Machnęłam na markizę klubu go-go.

– Nie, Oślepiające Miasto wygląda podobnie. Tylko jest dużo bardziej jaskrawe. Bardziej... ekstremalne.

– Coś jak Las Vegas?

Popatrzył na mnie, wyraźnie nie rozumiejąc, o czym mówię.

– A swoją drogą, jak to się stało, że skończyłeś w Oślepiającym Mieście? Myślałam, że Wieś to raj. Coś jak miejsce ostatecznego odpoczynku.

– Tylko dla tych, którzy tego chcą – odparł, naciągając kaptur tak, że nie widziałam jego twarzy.

– Byłam tam. Czulałam to. Dlaczego więc tego nie chciałeś?

– A skąd ma się wiedzieć, czego się chce, jeśli nigdy nie poznało się niczego innego? – zapytał ostro. – Byłem tam przez całe moje istnienie. Dbano o mnie, uczono mnie. Miałem wszystko, czego potrzebowałem. Ale jak już ci mówiłem... Kiedy osiągnąłem pewien wiek, przestałem się starzeć. Tak jakby.

– Tak jakby?

– Po osiągnięciu dojrzałości moje ciało przestało się zmieniać. Ale człowiek ciągle się zmienia, nawet jeśli ciało nie. Zacząłem odczuwać pragnienie. Nie wiedziałem nawet czego, ale tkwiło to we mnie i bolało. Jakiś głód. Powoli Wieś stawała się dla mnie więzieniem.

– Więzieniem? Żartujesz chyba? Nie rozumiem. Każdy, kogo poznałam w zaświatach, oddałby wszystko, żeby znaleźć się na Wsi.

Jim prychnął drwiąco.

– Daj spokój, sama wiesz, że to nieprawda. Byłaś przecież przez jakiś czas w Mrocznym Mieście. Na pewno każdy chciał się stamtąd wyrwać?

Miał rację. Wielu chciało opuścić miasto, ale byli też tacy, którzy chcieli zostać, hodować sobie domy, zbierać śmieci, pompować w siebie alkohol i narkotyki, wypełniać czymś tę pustkę, która pchnęła ich do samobójstwa.

– Ludzka zdolność do samooszukiwania się nie zna granic – rzekł Jim, widząc, że nie zamierzam protestować. – Tak właśnie mi powiedziała. Sędzia. Po tym, jak próbowałem zakraść się do Oślepiającego Miasta.

– Próbowaleś się zakraść? Do miejsca, gdzie ludzie zostają zsyłani za karę? – Omal nie potknęłam się na nierównym chodniku.

– Nie rozumiesz. Pewnego dnia tak po prostu się pojawiło. Nikt oprócz mnie zdawał się go nie widzieć. Gdziekolwiek się ruszyłem, majaczyło na horyzoncie. Z daleka wyglądało jak plac zabaw. Miejsce, gdzie jest wszystko, czego się chce. I było wszystkim, czego chciałem. Kiedy więc Strażnicy przyłapali mnie na wspinaniu się na mur i zabrali do Sanktuarium, Sędzia powiedziała, że mogę tam iść. I przydzieliła mnie do tamtejszej Straży.

– I co, podobało ci się tam?

– No pewnie. – Zachichotał. – I jednocześnie nie, wcale nie. To okropne miejsce. – Powiódł dłonią po ceglanej ścianie. – Wysadzane diamentami mury ranią. Wyśmienite potrawy zamieniają się w ustach w popiół. Na różnych ulicach możesz zaspokoić każdy nałóg, ale kiedy dotkniesz towaru, albo wciągniesz czy sobie wstrzykniesz, zamienia się w gówno. Po chwili przyjemności zostaje tylko ból. – Zadrżał. – To wspaniała, doskonała tortura, a mieszkańcy zadają ją sobie każdego dnia. Byłem taki jak oni. Nie mogłem przestać. Karałem się bezustannie.

– Tu ci się bardziej podoba?

Spojrzał na niebo, gdzie strzępiaste chmury przesłaniały rogalik księżyca.

– Tak, ale to też udręka. Są tu rzeczy, których pragnę. Prawdziwe rzeczy. Ale nie mogę ich mieć z powodu tego, kim jestem.

– Czyli Strażnikiem. – Rozumiałam go, czułam to samo.

Jim zatrzymał się nagle i trącił mnie w ramię.

– Patrz, za drugą przecznicą.

Ogromny antyczny cadillac podjechał wolno do krawężnika, gdzie przed ciemną wystawą stała samotna kobieta. Kiedy szyba samochodu zaczęła się opuszczać, kobieta odepchnęła się od muru i z lubieżnym uśmiechem zaczęła iść w stronę auta.

– Pewnie prostytutka – rzuciłam do Jima i wciągnęłam nosem powietrze. – Kurde. Czujesz?

Kobieta pochyliła się, opierając o drzwiczki, a ze środka wysunęła się ręka, która pogładziła ją po jasnych, kręconych włosach. Równocześnie runęliśmy z Jimem do biegu.

– Jak ją wciągną do tego auta, to już po niej – wydyszałam.

– Nie wciągną. – Jim wyprzedził mnie, jednak kierowca musiał go dojrzeć, bo silnik zawarczał i krążownik szos oderwał się od pobocza, omal nie uderzając bokiem SUV-a, który zatrąbił głośno i przeciągle.

Jim nie przestawał biec, usiłując zajrzeć do środka cadillaca, ale zatrzymał się, kiedy samochód śmignął przez ruchliwe skrzyżowanie i przyspieszył.

– Co ty wypierniczasz?! – zaskrzeczała prostytutka.

– Przepraszamy – powiedziała, zbliżając się do niej. – Przyjaciel myślał, że to znajomy. – Kobieta cofnęła się przede mną. Podniosłam ręce, nie chcąc jej wystraszyć. – Ej, nic ci nie zrobimy.

Parsknęła pogardliwie. Wyglądała na taką, co ma za sobą lata doświadczeń z groźniejszymi niż ja ludźmi.

Woń Mazikinów nadal wisiała w powietrzu.

– Czujesz to? – zapytałam. – Ten zapach? Jakby kadzidło? Jeśli go poczujesz, nie wsiadaj nigdy do samochodu. I przekaż to koleżankom.

Kobieta wciągnęła nosem powietrze.

– Nic nie czuję.

– Kapitanie! – zawołał zbliżający się z drugiej strony Jim, taksując spojrzeniem prostytutkę.

Kobieta okręciła się w jego stronę, a mnie nagle owiał ciężki smród ciała, perfum i kadzidła.

– Sprytnie – wycedziłam, znów przyciągając jej uwagę. – Prawie ci się udało go dopaść. – Odrzuciłam kaptur z twarzy.

Jej oczy zaokrągliły się, jakby mnie rozpoznała.

Spojrzałam na Jima, który skinął i podszedł do kobiety.

– Cześć, złotko – powiedział.

Aż drgnęła. Tak skupiła się na mnie, że całkiem o nim zapomniała.

– Sorki, że odstraszyliśmy ci klienta. Może jakoś ci to wynagrodzę?

Mazikinica spoglądała to na mnie, to na Jima, a z jej ust dobył się niski syk. Zanim jednak zdołała wydać kolejny dźwięk, Jim pochwycił ją, zakrywając dłonią jej usta. Brutalnie, ale skutecznie wciągnął ją w pobliski zaułek. Rozejrzałam się wokół, nikt nas jednak nie obserwował.

– Trzymasz ją? – zapytałam splatające się cienie w alejce.

– Sprowadź auto.

Ruszyłam pędem, jednocześnie wystraszona i podekscytowana. Nareszcie mieliśmy Mazikina, którego można będzie przesłuchać, który mógł się okazać kluczem do gniazda. Dopadłam samochodu, wyszarpnęłam pomarańczowy mandat z za wycieraczki i wyjechałam na ulicę, powstrzymując się przed nadmiernym dodawaniem gazu na odcinku ulicy, który dzielił mnie od zaułka i Jima. Skręciłam w alejkę, zatrzymując się parę metrów od Jima przytrzymującego miotającą się Mazikinicę. Jim z zaciętym, zimnym obliczem popchnął ją przed siebie, oddarł jeden z rękawów jej bluzki i obwiązał nim jej usta. Palce miał poranione i zakrwawione.

Pogryzła go. Czyli mieliśmy mało czasu.

Kiedy tylko otworzyłam centralny zamek, szarpnął drzwiczki i wepchnął ją do środka, nadal zakrywając zranioną dłonią jej usta, drugą zaś przytrzymując za plecami jej wykręcone ręce.

– Mam sznur w plecaku – powiedziałam, postanawiając w duchu poprosić Rafaela o plastikowe opaski zaciskowe.

Mazikinica warknęła. Odgłos, choć stłumiony kneblem i ręką Jima, budził

nie mniejszą grozę.

Przechyliłam się pomiędzy siedzeniami z linką w ręku.

– Przytrzymaj ją mocno.

Jim odjął rękę z ust Mazikinicy, żeby lepiej ją chwycić, ale ta wierzgnęła i rzuciła się na mnie, uderzając mnie głową w czoło. Zadzwonilo mi w uszach, pociemniało w oczach, głowę wypełniły przekleństwa Jima i wrzaski Mazikinicy. Runęłam do tyłu na kierownicę. Natychmiast chwyciła mnie za gardło, wbijając pazury w szyję. Naciskany podczas szarpaniny klakson roztrąbił się, przesuwając mój wskaźnik paniki na czerwone pole. Ktoś mógł zadzwonić po gliny.

Jim szarpnął miotającą się Mazikinicę do siebie, a jej cienkie szpilki dosłownie o milimetry ominęły moją twarz. Chciałam ją złapać za nogi, zbyt gwałtownie jednak się szamotali. Jim usiłował przewrócić ją na brzuch, ale machała oswobodzonymi rękami, tnąc czerwonymi szponami powietrze. W pewnej chwili Jim stęknął, a na szybę jego drzwiczek chlapnęły krople krwi.

– Trzymaj ją! – krzyknęłam.

– Próbuję!

Kiedy rozwścieczona jak dzikie zwierzę usiłowała go znów dopaść, kopnął z całej siły, odrzucając ją na drzwi.

– Szlag! – Wyrwał spod bluzy nóż.

Wiedziałam, że chce ją tylko zastraszyć, ale na widok ostrza zabłyśły jej ślepią. Otworzyłam usta, żeby kazać mu odłożyć broń, ale było za późno.

Mazikinica uśmiechnęła się do mnie zaskakująco pięknym uśmiechem, po czym rzuciła się na Jima, nabijając się na ostrze.

DWUDZIESTY TRZECI

Mazikinica stęknęła, gdy ostrze wbiło jej się pod ostrym kątem pod żebra. Jim z okrzykiem zaskoczenia cofnął się gwałtownie, wyszarpując nóż z jej ciała, co prawdopodobnie przyniosło więcej szkody niż pożytku. Wydała chrapliwe westchnienie i osunęła się bezwładnie. Krew z jej rany wsiąkała w tapicerkę.

– Uciśnij ranę – krzyknęłam, zapalając silnik.

Jim sprawdził jej puls.

– Chyba nie żyje. Przykro mi, Kapitanie.

Westchnęłam głośno. Teraz mieliśmy w samochodzie martwą dziwkę. Cudownie. Przez moment rozważałam porzucenie jej w zaułku, ale dowody... Miała nasz naskórek pod paznokciami i pełno naszych odcisków palców na sobie. A moje znajdowały się w bazie policyjnej.

– Zakryj ją swoją bluzą – nakazałam Jimowi. – I zepchnij na podłogę. Wracamy do Strażnicy.

Jim posłuchał mnie bez słowa. Z zadrapań widocznych na jego twarzy sączyła się krew. Zdjęłam bluzę i podałam mu ją.

– Zakryj sobie twarz kapturem, przynajmniej dopóki nie wyjedziemy z centrum. I módl się, żeby nie zatrzymały nas gliny.

Droga do Strażnicy zajęła nam niecałe dwadzieścia minut. Rafael już na nas czekał. Niczym pomnik spokoju, obserwował, jak Jim, w ubraniu przesiąkniętym krwią Mazikina, niezgrabnie wygrzebywał się z samochodu.

– Idź do domu i umyj się – powiedział. – Potem cię uleczę. Jeśli szybko się do tego zabierzemy, blizny nie będą bardzo widoczne.

Kiedy Jim zniknął za drzwiami, Rafael zajrzał do samochodu.

– Czemu ją tu przywieźliście? – zapytał beztrosko.

– Bo umarła w samochodzie. Bałam się, że zostawimy za dużo śladów, jeśli ją gdzieś porzucimy. Może i potrafisz chronić mnie przed oskarżeniami za coś, czego nie zrobiłam, ale nie wiem, jak mógłbyś załatwić sprawę, gdyby znaleźli mój naskórek pod jej paznokciami.

– Mogę się pozbyć ciała. – Wzruszył ramionami i zatrzasnął drzwiczki, jakby trup na tylnym siedzeniu był kłopotem rzędu torby z brudami. – Potrzebujesz leczenia. – Wskazał brodą na moją szyję.

– Najpierw Jim. Rękę ma w kiepskim stanie i już zaczął odczuwać efekty działania jadu.

Weszłam za Rafaelem do domu. Buczenie w rurach oznaczało, że Jim bierze prysznic, więc poszłam do kuchni, napiłam się wody, a potem dołączyłam do Rafaela w salonie.

– No więc... Spotkaliśmy się, ja i Malachi, z tą Mazikinicą. Mówiła ciekawe rzeczy.

Rafael uśmiechnął się do mnie olśniewająco.

– Jakże uroczo to ujęłaś.

– To prawda, co mówiła?

– Pamiętaj, Lela, tylko to, czego potrzebujesz – upomniał mnie Rafael.

Zacisnęłam pięści.

– Nie pytam dla siebie! – wybuchłam.

Rafael poparzył mi w oczy.

– Malachi nigdy mnie o to nie pytał. Nigdy. A miał ponad siedemdziesiąt lat, żeby zadać mi pytanie o to, co dzieje się z duszą człowieka opętanego przez Mazikina. Jak sądzisz, dlaczego tego nie zrobił?

Spojrzał na mnie z taką wszechwiedzącą miną, że najchętniej bym uciekła. Albo starła mu ją z twarzy pięścią. Ale miał rację, dobre pytanie.

– Może wiedział, że odpowiesz jak zwykle: „Tylko to, czego potrzebujesz”?

Nie przestawał się uśmiechać.

– Ale sama powiedziałaś, że to on potrzebuje tej odpowiedzi. Jeśli tak, to bym mu jej udzielił. Gdyby oczywiście zapytał.

Nagle poczułam się ogromnie znużona i zapadłam się w fotel przed komputerem.

– Nie wiem, dlaczego nie zapytał. Myślę, że... Może chciał wierzyć, że ratuje tych ludzi. Kiedy żył tu, na ziemi, musiał patrzeć, jak wokół niego cierpią i umierają ludzie, i nic nie mógł zrobić. Brat został zabity na jego oczach. Gdy został Strażnikiem, otrzymał szansę bronienia innych. Nawet tych opętanych przez Mazikiny. Nawet gdy utracili dusze i tak naprawdę znajdowali się daleko, chciał do nich jakoś dotrzeć, coś dla nich zrobić. Pomóc im jakoś.

– Tak. – Rafael skinął głową. – Sądzę, że właśnie tego chciał.

W drzwiach pojawił się Jim. Ślady zadrapań kontrastowały wyraźnie z jego ziemistoblądą skórą.

– Umiejętność ludzi do samooszukiwania się nie zna granic – powiedział cicho.

– Nieprawdaż? – rzekł Rafael, odwracając się do niego.

Wyszłam na werandę i usiadłam na huśtawce, postanawiając tam zaczekać na swoją kolej w uzdrawianiu. Samooszukiwanie się. Jim uważał, że Malachi nie chciał znać prawdy. Że wolał przyjąć kłamstwo za prawdę, bo dzięki temu mógł wierzyć, że ratuje ludzi. W ten sposób nie musiał mierzyć się z faktem, że jest bezsilny wobec tego całego zła.

Kosztowny błąd. Zabijając opętanych przez Mazikiny, dawał złym duchom drugą szansę. I trzecią, i czwartą, i piątą. Gdyby doprowadzał do uwięzienia ich w wieży albo chociaż w areszcie w Strażnicy, może ocaliłby wielu. Może. Mazikiny wysyłałyby pewnie więcej swoich, ale te najsilniejsze, Sil, Abram czy Juri, nie mogłyby już wrócić. Tymczasem byli tu albo mieli szansę wkrótce się tu

znaleźć po części dlatego, że Malachi nie uwięził ich, kiedy miał sposobność.

Szurałam butami o deski werandy, starając się ignorować bolesne pieczenie promieniujące w górę i w dół szyi. Nagle podjazd zalało światło i po chwili rozpoznałam podjeżdżający samochód. Za naszym wozem zatrzymała się Laney.

Za wozem, w którym leżała martwa dziwka.

Dźwignęłam się, ale w tym momencie spojrzałam na swoją zaplamioną krwią bluzę i jeszcze bardziej skuliłam się, przyciągając kolana do piersi. Istniało niebezpieczeństwo, że to wszystko szybko skończy się fatalnie. W samochodzie Laney było ciemno, ale widziałam, że ich głowy znajdują się blisko siebie. Zdecydowanie zbyt blisko. Nie wychodzili prawie całą minutę.

Wiedziałam, bo liczyłam w duchu sekundy, a serce tłukło mi się o żebra mocnym, bolesnym rytmem. Wreszcie Malachi otworzył drzwiczki i wysiadł. Natychmiast obrzucił mnie pytającym spojrzeniem, na które odpowiedziałam zerknięciem na auto Strażników i pokręceniem głową. Zdenerwowana obserwowałam, jak Laney wysiada z samochodu. Zamarłam, zaciskając zęby. Znajdowała się trzy metry od wozu, w którym na tylnym, zakrwawionym siedzeniu leżał kiepsko przykryty trup. Laney z wdziękiem odrzuciła włosy i łypnęła na mnie nieprzyjaźnie.

– Cześć, Lela. Co za miła niespodzianka...

– Mam sprawę do Malachiego – wyjaśniłam, starając się przybrać przyjacielski ton. – Matematyczną.

Laney prychnęła sceptycznie, a Malachi obszedł szybko samochód, odgradzając ją w ten sposób ode mnie. Przez chwilę stał blisko niej, z pochyloną głową, i szeptał coś wprost do ucha, a patrzenie na to bolało dużo bardziej niż rana zadana przez Mazikinicę. Wreszcie Laney dotknęła jego ramienia, a wtedy odsunął się, żeby mogła wsiąść za kierownicę. Wycofawszy się z podjazdu, zatrzymała się jeszcze, żeby mu pomachać i przesłać całusa.

Malachi odmachał i w końcu powoli ruszył ku werandzie. Mijając samochód, zerknął do jego wnętrza, po czym niewzruszony podszedł i usiadł obok mnie.

– Kto to?

– Mazikinica. Złapaliśmy ją i chcieliśmy przywieźć tu na przesłuchanie. Nie wyszło.

Położył sobie stopę na kolanie, odchylił się na oparcie huśtawki i zagapił na podwórko.

– Jesteś ranna. Jak poważnie?

– Zadrapanie.

– Ostatnio mówiłaś to samo.

– Tym razem to prawda. To głównie jej krew. Jim oberwał mocniej, Rafael się nim zajmuje. A ty jak się bawiłaś? – Nie powinnam pytać, ale jakaś

masochistyczna cząstka mnie chciała to wiedzieć.

– Dobrze – stwierdził obojętnym tonem.

– Podobasz się jej. – Odchrząknęłam. Głos mi się zatrzęsł.

– Ale uważa też, że moje serce należy do innej.

Rzucił te słowa pomiędzy nas niczym bombę. Serce, które i tak łomotało mi w piersiach, jeszcze przyspieszyło. Spojrzałam na niego, na wyrazisty profil jego surowej, groźnie pięknej twarzy. Czekałam, że coś jeszcze powie, ale milczał. W ciszy wpatrywał się w rosnące przed domem drzewa pokryte pęczniejącymi pąkami. Uchwyciłam się tych słów kurczowo, zastanawiając się, czy Laney ma rację. Czy próbował mi właśnie powiedzieć, że tak jest? Czy to zaproszenie, wskazówka czy jedynie stwierdzenie faktu?

I czy mogłam być większą egoistką, rozmyślając o licealnych bzdetach w chwili, gdy wszystko, w co wierzył, mogło rozpaść się w pył?

– Nie rozmawialiśmy o tym, co mówił dzisiaj ten Mazikin w ciele mojej mamy – zagadnęłam cicho.

– A o czym tu rozmawiać? – odparł, patrząc znów w przestrzeń. Odczułam to znacznie dotkliwiej niż tę głupią zazdrość wcześniej, szczególnie że dodał: – Popełniłem kolejny idiotyczny, katastrofalny błąd, przez który skazałem niezliczone niewinne dusze na wieczne cierpienia. – Napięcie widoczne w barkach zdradzało jego zdenerwowanie, aż drżał od tłumionych emocji. – Przynajmniej tyle, że ta Mazikinica była zbyt przyćmiona albo głupia, żeby trzymać się podstępem. Sił pewnie się wścieknie, gdy odkryje, że obaliła moje kretyńskie przekonania. No nic – wstał gwałtownie – zajmijmy się tym trupem.

Wszedł do domu i po chwili wyszedł, niosąc plandekę. Wyciągnęliśmy jasnowłosą prostytutkę z samochodu i ułożyliśmy ją na sztywnym brezencie. W trakcie tego spod jej bluzki wysunęła się mała portmonetka. Podniosłam ją i otworzyłam.

Pomiędzy kilkoma równo złożonymi banknotami znalazłam prawo jazdy.

– Nazywała się Andrea – mruknęłam, patrząc na pięknie uśmiechniętą twarz na zdjęciu, a potem w dół, na białe, nieruchome oblicze. Miała półotwarte oczy i smugi szminki wokół rozchylonych ust. Zwykle zajęta walką lub ucieczką, nie miałam dotąd okazji przyjrzeć się nikomu, kogo zabiłam. Andrea. Czy miała rodzinę? Może córkę? Ktoś ją kochał? Ktoś będzie za nią tęsknił?

– Malachi? Co mówiłeś nad ciałami? Wiesz, po tym, jak zabiłeś Mazikina?

Spojrzał na mnie nieufnie.

– To słowa *El Male Rachamim*. Modlitwa za zmarłych.

Przygryzłam wargi i uklękłam przy głowie Andrei. Delikatnie, opuszkami palców zamknęłam jej oczy, a rękawem starłam szminkę.

– Możesz ją odmówić? – Pomyślałam, że chyba oboje tego potrzebujemy.

Ukląkł przy mnie.

– Nie obiecuję idealnego tłumaczenia. – Zawiesił głos i zaczął dopiero po chwili. – Uhm... „Boże pełen miłosierdzia, który mieszkasz na wysokościach...”. – Wypowiadał słowa powoli, wyraźnie, ze smutkiem i szacunkiem w głosie. – „Znajdź właściwy odpoczynek pod skrzydłami Twojej Obecności, na poziomach świętości i czystości, świecących jak blask sklepienia niebieskiego, dla duszy... Andrei, która... która...”.

Nagle zaklął, wstając.

– Nie mogę. – Pochylił się i zawinął ciało kobiety w brezent.

Podniosłam się powoli, z ciężkim sercem, bo zrozumiałam, że za każdym razem, kiedy odmawiał tę modlitwę nad kimś, kogo zabił, nie kierował jej do Mazikina ani nawet do ciała. Modlił się za ludzką duszę, którą w swoim mniemaniu uwalniał gdzieś daleko, w krainie Mazikinów, gdzie mogły dotrzeć jedynie jego płynące z serca, pobożne słowa.

Za co miał modlić się teraz?

Jego zazwyczaj pewne ręce drżały, kiedy mocował krańce plandeki.

– Zaniosę ją do piwnicy. Przyślą tu po nią kogoś. – Zarzucił sobie na ramię owinięte ciało i odwrócił się do mnie. – Cieszę się, że nie jesteś poważnie ranna – rzekł i pomaszerował do domu.

DWUDZIESTY CZWARTY

Do domu dotarłam dopiero około czwartej, a przez te parę godzin snu dręczyły mnie koszmary, w których, będąc w obcej skórze, patrzyłam na świat czyimiś oczami. Przepelniał mnie dotkliwy brak, nienasycone pragnienie jednej rzeczy. Czegoś, czego nie mogłam mieć.

Na dźwięk budzika poczułam ulgę, krótkotrwałą jednak, bo to przemożne pragnienie przeniosło się ze snu na jawę. Pobiegłam do łazienki i stanęłam przed lustrem, żeby upewnić się, że nadal jestem sobą. Wymknęłam się wcześniej z domu i pojechałam do Strażnicy, bo teraz gdy nie było Henry'ego, tylko ja mogłam zawieźć Jima i Malachiego do szkoły. Dla Rafaela rola kierowcy wydawała mi się nie na miejscu. Przed domem czekał na mnie jednak tylko Jim. Rafael spisał się świetnie, blizny były blade i cienkie, takie srebrzyste kreseczki na idealnej cerze widać było tylko pod światło.

Jim obrzucił mnie spojrzeniem, którego nie potrafiłam rozszyfrować, a które wydawało się mieścić gdzieś pomiędzy współczuciem a rozbawieniem.

– Laney wpadła wcześniej po Malachiego – wyjaśnił.

Jechaliśmy w milczeniu. Jim skrzyżował ramiona na piersiach, odchylił głowę i zamknął oczy. Odciął się ode mnie. A może tylko chciał złapać trochę snu, bo ostatnio wszyscy mieliśmy go za mało.

Na oszklonych drzwiach szkolnych wisiały plakaty zapowiadające bal maturalny. Tylko ozdobna biała czcionka na granatowym tle. „Wspomnienia i wspominki”. Upamiętnienie tego, co straciliśmy. I przypomnienie, że mój ostatni rok w szkole zbliża się ku końcowi. Prawie mi to umknęło. Bal miał się odbyć za trzy tygodnie, a egzaminy miesiąc później. Trudno uwierzyć, że jeszcze parę miesięcy temu planowałam wszystko to przeżywać wspólnie z Nadią. Teraz Nadii już nie było, a mnie nie pozostało nic prócz nadziei, że uda mi się powstrzymać bandę złych duchów przed opanowaniem Rhode Island.

W stołówce kłębił się przedlekcyjny tłumek. Tegan i Laney siedziały przy stoliku pod girlandą plakatów balowych i sprzedawały bilety na imprezę. Jim odłączył się ode mnie, żeby przywitać się z Tegan. Rozpromieniła się na jego widok, a potem przekrzywiła głowę i spoważniała, widząc jego policzek. Podniosła rękę, żeby dotknąć srebrzystych kresek, a on przycisnął jej dłoń do twarzy i powiedział coś, dzięki czemu znów się rozjaśniła. Przysunęli się do siebie ze śmiechem. Obserwując, jak idą w stronę szafek, trzymając się za ręce, cieszyłam się, że pozwoliłam Jimowi zabrać ją na bal.

Klapnęłam na twardą ławeczkę i położyłam na blacie plecak, którego zamierzałam użyć w roli poduszki. Ledwie jednak złożyłam na nim głowę, ktoś usiadł obok mnie.

– Wygraliśmy – powiedział Ian. – Furgonetka się nie pojawiła.

Usiadłam prosto. Ian wbijał wzrok w swoje duże dłonie, które z kolei zaciskał kurczowo na kolanach.

– Em... Gratuluję?

Kiedy nasze oczy się spotkały, uśmiechnął się przelotnie i odwrócił twarzą do mnie.

– A jak tobie minął wczorajszy wieczór?

– Fajnie jak diabli – odpowiedziałam, za co zostałam nagrodzona widokiem jego uroczych dołeczków.

Nagle zaczęłam się zastanawiać, czy nie chciał mnie przypadkiem zaprosić na wczorajszy mecz i czy te pauzy podczas naszej rozmowy telefonicznej nie wynikały z niepewności, jak mnie o to zagadnąć. Tak bardzo pragnęłam doświadczyć takich właśnie normalnych rzeczy – spotkania chłopaka, który chciałby mnie zaprosić na mecz, zastanawiania się, czy mu się podobam, rozważania, co to może oznaczać. Ale teraz nie dość, że byłam Strażnikiem, to jeszcze zakochałam się w kimś, kto tkwił w tej samej co ja pułapce. Przeczesalam wzrokiem jadalnię w poszukiwaniu Malachiego, zdziwiona, że nie ma go obok Laney przy stoliku z biletami na bal. Wreszcie zobaczyłam go siedzącego blisko lady, odwróconego tyłem do sali, ze zwieszonymi ramionami. Wyglądał na... pokonanego.

– Hej, jesteś tu? – odezwał się Ian.

– Tak, przepraszam. Jestem trochę nieprzytomna, kiepsko spałam.

Zerknął w stronę stolika balowego.

– Też miałem ciężką noc.

– Czemu?

Roześmiał się.

– Nerwy. Wstałem w środku nocy i złupiłem kuchnię. Rano mama na mnie napadła, bo wyzarłem jej jakieś чудо, które miała zabrać na spotkanie klubu książki.

Roześmiałam się mimo paskudnego nastroju.

– A co to było za чудо?

– Takie małe ciasteczka. – Wzruszył ramionami. – Pyszne. W sumie to powinienem się zorientować. No wiesz, wyglądały ekstra. Mama normalnie nie kupuje dla nas takich cudaczných słodyczy. – Śmiał się, kręcąc głową. – Budzę się rano, bo krzyczy: „Ptifurki! Moje ptifurki!”. Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi, dopóki nie wpadła do mojego pokoju, wymachując pustą tacką. A myślałem, że się ucieszy, jak choć raz włożę coś po sobie do zmywarki.

– Więc ptifurki to ciastka, tak? O to jej chodziło?

Rozpromienił się jeszcze bardziej.

– W życiu nie jadłem nic lepszego. Jak przestała krzyczeć, zapytałem, gdzie je kupiła.

– I powiedziała ci?

– Potrafię być przekonujący. Sprzedają je w cukierni w Barrington.

– Spory kawałek jak na malutkie ciasteczka. – Trudno się było przy nim trapić. Przyjrzałam mu się – niedbały wdzięk, długie nogi – i zaczęłam się zastanawiać, jak mogłam nie zwrócić na niego uwagi w zeszłym roku.

– Ano spory. Ale są tego warte. Powinniśmy się kiedyś tam wybrać. – Zerknął na mnie z ukosa.

– Raczej nie bywam w Barrington, nie pasuję tam. – Westchnęłam. Barrington było najdroższym miastem w naszym stanie.

Ian niepewnie dotknął palcem kosmyka moich włosów. Nie odsunęłam się ani nie wzdrygnęłam. Nie zaprotestowałam, zaskoczona jego ciepłym spojrzeniem.

– Wszędzie pasujesz, Lela, możesz bywać, gdziekolwiek zechcesz.

Przewróciłam oczami.

– I nawet w paru miejscach, gdzie wcale nie chcę.

– Pójdiesz ze mną na bal? – wyrzucił z siebie gwałtownie i chyba sam był oszołomiony tym, że wypowiedział te słowa.

Zaśmiałam się speszona.

– Chcesz iść ze mną na bal? – Przyjrzałam mu się, pewna, że żartuje. Ale naraz zdałam sobie sprawę, że mówił poważnie.

Uśmiechnął się krzywo.

– Tak bardzo, że naraziłem się na gniew mamy, bo zajadałem nerwy. Spuścisz mnie po brzytwie?

Spoglądając w jego jasne oczy, poczułam, że zalewa mnie to samo uczucie co w zeszły piątek – bardzo tego pragnęłam. Chciałam tego zwyczajnego, normalnego życia. Bez smutku, śmierci, zabijania i rozpacz.

– Nie.

Pochylił się lekko.

– Nie, to znaczy, że nie pójdziesz ze mną czy że mi nie odmówisz?

– Nie odmówię ci.

– Naprawdę? – Rozradował się.

– Tak. Ale ostrzegam, że mam dwie lewe nogi.

– Świetnie – stwierdził, wstając. – To idę po bilety. Zobaczymy się na przerwie obiadowej?

Skinęłam potakująco, już zaniepokojona, że popełniłam błąd. Co mnie podkuśiło? Ale mój wzrok padł na Laney, która z nieobecny spojrzeniem bawiła się włosami, wgapiona w Malachiego.

A potem usłyszałam jej krzyk.

Popatrzyłam w tę stronę, gdzie i na co ona patrzyła, i omal sama nie krzyknęłam.

Evan Crociere, ten tyczkowaty, niechlujny diler, stał za plecami pochylonego

nad książką Malachiego.

W ręce, którą unosił, trzymał pióro kulkowe.

Rzuciłam się w tamtym kierunku, zanim ręka opadła, ale spóźniłam się. Z szaleńczą zaciekłością Evan wbił długopis w szyję Malachiego.

Mój świat skurczył się do jednego punktu, nie liczyło się już nic prócz Malachiego. Przeskoczyłam przez swój stolik i pognałam wzdłuż lady, porywając po drodze pustą tacę.

Z szaleństwem w oczach Evan wyrwał pióro. Z szyi Malachiego trysnęła krew, obryzgując ich obu i ścianę. Nawet z taką raną Malachi powinien zareagować szybko, ale wydawał się tak zaskoczony atakiem, że ledwie zdołał się uchylić przed kolejnym ciosem. Pióro trafiło tym razem blisko obojczyka. I znów zostało błyskawicznie wyszarpięte.

Z ust Malachiego wydarł się ryk bólu i gniewu. Zerwał się wreszcie, a krew spływała mu po plecach i kapiała na podłogę. Nie zdążył jednak nic zrobić, bo byłam na miejscu. Natychmiast poczułam woń kadzidła. Wskoczyłam na stół i tacą zablokowałam kolejny cios. Zaskoczony Evan wytrzeszczył oczy, ale nim zdążył się otrząsnąć, zamachnęłam się i z całej siły uderzyłam go kantem tacy w gardło. Zachwiał się, a ja chwyciłam go za włosy i grzmotnęłam jego głową o ścianę.

Z krwawiącym nosem, mrugając w oszołomieniu, osunął się na podłogę. Jednak niespodziewanie szybko poderwał się i spojrzał prosto na Malachiego, który usiłował ręką tamować krwotok z ran.

– Nie obronisz jej, Kapitanie – rzekł kpiąco Mazikin w ciele Evana. – To ona musi bronić ciebie.

Zastąpiłam drogę Malachiemu, który już zrobił krok w kierunku napastnika, a błyszczące oczy Mazikina spoczęły na mnie.

– Lepiej zadzwoń do Sila, Lela – wyszeptał, szczerząc zakrwawione zęby. – Inaczej odpowiedzialność za to, co się stanie, spadnie na ciebie.

DWUDZIESTY PIĄTY

Przypatrywałam się sobie w wielkim lustrze.

– Nie widzę tego.

Tegan pojawiła się obok mnie. Wyglądała jak szalony chochlik. Otaksowała mnie od stóp do głów, drapiąc tiulem czerwonej, falbaniastej sukienki.

– Dlaczego? Wyglądasz świetnie.

Prychnęłam.

– Czuję się jak mumia. – Poruszyłam się sztywno. Satynowy futerał, w który mnie wbiła, opinał mi ciało od biustu po kolana niczym różowy kaftan bezpieczeństwa. – Nie dałabym rady w tym usiąść. – A co ważniejsze, uciekać czy walczyć.

Sądząc z tego, co powiedział Evan-Mazikin, zanim policja zabrała go do radiowozu, nie mogliśmy pozwolić sobie na wolną noc. Mazikiny zamierzały przy każdej okazji nastawać na życie moich przyjaciół, dopóki się nie oddam w ich ręce. Bal zdawał się idealną okazją do ataku, dlatego wybrałam się na zakupy z Tegan, choć najbardziej na świecie chciałam teraz jechać do Strażnicy, żeby sprawdzić, co z moim porucznikiem. Rafael pojawił się w szkole jako opiekun Malachiego i zabrał go, udając, że pojedą na pogotowie, wiedziałam więc, że z pewnością wszystko z nim dobrze, przynajmniej fizycznie. Kiedy jednak przypomniałam sobie, jak wyglądał rano, taki przygnębiony, załamany...

– Przyniosę ci coś innego. – Tegan westchnęła. I tak wykazywała ogromną cierpliwość, to była bowiem osiemnasta sukienka, którą przymierzałam.

– Sorki – mruknęłam.

Trąciła mnie biodrem.

– No co ty? To był mój pomysł. Tylko miałam nadzieję, że będziesz się lepiej bawiła. Nie jesteś podekscytowana? W zeszłym roku nie byłaś na balu, a w tym idziesz z Ianem Moseleyem. Gościem, który pewnie zostanie królem balu!

Złapałam za suwak i wycofałam się do przebieralni.

– Przez ciebie zaczynam mieć wyrzuty sumienia, że Ian ze mną idzie.

– Chyba żartujesz, Lela – fuknęła. – Ślepa jesteś? Szkoda, że nie widziałas go na przerwie obiadowej. Jest tak podjarany i jednocześnie zdenerwowany, że mogłabyś zmienić zdanie, że jak nam to opowiadał, to w dwadzieścia minut pochłonął chyba ze cztery kopy jedzenia. To było dziwne.

– Je, kiedy się denerwuje – powiedziałam cicho. Nie poszłam na przerwę do stołówki, bo nie mogłam oderwać myśli od Malachiego, a nie chciałam, żeby Ian widział mnie w takim stanie.

Tegan uniosła brew.

– No to teraz, kiedy już go zauważyłaś, zjada pewnie dziesięć tysięcy kalorii dziennie. Dobrze, że ćwiczy.

– Nie wiem, czemu się tak spina. Przecież go nie zranię ani nic takiego. – W zasadzie obudził się nawet we mnie jakiś instynkt opiekuńczy w stosunku do niego. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby Mazikiny go dopadły. Tegan odwróciła się ode mnie i zaczęła przekopywać kolejny wieszak z satyną i cekinami.

– Tak? A twoja reakcja na to, co się stało Malachiemu?

Ukryłam się w kabinie.

– Malachi został zaatakowany. Musiałam mu pomóc. To samo zrobiłabym w tej sytuacji dla Iana.

– Jasne. – Głos Tegan ociekał sceptycyzmem. – Dam ci jeszcze parę możliwości, ok? Stawiamy na mini. Masz obłądne nogi i chyba jakiś uraz do długości maksi.

Długie sukienki plątały mi się pod stopami i ciągle się o nie potykałam. Czułam się w nich niezgrabna i powolna. Popatrzyłam na swoje nogi. Nigdy nie nosiłam mini. W zasadzie w ogóle nie nosiłam sukienek. Nie lubiłam przyciągać spojrzeń, więc zwykle nie przywiązywałam uwagi do stroju. Przez to zamieszanie z sukienką na bal czułam się nieswojo, jakbym usiłowała wcisnąć się w jakieś przebranie.

Tegan przewiesiła przez drzwi wiśniową sukienkę.

– To musi być ta. Ubieraj się i wychodź.

Zdjęłam fatalaszek i przyjrzałam mu się. W przeciwieństwie do tych sukienek, które już przymierzałam, ta nie odkrywała dekoltu. Był zakryty, z cienkimi, srebrzystymi paseczkami, które biegły wokół szyi i krzyżowały się na plecach. Z nadzieją, która zaiskrzyła we mnie pierwszy raz tego popołudnia, założyłam ją i ostrożnie wyciągnęłam włosy zaplątane w zamek. Gors sukienki prawie całkiem zasłaniał promienistą bliznę po postrzale z kuszy. Obciągnęłam sukienkę i wyszłam na korytarzyk z lustrami, gdzie czekała Tegan. Zdążyła się już przebrać, tym razem w bardzo obcisłą małą czarną ze skrzydełkowatymi rękawkami, która sprawiała, że jej kości miednicy wydawały się przeraźliwie ostre.

Na mój widok klasnęła.

– Wiedziałam! – podsumowała z błyskiem w oczach.

Popatrzyłam w lustro. Sukienka miała bardzo dopasowany, podwyższony stan, a odcięta pod biustem spódnica opływała luźno biodra, kończąc się w połowie uda. Okręciłam się. Wygodna. I kolor też pasował do moich oczu i śniadej cery. Wyglądałam... całkiem ładnie. No i dało się w niej biegać.

– Biorę.

Tegan przyskoczyła do mnie z szerokim uśmiechem. Zebrała moje niesforne włosy, skręciła je i przytrzymała na czubku głowy.

– Zrobię ci fryzurę i paznokcie. Będiesz wyglądała bosko. Ian padnie. – Nagle zrobiła niepewną minę. – W zasadzie trochę mi żal Iana i Laney. Bo jak Malachi cię zobaczy...

Nasze spojrzenia spotkały się w lustrze.

– Co?

Zagryzła wargę.

– Malachi wybiera się z Laney. Jadą z nami tym długą SUV-em wynajętym przez Grega.

Odsunęłam się, uwalniając włosy z rąk Tegan. Opadły na ramiona i plecy, więc pochyliłam się trochę, żeby zakryły też twarz.

– Wiedziała, że go zaprosiła. – Ale samolubnie liczyłam, że powie „nie”. – Fajnie, że się zdecydował. – Tak fajnie, że czułam, jakby mi serce utknęło w imadle.

– Wysłała mi SMS-a pół godziny temu. W życiu nie widziałam tylu wykrzykników na raz. – Tegan zachichotała i wyciągnęła mi pasmo włosów spod paseczka. – Napisała też, że ma się dobrze. Widać rano wyglądało to tak strasznie przez tę całą krew.

Udawałam, że majstruję coś przy srebrnym pasku w talii.

– To dobrze.

– Ale to zastanawiający zbieg okoliczności, nie? Że zgodził się dopiero kilka godzin po tym, jak przyjąłś zaproszenie od Iana?

– Przypadek. – A nawet jeśli nie, nie mogłam sobie pozwolić na roztrząsanie tego. Podniosłam głowę i popatrzyłam na Tegan. – Dziękuję.

Powiodła wzrokiem po moim ramieniu, zatrzymując go na tatuażu pięknej twarzy Nadii. Gdy ujrzała go po raz pierwszy, na samym początku przymierzania sukienek, była wstrząśnięta. Przez chwilę wpatrywała się w wizerunek z miną, jakby była bliska płaczu. Taka była, wyszeptała wreszcie. Dokładnie tak wyglądała. A potem zmieniła temat. Teraz dotknęła tatuażu opuszką palca.

– Śmiałam się, kiedy Nadia stwierdziła, że polubiłabym cię, gdybym ci dała szansę. – Uśmiechnęła się smutno i pokręciła głową, jakby chciała otrząsnąć się z żalu. – No i miała rację.

Popatrzyłam na jej stylowo postrzępione, ciemne włosy i słaby uśmiech. Mnie Nadia powiedziała dokładnie to samo, że polubiłabym Tegan, gdybym dała jej szansę. Nadal trudno mi ją było czasem znieść, ale jednocześnie ciężko było nie cieszyć się jej towarzystwem. Była bystra, zabawna i rozumiała zachowania ludzi, których ja nie pojmowałam. Z całego serca żałowałam, że Nadii nie było teraz z nami, bo na pewno byłaby szczęśliwa. I żałowałam, że nie zbliżyłam się do Tegan za jej życia.

– Ano miała.

Po kolacji zrobiłam dla Diany mały pokaz mody, by przekonała się, że nie kupiłam sukienki, w której będę wyglądała jak ladacznica. Potem obeszałam dom, sprawdzając wszystkie zamki i poszłam do siebie zaczekać, aż Diana zaśnie. Większość czasu przesiedziałam na Facebooku, bicząc się czytaniem

ekstremalnych wpisów Laney z ostatnich paru godzin. Na profilu Malachiego było spokojniej, ale i on wrzucił posta, że idzie na bal z Laney. Takie coś nie było w jego stylu, raczej pasowało do roli, którą grał. Ale z drugiej strony nie byłam już pewna, czy znam prawdziwego Malachiego.

Po przeczytaniu tych wpisów pobiegłam do łazienki, bo zrobiło mi się niedobrze. Wzięłam się jednak w garść i wróciłam, żeby zajrzeć na profil Iana. Jego ostatni wpis też był o balu. Czytałam go kilka razy, zastanawiając się, czy naprawdę tak myśli.

„Idę na megaimprezę z piękną dziewczyną/laską. Życie jest boskie”.

Zrobiło mi się ciepło i jednocześnie przeszły mnie dreszcze. Urzekł mnie jego szczery, fajny entuzjazm. Miałam ochotę otulić się nim, ukryć w środku i zapomnieć o obowiązkach. Ale Diana właśnie zaczęła pochrapywać, a to oznaczało, że czas iść i stawić im czoło. W drodze do Strażnicy co rusz sprawdzałam w lusterku, czy mam odpowiednio pokerową minę.

W dzisiejszym patrolu partnerował mi bowiem Malachi.

Kiedy dotarłam, czekał już na ganku. Siedział na huśtawce z wyciągniętymi przed siebie nogami. Miał na sobie bojówki i bluzę z kapturem. Kiedy parkowałam przy samochodzie Strażników, wstał, zabrał plecak i równym krokiem zszedł ze schodków. Jego pokerowa mina była doskonała.

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, położył sobie plecak pod stopami, po czym wbił wzrok w przednią szybę.

– Gdzie jedziemy? – zapytał.

Ze ściśniętym żołądkiem też zagapiłam się przed siebie.

– Pomyślałam, że rozejrzemy się w centrum. Mazikiny próbują zebrać jak najwięcej ludzi i biorą już na cel nie tylko bezdomnych. Myślę, że namierzają teraz tych z kasą. I samochodem.

– Dobrze – stwierdził Malachi i zapiął pas.

Czekałam, trzymając ręce na kierownicy, aż wreszcie nie wytrzymałam.

– Jak się czujesz? Znaczący po tym, co było rano.

– Rafael jak zwykle się spisał. Jest tak, jakby nic się nie stało.

Bzdura.

– Mocno cię zranił. Całkiem cię zaskoczył. To nie zdarza się często.

Poruszył się zniecierpliwiony.

– Zareagowałam wolno, ale dałbym mu radę.

Wzdrygnęłam się wewnątrz. Nie przywykłam do takiego tonu pełnego irytacji.

– Wiem. Ale jeśli jesteś przygnębiony, czy coś, to powinniśmy o tym porozmawiać.

Zacisnął powieki.

– Dziękuję. To chciałaś usłyszeć?

– Nie, chcę usłyszeć, że przestaniesz się zadręczać tym wypadkiem z Nickiem! Otrząśnij się z tego, bo boję się, że się zabijesz! – Serce waliło mi ze zdenerwowania. Miałam ochotę potrząsnąć Malachim.

– Przyjąłem do wiadomości, Kapitanie – powiedział przesadnie służbistym tonem, dając mi do zrozumienia, że rozmowa skończona.

Zacisnęłam zęby i ruszyłam do Providence.

– Kiedy ostatnio kontaktował się z tobą Henry? – zapytałam w końcu, przerywając milczenie. Henry co kilka dni wysyłał SMS-a, dając znać, że żyje, ale wiedziałam, że czasem dzwoni też do Malachiego, i byłam ciekawa, o czym, do diabła, rozmawiają.

– Meldował się po południu. Nadal nic nie odkrył.

– Chciałabym wiedzieć, co knują Mazikiny – powiedziałam, zjeżdżając z autostrady do centrum. – Zastanawiam się, czy patrolowanie ulic ma sens. Może powinniśmy się bardziej skupić na szkole? Dopadli Evana. Kto będzie następny?

– Nie wiem. Ale jeśli uda nam się przykuć ich uwagę tutaj, nasi znajomi będą bezpieczni w szkole.

Postanowiłam w końcu powiedzieć to, co chodziło mi po głowie, odkąd Mazikin opętał kolejnego ucznia.

– Wiem, co odwróci ich uwagę. Ja. Przecież to mnie właśnie chcą. Dzisiejsze słowa Evana to potwierdzają.

– Chyba żartujesz. – Malachi się skrzywił. – Znam zalety strategiczne przynęty, Lela, nieraz z Aną stosowaliśmy taką taktykę, ale tylko wtedy, gdy wiedzieliśmy, z czym mamy do czynienia i mieliśmy plan wydostania jej. Była zbyt ważna, żeby ją stracić. Tak jak ty.

Dostrzegłam miejsce do zaparkowania w zaułku, więc porzuciłam na razie temat. W mroku Malachi wręczył mi mój pas z nożami. Wsunął pałkę w pokrowiec przytroczony na plecach, pod koszulką. Wszystko robiliśmy bezbłędnie, nie potrzebowaliśmy do tego światła. Malachi wielokrotnie kazał mi ćwiczyć w ciemnościach, więc teraz moje palce poruszały się sprawnie, mocując noże, zapinając pas i upewniając się, że jest umieszczony tak, bym mogła łatwo dobywać broni. Potem bez słowa wysiedliśmy z samochodu i ruszyliśmy ulicą.

Chłodny wiatr mierzwił mi włosy, gdy mijaliśmy kolejne przecznice, obserwując przechodniów, dziwki i każdego, kto wyglądał, jakby szukał towarzystwa na wieczór. Nieopodal jednego z salonów masażu dostrzegłam znajomą twarz. Był to jeden z chłopców, którego widziałam w napadniętym obozowisku bezdomnych.

– Zaczekaj – rzuciłam do Malachiego, który zwolnił kroku, jednocześnie wciągając powietrze nosem.

Zbliżyłam się do dzieciaka. Chuderławy, o pociągłej twarzy, obserwował, jak podchodzę, zastanawiając się zapewne, czy przyszłam po narkotyki, po seks,

czy może po jedno i drugie. Na myśl o tym zrobiło mi się smutno. Nie mógł mieć więcej niż piętnaści lat. Zaplótł ramiona na piersiach i zaczął skubać luźne rękawy bluzy.

– Cześć – powiedział niegłęboko. – Co słyhać?

– Miałam cię zapytać o to samo. Pamiętasz mnie? Widzieliśmy się parę tygodni temu, pod estakadą przy międzystanówce.

Cofnął się nieufnie.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wiesz, wiesz. Gdzie twój kumpel?

Ściągnął brwi, ale nie rzucił się do ucieczki.

– Na obozowisko ktoś wtedy napadł. Słyszałam wasze krzyki, ale nie widziałam, komu udało się uciec.

Spuścił wzrok i zaczął się bawić kosmykiem tłustych włosów.

– Nie jestem gliną – zapewniłam go.

– A on? – Chłopak podniósł głowę, wskazując na Malachiego, który stanął za mną.

– Też nie. Pilnuje, żeby nikt nikogo stąd na siłę nie zabrał. Czy to właśnie przytrafiło się twojemu przyjacielowi?

– Żadnemu przyjacielowi – zwrócił się do mnie chłopak. – Przez chwilę trzymaliśmy się razem i tyle.

Na widok przejeżdżającego radiowozu i ja, i chłopak automatycznie odsunęliśmy się od siebie.

– Widziałeś go od tamtej pory?

Przytaknął.

– Parę razy. Na ulicach jest nowy drag, wkręcił się w to. Chyba diluje. Była z nimi jakaś draka w opuszczonym magazynie w Jewelry, gdzieś na Eddy.

– Byłeś tam?

Pokręcił przecząco głową, cofnął się i oparł o mur wystawy sklepowej.

– Słyszałem, że to coś jak sekta. Chodzą plotki, że część z nich to ci z tych porwań, wiesz. Takich jak wtedy w tym obozie. Spiknęli się z nimi i razem teraz kręcą.

Albo raczej zostali opętani przez Mazikiny. Stali się oprawcami. Najwyraźniej Mazikinów było już tak wiele, że ludzie zaczęli ich zauważać. To dobrze i źle. Z jednej strony ludzie byli świadomi ich istnienia, a z drugiej nie mieli pojęcia, czym są Mazikiny. Myśleli, że to gang albo sekta, a prawda była dużo gorsza. Spojrzałam przez ramię na Malachiego, który wpatrywał się w chłopca jak jastrząb. W końcu spojrzał na mnie i skinął w stronę dzielnicy Jewelry. Kiwnęłam potakująco głową.

Wyjęłam z kieszeni banknot dziesięciodolarowy i wręczyłam go chłopcu.

– Miło się gadało.

Otarł rękawem nos i kiwnąwszy głową, wziął pieniądze. Bezbronność tego gestu chwyciła mnie za serce. Zaczęłam się zastanawiać, gdzie jest matka tego dzieciaka. Martwiła się o niego? Wyrzuciła go z domu? A może, tak jak moja, utknęła gdzieś w niebycie?

– Trzymaj się – rzuciłam na pożegnanie i odwróciłam się na pięcie, ruszając do dzielnicy Jewelry. Mało brakowało, a skończyłabym jak ten dzieciak. Byłam dosłownie o włos od tego.

– Wszystko w porządku, Kapitanie?

Powoli wypuściłam powietrze z płuc, rozżalona, że nie nazwał mnie po imieniu. Bardzo tego teraz potrzebowałam.

– Tak. Żałuję, że nie mogę zrobić dla niego więcej. Za te pieniądze pewnie zaraz kupi działkę.

– Dobrze się orientujesz, jak to tu działa – zauważył. Na widok nadjeżdżającego radiowozu objął mnie beztróska. Prawda, mieliśmy udawać parkę na spacerze, ale zabolalo.

– Moje życie różniło od tego, które wiodą nasi szkolni koledzy – stwierdziłam. – Mamy inne pochodzenie.

– Domyśliłem się. Wydają się dobrze sytuowani – podsumował i odsunął się.

– Delikatnie to ująłeś. – Zaśmiałam się gorzko.

Wędrowaliśmy ulicą Friendship, wzdłuż apartamentowców z parkingami. Podniosłam rękę i zaczęłam lekko klepać każdy mijany parkomat. Malachi, inaczej niż zazwyczaj, był wyjątkowo spięty. Nieustannie przeczesywał wzrokiem ulicę, zatrzymując przenikliwe spojrzenie na każdym przechodniu. Jego intensywna czujność budziła w ludziach niepokój. Odwracali oczy, a niektórzy obchodzili nas szerokim łukiem. Paru nawet przeszło na drugą stronę ulicy.

– Mojej rodzinie żyło się dostatnio – odezwał się. – Przynajmniej do czasu. Zanim wszystko się zawaliło. Wcześniej niczego nam nie brakowało.

– Może dlatego tak łatwo się tu wpasowałeś – wypaliłam, zanim ugryzłam się w język.

– Taką mam pracę, muszę się umieć wpasować – prychnął.

– Daj spokój, to coś więcej niż tylko wykonywanie obowiązków. – Przypomniały mi się pełne serduszek wpisy Laney o tym, jak Malachi przyjął jej zaproszenie. Uderzyłam mocno zimny metalowy słupek, ostatni przed przejściem dla pieszych.

Malachi zatrzymał się przy krawężniku.

– Jasne, że więcej – powiedział. Oczy mu lśniły, a ton znów nabrał ostrości.

– Tak samo jak i dla ciebie.

A potem nagle ciszę rozdarł wysoki krzyk, podrywając nas do biegu.

DWUDZIESTY SZÓSTY

Zatrzymaliśmy się przy rogu budynku, nasłuchując. Gdzieś nie- daleko rozległ się szybki tupot, a potem kolejny krzyk.

– Zайдę ich od drugiej strony – rzucił Malachi i odbiegł, przeskakując niewysoką siatkę zamykającą alejkę pomiędzy dwoma magazynami.

Ruszyłam w stronę, skąd dochodziły tupot i stłumione skrzeki. Szybko zobaczyłam w nikłym świetle latarni dwie sylwetki tarzające się po ziemi.

– Hej tam! – zawołałam.

Postać, która znajdowała się na górze, obróciła się gwałtownie i wyszczerzyła zęby. Jej ofiara wykorzystała sytuację, zerwała się i zaczęła uciekać, powiewając długimi ciemnymi włosami. Napastnik warknął, kiedy ruszyłam w jego kierunku, ale zaraz znów rzucił się na czworaka w pościg za dziewczyną. Szlag by to.

Puściłam się pędem przez ulicę, ignorując pisk opon i trąbienie samochodu, pod który omal nie wpadłam. Znajdowaliśmy się w dzielnicy Jewelry, gdzie martwe ulice i opuszczone budynki przeplatały się z krzykliwymi sklepikami i restauracjami, zamkniętymi już o tej porze. Ściagałam Mazikina, raz po raz potykając się o kępy chwastów porastających zaniedbany parking. Ledwie co widziałam dziewczynę, którą gonił, ale w oddali dostrzegłam jakiś błysk, kiedy wbiegła do niskiego budynku na końcu ulicy. Ogrodzony siatką budynek opatrzony był tabliczką agencji nieruchomości.

Kątem oka zauważyłam Malachiego, który nadbiegał z boku, z komórką w jednej i pałką w drugiej ręce. Zdecydowana odegrać właściwie swoją rolę, przyspieszyłam, zbliżając się do Mazikina, który dopadł właśnie drzwi, za którymi zniknęła dziewczyna. Malachi krzyknął coś za mną, ale byłam zbyt rozpedzona, żeby przystanąć, i wpadłam do środka.

Znalazłam się w nieprzeniknionej ciemności. W następnej sekundzie zostałam popchnięta na drzwi. Otoczył mnie silny zapach kadzidła i rozkładu, ogłuszył ryk szarżującego na mnie Mazikina. Przewróciłam się, pchnięta od tyłu staranowanymi przez Malachiego drzwiami. Przetoczyłam się i z nożem w ręku stawiałam czoło atakującemu Mazikinowi. Ostrze zatopiło się w jego boku, a moją zaciśniętą pięść zalała ciepła jucha. Ranny Mazikin stęknął świszczaco.

– Lela – usłyszałam głos Malachiego i poczułam, jak łapie mnie za kostkę. – Wstawaj.

Wyrwałam stopę z jego uchwytu.

– Staram się.

W otaczającym nas mroku rozległ się szyderczy śmiech. Zamarłam jeszcze w pozycji na czworaka. Drzwi do budynku zatrzęsnęły się z hukiem.

– Malachi? – wyszeptałam.

Znów poczułam jego palce na kostce. Ścisnął ją lekko, dając mi znać, gdzie się znajduje. Tuż obok rzeził dźgnięty przeze mnie Mazikin. Nieco dalej coś zawarczało, a potem syknęło. Cofnęłam się gwałtownie, wpadając wprost w ramiona Malachiego. Podciągnął mnie, pomagając wstać.

– Widzą w ciemnościach? – zapytałam.

– Na pewno lepiej niż my.

Znów dobiegł nas gardłowy śmiech, wyższy niż poprzednio. Dochodził z dalszej części pomieszczenia. Zesztywniałam na dźwięk szurania stóp i dłoni po betonie. Były wszędzie, otaczały nas. Słyszac bliski szelest, domyśliłam się, że Malachi przesuwając ręką po drzwiach w poszukiwaniu klamki. Szarpnął za nią.

– Zatrzasnęli nas od zewnątrz – mruknął. Jego głos zlał się z warknięciem Mazikina czającego się gdzieś z boku. Jednak stwór, zamiast zaatakować, odbiegł – tupot jego kroków szybko się oddalił. Rozległo się stękanie i pokasływanie, ktoś mówił coś w języku Mazikinów.

– Woła swoich – odezwał się Malachi. – Mówi, że czuje twój strach.

– Rozumiesz ich mowę?

Nie odpowiedział. Dobył noża spod bluzy i dźgnął nim ciemność. Dało się słyszeć stęknięcie i łomot upadającego ciała. A potem... powarkiwania i syki zewsząd wokół. Musiało ich być ze dwadzieścia. Serce podskoczyło mi do gardła, tamując oddech.

W korytarzyku na końcu hali rozbłysła lampa, oświetlając kilka osób czających się w przejściu do długiego pomieszczenia magazynowego, gdzie staliśmy. Jedną z nich była dziewczyna ścigana przez Mazikina, którą usiłowaliśmy uratować. Uśmiechnęła się do mnie, okręcając włosy na palcu.

Wciągnęła nas w pułapkę.

– Przepraszam, Malachi...

– Ciii. – Złapał mnie za rękę. Chłonełam ciepło jego skóry, czerpiąc z niego siłę. – Skup się.

Żeby się wydostać, musieliśmy walczyć, a ja byłam jego jedynym wsparciem.

Wstrzymałam oddech, wsłuchując się w najcichsze odgłosy wokół nas, najlżejszy oddech i szmer kroku. Malachi wyjął pałkę, ja dobyłam noża. Jeśli spróbowalibyśmy się przedostać ku środkowi pomieszczenia, zostalibyśmy całkiem otoczeni. Zapewne na to właśnie liczyły Mazikiny. Czekały na szansę przeprowadzenia ataku ze wszystkich stron. Naszło mnie wspomnienie pewnego momentu z Mrocznego Miasta, kiedy Ana mówiła, jak bardzo Mazikiny boją się Malachiego. I że nigdy nie stają z nim do walki, jeśli nie mają ogromnej przewagi liczebnej. Złapałam go za rękaw i pociągnęłam bliżej drzwi.

Nie opierał się. Czując za plecami ścianę, zaczęłam powoli przesuwając się poza krąg nikłego, migotliwego światła padającego z korytarzyka. Przymknęłam

powieki, przypominając sobie, jak wyglądał budynek z zewnątrz. Miał dwie kondygnacje. Prawdopodobnie nie było tu gniazda, bo znajdował się w ruchliwej za dnia okolicy. Korytarzyk był jedynym źródłem światła, ale biegnąc tu, na pewno widziałam okna. Pewnie były zamalowane od środka, ale nie zabite deskami. Trzy, niewysoko, na prawo od nas.

Klaskanie o beton – Mazikiny ruszyły do ataku z trzech stron jednocześnie. W gęstej, przytłaczającej ciemności mogliśmy polegać tylko na odgłosach i prądach powietrza. Przykucnęłam, a Malachi odwrócił się tak, że staliśmy plecami do siebie, a z jednej strony mieliśmy ścianę budynku.

– Musimy się przedostać do korytarza – powiedział przez ramię.

– Nie. Przede mną są trzy okna. – Tyle zdążyłam powiedzieć, nim chrobot i plaskanie stały się niebezpiecznie bliskie. Zamachnęłam się nożem na oślepi i jeden z napastników odtoczył się z jękiem. Inny wykorzystał leżącego jak trampolinę, żeby na mnie skoczyć. Wysunęłam nóż na sztorc i natrafiłam na coś twardego, a potem miękkiego. Kość i wnętrze. Mazikin legł u mych stóp, jęcząc.

Kopnęłam go, usuwając z drogi, potem szarpnęłam Malachiego za pasek, dając mu znać, że może się przesunąć bliżej okien, które stanowiły naszą najpewniejszą drogę ucieczki. Mazikiny zaczęły pohukiwać i skrzeczeć, a ja poczułam na plecach, jak mięśnie Malachiego napinają się i falują, gdy wymachuje pałką. Światło w korytarzu zamigotało. Stojąca przy włączniku Mazikinica warknęła coś do napastników, wskazując na nas.

– Brać ich! – wrzasnęła.

Skuliłam się, gdy pałka Malachiego śmignęła mi nad głową. Wyciągnęłam drugi nóż. Tnąc oboma, przesuwałam się powoli, raniąc atakujące Mazikiny i zaciekle broniąc tyłów Malachiego, który grzmocił jednego po drugim potężnymi ciosami. Dwóch młodych napastników z szaleńczym błyskiem w oczach rzuciło się na nas jednocześnie z obu stron. Usunęłam się, dając Malachiemu większą swobodę ruchów. Jego but zderzył się z twarzą jednego, a pałka trafiła w gardło drugiego. Obaj osunęli się na ziemię, gdzie wykończyłam ich bez wahania, dźgając śmiertelnie, żeby nie mogli już wstać do walki.

Gdy wyciągałam ostrze z szyi jednego z zabitych, na moje plecy spadł cios. Upadłam na trupa. Malachi krzyknął i natychmiast osłonił mnie, stając nade mną okrzakiem. Kolejny Mazikin zginął, a zaraz potem drugi zatoczył się w tył z dala ode mnie. Rura, którą zostałam uderzona, z łomotem potoczyła się po betonie. Malachi wykrzyknął moje imię. Mimo że dzwoniło mi w uszach, w jego głosie wychwyciłam rozpaczliwą nutę.

– Żyję! – odrzyknęłam, choć żebra wibrowały mi falami bólu, a ramiona na chwilę osłabły. Z jednej ręki wypadł nóż, ale nie sięgnęłam po kolejny, tylko podniosłam rurę, którą natychmiast grzmotnęłam w kolana nadbiegającą siwą

Mazikinicę. Malachi dobił ją ciosem w głowę. Rozpoznałam ją, kiedy się wyróciła. Harriet. Koniec końców nie ocalał jej ani kij, ani ja.

Łupnęłam ją jeszcze raz rurą w głowę i podniosłam się. Trzymałam się nisko, grzmocąc w kolana, piszczele, łamiąc kostki i nawet ręce, które wyciągały się, żeby mnie zatrzymać. Każde uderzenie rozchodziło się we mnie falą drgań od palców po kręgosłup. Zaciskałam zęby i liczyłam na każdy chrzest, po którym poznawałam, że cios był skuteczny. Powyżej Malachi zadawał i parował ciosy, chroniąc mi bok i tyły. Kopał, uderzał, miażdżył i odrzucał każdego napastnika, który się do niego zbliżył. Był niepowstrzymany, zabójczy, niezwyknięty. W rozgardiaszu słyszałam jego szybki, ale równy oddech, którego tempo ani razu nie osłabło. Posuwaliśmy się kawałek po kawałku w stronę okna, zostawiając za sobą ścieżkę usianą połamanymi, krwawiącymi Mazikinami.

– Korytarz! – krzyknął Malachi. – Jest ich więcej!

Nawet się nie odwróciłam. Uderzeniem odrzuciłam z drogi kościstą Mazikinicę i dopadłam najbliższego okna. Za mną rozległ się tupot zbliżającej się drugiej fali napastników. Z sercem tłukącym się o bolące żebra uniosłam rurę i roztrzaskałam szybę. Odłamki szkła zadzwięczały na chodniku przed budynkiem. Wskoczyłam na parapet i trąciłam Malachiego. W oddali rozległo się wycie syren. Nasze oczy spotkały się, a kiedy skinął, zeskoczyłam na chodnik, gotowa na walkę z Mazikinem, który trzymał drzwi. Na zewnątrz jednak nie było nikogo. Za to ryk syren policyjnych był coraz głośniejszy, a zza zakrętu z piskiem opon wyskoczył samochód.

Malachi zatoczył się na okno, opadnięty przez sforę napastników. Błyskawicznie jednak wykonał szeroki zamach pałką, dzięki któremu zyskał większe pole manewru, i zanurkował przez okno. Wylądował na chodniku, przetoczył się i zerwał na nogi, gotów na spotkanie z Mazikinami, które zaczęły za nami wylazić przez okno.

– Musimy stąd wiać – wydyszałam, łapiąc w pasie Malachiego, który wraził właśnie pałkę w szyję kościstego faceta o kilkucentymetrowych szponach. Ogarnęło mnie paraliżujące przerażenie na myśl, w jakiej znajdujemy się sytuacji.

– Zabiliśmy przynajmniej ośmiu. I zostawiamy za sobą masę świadków.

– Tym akurat bym się nie przejmował – usłyszałam i odwróciłam się, stając twarzą w twarz z Henrym. Był ubrany tak samo jak wtedy, gdy opuszczał Strażnicę, a w rękę trzymał kuszę. Strzelił kościstemu Mazikinowi w serce, a kiedy ten runął na ziemię, pochylił się i wyciągnął bełt. Potem kiwnął głową do Malachiego. – Dobrze, że dałeś znać. A teraz znikajcie, już ja tu posprzątam. – Otwierałam usta, żeby zaprotestować, ale Malachi złapał mnie za rękę i pociągnął przez placyk. Henry tymczasem wskoczył na parapet i znów wymierzył.

– Zbierz wszystkie noże – zawołał za nim Malachi, puszczając się biegiem. Nie zwalniając ani na chwilę, złożył pałkę.

Czerwone błyski, które pojawiły się na murze pobliskiego budynku, oznaczały, że policja dojechała już do naszego kwartału. Gnałam, ślizgając się na żwirze, żeby jak najszybciej przebiec przez ulicę i skryć się w najbliższym zaułku. W pełnym pędzie wpadłam w alejkę, potknęłam się i grzotnęłam o beton, tak że aż gwiazdy stanęły mi przed oczami. Natychmiast zaczęłam pełznąć, myśląc tylko o tym, żeby się ukryć. Gdyby nas złapano, byłby to dla mnie koniec. Prawdopodobnie zostałabym osądzona jak dorosły, nigdy nie wyszłabym na wolność, wsadziliby mnie do...

Poczułam ciepłe dłonie i zaczęłam oddychać. Malachi schylił się i pomógł mi wstać. Też ciężko dyszał, ale w przeciwieństwie do mnie był opanowany. Stanowczym ruchem pociągnął mnie w stronę wnęki, w której znajdowały się boczne drzwi do jakiegoś budynku. Zdążyliśmy się w niej ukryć, zanim radiowozy wjechały na opustoszały plac po drugiej stronie ulicy.

Przyściśnięta plecami do chropowatej powierzchni drewnianych drzwi, wtulona twarzą w pierś Malachiego, zaczęłam wsłuchiwać się w bicie jego serca. Objęłam go, nikczemnie wykorzystując sytuację, żeby skraść choć trochę jego ciepła i siły, poudawać przez moment, że nadal jesteśmy razem, że nadal pragnie mojego dotyku. Jego zapach wypełnił mnie, napawając tęsknotą. Wreszcie nasze serca zaczęły bić w tym samym rytmie. Bliskość jego ciała, którym mnie zasłaniał, dawała ukojenie, a jednocześnie doprowadzała mnie do szaleństwa.

Policjanci zaczęli wykrzykiwać przez megafony, żądając wyjścia z budynku z podniesionymi rękami, a Malachi objął mnie, przytrzymując we wnęce, w której cieniu staliśmy.

– Jesteś ranna? – wyszeptał.

– Nic wielkiego. Od uderzenia rurą bolą mnie żebra.

– Złamane?

– Nie sądzę. A ty?

– Poranione dłonie. – Usiłowałam na nie popatrzeć, ale przytrzymał mnie mocniej, żebyśmy nie wypadli z naszej kryjówki na ulicę. – Nic mi nie jest. Pokaleczyłem się na szkło. Rafael to załatwi. Miałas rację z tym oknem. To był najlepszy plan ucieczki.

Mówił łagodnie, miękko. Uspokajająco. Tak jak kiedyś.

Miałam ochotę zostać w tym zaułku na zawsze.

– Zauważyłaś, jak się Mazikiny pilnowały, żeby cię nie ugryźć albo nie zadrapać? – zapytał. – Chciały cię poskromić, ale nie zabić.

– Ten od rury musiał chyba nie dostać okólnika.

– Chciały nas wziąć żywcem. – Potrząsnął głową. – Chciały ciebie.

Otaczał mnie ramionami, jakby usiłował mnie osłonić przed Mazikinami. To było najlepsze, co mnie dzisiaj spotkało. Dzisiaj, w tym tygodniu, w tym miesiącu...

– Możliwe, że zaplanowały to tak, żeby policja nas schwytała – zasugerowałam. – To była jedna wielka pułapka. Czekwały na nas. Zastanawiam się nawet, czy nie zapłaciły temu dzieciakowi za sprzedanie mi fałszywych informacji.

– Za późno o tym pomyślałam. Nigdy przedtem nie były takie zorganizowane. Nie polowały na nas w ten sposób.

– W Mrocznym Mieście miałeś wsparcie zastępów Strażników-gigantów. A i tak przecież po jakimś czasie zaczęły napadać na pojedynczych, prawda? Tutaj jesteśmy tylko my. Panują też inne zasady. Najwyraźniej zdały sobie z tego sprawę.

– Zacisnęłam palce na jego bluzie. Powinniśmy zachowywać się profesjonalnie, jak dwóch Strażników, którzy usiłują wyjść cało z opresji. Jednak trudno było mi się skupić, gdy był tak blisko.

Pogorszył sprawę, opierając się brodą o czubek mojej głowy.

– Wobec tego cieszę się, że mam ciebie. Jesteś doskonałym Strażnikiem, Lela. I dobrym partnerem.

– Wcale nie jestem...

– Świetnie walczyłaś. Radziłaś sobie co najmniej tak dobrze jak Ana. Osłaniałaś mnie, wiedziałem, że nie muszę się martwić o to, co dzieje się za moimi plecami.

– To ty mnie wszystkiego nauczyłaś.

– Nie uczyłem cię, jak walczyć rurą.

– Ok. Pewne triki są moje. – Odwróciłam głowę, wtulając się w jego szyję. Nie powinnam tego robić. Wiedziałam, że to już przekroczenie granicy. Taka bliskość, skóra przy skórze. Czekałam, że się cofnie, ale nie zrobił tego. Stał nieruchomo, a ja wdychałam głęboko do płuc jego zapach.

Zamarłam, słysząc zbliżające się kroki. Serce Malachiego przyspieszyło. Zaparł się o framugę, przyciskając mnie mocniej do drzwi, żeby nie widać nas było z wlotu zaułka. Ponad jego ramieniem widziałam snop światła z latarki omiatający ceglany mur. Wstrzymałam oddech. Odetchnęłam dopiero wtedy, kiedy buty policjanta zaszurały na żwirze. Odchodził w stronę radiowozów.

Podniosłam wzrok na ukrytą w cieniu twarz Malachiego. Patrzył na mnie.

– Chyba sobie poszedł – powiedziałam głupio.

Skinął potakująco. Nie widziałam jego miny i nie miałam pojęcia, co mogłabym z niej wyczytać, gdybym miała szansę. Znałam ją jednak tak dobrze, już dawno zapamiętałam każdy kontur, każde zaokrąglenie. Mogłabym odczytać wyraz tej twarzy, wodząc po niej palcami. Zdawałam sobie jednak sprawę, że to niedopuszczalne, więc gapiłam się tylko z nadzieją, że i on mnie nie widzi. Odetchnęłam drżąco.

– Myślisz, że Henry'emu udało się uciec?

– Nie wiem – odpowiedział. Tym razem jego głos nie był już tak spokojny, załamywał się lekko.

– Idziemy?

Przez dłuższą chwilę milczał i wpatrywał się we mnie, nieodgadniony, zastygły.

– Przepraszam – powiedział wreszcie. – Że wcześniej byłem dla ciebie taki niemiły. Nie zasłużyłaś na to.

– Nic się nie stało – szepnęłam.

– Nieprawda.

Moja ręka jakby sama powędrowała do góry i spoczęła na jego policzku. Kiedy zdałam sobie sprawę z tego, co robię, chciałam ją cofnąć, ale Malachi przytrzymał ją i przycisnął do twarzy. Poczułam pod palcami jego zarost i nagle każda cząstka mojego ciała ożywiła się. Musnęłam kciukiem jego wargi, a słyszalny przeskok w jego oddechu sprawił, że ugięły się podę mną nogi. Omal nie zapomniałam o wszystkim. Naraz jednak odchrząknął i cofnął się na uliczkę.

– Tam, między budynkami, jest przejście – powiedział tak oficjalnym tonem, że aż zaczęłam się zastanawiać, czy zwyczajnie nie wyobraziłam sobie tamtego momentu. – Sprawdzili już tę alejkę, więc chyba uda nam się niepostrzeżenie wymknąć.

Przekradliśmy się przez zaułek i szparę pomiędzy dwiema porzewiałymi siatkami i wyszliśmy przecnicę dalej od wjazdu z placykiem. Na wszelki wypadek zerknęłam na żwirowy parking, sprawdzając, czy nie pojawiają się na ulicy w złym momencie. Przed oświetlonym reflektorami budynkiem stały radiowozy, a detektyw DiNapoli z obojętną miną przyglądał się działaniom policji. Na jego widok rozboleł mnie brzuch. Miałam nadzieję, że Henry uciekł. I że udało mu się pozbić moje noże.

Ze względu na to, że moja obecność w pobliżu tego miejsca wydałaby się na pewno podejrzana, trzymaliśmy się bocznych uliczek, dopiero spory kawałek dalej skręciliśmy do centrum. Udało nam się przeżyć, zabić kilka Mazikinów, uniknąć aresztowania i porwania. To powinno pokazać Mazikinom, że możemy zadać im spore straty, nawet jeśli jest nas tak niewielu. Powinnam triumfować, ale czułam się jak przegrana. Jeśli Mazikinów będzie przybywało i będą na nas w ten sposób polować, prędzej czy później nasza dobra passa się skończy. Mieliśmy coraz mniej czasu, żeby się z nimi rozprawić. Na razie wygrywali.

Spojrzałam na Malachiego. Kulał lekko, ręce wcisnął w kieszenie bluzy, a nieobecna, przygnębiona mina wskazywała, że jego myśli prawdopodobnie biegną tym samym torem. Tym bardziej że uważał się za częściowo odpowiedzialnego za tę sytuację. Ciężko znosił porażki.

Zawibrował mój telefon. Spojrzałam na ekran. SMS od Henry'ego.

„Czekam na rogu Eddy i Bay. Mam jeńca”.

Pokazałam wiadomość Malachiemu.

– Widać Henry zmył się na czas. A nasz dzień jeszcze się nie skończył.

Po raz pierwszy od długiego czasu ujrzałam uśmiech Malachiego.

DWUDZIESTY SIÓDMY

Mazikin gapił się na mnie z maty, odsłaniając spiłowane, ostre kły. Okazało się, że to Clarence. Na obu wychudłych udach miał identyczne rany po bełtach, małe otworki, z których sączyła się krew, wsiąkając w brudne spodnie. Wcześniej, przy pomocy przytrzymujących go Jima i Malachiego, przywiązałam Clarence'a za ręce i nogi do ciężkiego krzesła, ale sądząc z tego, jak szarpał więzy, i tak musieliśmy się mieć na baczności.

Henry przekazał nam jeńca w zaułku, a potem znów zniknął w mroku, życząc nam, żebyśmy dowiedzieli się, gdzie jest gniazdo, bo on sam do tej pory nie zdołał go wyśledzić. Potwierdził też moje podejrzenia, że bezdomny chłopak nas oszukał. Mazikiny kaptowały również ludzkich sojuszników, co napawało mnie przerażeniem. W ten sposób mogli łatwiej do nas dotrzeć. Nie wiedzielibyśmy, że to ludzie Mazikinów. Odtąd nie mogliśmy już nikomu ufać.

Malachi podszedł do stojącego z boku stolika. Pół godziny wcześniej zaprotestował przeciw wezwaniu Rafaela, twierdząc, że leczenie zajmie za dużo czasu. Podczas wyciągania odłamków szkła z jego dłoni opowiedziałam mu, kim jest Clarence. Potem zabandażowałam mu ręce, pozostawiając odkryte palce. Teraz przesuwiał opuszkami po leżących na stoliku nożach.

– Niezła zasadzka w tym magazynie, Clarence.

Stary Mazikin zarechotał obrzydliwie. Miał spękane wargi i ogorzałą skórę. Kiedy się śmiał, jego twarz pokrywała się gęstą siecią zmarszczek.

– Zaczekaj, a zobaczysz lepsze – warknął.

Malachi błyskawicznym ruchem chwycił ząbkowany nóż. Zachował obojętną minę, chociaż na pewno go zabolalo.

– Nie będziemy czekać. Opowiesz nam o tym.

– Nie musi tak być. – Mazikin kiwnął głową w moją stronę. – Daj nam tylko to, czego chcemy.

Stojący obok mnie Jim poruszył się niecierpliwie. Zbeształam go wzrokiem, więc wycofał się i oparł o ścianę, obserwując nas z kamiennym obliczem.

Clarence wpatrywał się we mnie, ignorując Malachiego.

– Nie zadzwoniłaś jeszcze do Sila. Czeka na ciebie. Ale zaczyna mieć tego dość.

Malachi wystąpił przede mnie.

– Niech w takim razie weźmie lekcję cierpliwości.

– Malachi – powiedziałam łagodnie. Zesztywniał, ale usunął się na bok.

Clarence obserwował nas z rozbawieniem.

– Ależ to się rzeczy zmieniają. Dziewczyna z włosami tobą rządzi?

Pokręciłam głową, zanim przypomniałam sobie, że nie muszę mu odpowiadać. Chciałam przeprosić za to Malachiego, ale powstrzymałam się,

odkładając to na bardziej dogodną chwilę.

– Dokąd uciekniesz, Clarence, jeśli cię teraz wypuścimy?

Mrugnął, jakbym go ukłuła igłą.

– Nie ucieknę. Poczekam, aż mnie zabijecie.

Zbliżyłam się do niego na tyle, że czułam bijący od niego zapach kadzidła i potu.

– A kto mówi, że cię zabijemy? – wyszeptałam.

Wyprostował się trochę i zacisnął usta w cienką linię.

– Liczyłeś, że czeka cię tu śmierć, prawda?

Milczał.

Obeszłam go niespiesznie, powściągając wzdrygnięcie, kiedy wyciągnął w moją stronę szyję.

– Tęsknisz za swoją rodziną, Clarence?

Zagryzł dolną wargę i przyglądał mi się przez chwilę, bez wątpienia wyobrażając sobie, co by mi zrobił, gdyby tylko miał wolne ręce.

– Możemy cię tu trzymać i trzymać.

– Mógłby być naszym zwierzątkiem – wyrwał się Jim, a kiedy wszyscy zmilczeli jego uwagę, zaśmiał się do siebie.

– Moglibyśmy go unieszkodliwić – zaproponował Malachi. – Jak chcesz, obetnę mu dłonie i stopy.

Straszne słowa wypowiedziane całkowicie poważnie przypomniały mi, że Malachi ma kilkudziesięcioletnie doświadczenie w przesłuchiowaniu Mazikinów. W końcu zawsze ich zabijał, ale wcześniej starał się wydobyć z nich informacje. Prawdopodobnie strach i desperacja popchnęły pewnego Mazikina do wyznania, że zabijając ich, wyzwala duszę opętanych ludzi. Wolał umrzeć szybko, niż pozostać w rękach Kapitana Straży. Spojrzałam Malachiemu w oczy. Nie było w nich wstydu. Jedynie bezwzględny spokój. Nie wątpiłam, że byłby w stanie zrobić Clarence'owi straszne rzeczy, gdybym go o to poprosiła. Bez wahania.

Clarence najwyraźniej też w to nie wątpił. Zasyczał na Malachiego, ale pisnął i skulił się błyskawicznie, kiedy ten zamarkował ruch w jego stronę. Mogłabym siekiere zawiesić w tym gęstym oparze nienawiści, który wisiał pomiędzy nimi. Clarence wpatrywał się w niego, zaciskając pięści. Otworzył i zamknął usta, przełykając słowa, które zamierzał z siebie wyrzucić. A potem wykrzywił się w szkaradnym szerokim uśmiechu i popatrzył na mnie.

– Może robić ze mną, co zechcesz, dziewucho, ale nie zostawimy twoich przyjaciół w spokoju, jeśli do nas nie przyjdiesz. Możesz tylko odwlekać to, co nieuniknione. Ale im później się to stanie, tym będzie gorzej.

Weszłam pomiędzy niego i Malachiego. Clarence zaczął chichotać.

– Oj, sporo się pozmieniało, Kapitanie. To przez jej duszę, Kapitanie? Czy może ciało? Będziesz za nią tęsknił? A może będziesz jej pożądał nawet wtedy,

gdy królowa przywdzieje jej skórę?

Zanim skończył, koło ucha świsnął mi nóż. Clarence'owi głowa poleciała do tyłu, a odcięte ucho plasnęło na ziemię. Odwróciłam się błyskawicznie do Malachiego, który wpijał wzrok w Mazikina.

– Zrób tak jeszcze raz, a pójdiesz na górę – ostrzegłam go cicho. Tłumaczyłam sobie w duchu, że ta reakcja jest wynikiem jego obowiązków zawodowych i niczego ponad to, a potem zwróciłam się do Clarence'a.

– Wybacz, stary. Masz. – Podniosłam ucho i rzuciłam mu je na kolana, próbując sprawiać wrażenie, jakby to wszystko było częścią planu.

– Odwdzięczę się, jak będziesz w naszym mieście – warknął, patrząc na zakrwawione ciało.

– Nie wrócisz tam. – Wzruszyłam ramionami. – Nigdy.

Poderwał głowę.

– Ludzie są tacy głupi. To ciało nie wytrzyma już długo. – Zarechotał ponuro. – Wasze pojęcie wieczności jest bardzo ograniczone.

Przemówiłam bezpośrednio do potwora wyzierającego z jego oczu.

– Na początku nie wiesz, co się dzieje. W końcu czarna wieża to tylko budynek.

Zmrużył oczy.

– Wydaje się to łatwe. Wystarczy przejść przez hol. Powinno to zająć najwyżej minutę, prawda? – Przymknęłam oczy, powstrzymując drżenie. – Ale potem drzwi nagle znikają. To niesamowite. – Wsłuchiwałam się w jego coraz szybszy, coraz płytszy oddech. – Wciąż wydaje ci się, że dasz radę, aż dopada cię pierwsze wspomnienie. To zapach. A przynajmniej tak było w moim przypadku. Zapach. A potem czujesz to całym sobą. Jest wszędzie wokół i w tobie. A potem nagle wszystko wybucha jednocześnie. Ból, upokorzenie, przerażenie. Zanim zbierzesz się, żeby im się przeciwstawić, pełzną w górę twojego kręgosłupa. Prosto do mózgu.

Otworzyłam oczy. Był blady jak duch.

– A ty będziesz musiał zmierzyć się nie tylko z własnymi wspomnieniami, ale też tych wszystkich, których opętałeś, prawda? – Uśmiechnęłam się. – Ale nie martw się, Clarence, nie będziesz z tym sam. Wszędzie wokół będą ci, którym się nie udało. Niektórzy pewnie tkwią tam od wieków, może nawet dłużej. To ich pożera. Wciąga, trzyma i powoli trawi. – Widziałam teraz całe białka wokół jego źrenic. – Masz rację. Wieczność to długo.

– W tym świecie nie ma czarnej wieży – warknął, mrugając nerwowo.

Miał rację. Blefowałam. Ale co tam.

– Chyba nie myślisz, że jesteśmy tu sami?

– Anioły się nie wtrącają. Nie wolno im. – Mimo to zaczął się pocić. Pot zrosił mu czoło i zaczął spływać po zaschniętej krwi z boku głowy.

Obejrzałam się na Malachiego.

– Zadzwoń do Rafaela. Powiedz, żeby otworzył przejście do Mrocznego Miasta.

Twarz Malachiego, ściągnięta w kamienną maskę, była blada. Z własnego doświadczenia znał grozę wieży. Mimo to natychmiast sięgnął po telefon.

– Nie! – zaskrzeczał Clarence. – Nie!

– W takim razie gadaj! – wrzasnęłam.

– Nie!

– Dzwoń, Malachi! Powiedz Rafaelowi, żeby wezwał dwóch Strażników z Mrocznego Miasta.

Clarence napiął się, wijąc w więzach, aż na szyję wystąpiła mu sieć ścięgien.

– Zniszczymy was, dziewucho! – Pluł toksyczną śliną. – Myślisz, że teraz masz złe wspomnienia? To nic w porównaniu z tym, co my ci zrobimy!

Gwałtownie przewróciłam krzesło z Clarence'em, a potem trąciłam go nogą w głowę.

– A jak tam twoje wspomnienia? Masz jakieś dobre? Może o tym, jak cię zabiłam?

Clarence miotał się i stękał. Unieruchomiłam go, klękając mu na piersi.

– Gdzie gniazdo?

Łypnął na mnie wrogo.

– Jeśli wam powiem, to wołałbym skończyć w wieży. Królowa wyżre mi żywcem serce.

– To daj mi coś innego. Coś, co mogłabym wykorzystać. – Zerknęłam na Malachiego, który przyciskał aparat do ucha. – Widzisz? Rozmawia z Rafaelem. Nie wyobrażasz sobie, jak szybko anioły przenoszą się z miejsca na miejsce. – Nie miałam pojęcia, czy Malachi naprawdę rozmawia z Rafaelem.

Clarence oderwał ode mnie wzrok, żeby popatrzeć na Malachiego. Dyszał ciężko. Przez podeszwy butów czułam jego strach. Uwierzył w moje groźby. Bał się wieży bardziej niż tortur i śmierci. Spojrzał na mnie i drgnął, napotykając mój wzrok.

– Tańce – szepnął. – Ten wasz bal. Wtedy uderzymy. Dopadniemy ciebie i twoich przyjaciół.

– Skąd w ogóle o nim wiesz? – warknęłam.

Jego maniacki uśmiech wyrażał tęsknotę.

– Wyglądałaś pięknie w tej sukience. Królowa lubi sukienki.

Kątem oka dostrzegłam, jak Malachi poderwał głowę. Mazikiny musiały obserwować mnie i Tegan podczas przymierzania sukienek. Na samą myśl o tym miałam ochotę wrzeszczeć. Clarence zaczął rzeźcić i nagle zdałam sobie sprawę, że miażdżę mu klatkę swoim ciężarem.

– I tak nie idę, więc możecie sobie odpuścić – powiedziałam machinalnie.

– Nieważne. I tak przyjdziemy. Tylu pięknych, młodych ludzi. Doskonałych.
– Wywrócił oczami, rozkoszując się tą myślą. – Sil obiecał mi nowe ciało. Upatrzyłem sobie tego wysokiego z barami i zielonymi oczami. Tego, co macha pałką.

Ian. Zerwałam się wściekła i kopnęłam Mazikina w bok. Było mi niedobrze. Wiedzieli o nas zbyt wiele. Jakim cudem?

Wzięłam głęboki oddech i odstąpiłam od wykrzywionego Clarence'a, nim zdołałam popełnić kolejny błąd i kopnąć go jeszcze raz. Zamrugął.

– Chyba coś mi zламаłaś, dziewucho. Brawo. Zrób to jeszcze raz.

– Powiedz więcej – zażądałam.

– Kapitanie – Jim się odezwał cicho.

– „Kapitanie”, dziewucho? – wyszczerzył się Mazikin. – Zostałaś Kapitanem? – W jego gardle rozbrzmiał bulgotliwy, charkliwy dźwięk, który przerodził się w piskliwy, histeryczny chichot. – Potężna Straż Krainy Cieni dowodzona przez dziewczynę z włosami! – bełkotał ledwie zrozumiale poprzez fale śmiechu.

Kucnęłam przy nim, czując, jak wzdłuż kręgosłupa zestalają mi się bryłki lodu.

– Wiem. Zabawne, prawda? – Trąciłam go łokciem w nogę. – No widzisz? Dałam ci właśnie wspomnienie, którego możesz się chwycić w paszczy czarnej wieży. Na pewno ci pomoże.

Jego śmiech urwał się, jakbym przecięła mu krtań.

– Dałam ci coś – zaskrzeczał. – Ważną informację.

Wstałam.

– E tam, to nic wielkiego. Muszę wiedzieć, skąd macie tyle informacji o nas. To byłoby coś warte. Może nawet warte szybkiej śmierci.

– Mamy swoje sposoby.

– Musisz być bardziej konkretny, Clarence. Macie jeszcze kogoś w szkole?

Skinął potakująco i uśmiechnął się, zagryzając dolną wargę długimi szpiczastymi zębami.

– Kto to jest? Kto nas obserwuje?

Skrzywił się, potrząsając głową.

– Wiedziałyby, że to ja. Pożarłyby mi serce.

– To co możesz mi powiedzieć? – wycodziłam, zaciskając zęby.

Uniół głowę z maty.

– Mama za tobą tęskni. Pragnie cię tak bardzo. Tkwisz w jej głowie bardzo mocno. Tak mocno, że moja biedna siostra nie może się stamtąd ciebie pozbyć.

– Zamknij się. – Cofnęłam się.

– Twoja matka nawet nie krzyczała. Nie walczyła. Jej dusza wymknęła się, jakby trzymała się na cienkiej nitce. Ciekawe, czy twoje oczy będą wyglądały tak

jak oczy Rity, kiedy królowa przejmie twoje ciało. Takie szeroko otwarte. Takie doskonałe.

– Dosyć – ryknął Malachi.

Też pękłam, zdając sobie sprawę, że mam twarz mokrą od łez. Nie mogłam przestać myśleć o tym, jak przywiązali mamę do stołu i wydarli z niej duszę. Nie mogłam odpędzić od siebie obrazu jej wielkich złotobrazowych oczu i więzów na nadgarstkach.

– Rafael już jest. – Jim dotknął mojego ramienia.

Otworzyłam oczy, łapczywie wciągając powietrze do płuc. Otarłam rękawem policzki i odwróciłam się. Rafael stał pod ścianą.

– Wiesz, czemu cię wezwaliśmy? – zapytałam.

Przytaknął.

– Otworzysz przejście?

Popatrzył na mnie poważnymi, nieodgadzionymi oczami i jeszcze raz skinął potakująco.

Nie odwracając ode mnie wzroku, przesunął dłonią po betonowej ścianie piwnicy, na której natychmiast pojawiły się drzwi. Przekręcił klamkę, otwierając je. Za progiem ukazał się jeden z ciemnych korytarzy Strażnicy w Mrocznym Mieście, oświetlony rzędem gazowych lamp dających smętne, zielonkawe światło. Malachi zerknął za drzwi i szybko odwrócił spojrzenie, jakby myśl o powrocie tam sprawiała mu ból. W korytarzu widać było zbliżające się sylwetki dwóch ogromnych Strażników. Jeden z nich niósł skórzany kaganiec i rękawiczki, zaprojektowane tak, by uniemożliwić Mazikinom używanie szponów i zębów.

– Niech go zabiorą prosto do czarnej wieży – powiedziałam twardo, bezwzględnie i przeraźliwie spokojnie.

Gdy Clarence zaczął się miotać i skrzeczeć, ruszyłam ku schodom, cały czas widząc przed oczami twarz mojej matki. Czułam bolesny niepokój, zastanawiałam się, czy moja dusza jest wystarczająco mocno przytwierdzona, abym dała radę przetrwać to, co mnie czekało.

DWUDZIESTY ÓSMY

Przez jeden dzień zastanawiałam się, czy może udałoby się odwołać bal i uniknąć tego wszystkiego, ale zdałam sobie sprawę, że skoro Mazikiny nas obserwują, to i tak nie zrobimy nic bez ich wiedzy. Zresztą lepiej było obmyślić jakiś plan na spodziewany atak, niż przygotowywać się na coś nieoczekiwanego.

Przez kilkanaście następnych dni rozmawiałam z Henrym tylko raz czy dwa. Po masakrze w Jewelry, podczas której zginęło dwanaście osób, przyczaił się gdzieś. Przypuszczano, że była to wojna między bandami o terytorium. Policja doszukiwała się powiązań masakry z napadami na obozowiska bezdomnych, bo część teraz zabitych wyszła cało z tamtych ataków. Nancy, moja kurator, oraz jej znajomi z policji rozmawiali ze mną kilka razy nieoficjalnie, ale w obliczu braku świadków i dowodów, mając za to milion innych, bardziej prawdopodobnych podejrzanych, w końcu postanowili dać mi spokój i gdzie indziej marnować pieniądze podatników.

Mazikiny też się nie wychylały, choć nie wiedzieliśmy, czy dlatego, że nie chciały zwracać na siebie uwagi, czy może zaprzętało je planowanie czegoś strasznego. Co noc chodziliśmy na patrole, ale na ulicach panował spokój. Zaczęliśmy się nawet zastanawiać, czy ludzcy informatorzy nie ostrzegają Mazikinów o naszych ruchach, ułatwiając im unikanie nas.

Wręcz obsesyjnie obserwowaliśmy każdego ucznia naszej szkoły, zastanawiając się, który z nich stanął po złej stronie. Kiedy tylko mogłam, omijałam stołówkę i jadłam na zewnątrz w towarzystwie Iana. To było moje pół godziny oddechu dziennie. Widok Malachiego z Laney sprawiał, że miałam ochotę ją udusić. Myśl o tym, że są razem, napędzała mnie podczas treningów z Malachim. W efekcie po każdym byliśmy wykończeni i poobijani. Wiele razy uderzyłam go mocniej, niż było trzeba, i wiele razy on odwdzięczał mi się tym samym. Rafael musiał nas potem łątać, żebyśmy nie wyglądali w szkole, jakbyśmy brali udział w więziennym buncie.

Czas spędzany z Ianem to były jedyne chwile, gdy czułam się normalnie i nawet odrobinę szczęśliwa. Jego uśmiech przypominał mi, dlaczego warto patrolować ulice i trenować, i łagodził trochę ból tęsknoty za Malachim. Pewnego wieczoru, kiedy przypadła moja kolej na pilnowanie znajomych ze szkoły, poszłam z nim nawet na imprezę. Uświadomiłam sobie wtedy, ile radości czerpię z jego towarzystwa. Kibicowałam mu nawet na paru meczach w szkole, choć siedząc na trybunach, cały czas obserwowałam widzów i zastanawiałam się, który z nich jest szpiegiem Mazikinów.

Czas nam się kurczył.

Tydzień przed balem pojechałam do Strażnicy. Zaparkowałam i wywlokłam z samochodu pokrowiec na ubrania. Stanąwszy u szczytu schodów do piwnicy,

nasłuchiwałam przez chwilę. Sądząc z odgłosów metalicznego stukania i syczenia, wiedziałam, że Michael już na mnie czeka. Przebrałam się w łazience, upięłam włosy mniej więcej tak, jak pokazała mi Tegan, i wsunęłam na stopy czółenka na pięciocentymetrowej szpilce. Połyskliwa i zwiewna, zaczęłam schodzić na dół.

– *Bhebha*, Lela, czekam tu i czekam! – dobiegł mnie jego chrapliwy głos, a potem trzy dźwięczne uderzenia.

– Już idę! – odrzyknęłam. – Usiłuję nie spaść ze schodów.

– Jeśli z tym mamy sobie poradzić, to nie wiem, czy jestem w stanie ci pomóc, moja droga *iqaaq*.

Udało mi się bezpiecznie dotrzeć do ostatniego stopnia i wstąpić chybotliwie na matę. Poczułam na twarzy fale gorącego powietrza.

Połowa piwnicy zdawała się być połączona z innym światem. A konkretnie z ogromnym warsztatem prowadzonym przez jedyną osobę, która była w stanie wyposażyć mnie bez wycieczek osobistych. O ile nazywanie mnie *iqaaq* nie było wycieczką osobistą.

– Słuchaj, może Malachiemu nie przeszkadzają wyzwiska, ale ja jestem inna... Michael? Co ci jest?

Choć byłam pewna, że Michael jest aniołem, absolutnie nie przypominał Rafaela i na pewno nie zachowywał się anielsko. W tej chwili zastygł z rozżarzonym prętem w jednej, a młotem w drugiej ręce i gapił się na mnie z otwartymi ustami. Wyglądał, jakby właśnie dostał udaru. Byłam w połowie maty, kiedy zaczął się znów ruszać. Wrzucił niedokończony miecz do beczki z wodą i otarł dłonią usta. Odchrząknął.

– Eee... Wybacz, Kapitanie. – Jego spojrzenie powędrowało na mój biust. – *Amabele* – wymamrotał i rzucił za siebie młot.

– O, widzę, że przerzuciłeś się z brytyjskiego slangu.

Uniósł odrobinę wzrok, prawie na moją twarz, ale natychmiast opuścił go ponownie.

– Na zulu. Potrzebowałam odmiany.

– Będiesz w stanie oderwać wzrok od moich cycków choć na tyle, żeby mi pomóc?

Wreszcie popatrzył mi w oczy.

– Potrafię być wielozadaniowy.

– To chyba znaczy, że wyglądam przyzwoicie. Jak normalna laska.

Chrapliwy śmiech wytoczył się z niego niczym fala oceanu, wprawiając w ruch wielkie brzuszysko i wstrząsając podłogą.

– *Uyahlanya*, Lela, jakbyś mogła w ogóle wyglądać jak normalna laska. – Zacisnął oczy, a spod powieki wypłynęła mu łza śmiechu.

Zacisnęłam zęby, policzyłam do dziesięciu. Malachi i Ana dziesiątkami lat tolerowali jego zachowanie. Uznałam, że dam radę przez jeden dzień.

– Mam nadzieję, że to komplement.

– Chodź, chodź – przywołał mnie, wskazując pustą przestrzeń pomiędzy stołem, na którym piętrzyły się narzędzia oraz niewykończona broń, i ogromną beczką parującej wody.

– Zrobiłem coś, co będzie w sam raz. – Podniósł tłustą rękę, w której trzymał dwie opaski z jedwabistej tkaniny. – Zobacz!

– To są...?

– Podwiązki, moja droga. – Pochylił się ku mnie. – Pomóc ci je założyć?

Wyrwałam mu je z ręki.

– A może wystarczy, jak sobie popatrzysz? – Już podczas pierwszego naszego spotkania nauczyłam się, że najlepiej postępować z Michaelem, stosując mieszankę zalotności i jędzowatości. Ana była w tym mistrzynią. W tej sytuacji byłaby świetna. Zateśniłam za nią, i to bardzo. Aż serce ścisnęło mi się na wspomnienie.

Michael oparł się o beczkę.

– Ależ nie krępuj się, proszę.

Wsparłam stopę o stół i podciągnęłam sukienkę, pochylając się tak, żeby Michael nie zobaczył przypadkiem za dużo. Sądząc po tym, jak gwałtownie zaczerpnął tchu, nie bardzo mi się to udało. Pospiesznie założyłam podwiązkę na udo i opuściłam nogę. O dziwo, trzymała się mocno.

– Nie zsunie się? – zapytałam.

– Hm? – mruknął, gapiąc się na moje nogi. – A, tak. Nie. Została specjalnie zaprojektowana. Masz. – Podał mi trzy małe noże. – Mają środek ciężkości przesunięty do przodu, tak jak pozostałe. Twój porucznik mówił, że będą w twoim stylu. Sieczno-tnącym. Przytroczone wysoko, inaczej zobaczą, że jesteś uzbrojona, jak będziesz potrzasać na parkiecie swoją *nqe*. – Wzrok mu się zamglił.

Wzięłam od niego noże, zażenowana wyrazem jego twarzy.

– Wyobrażasz sobie teraz, jak to robię, tak?

Przytaknął z rozmarzoną miną.

– Dzięki za... troskę. – Umieściłam ostrza w pochewkach po zewnętrznej stronie uda, a potem zrobiłam to samo po drugiej stronie. Malachi miał rację. Dzięki niekończącym się ćwiczeniom nabrałam ostatnio sporej wprawy w posługiwaniu się nożami. Potrafiłam już skutecznie walczyć dwoma równocześnie. Teraz musiałam jeszcze poćwiczyć ich dobywanie z futerałów przy udzie, a nie w pasie. – Masz jeszcze coś dla mnie?

Pokazał mi parę długich, seksownych, srebrzystych rękawiczek.

– Zrobiłem je specjalnie dla ciebie. Lekkie rękawice bojowe.

Przyjrzałam się im uważnie, zaskoczona ciężarem zwiewnej na pozór tkaniny. Po wierzchniej stronie ujrzałam biegnące aż do połowy palców delikatne szwy.

- Coś tu jest wszyte?
- Śrut. Możesz przebić nimi betonową ścianę.
- Serio?
- Serio.

Niech to. Założyłam je i przyjrzałam się efektowi. Piękne i zabójcze. Uśmiechnęłam się, co ostatnio zdarzało mi się bardzo rzadko.

- Coś jeszcze?

Gestem nakazał mi się okręcić. Zrobiłam to i nawet zignorowałam przeciągły gwizd wydany na widok mojego tyłu. Wreszcie wskazał na buty na szpilkach.

- Wyskakuj z nich.

Zrobiłam to z ulgą, stając na płaskiej podłodze. Uniósł buty do oczu i przyjrzał im się z kwaśną miną.

- Naprawdę zamierzasz je założyć?
- Trepy raczej nie pasują na wyjście.

Zmarszczył brwi i odpędził mnie gestem.

- Dobra, idź się pobawić, a ja popracuję.

Przeszłam do części piwnicy, w której nie było kuźni, i zaczęłam ćwiczyć wyciąganie noży z pochewek na udzie. Nie takie przygotowania wyobrażałam sobie, kiedy zostałam zaproszona na bal. Ale jeśli to miało mi pomóc obronić Iana, Tegan, Grega, Leviego, Jillian i tak, Laney, zamierzałam...

- Michael? Jesteś tam? – dobiegł mnie głos z góry.

Moje serce wywinęło koziołka.

– Przyszędłeś za wcześnie, *umdi!* – ryknął Michael, przerywając na chwilę wykuwanie małego szpikulca.

Słyszac ciężki tupot na stopniach, odsunęłam się pod ścianę.

– Tak, ale chciałem pogadać o Lel... – Malachi zastygł u podnóża schodów. Miał na sobie smoking, niedopiętą pod szyją koszulę i krawat w rękę. Rozczochrane włosy wskazywały, że właśnie się przebrał. Stał bez ruchu, wpatrując się we mnie.

Kilkakrotnie otworzył i zamknął usta.

- O, Lela – wydusił wreszcie. – Nie spodziewałem się, że będziesz... tutaj.

- Przecież mój samochód stoi na podjeździe – zauważyłam.

Z trudem przełknął ślinę, kiwnął głową i spróbował raz jeszcze.

– Nie spodziewałem się, że będziesz... – Poddał się i wskazał na moją sukienkę.

Czerwony z wysiłku Michael włożył coś do beczki. Woda zabulgotała, buchnęły kłęby pary. Moje włosy skręciły się pod wpływem wilgoci.

– Myślałeś, że będę tu biegł dwa razy? – krzyknął Michael do Malachiego. – *Tsa mor kaka!*

Malachi popatrzył na mnie pytająco.

Wzruszyłam ramionami.

– Zulu.

Po schodach zwłókł się Jim. Miał przewieszoną przez ramię marynarkę od smokingu.

– Cześć, Kapitanie. Przyszliśmy po wyposażenie na bal. – Obejrzał mnie od stóp do głów. – Fajnie wyglądasz. Tylko ciekawe, gdzie schowasz broń.

Uniosłam figlarnie rąbek sukienki, na tyle, żeby pokazać ostre czubki noży.

– Mam swoje sposoby.

Jim uśmiechnął się z uznaniem, ale Malachi zmarszczył brwi.

– To na początek – powiedział. – Właśnie miałem porozmawiać z Michaeliem o twoim...

– Postanowiłam, że sama się tym zajmę – przerwałam mu i odwróciłam się do Michaela. – Jak ci idzie? – Nagle zapragnęłam jak najszybciej wyjść z tej piwnicy.

Michael podniósł głowę. Pot spływał mu po fałdach tłuszczu na czole. Pokazał mi buty.

– Powłoka tytanowa i fleki. Broń w seksownym wydaniu, *gugu*. – Mrugnął do mnie, a kropelki potu zawisły mu na rzęsach.

Podeszłam trochę sztywno i wzięłam metalicznie lśniące buty.

– Fajnie. Więc muszę uważać, żeby nie deptać nikomu po palcach? No, chyba że chciałabym kogoś ich pozbawić?

– Dokładnie! – Ucieszył się. – Bystra dziewczynka.

Przytrzymując się stołu, założyłam szpilki i wyprostowałam się, napotykając wzrok obserwującego mnie Malachiego.

– Będiesz musiała poćwiczyć chodzenie w nich – stwierdził. – Są na pewno cięższe niż zwykłe buty. No i musisz uważać, żeby sobie nie skręcić nogi. Przyniosę manekiny, żebyś mogła potrenować.

– Dobrze. Dzięki. – Odczekałam chwilę, łudząc się, że jakoś skomentuje mój wygląd, ale on tylko bawił się nerwowo krawatem. W końcu straciłam nadzieję.

Nie chcąc zrobić z siebie pośmiewiska, zdjęłam buty i na bosaka ruszyłam ku schodom. Jim zeskoczył z najniższego stopnia i podszedł przywitać się z Michaeliem „żółwikiem”. Z miejsca zaczęli się kłócić o to, ile noży Jim zdoła ukryć pod kamizelką, tak żeby Tegan nie zauważyła ich podczas wolnego tańca.

Kiedy przechodziłam obok, Malachi musnął mnie w ramię palcami, ale cofnął gwałtownie rękę, gdy się odwróciłam.

– Jesteś tego pewna? – zapytał. – Masz na sobie... dużo mniej niż ja i Jim. – Popatrzył na szpilki. – A to obuwie...

– Myślisz, że sobie nie poradzę?

Spojrzał na mnie ostrzegawczo.

– Wiem, że sobie poradzisz. Ale stoisz na straconej pozycji przez tę

sukienkę, która wygląda jak halka.

– Halka?! Uważasz, że wyglądam wyzywająco? A twoim zdaniem jak ubierze się Laney? Pokazywała ci się już?

Przejechał palcami włosy i zaczął wpatrywać się w kowadło za moimi plecami.

– Tu nie chodzi o nią.

– Tylko o to, że ona może się ładnie ubrać, a ja nie?

Wyobraziłam sobie Laney, jej jasne, chude ramiona, kościste obojczyki, wąskie biodra i długie nogi. Byłam przekonana, że założy coś wyjątkowego, szytego na miarę. I że będzie wyglądała tak, jakby zeszła z okładki magazynu. Popatrzyłam na siebie i dotarła do mnie cała prawda. Nie byłam stworzona do sukienek. Powinnam nosić pieprzoną zbroję. Jedyne, co w tym głupim stroju do mnie pasowało, to zabójcze ostrza przytroczone do uda. Z mocno bijącym sercem wyszarpnęłam dwa z nich i zaatakowałam jak wąż, z zaskoczenia. W ułamku sekundy uchyliłam się przed jego ręką i przyparłam do ściany ramieniem.

Opalonym, zdecydowanie niekościstym ramieniem.

Malachi powiódł wzrokiem od jednego noża, znajdującego się o włos od jego gardła, do drugiego, zwróconego sztorcem pomiędzy nogami. W jego oczach ujrzałam coś mrocznego, niebezpiecznego, wyraz, który zaskoczona rozpoznałam – tak samo wyglądał, kiedy całował mnie na macie. W piersiach poczułam kotłowanie kruchej nadziei i wrzącego gniewu. Z zapartym tchem wpatrywałam się w jego twarz.

Obserwowałam, jak wygląda się, zamieniając w kamienną maskę.

– Czy to było konieczne? – zapytał.

Cofnęłam się równie szybko, jak zaatakowałam. Policzki płonęły mi żarem, a noże zaciskałam tak mocno w pięściach, że omal nie popękały mi knykcie.

Nie, to nie było konieczne.

I wiedziałam, że jeśli natychmiast nie wyjdę z piwnicy, zrobię to jeszcze raz.

Malachi uniósł rękę, żeby mnie dotknąć, ale odskoczyłam.

– Lela, proszę... – Westchnął.

– Przebiorę się do patrolu – rzuciłam, nie patrząc na niego, i wbiegłam na schody.

DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Ian miał rację. Ptifurki wymiały.

Kiedy zadzwonił do mnie rankiem w dzień balu, od dawna już nie spałam. Ćwiczyłam z nożami, mając świadomość, że przede mną największa walka mojego życia, oraz nadzieję, że nie skończy się wyrwaniem mi duszy z ciała. Byłam bliska odmówienia mu, kiedy przyszło mi do głowy, że to może być moja ostatnia szansa na... przeżycie czegoś miłego. Zwyczajnej, prostej przyjemności.

Z eleganckiej cukierni w Barrington wyszliśmy jeszcze z pełnymi ustami. Ian otworzył mi drzwiczki, a kiedy wsiadłam, wręczył pudełko z tuzinem pięknych, maleńkich ciasteczek.

– I jak? Było tak, jak sobie wyobrażałaś?

– Lepiej.

Zatrzasnął drzwi i siadł za kierownicą. Zapinając pas, obrzucił mnie nerwowym spojrzeniem.

– Która część?

– Wszystko. – Odwróciłam od niego wzrok, skupiając się na własnych dłoniach ściskających przewiązane wstążką pudełko.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i wyjechał na ulicę. Mijaliśmy urocze sklepiki i drzewa, którymi obsadzone były chodniki przed sklepami.

– Przejedziemy się?

– Jasne – wymamrotałam zadowolona, że zrobimy coś, dzięki czemu będę mogła być w ruchu.

Nie odwracając wzroku od jezdni, Ian musnął palcami pudełko z ciastkami.

– Zauważyłaś?

Wpatrywałam się w jego opaloną dłoń, swoją trzymając nieruchomo.

– Zależy co.

– Że nikt krzywo na ciebie nie patrzył. – Uśmiechnął się. – Że twoje pieniądze są tak samo dobre jak innych.

Przekręciłam się, opierając plecami o szybę.

– Sugerujesz – zaczęłam powoli – że myliłam się, mówiąc, że nie pasuję do Barrington?

Wzruszył ramionami.

– Mówię tylko, że jeśli dasz ludziom szansę, może nie będą zawodzili cię przez cały czas.

Zaczęłam bawić się czerwono-złotą wstążką. Miałam ochotę stąd uciec. Moją uwagę przykuł ciemny kontur na ramieniu – wizerunek Nadii. Pochodziłyśmy z różnych miejsc, podobnie jak ja i Ian, i dla niej również nie miało to znaczenia. Śniła mi się ostatniej nocy. Szłyśmy brzegiem czystego strumienia, słyszałam jej śmiech, widziałam uśmiech, a letnie słońce odbijało się od

srebrzystych rybich łusek. Chciałam zapytać ją, jak się miewa, ale nie mogłam wydobyć głosu, brakowało mi słów. A może słowa były niepotrzebne? Była już poza takimi sprawami, wypełniona do reszty głębokim spokojem, tak że brakowało już miejsca na cokolwiek innego. Ocknęłam się z jękiem, dusząc się z zazdrości.

Ian pozwolił mi bujać w obłokach, póki nie dojechaliśmy na miejsce.

– Jesteśmy – oznajmił, parkując.

Rozejrzałam się wokół i znów pomyślałam o Nadii.

– Cliff Walk? – Znajdowaliśmy się w miejscu, gdzie zginęłam. I gdzie powróciłam do życia.

– Jedno z moich ulubionych miejsc. Jesteśmy dość wcześnie, by uniknąć nowożeńców robiących sobie zdjęcia.

Wysiedliśmy i zaczęliśmy iść kamienistą ścieżką wiodącą na występ skalny wiszący nad oceanem. Serce zabiło mi mocno, kiedy przypomniałam sobie, jak szłam tędy prosto w przepaść.

Ian prowadził nas przez wysokie, porośnięte krzewami wzgórze aż do miejsca, gdzie skały zmieniały się w głązy, a słońce mieniło się na powierzchni oceanu diamentowym lśnieniem. Wspiął się na jeden z kamieni i usiadł. Przyłączyłam się do niego, wystawiając twarz ku wiosennym promieniom.

– Byłaś tu już kiedyś?

– Parę razy, z Nadią. Też uwielbiała to miejsce.

– A niech to, myślałam, że pierwszy ci je pokażę.

Zerknęłam na niego i z zaskoczeniem ujrzałam wyraz autentycznego rozczarowania.

– Czemu się tak tym przejmujesz?

Zaśmiał się, kręcąc głową. Bryza odgarnęła mu brązowe włosy z twarzy, dzięki czemu zobaczyłam, jak jego rozbawienie zamienia się w powagę.

– Jeśli o coś cię zapytam, to obiecujesz, że powiesz prawdę?

Serce podskoczyło mi do gardła.

– Wiesz, jak wystraszyć dziewczynę. Powiem...

Pochylił się bardzo powoli, opuszczając wzrok na moje usta. Żar w jego spojrzeniu zaskoczył mnie zupełnie. Jego nerwowa, żartobliwa maska opadła, ujawniając pożądanie, które poraziło mnie jak prądem i wywołało drżenie.

– Tylko wtedy, gdy jestem z tobą, nie myślę o tym, co się stało – zaczął. – Mógłbym rozmawiać z tobą godzinami, a patrzeć na ciebie jeszcze dłużej. Ale cokolwiek bym nie zrobił, nie potrafię rozgryźć jednego. – Jego twarz znajdowała się centymetry od mojej. Czułam w jego oddechu zapach truskawek. – Mam u ciebie szansę?

A potem poczułam na swych wargach jego wargi, ciepłe, miękkie i słodkie. Siedziałam jak sparaliżowana, kiedy położył mi rękę na karku i przyciągnął do siebie, zasłaniając całkiem słońce. A moje serce... zakłuło. Bo było tak, jak

mogłabym sobie wymarzyć w takim momencie. Bo niczego mu nie brakowało.

Za to mnie, owszem.

Wsparłam dłoń o jego pierś, na sercu, i pchnęłam lekko.

Odsunął się, a wtedy zobaczyłam żal na jego twarzy. Zamknęłam oczy.

– W porządku – powiedział cicho. – Przynajmniej wiem, jak jest. Wobec tego odpowiesz na moje pytanie?

Przytaknęłam.

– Chodzi o mnie czy o niego?

Uniosłam powieki.

– A czy to ważne?

Potarł pierś w miejscu, gdzie przed chwilą spoczywała moja dłoń.

– Dla mnie tak.

Co za koszmar.

– Nie, nie chodzi o ciebie. Byłoby inaczej, gdyby...

– Gdyby Malachi Sokol nie uznał liceum w Warwick za idealne miejsce do zapoznawania się z amerykańską kulturą – dokończył z goryczą. – Koleś ma fatalne wycucie czasu. – Zapatrzył się w ocean. – Albo może to ja mam fatalne wycucie czasu.

Przyciągnęłam kolana do piersi.

– Ian...

– Nie – przerwał mi. – Wyświadczyłaś mi przysługę. Nie przejmuj się.

– Przysługę?

– Tak. Dobijało mnie zastanawianie się, czy to może coś ze mną jest nie tak.

Czy może nie jestem... – Westchnął. – Ale powiedziałaś, że byłoby inaczej, gdyby nie on. Mówiłaś szczerze?

Objęłam ramionami kolana.

– Myślę, że tak.

Może czułby się lepiej, gdybym opowiedziała mu, jak poznałam Malachiego, jak mnie ocalił, jak sprawił, że stałam się lepsza, i jak poświęcił spokój, na który zapracował całymi latami cierpienia i służby, i że zrobił to dla mnie. Że był pierwszą osobą, która powiedziała, że mnie kocha. I że nawet jeśli to minęło, zmieniło wcześniej kształt mego serca i wgryzło mi się w kości. Stworzyło przestrzeń, która pozwoliła wzrastać moim uczuciom, a one rozwinęły się i nie mogłam ich zmienić bez względu na to, jak fantastyczny i przystojny był chłopak, który właśnie koło mnie siedział.

– Idzie na bal z Laney. Chyba są razem. – Jego słowa były ciche, ale śmiertelnie bolesne.

– Wiem. – W mojej głowie pojawiła się myśl, którą wydobyło na powierzchnię świadomości cierpienie w jego tonie. – Ian, to nie dlatego tu jestem i nie dlatego idę z tobą na bal. Bez względu na to, co będzie dalej, chcę, żebyś

wiedział, że jestem tu ze względu na ciebie. I nigdy nie chciałam cię zranić.

– W porządku. Kochasz, kogo kochasz. – Uśmiechnął się smutno. – Tak to już jest.

– Jesteś niesamowity, Ian, naprawdę – powiedziałam szczerze.

– Każda mi to mówi. – Błysnął zębami w tym swoim zabójczym, niby zuchwałym uśmiešku i chwycił ciastko z pudełka.

Zaśmiałam się i też wzięłam ptifurka. Gorzka czekolada zapewniła mi zastrzyk endorfin, których tak teraz potrzebowałam.

– To co teraz? – zapytałam, przełknąwszy.

Odchylił się, opierając łokciami na chropowatej powierzchni głazu.

– Odwiozę cię do domu, przyjadę po ciebie wieczorem i będziemy się szampańsko bawić na naszym balu maturalnym.

Zasępiłam się.

– Nadal chcesz iść? – Właściwie liczyłam trochę na to, że odpuści i zostanie w domu. Skoro złamałam mu serce, chciałam, by przynajmniej był bezpieczny.

Spojrzał na mnie jak na wariatkę.

– To w końcu bal maturalny! Impreza. Potem domówka. A ja co, miałbym siedzieć w domu i łkać w talerz spaghetti?

– Nie, no jasne, że nie. – Zamilkłam na chwilę. – Hej, wiesz, słyszałam plotki. Nic konkretnego, takie tam. Że ktoś spoza szkoły wybiera się na bal.

– Masz na myśli tych ćpunów, którzy napadli na nas w kinie? – Spowaźniał.

– Będzie ochrona. Wpuszczają tylko uczniów.

Zagryzłam wargę.

– Uhm, jasne. Tak tylko mówię. Ja wiem? Żebyś wiedział.

Uniósł brew.

– W porządku. Malachi wie? Bo przyjaźnię z się Laney od podstawówki, lubię ją. Nie chcę, żeby została wmieszana w coś...

– Malachi w życiu nie pozwoliłby, żeby coś jej się stało. I uwierz, kto jak kto, ale on potrafi ją obronić. Prawdopodobnie będzie bezpieczniejsza niż ktokolwiek inny.

– A kto obroni ciebie, gdyby coś się działo? – Ian wyprostował się i otrzepał rękę.

– Ja poradzę sobie świetnie sama. Możesz mi wierzyć.

Wymamrotał coś pod nosem, podniósł się i podał mi rękę.

– Już po dwunastej. Lepiej wracajmy.

Poszłam za nim tą samą drogą, którą przyszliśmy, wdychając głęboko do płuc pachnące oceanem powietrze i stawiając uważne, pewne kroki na chybotliwych kamieniach i luźnym żwirze. Czas przygotować się na wieczór... A może i wcisnąć wcześniej jeszcze z godzinkę treningu z nożami. Nie zamierzałam dopuścić do tego, by Mazikiny dorwały któregoś z moich przyjaciół.

Właśnie zaczynałam sobie wszystko porządkować w głowie, kiedy zawibrował telefon, a na ekranie pojawił się SMS od Henry'ego:

„Dzisiaj nie będziemy tacy delikatni”.

Nim udało mi się zrozumieć sens tych słów, przyszła kolejna wiadomość. Zdjęcie. Mężczyzna leżący w kałuży krwi. Zmasakrowana twarz była nierozpoznawalna, ale i tak poznałam patykowate kończyny i przerzedzone siwe włosy.

Obok leżała kusza.

TRZYDZIESTY

Lela, przestań się wiercić, na litość boską. Co ty, ADHD masz? – Tegan zaczynała tracić do mnie cierpliwość. Przyjechałam do niej spóźniona o godzinę, a wcześniej całe popołudnie spędziłam z Malachim i Jimem na planowaniu, przewidywaniu i czekaniu na wieści od Rafaela.

Henry przebywał w szpitalu, pilnowany przez policjantów. Mazikiny zorientowały się jakimś cudem, kim jest, pobiły go i wezwały gliny. Nie wiedzieliśmy nawet, czy go opętały, czy w ogóle przeżyje. Wiedzieliśmy za to, że jest głównym podejrzanym w sprawie morderstw bezdomnych i że w pamięci posiada wszelkie informacje umożliwiające unicestwienie ziemskiego oddziału Straży. Rafael zniknął, żeby w sobie tylko znany sposób dowiedzieć się, jak poważnie wygląda sytuacja, ale jeśli Henry był już Mazikinem, wiedzieliśmy, że jedno z nas będzie musiało go zabić. Świadomość tego i wściekłość, że jeden z moich Strażników został zraniony, sprawiły, że nie mogłam doczekać się bezpośredniej konfrontacji z Mazikinami. Miałam ochotę je zniszczyć. Szczególnie Sila. Byłam przekonana, że to on ponosi odpowiedzialność za wszystko.

Tegan upięła mi kolejne pasmo włosów. Jej fryzura była idealnie utrwalona, a makijaż migotliwy i nieskazitelny. Czułam, że Jimowi trudno się będzie opanować na jej widok. Przy tak wysokiej stawce i tak bezpośrednim zagrożeniu, jego instynkt opiekuńczy pewnie będzie mocno przeciążony.

– Nie rozmawialiśmy nigdy o Jimie – zagałam, żałując, że nie jestem lepsza w babskich pogaduchach.

Złagodniała.

– Nie spotkałam nigdy kogoś takiego jak on.

– Nic dziwnego – mruknęłam pod nosem.

– Jest taki... słodki. Jakby niewinny. Jakby ciągle doświadczał czegoś po raz pierwszy. Ale równocześnie jest w nim ten „byłem – przeżyłem – doświadczyłem” Jim. – Wzruszyła ramionami. – Jest trochę tajemniczy. Nigdy nie byłam w jego domu.

– Ale podoba ci się?

Uśmiechnęła się samymi kącikami ust.

– Wiesz, w końcu niezłe z niego ciacho, więc jak miałby mi się nie podobać?

– To chyba nie tylko to?

Poczułam na karku jej cichy śmiech. Większość włosów zebrała mi na czubku głowy w coś, co określała mianem „niedbałego koka”. Było to coś w rodzaju zorganizowanego chaosu, ale Tegan twierdziła, że wygląda świetnie. Wreszcie wpięła ostatnią wsuwkę i odstąpiła.

– Tak, coś więcej – przyznała. – Ale nie chcemy się spieszyć.

Nie potrafiłam ukryć zaskoczenia. Widząc to, trzepnęła mnie w ramię.

– Ej, nie jestem zdziwiona, no weź. A poza tym on jest staromodny. Mówi, że musimy mieć pewność, że nasze uczucia są prawdziwe, zanim... Mówi, że to dla niego ważne. Zbyt ważne, żeby się spieszyć. – Odwróciła opromienioną nadzieją twarz. – Zobaczymy, jak się sprawy potoczą dzisiaj.

Ano zobaczymy. Prawdopodobnie właśnie teraz Malachi i Jim rozmieszczali broń w różnych miejscach swoich zaprawionych w bojach ciał, przygotowując się do obrony maturzystów przed atakiem Mazikinów. Zerknęłam na własny plecak. Czas również na mnie, żeby nadać ostateczny szlif mojej kreacji.

– Lepiej pójdę się przebrać – powiedziałam, wstając.

– Idź, idź. Greg mówił, że będą tu o siódmej.

Chwyciłam plecak i poszłam do ogromnej łazienki, wykończonej marmurem i niklem. W lustrze zobaczyłam całkiem obcą dziewczynę o lśniących ustach i podkreślonych brązem policzkach. Poza bliznami, całkiem ładną dziewczynę.

Dziewczynę, która potrafiła nieźle skopać tyłek każdemu, kto zagroził ludziom, na których jej zależało.

Zacisnęłam pięść na pasku plecaka, wyjęłam telefon i zadzwoniłam do Rafaela, który odebrał, zanim odezwał się sygnał.

– Nie jest opętany – oznajmił w ramach powitania. – Henry jest sobą.

Odetchnęłam z ulgą.

– Co z nim?

– Jest ciężko ranny. Wygląda na to, że był torturowany. Udaję tutejszego lekarza, więc uzdrawiam go po trochu. Dozorem policyjnym zajmę się później, jak będę już pewien, że można go bezpiecznie przenieść.

– Dobrze – wyszeptałam.

– Miłego wieczoru – rzucił naraz pogodnym, lekkim tonem. Zmiana była tak zaskakująca, że aż ciarki przeszły mi po plecach. – Dam znać, jeśli coś się zmieni. Uważaj na siebie. – Rozłączył się.

Wrzuciłam telefon do plecaka, a wyciągnęłam podwiązki, rękawiczki i buty. Rozebrałam się, unikając spoglądania w lustro na blizny po zadrapaniach na brzuchu, pamiątkę po ostatnim spotkaniu z Silem. Sil był drobny i chudy, ale szybki. Zabójczo szybki. I bezwzględny. Ledwie uszłam z życiem, a i to nie udało mi się, gdyby Rafael mnie nie uleczył.

Zwiewna tkanina burgundowej sukienki zsunęła się po skórze, otulając mnie lekko, wygodnie. Pasowała idealnie. Podwiązki przylegały dobrze do ud, a wąskie, ostre noże lśniły w świetle, dopóki nie wsunęłam ich do futerałów i nie zakryłam spódnicą. Założyłam szpilki taktyczne i bojowo-balowe rękawiczki. Byłam gotowa.

Rozległo się pukanie.

– Lela? Przyjechali wcześniej. Diana też już jest. Razem z mamą nie mogą się doczekać, żeby porobić nam zdjęcia, więc się pośpiesz.

Obrzuciłam spojrzeniem moje piękne przebranie.

– Już idę!

Z bijącym sercem przeszłam bardzo długim korytarzem do salonu, w którym zmieściłoby się całe piętro domu Diany. Jillian i Levi stali przy oknie nachyleni ku sobie, oddychając tym samym powietrzem. Tegan przedstawiała rodzicom wyraźnie spłoszonego Jima. Alexis i Greg opierali się o pianino, na którym popisywała się dziesięcioletnia siostra Tegan, Greta.

Laney siedziała na kanapie. W ciemnozielonym jedwabiu wyglądała świetliście, anielsko i krucho. Paplała do Malachiego, który stał obok niej, gapiąc się na podłokietnik z żądzą mordu w oczach. Kiedy weszłam, podniósł głowę i nasze spojrzenia się skrzyżowały. Trwało to na tyle długo, że poczułam, jakby pierś przebijał mi zardzewiały pogrzebacz. Jego postawa zmieniła się odrobinę, kiedy patrzyliśmy na siebie, ale zachował kamienne oblicze. Walczyłam o to samo ze wszystkich sił, nie było to jednak takie proste. Zawsze był przystojny, ale dzisiaj wyglądał oszalamiająco. Co najmniej jak młody, śniady James Bond. W życiu nie widziałam, żeby ktoś wyglądał tak fantastycznie w czerni.

A potem z kuchni wyszedł Ian. Uśmiechnął się do pani Murray, unosząc trzymaną w rękę kanapkę. Skinęła mu pobłażliwie – najwyraźniej wiedziała o jego kompulsywnych nawykach żywieniowych.

Ian zrobił parę kroków w stronę salonu, po czym wrósł w ziemię.

– Łał! – wykrzyknął bezdźwięcznie, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów. Potem spojrzał na kanapkę, jakby nie miał bladego pojęcia, jak znalazła się w jego dłoni, przełknął z trudem i odłożył ją na stół.

– Cześć – powiedział, ruszając w moją stronę i wycierając ręce o smoking. – Tegan nie przesadzała z tą sukienką.

Uśmiechnęłam się szeroko, bo, do diabła, to było coś wspaniałego. Znacznie lepszego od chłodnego profesjonalizmu Malachiego, z jakim odnosił się do swojej pięknej partnerki. Świadomość, że towarzyszy mi nieziemski Ian, który patrzy na mnie jak na boginię, łagodziła nieco gorycz.

– Cieszę się, że ci się podoba.

Wyciągnął do mnie rękę, a kiedy podałam mu swoją, przyciągnął mnie do siebie. O mało co nie nadepnęłam mu przy tym na palce. Upomniałam się w duchu, że muszę naprawdę uważać. Prawdopodobnie potrzebował stóp w całości.

– „Podoba” to mało powiedziane – powiedział. – Wyglądasz zabójczo. Możemy udawać, że nasza poranna rozmowa nie miała miejsca? – Widziałam po jego minie, że żartuje. Prawie całkiem.

Poczułam żar na policzkach, a spojrzenie Iana powiedziało mi, że tego nie przegapił.

– Mam pomysł. – Pochylił się ku mnie, a jego wargi musnęły moje ucho. Kątem oka dostrzegłam, że Malachi gwałtownie odwraca głowę. – Wykorzystaj mnie, żeby wzbudzić w nim zazdrość. Proszę.

Odsunęłam się i spojrzałam w jego przystojną twarz.

– Nawet gdyby to była jakaś opcja, w życiu bym ci tego nie zrobiła. – Dotknęłam jego policzka. – Będziemy się dzisiaj świetnie bawić, dobrze? – I miejmy nadzieję, że wszyscy wyjdziemy z tego żywi.

Objął mnie w talii i znów zobaczyłam w jego zielonych oczach ten sam żar co rano.

– Coś ci powiem, Lela. Prędzej czy później Malachi wróci tam, skąd przyjechał. Ale ja tu będę. A potrafię być bardzo, bardzo cierpliwy. – Pochylił głowę i patrzył mi w oczy, dopóki nie mrugnęłam. Potem uśmiechnął się szeroko, żar zniknął, albo może został ukryty. – Musiałem ci to powiedzieć. Ale dzisiaj dobra zabawa. – Pocałował mnie w skroń. – Wyglądasz prześlicznie.

Zaskoczona fleszem, podniosłam wzrok. Diana otarła łzę z policzka i znów skierowała na nas aparat. Uśmiechnęłam się, kiedy Ian swobodnie mnie objął. Wciąż byłam zdumiona, jak szybko potrafi się przełączać – podczas robienia zdjęć wrzucił tryb niedbałego uroku. Diana pstrykała zdjęcia, przerywając co chwilę, żeby otrzeć łzy. Czułam zakłopotanie, ale było to dziwnie wspaniałe. Była tu ze mną. Zależało jej na mnie i wszyscy to widzieli. Zanim poszła do pracy, przytuliła mnie mocno.

– Zasłużyłaś sobie na to szczęście, słonko – wyszeptała, zanim mnie puściła.

Zacisnęłam powieki, powstrzymując się od płaczu. Przez chwilę, i pomimo tego wszystkiego, co się działo, naprawdę byłam szczęśliwa w ramionach zastępczej matki, wcale nie chcąc się wyzwalać z jej uścisku.

Po tym, jak Diana poszła na nocną zmianę do pracy, pani Murray zrobiła nam jeszcze parę grupowych fotografii, mnie i ludziom, których kiedyś uważałam za dwuwymiarowych niczym obrazki, ale którzy okazali się kimś więcej, gdy ich bliżej poznałam. Gorzka ironia – nie wiedziałam tego, kiedy żyłam, kiedy miałam przed sobą przyszłość. Dopiero teraz, gdy straciłam do niej prawo, potrafiłam zobaczyć ją wyraźnie, ze wszystkimi możliwościami.

Tak bardzo zapragnęłam, żeby Nadia tu teraz była. Chciałam, żeby to wszystko widziała, żeby wiedziała, że miała rację, żebym mogła podziękować jej za wydrążenie tego wąskiego tunelu w murach, którymi się otoczyłam, wąskiego, ale wystarczającego, by wpuścić światło.

– Wiem, że za nią tęsknisz – powiedziała Tegan i uśmiechnęła się, kiedy się odwróciłam. – Ja też.

Kiwnęłam głową, usiłując wydukać coś poprzez wielką gulę w gardle.

– Chyba wszystkim nam kogoś dzisiaj brakuje. Ian na pewno tęskni za Adenem.

Popatrzyliśmy na drugi koniec salonu, gdzie Ian i Levi zaśmiewali się, siedząc na kanapie. Wolna przestrzeń pomiędzy nimi wyglądała tak, jak gdyby zostawili to miejsce dla Adena. Brak przyjaciela jeszcze nie zdążył się w nich

utrwalić. Wzdrygnęłam się na myśl, gdzie znajdowała się teraz dusza Adena. Mogłam mieć tylko nadzieję, że nie cierpi zbyt mocno.

– Zbierajmy się, ludziska! – wykrzyknął Greg, stukając palcem w nowy zegarek, wart więcej niż mój samochód. – Transport do restauracji odjeżdża za pięć minut. Ładujcie bagaże, bo nie wracamy!

Dziewczęta pobiegły tłumnie do łazienki poprawić usta, wypchnąć biusty i tak dalej, a męska część grupy zaczęła pakować torby do SUV-a. Ian wziął na ramię swojego wielkiego jamnika i mój mniejszy plecak. Sądząc po rozmiarach, mogło się wydawać, że spakował rzeczy na cały tydzień. Levi też taszczył ogromną torbę, ale miał jedną wspólną z Jillian. Obserwowałam, jak wszyscy ładują się do samochodu, żeby zacząć wreszcie wieczór, i czułam się, jakbym jednocześnie tam stała i nie stała, była z nimi, ale sama.

Obiecuję wam, poprzysięgam sobie w duchu, nie pozwolę, żeby coś wam się stało.

Na widok ochroniarzy kręcących się po centrum kongresowym poweselałam. Od razu wydało się mniej prawdopodobne, że napadnie nas horda obdartych Mazikinów. W lobby wisiały rzędy zdjęć Adena i Nadii, przypominając nam, że i oni powinni tu teraz być. Ian wziął mnie za rękę, kiedy je mijaliśmy. Zaciśnął szczęki, a jego oczy załśniły.

Kolejno obchodziliśmy salę, żeby nie zostawiać przyjaciół samych. Podczas kolacji przyszedł SMS od Rafaela, że Henry odzyskał przytomność. Miałam nadzieję, że Rafael szybko wydostanie go ze szpitala i że Henry będzie w stanie opowiedzieć, co się wydarzyło. Że może nawet zna położenie gniazda Mazikinów. Obchodziłam salę balową z telefonem w ręku, czekając na jakąś informację.

Godziny mijały i nic złego się nie działo. Poza tym, że musiałam patrzeć na wolny taniec Malachiego i Laney. Na szczęście zatańczyli tylko raz. Zaczynałam się niecierpliwić. Zastanawiałam się, czy może groźby Clarence'a nie były podpuchą. Albo czy Mazikiny nie zmieniły planów. A jeśli tak, to co oznaczały słowa: „Dzisiaj nie będziemy tacy delikatni”?

Wracając z obchodu, usłyszałam, jak prowadzący ogłasza wyniki wyborów króla i królowej balu. Ian został królem, tak jak się spodziewałam.

A królową Laney.

Rozpromieniła się, ale mina jej zrzędnęła, kiedy popatrzyła na Tegan, którą też miałam za pewniaka. Ta natomiast uśmiechnęła się chytrze do przyjaciółki i zbyła ją machnięciem ręki. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie dobrała się do urn. Levi i Jillian zostali księciem i księżniczką. Stałam za krzesłem Malachiego i obserwowałam, jak cała czwórka po koronacji schodzi na parkiet. Wydawali się tak bardzo... na miejscu. Wybrańcy fortuny, gotowi wejść w swoje idealne, szczęśliwe życie. Nie sprawiało mi to przykrości, raczej czułam się jakby oderwana, jakbym już nie należała do tego miejsca i do tych ludzi.

Tegan i Jim wstali, żeby dołączyć do tańczących, a zaraz za nimi podnieśli się Greg i Alexis, zostawiając przy stoliku mnie i Malachiego. Teraz Jim miał obejść salę, ale uznałam, że zasłużył na przerwę. Wyglądał na tak szczęśliwego, trzymając w ramionach Tegan, że nie mogłam mu mieć tego za złe. Poczułam na ramieniu muśnięcie czyichś palców. To Malachi stał nade mną, wyciągając rękę. W jego oczach czaiła się zaskakująca niepewność.

– Myślę, że Ian nie będzie miał nic przeciwko, jeśli poproszę cię do tańca – powiedział cicho.

– A Laney?

Westchnął.

– Wiesz przecież, że bym tego nie robił, gdybym uważał, że to niestosowne.

– Mistrzowska nieodpowiedź – mruknęłam, obserwując, jak moja ręka unosi się całkiem bez udziału woli.

Sekundę później byłam już w jego ramionach, co przeciążyło moje obwody, sprawiając, że reszta pomieszczenia zamgliła się. Jakże tęskniłam za tak bliskim kontaktem, w każdym razie za tym, który nie obejmował prób pozabijania się.

Myśli Malachiego biegły chyba tym samym torem. Przygarnął mnie, obejmując jednym ramieniem, a drugą ręką ujął moją dłoń i przycisnął sobie nasze splecione palce do piersi.

– W ten sposób – zaczął z zabójczym uśmiechem – mogę być pewny, że nie sięgniesz po nóż silniejszą ręką, a to zwiększa moje szanse na przeżycie.

– Sprytne. – Zaśmiałam się. Sama byłam zaskoczona, że udało mi się cokolwiek wydukać, bo taka bliskość zamieniła mi mózg i kości w galaretkę. Dużo mnie kosztowało, żeby powstrzymać się przed złożeniem mu głowy na piersi lub gapieniem na srogie piękno jego twarzy.

Ledwo co poruszaliśmy się, ledwie co kołysaliśmy się, ale pod skórą czułam małe trzęsienia ziemi, fale przyływów i odpływów. Rozbłyśki słoneczne. Tańczyłam już tego wieczoru z Ianem, ale nie czułam się tak jak teraz. Nikt inny nie działał na mnie tak, jak Malachi. Nikt nie budził we mnie jednocześnie strachu i takiego uczucia ciepła. Nie podobało mi się to. Nie podobała mi się myśl, że ktokolwiek ma taką władzę nad moimi uczuciami, a już szczególnie ktoś, kto jasno wyraził, że nie chce mieć nic wspólnego z rzeczonymi uczuciami. Ale próbowałam walczyć z tym tak długo, że nie pozostało mi nic poza przyznaniem się do porażki. Chciał mnie czy nie, i tak należałam do niego. Tylko do niego.

Moja nieposłuszna dłoń przeniosła się z jego ramienia na kark, pragnęłam poczuć pod palcami jego skórę. A gdy to się stało, na moment przymknął oczy, a potem znów przybrał neutralną, rozbawioną minę. Czy tylko mi się zdawało, że tak na niego działałam? Czyżbym wyobraziła sobie tylko, że to stalowe ramię przyciągnęło mnie trochę bliżej? Czy tylko mnie przebiegł prąd, gdy przesunął dłoń po moich plecach, muskając opuszkami nagą skórę?

– Dobrze się bawisz? – zapytałam i zbeształam się w duchu, bo zacinałam się i brakowało mi tchu.

Wzruszył ramionami.

– Mam mieszane uczucia. A ty? Ian dobrze cię traktuje? – W przyćmionym świetle jego oczy wydawały się zupełnie czarne. Patrzył na mnie, czekając na odpowiedź.

– Ian jest naprawdę miły. Nie ma w nim ani krzty niegodziwości.

– No to bardzo się cieszę – rzekł i przeniósł wzrok na tańczących Iana i Laney.

Też na nich spojrzałam i akurat w tej chwili Ian przytulił Laney, opierając sobie jej głowę na ramieniu. Kołysali się w takt muzyki, a on czule głaskał ją po jedwabistych, rudych włosach. Serce podeszło mi do gardła ze strachu, kiedy oczami wyobraźni ujrzałam jego konfrontację z Malachim, starcie, które trwałoby dla Iana sekundy.

– Przyjaźnią się od podstawówki – zaczęłam pospiesznie wyjaśniać. – Na pewno tylko...

– Pociesza ją – wszedł mi w słowo Malachi i spojrzał mi w oczy.

Przez głowę przebiegło mi milion pytań, ale nie miałam nawet szansy ich zadać.

Ponieważ właśnie w tym momencie Mazikiny przypuściły atak.

TRZYDZIESTY PIERWSZY

Chudy jak szczapa nastolatek w zaplamionym garniturze i kra wacie-śledziu wskoczył na jeden ze stołów, kopniakiem strącając bukiet. Rozejrzał się po parkiecie i natychmiast, gdy tylko mnie zobaczył, znów był w ruchu. Już na czworaka przeskoczył na sąsiedni stół, prześlizgnął się na obrusie i dał susa w moją stronę. Dzieciaki pryskały mu z drogi, krzycząc na widok drugiego Mazikina, atletycznego faceta z lwią grzywą jasnych dredów, który wpadł na salę. Ten również miał na sobie garnitur. I nawet muchę.

Obaj wypatrywali tylko mnie. Warcząc i roztrącając wszystkich pechowców, którzy stali im na drodze, zaczęli się przebijać przez salę.

Malachi puścił mnie. Oboje sięgaliśmy już po noże, gdy Levi grzmotnął krzesłem chudzielca, gdy ten dał kolejnego susa. Uderzony runął na podłogę. Krwawił i był całkiem oszołomiony. Drugi zawył na widok porażki towarzysza i rzucił się na Leviego, ale Jim odepchnął chłopaka, uderzył napastnika potężnym ciosem w brzuch, a potem odbił się i dołożył mu najbardziej akrobatycznym kopniakiem, jaki w życiu widziałam. Wylądował na rękach, a jego przeciwnik huknął twarzą o posadzkę. Stojący w pobliżu tłumek nagroził Jima brawami.

Żaden z Mazikinów nie zdołał dotrzeć na parkiet. Nawet się doń nie zbliżyły. Sekundę później nadbiegło dwóch ochroniarzy. Prawdopodobnie sami wpuścili napastników, biorąc ich za uczniów. Jeden z nich przyłożył słuchawkę do ucha i pochylił się nad Mazikinem. Uczniowie otoczyli ochroniarzy, wyjaśniając, że to obcy, którzy dostali się na bal.

– Wzywam policję – krzyknął wreszcie jeden z ochroniarzy.

Drugi podniósł ręce do góry.

– Wszystko jest pod kontrolą – zawołał, stojąc nad Mazikinem z dredami, jakby sam go pokonał.

Zdyszany Levi zachichotał, a potem odwrócił się i rozpromieniony chwycił w ramiona Jillian, która dosłownie oplotła się wokół niego. Jim wyprostował się, nadal gotowy walczyć. Rzucił nam spojrzenie i przesunął dłonią po żebrach, marząc pewnie, żeby móc wyciągnąć ukryty pod marynarką nóż. Ochroniarz odgonił go gestem. Jim wycofał się, nadal najeżony, ociekający agresją, i nie rozluźnił się, dopóki Tegan nie podeszła i nie położyła mu ręki na plecach.

Muzyka zamilkła. Akurat poprzedni kawałek się skończył, a DJ chyba nie był pewny, czy ma puścić następny. Większość balowiczów stojących na parkiecie gapiała się na Mazikiny.

– To było zbyt proste – stwierdził Malachi.

– Wiem.

Nadal staliśmy blisko siebie, obserwując Mazikiny. Oba były przytomne, ale skute kajdankami, a na grzbiecie każdego siedział jeden potężny ochroniarz. Kątem

oka dostrzegłam mignięcie szmaragdowego jedwabiu – Laney. Popatrzyłam w tę stronę. Stała przy Ianie i łypała na mnie wrogo, Ian z kolei piorunował wzrokiem Malachiego. Chrząknęłam, odsuwając się od Malachiego.

– Hej, wasza wysokość – zawołał Greg do Iana. – Co ty na to, żebyśmy wcześniej uderzyli do klubu?

– Dla mnie bomba – stwierdził Ian, objął ramieniem Laney i powiedział jej coś tak cicho, że nie usłyszałam ani słowa. Skinęła potakująco ze wzrokiem wbitym w podłogę. Coś gdzieś mi umknęło. Malachi mówił, że Ian pociesza Laney – czyżby ze sobą zerwali? Zacisnęłam powieki, łajając się w duchu i depcząc mentalnie każdy kielek nadziei, który usiłował się we mnie zakorzenić.

Nieudany atak Mazikinów zepsuł balowy nastrój. Ludzie zaczęli się rozchodzić do samochodów. Niektórzy zatrzymywali się po drodze, żeby zostawić policji swoje dane na wypadek konieczności składania zeznań. Obeszłam stróżów prawa szerokim łukiem, ochoczo zostawiając im na głowie Mazikiny, z nadzieją, że zatrzymają je choć na jedną noc. Intensywnie zastanawiałam się za to, skąd nadejdzie kolejny atak.

Nasza paczka załadowała się do długaśnej terenówki, która miała zawieźć nas do klubu w Providence na prywatną pobalową imprezę. Lokal sprawdziliśmy z Jimem i Malachim już wcześniej, na wypadek gdyby Mazikiny uznały go za lepsze miejsce do ataku. Klapnęłam na skórzane siedzenie, uważając, żeby sukienka nie podwinęła mi się i nie odsłoniła przytroczonego do ud arsenału.

Ian uśmiechnął się smutno, zajmując miejsce naprzeciw mnie, obok Jima i Tegan, którzy świata poza sobą nie widzieli. Levi tryskał dobrym humorem i nic dziwnego, bo Jillian patrzyła na niego jak na autentycznego herosa. Laney i Malachi usiedli naprzeciwko nich. Oboje mieli kamienne miny i trzymali dystans. Między Gregiem i Alexis też musiało coś zająć, bo ona siedziała do niego bokiem, a on wciąż zerkał na zegarek, jakby wcale nie chciał tu być. Rozumiałam go. Nagle zabrzczała mi torebka. Wyjęłam telefon i odebrałam.

– Dzwoniłem do was – powiedział Rafael.

– Wybacz, mieliśmy małe zamieszanie na balu.

– Wszyscy cali?

– Tak, nic się nie stało. Co u was?

– W tej sprawie dzwonię. Henry się ocknął, jesteśmy w Strażnicy. Zna lokalizację gniazda.

Poderałam głowę i napotkawszy spokojny wzrok Malachiego, kiwnęłam lekko. To było to. Gdyby udało nam się tam dotrzeć i uprzedzić atak, nasi przyjaciele byłiby bezpieczni.

– Możesz po nas przyjechać do klubu „Trzecia faza”? – zapytałam cicho, spoglądając przepraszająco na Jima. Nawet nie zauważył. Sondował językiem gardło Tegan. Rzeczywiście, wcale się nie spieszyli.

Rozłączyłam się. Malachi sprawdził godzinę na swoim telefonie, a potem wychylił się, żeby oderwać Jima od Tegan. Obowiązki wzywały.

Samochód zahamował gwałtownie, a potem wjechał na pas rozdzielczy, zrzucając Laney z siedzenia. Alexis krzyknęła, a Jim i Tegan rozdzielili się. Błady jak ściana Greg złapał za brzeg siedzenia tak mocno, że aż pobieleły mu palce. Levi huknął w plastikową przegrodę oddzielającą nas od kierowcy, ale bez efektu.

Samochód obrócił się, koło podskoczyło na chodniku, a potracony parkomat sypnął iskrami. Malachi poderwał się i uderzył pięścią w przegrodę. Popękała, ale nadal się trzymała. Samochód przyspieszył przy wtórze klaksonów i pisków opon innych pojazdów, potem przejechał przez trotuar i wskoczył w ciemną, wąską uliczkę.

Malachi znów nieskutecznie próbował przebić osłonę, tym razem zostawiając na niej smugę krwi. Kiedy skręciliśmy ostro na placyk za jakimś ceglanym budynkiem, mój wzrok padł na ręce, na wypełnione śrutem małe kieszonki w srebrzystych rękawiczkach. Zamachnęłam się i przebiłam przegrodę, roztrzaskując ją na kawałki.

Fala smrodu szarpnęła moimi wnętrznościami. Samochodem kierował Mazikin. Było jednak za późno, żeby coś z tym zrobić. Jechał prosto na boczną ścianę budynku. Zdażyliśmy tylko rzucić się na podłogę, zanim impet zderzenia uniósł tył samochodu, który zaraz potem gruchnął z powrotem w dół. Maską została zmiażdżona, a przez rozbitą szybę posypały się do środka cegły. Odrzuciło mnie na oparcie siedzenia, a potem sturlałam się z kanapy, lądując na stłoczonych na podłodze ludziach. Dźwięk tłuczonego szkła i zgrzyt metalu mieszały się z krzykami. Mimo tego hałasu usłyszałam dochodzące z zewnątrz zwierzęce wycia.

Podniosłam głowę i natychmiast je zobaczyłam. Zbliżały się, nadchodziły z obu stron, z błyszczącymi ślepiami, zakrzywionymi szponami. Stare i młode, o brudnych twarzach i rozczochranych włosach. Wybrały idealny moment na zasadzkę, kiedy niczego się nie spodziewaliśmy, kiedy byliśmy przekonani, że jesteśmy bezpieczni. I jedno było bardzo jasne: nie zamierzały obejść się z nami łagodnie. Odepchnęłam jakieś ręce zbliżające się do mojej twarzy, ale ktoś mnie przytrzymał.

– Lela, popatrz na mnie. Jesteś cała? – dopytywał się Malachi.

Zamrugałam i dopiero wtedy zobaczyłam jego twarz.

– Cała.

Minę miał zaciętą, ale w oczach łagodność.

– To dobrze. Wstawaj. I trzymaj się mnie.

– Ale mogę przecież...

Chwycił mnie mocniej.

– To ciebie chcą. Nie wychylaj się. – Dałam radę tylko skinąć głową.

A potem mnie puścił i odwrócił się, by stawić czoło zagrożeniu.

Przyciemniane szyby limuzyny były pokryte pajęczyną pęknięć, ale całe. Dopóki któryś z Mazikinów nie uderzył w jedno łomem. Inny zrobił to samo po drugiej stronie. Waląc w okna, przeszły, zaczynając od tyłu samochodu, na jego przód, zmieniając szkło w szrapnele. Małą przestrzeń auta znów wypełniły krzyki.

Malachi i Jim zepchnęli wszystkich na podłogę i osłonili ich, stając nad nimi pochyleni i z barkami przyciśniętymi do podsufitki. Malachi zdjął marynarkę i zarzucił ją na głowy Laney i Tegan. Pod smokingiem miał cały arsenał. Wyciągnął dwa noże do rzucania, które miał przytroczone po bokach, ale musiał zacisnąć powieki, bo zasypał nas kolejny deszcz odłamków. Kiedy jednak szyba przestała istnieć, jego noże poszybowały w kłębiący się na zewnątrz tłum. Wciąż dzwoniło mi w uszach, ale skoczyłam na siedzenie i chwyciłam łom, którym Mazikin rozbijał okna. Nadepnęłam szpilką na rękę napastnika i wyrwałam mu pręt. Mazikin zawył i zatoczył się w tył.

– Lela! – krzyknął Malachi.

– Jestem tu!

Z obawy, żeby nie zranić przyjaciół tytanowym butem, przeczołgałam się po zasypanym szkłem siedzeniu, raniąc sobie kolana. Wszystkie dziewczęta poza mną leżały skulone na podłodze, łkając i wzdrygając się przy każdym dźwięku. Nie dziwiłam im się i w sumie byłam zadowolona, że nie widzą, jak Malachi ciska ostatnimi nożami w Mazikiny. Hałas był ogłuszający – chrzęst, trzeszczenie, skrzeki i warczenie. Sapanie. Kłapanie. Zupełnie jakby opadła nas sfora dzikich psów, tyle że bardziej inteligentnych i posiadających ręce, w których mogły dzierżyć łomy.

Ktoś z leżących na podłodze złapał mnie za rękę. Laney. Patrzyła na mnie wielkimi sarnimi oczami.

– Wyciągniecie nas stąd?

– Tak, ale jeśli możesz dostać się do telefonu, zadzwoń po policję – krzyknęłam i w tej samej chwili czyjeś ręce, sięgające z zewnątrz, opasały mnie w tali i zanim zdołałam się wyrwać, szarpnęły z całej siły. Uderzyłam tułowiem o ścianę samochodu.

– Mamy dziewczynę z włosami! – wrzasnął właściciel trzymających mnie rąk, a podniecone pohukiwanie, które mu odpowiedziało, uświadomiło mi, że zaraz wszystkie Mazikiny się na mnie rzucą. Sięgnęłam po nóż, ale złapał mnie drugi napastnik i już prawie wcale nie mogłam się ruszać. Zebrałam się w sobie, przekonana, że zaraz mnie wyciągną z samochodu i otoczą, kiedy na jednego z napastników opadła pałka, łamiąc mu kość z suchym trzaskiem. Odwróciłam głowę. Ian stał z uniesionym kijem i błyszczącymi oczami.

– Przecież kazałaś mi się przygotować – sapał, a potem zamachnął się i grzmotnął drugiego Mazikina prosto w twarz.

Tylne drzwi samochodu zostały wyrwane. Atakowano nas ze wszystkich

stron. Jeden z Mazikinów usiłował wczłogać się przez rozbite okno, ale najwyraźniej Ian ostrzegł też Leviego, bo ten, zasłaniając sobą Jillian, wyciągał właśnie ze swojej wielkiej torby kij baseballowy. Każdy z nich wziął jedną stronę i zaczęli machać pałkami, jak na razie powstrzymując Mazikiny. Wykorzystując wsparcie, Malachi sięgnął po wciśnięty pod siedzenie plecak i wydobył z niego pałki dla siebie i Jima. Zabraliśmy ze sobą dodatkową broń w bagażach, na wypadek gdyby walka przeniosła się na parking. Malachi i Jim wypchnęli klapę bagażnika i rozłożyli pałki, z pomocą których odparli czyhającą na zewnątrz grupę Mazikinów.

Ponad ramieniem Malachiego widziałam, że szybko redukuje liczbę napastników. Choć zostało ich może mniej niż dwudziestu, nadal byli zdeterminowani, by mnie dopaść. Kipiący gniew dodał siły moim rękoma. Poprawiłam rękawiczki, czując podnoszący na duchu ciężar kieszonek na knykciach i wiedząc, że Michael nie żartował z tym betonem. Z nożem w każdej ręce gotowałam się do skoku przez bagażnik i przerzedzenia szeregow wroga.

Okrzyk bólu stanowił jedyne ostrzeżenie, zanim poczułam chwytające mnie w pasie ramiona i zostałam pociągnięta w głąb samochodu. Ktoś zasłonił mi usta dłonią, a na policzku poczułam zimny dotyk metalu. Masywny złoty zegarek. Wydałam stłumiony krzyk, zdając sobie sprawę, kto przekazywał informacje Mazikinom. Greg. Nie miałam pojęcia, kiedy i jak udało im się go skaptować. Sądząc po smokingu od Hugo Bossa i tym zegarku, zrozumiałam, że płacili mu po prostu za szpiegowanie. I z pewnością opłaciło im się.

Wokół tłoczyli się ludzie, nie mogłam więc wymachiwać nożami czy kopać szpilek, bo nie chciałam zranić żadnego z przyjaciół. Usiłowałam krzyknąć do Malachiego. Walczył o swoje i moje życie parę metrów dalej, przekonany, że w samochodzie jestem bezpieczna. Patrzyłam, jak na zwolnionym filmie, na jego pewne, precyzyjne i zabójcze wymachy, którymi odpierał Mazikiny. Jim porzucił pałkę i walczył wręcz, trzymając się poza zasięgiem śmiertelnej laski Malachiego. A ja ich zawiodłam. Szarpnęłam się rozpaczliwie, zamachnęłam i wbiłam nóż w ramię Grega.

Zaklął i powstrzymał mnie, zanim zdążyłam zadać drugi cios. Wyrwał mi nóż, brutalnie wykręcając przy tym nadgarstek. Straszliwy ból przeszył mi ramię aż do barku, ale przyciśnięta do twarzy dłoń stłumiła mój wrzask bólu. Gdy odciągał mnie dalej od bagażnika, ujrzałam Iana i Leviego walczących z Mazikinem. Ledwie udawało im się trzymać jego kły z dala od siebie. Greg popchnął mnie tak, że wylądowałam brzuchem na siedzeniu, a potem przycisnął mnie sobą.

– Jest silna, jeden z was nie wystarczy – zawołał, usiłując trzymać mnie w ryzach, głównie ściskając mi ranną rękę. Ból miażdżonych kości był tak wielki, że ledwie udawało mi się nie zemdleć. Wreszcie dźwignął mnie i przepchnął głową naprzód przez strzaskane okno, raniąc mi przy tym bok i drąc sukienkę.

Śmierdzący kadzidłem napastnik chwycił mnie z drugiej strony i zaczął ciągnąć. W ostatniej chwili udało mi się kopnąć do tyłu, przebijając pierś Grega zabójczym obcasem. Dostrzegłam jeszcze, jak zaskoczony otworzył usta, a potem upadł, znikając w samochodzie.

Mazikin upuścił mnie. Upadłam na asfalt na ręce i kolana, a potem na płask, gdy złamany nadgarstek się poddał. Brutalnie zdarto ze mnie podwiązki, pozbawiając mnie noży. Kopałam jak szalona i w pewnym momencie udało mi się wyrwać i rzucić pod samochód, ale Mazikiny złapały mnie za nogi i wywlokły stamtąd. Znow spróbowałam krzyknąć, ale z moich ust wydostały się tylko bełkotliwe skrzeki. Nie wiedziałam, czy Malachi cokolwiek usłyszał.

Dwa Mazikiny, łysiejący, taki w typie urzędniczyny, i szczerbata kobieta, złapały mnie pod ramiona, podczas gdy trzeci oplótł moje nogi.

– Mamy ją! – wrzasnęła kobieta przez ramię.

Miotałam się i szarpałam, mimo że nadgarstek miałam zgięty pod nienaturalnym kątem, a w oczach widziałam gwiazdy. Otworzyłam usta, żeby wrzasnąć, ale znow czyjaś ręka mnie zakneblowała. Tym razem jednak kłapnęłam zębami z całej siły i udało mi się złapać za palec napastnika. Rozległo się wycie, ręka zniknęła, a ja wyplułam krew i kawałki ciała. W następnej chwili zostałam ugryziona w szyję, a Mazikin bez palca zaczął odciągać mnie od reszty bandy.

– Nie! – krzyknął ktoś za moimi plecami.

Nie był to ani Malachi, ani Jim, ani Ian.

Krzyczała moja matka. A w każdym razie Mazikin, który przejął jej ciało.

Oderwała ode mnie Mazikina, który mnie ugryzł, a ja upadłam na ziemię, czując targający ból w szyi i barku. Podniósłszy głowę, ujrzałam Ritę Santos-Mazikina, walczącą z jednym z bezdomnych z „mojego” obozowiska, budowlańcem, który przystawiał się do chudej kelnerki. Budowlaniec odskoczył od Rity z groźnym grymasem. Rita skoczyła na równe nogi, a jej rozwiane włosy zafalowały wokół głowy. Spojrzała na mnie i powiedziała:

– Chodź!

– Spierniczaj! – warknęłam, niezgrabnie się podnosząc. Odgłosy najintensywniejszej walki dochodziły z okolic bagażnika limuzyny, która znajdowała się parę metrów ode mnie. Większość wysiłków Mazikinów kierowała się właśnie w to miejsce, prawdopodobnie by zająć Malachiego i Jima, żeby nie widzieli, co dzieje się tutaj. Nabrałam powietrza do płuc.

– Strażnicy! – krzyknęłam, ile sił.

– *Estúpido!* – zaskrzeczała Rita i przyskoczyła do mnie, powarkując i postępując coś do towarzyszy, którzy rzucili się na mnie niczym wataha wygłodniałych wilków. Kopałam, dźgając szpilkami, i grzmociłam na oślep zdrową ręką. Usłyszałam okrzyk Malachiego, ale jego słowa utonęły we wrzawie zwierzęcych odgłosów Mazikinów.

Nagle ujrzałam wyjście. Uderzyłam Ritę-Mazikina w szczękę ciosem, który posłał ją na ziemię, kolaniem kopnęłam budowlańca w krocze i bykiem grzmotnęłam szczerbatą. Odsunęłam się od nich chwiejnie, dysząc ciężko, i zebrałam się w sobie, gotując na kolejny atak.

Poderwałam głowę, słysząc pisk opon.

Van Mazikinów nie miał czasu, żeby wyhamować.

Uderzył we mnie przodem.

TRZYDZIESTY DRUGI

Mój świat skurczył się do nuklearnej eksplozji bólu, a potem wszystko się skończyło. Nie pamiętam uderzenia o asfalt, ale byłam świadoma, że nie bolało. Kiedy otworzyłam oczy, ujrzałam pochylającą się nade mną matkę. Gładziła mnie po policzkach, a płynące z jej oczu łzy kapały, jakby padał deszcz.

– *Lo siento, mija* – wyszeptała, a potem zacisnęła powieki i pokręciła głową, jakby próbowała coś wytrząsnąć. Wreszcie wstała i postępując chrapliwie w języku Mazikinów, wskazała na coś.

Rozległ się krzyk Tegan.

Jakiś dźwięk musiał wydostać się z moich ust, bo Rita spojrzała na mnie.

– Wezmą ją. Siłowi wystarczy.

Trzasnęły drzwiczki vana, zagłuszając przenikliwy płacz Tegan. Pochrząkiwania i powarkiwanie zaczęły cichnąć, znów trzasnęły drzwiczki i w końcu dobiegł mnie warkot silnika oraz chrzęst opon. Blisko, ale mogłam sprawdzić dokładniej. Nie byłam w stanie obrócić głowy.

Zaraz potem w polu mojego widzenia pojawiła się twarz Malachiego. Odbijały się na niej emocje, których nie potrafiłam zrozumieć. Pochylił się, przymknął oczy i musnął czołem moje. Potem wyprostował się i oparł na kolanach, a ja ujrzałam Leviego i Iana wpatrujących się we mnie ze zgrozą. Nie mogłam pojąć dlaczego. Ale może tak było lepiej.

– Czy ktoś poza Lelą jest ranny? Podrapany, ugryziony? – zapytał Malachi.

Levi pokręcił przecząco głową.

– Porwali Tegan i uciekli zaraz po uderzeniu w Lelę. Dziewczyny są w szoku, Alexis może mieć zwichniętą kostkę, ale z resztą chyba wszystko jest w porządku... Poza Gregiem. – Dotknął drżącą ręką rany na skroni. – Walnął mnie. A potem dorwał Lelę. Pomagał im.

– Laney wezwała policję, a ja przed chwilą zadzwoniłem po karetkę – powiedział roztrzęsiony Ian i przysunął się bliżej. – Zaraz tu będzie.

– Lela nie jedzie do szpitala – oświadczył Malachi spokojnie.

– Co?! Przecież żyje! – wrzasnął Ian, purpurowiejąc. – Mogą ją uratować!

– Potrzebuje czegoś więcej niż szpitala. Idź, proszę, zajmij się pozostałymi. I powiedz Laney, że jest mi przykro – rzekł Malachi. – Ja zabiorę Lelę.

Już miał się znów nade mną pochylić, kiedy Ian odepchnął go. Jego ręka zderzyła się z piersią Malachiego z solidnym łupnięciem. Malachi natychmiast był na nogach. Chwycił Iana za koszulę i szarpnął tak, że stali nos w nos.

– Masz ogromne szczęście, że Lela mówiła, jak dobrze ją traktujesz – cedził, a jego akcent uwydatniała zimna furia. – Gdyby nie to, z radością bym cię uderzył. A teraz odsuń się. Wkrótce ją odzyskasz i nie będę ci stał na drodze. Ale dzisiaj to ja się nią zajmę, a ty nie będziesz wchodził mi w drogę.

Ian zacisnął szczęki, ale trzeba przyznać, że wyglądał na bardziej wkurzonego niż przestraszonego.

– Jesteś ciemnym idiotą, Malachi. Gdyby nie Lela, już dawno bym cię zdzielił pałką w ten głupi łeb. – Złapał Malachiego za gors. – A jeśli ona umrze, możesz na to liczyć. Nieważne, ile mi to zajmie, poczekam i wreszcie cię zaskoczę. Możesz na to liczyć, dupku.

Malachi odepchnął go. Ian zatoczył się, ale Levi go podtrzymał. Malachi dyszał ciężko, wyglądał, jakby już dostał pałką w głowę. Z ust wyrwał mi się bulgotliwy dźwięk. Malachi natychmiast opadł na kolana, zasłaniając mi widok.

– Henry po nas przyjedzie – wyszeptał. – Będzie tu lada moment. Wyzdrowiejesz. – Mówił łagodnie, ale w jego tonie pobrzmiwał strach.

– Tegan – wykrztusiłam.

– Jim za nią ruszył. Zadzwoił do Henry’ego zapytać o gniazdo i robi rekonesans, ale obiecał, że nic nie robi sam. Dołączę do niego, jak tylko będę wiedział, że z tobą wszystko w porządku.

Jim pewnie szalał. Wiedział, co może przytrafić się Tegan.

– Idź... Teraz.

Na twarzy Malachiego pojawił się grymas cierpienia.

– Proszę, Lela, nie każ mi tego robić.

Nie mogłam się sprzeczać. W tej chwili byłam pewna, że tylko jego obecność powstrzymuje mnie przed odpuszczeniem, przed odpłynięciem. Próbowałam mu podziękować, ale z moich ust wyrwało się tylko rżenie.

– Ciii – uciszył mnie, delikatnie gładząc policzek ciepłymi palcami. Ponad jego głową rozbłysły czerwone i niebieskie światła, sygnalizując przybycie policji. Malachi zignorował to. Przytknął nos do mojego, a ja zdumiona zobaczyłam w jego oczach łzy.

– Nie zostawiaj mnie. Wiem, że boli, ale nie zostawiaj mnie.

Właściwie to nic mnie nie bolało. Czułam się, jakbym tkwiła w bryle lodu, unieruchomiona, zmrożona. Działał tylko mój mózg, ale i to nie wykraczało poza świadomość, że widzę jego ból i rośnie mi gębla w gardle, gdy tak szepce, żebym z nim została.

Kocham cię, pragnęłam powiedzieć. Nigdy cię nie opuszczę.

Mrok zaczął lizać granice mojej przytomności, odrywając myśli i topiąc je w sobie. Nagle pojawiła się przede mną twarz Rafaela.

– Zabiorę ją do samochodu – powiedział, spoglądając na Malachiego. – Nikt nie zauważy naszego zniknięcia. Natychmiast zacznę ją leczyć.

Wiele wysiłku kosztowało mnie wypchnięcie z ust jednego słowa.

– Przytomna.

Nie chciałam, żeby mnie usypiał, odsyłał w ciemność. Nie chciałam opuszczać Malachiego. Nie chciałam zostawiać Jima i Tegan. Chciałam zostać

wyleczona i zaraz podjąć walkę.

Rafael zmarszczył brwi.

– To będzie bolało, Lela. Bardziej niż sobie wyobrażasz.

– Szybciej? – wydusiłam.

Przytaknął.

– Tak, szybciej będziesz na nogach. To dla ciebie ważniejsze?

– Tak.

Przy wtórze serenady syren karetek podniósł mnie i umieścił na tylnym siedzeniu samochodu.

– Większości twoich przyjaciół nic nie jest. Policja uzna to za sprawkę gangu. Nikt nie będzie o ciebie pytał.

Moja głowa spoczywała na kolanach Malachiego.

– Ruszaj, ale jedź ostrożnie – powiedział do kierowcy, prawdopodobnie Henry'ego.

Rafael spojrzął Malachiemu w oczy.

– Chce, żebym leczył ją bez usypiania.

Na twarzy Malachiego odbiła się zgroza.

– Nie. To zbyt bolesne. Już i tak wiele przeszła.

– To jej decyzja, nie twoja, poruczniku. Ty możesz jedynie wybrać, czy z nią przy tym być.

Mięśnie szczęk Malachiego napięły się.

– To nie jest kwestia wyboru.

Rafael chichotał cicho.

– Zawsze jest jakiś wybór. – Pochylił się nade mną. – Masz złamany kark, Lela. To dlatego nic nie czujesz. Jednak gdy to wyleczę, zaczniesz odczuwać ból wszystkich urazów, a jest ich bardzo wiele i to takich wymagających natychmiastowego leczenia. Nie będziemy tego robić delikatnie i powoli. Jesteś na to gotowa? – Uznał moje mrugnięcie za potwierdzenie. – W porządku.

A potem... nic się nie wydarzyło. Wpatrywałam się w twarz Malachiego, było mi ciepło i lekko, a on spoglądał na mnie, jakby odczuwał za mnie cały ból. Nie wiedziałam nawet, kiedy dojechaliśmy do Strażnicy.

– Zanieś ją do swojego pokoju – rzekł Rafael. – Tam dokończę.

Malachi objął mnie, a ja byłam na tyle świadoma, że ze zgrozą patrzyłam, jak krew zostawia plamy na jego koszuli. On jednak się tym nie przejmował. Z niemal bolesną czułością uniósł mnie i zaczął wchodzić na górę, skinąwszy tylko, gdy Rafael powiedział, że zanim przyjdzie, sprawdzi, co u Henry'ego.

Obserwowałam oblicze Malachiego, a on trzymał mnie mocno przy piersi. Chciałam mu powiedzieć, że potrzebuję jego bliskości, że chcę, aby patrzył na mnie tymi ciemnymi oczami, w których emocje wypaliły cały wcześniejszy chłód i obojętność. Położył mnie na łóżku, a ja zaczęłam łapczywie wdychać woń pokoju,

poduszek, pościeli, bo pachniały bardziej jak prawdziwy on niż uperfumowany smoking. Pachniały, jak Malachi, ziemią i słońcem.

Ukląkł przy łóżku, a wyglądał tak, jakby toczył ze sobą walkę, jakby ścierały się w nim dwie sprzeczne skrajności. Wreszcie zamknął oczy i westchnął, a kiedy uniósł powieki, widać było wyraźnie, że podjął decyzję.

– Wyglądałaś dzisiaj tak pięknie – powiedział ze smutnym uśmiechem. – Patrzenie na ciebie aż bolało. – Pogłodził mnie palcami po policzku. – Znow okazało się, że jestem skończonym głupcem.

Usiłowałam odwrócić głowę, ale jeszcze nie mogłam. Chyba dostrzegł moje wysiłki, bo przesunął się, żebym lepiej go widziała.

– Zamierzam ci coś powiedzieć – ciągnął. – Bo dłużej tak nie mogę. Zrobię to teraz, bo nie jesteś w stanie się ze mną spierać, walczyć ani odejść. A wydaje się, że ostatnio nie robiliśmy nic innego. I to mnie dobija.

Patrzyłam na niego, czując głęboko w zdrętwiałej piersi drżenie nierówno bijącego serca.

– Odkąd cię spotkałem, nic już nie było takie samo. Objawiłaś się jak feeria barw i ognia po dekadach szarości. Jak moje najgłębsze pragnienia i życzenia opakowane we frustrująco cudowną formę. – Przesunął wzrokiem po mojej twarzy. – Ale gdy powiedziałem, że mogę pozwolić ci odejść, że mogę przestać cię kochać, naprawdę to właśnie miałem na myśli. Od tamtej chwili robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby tak się stało. Żeby to wyłączyć, odciąć się od tego... – Spuścił głowę. – Staralem się nawet poczuć coś do kogoś innego, mając nadzieję, że dzięki temu moje uczucia do ciebie zbledną.

Coś ciepłego spłynęło mi po policzku. Malachi powiódł za tym wzrokiem i ze zbolaną miną złapał łzę na palec.

– Wierzyłem, że będę lepszym Strażnikiem, gdy nie będę nic do ciebie czuł. Byłem dobry, zanim cię spotkałem, i chciałem, żeby to wróciło. Bez względu na to, ile cierpienia miałoby mnie to kosztować. Wierzyłem, że własnymi błędami zasłużyłem sobie na każdy taki moment. – Uniósł palec, spoglądając pod światło na przyczepioną do opuszka kryształową kroplę. – Tak mi przykro, że cię zraniłem. Tęskniłem za tobą w każdej sekundzie... Za tym, co mieliśmy, za tym, co mogliśmy mieć. Tyle razy mogłem cię pocieszyć, podnieść cię na duchu. Dotknąć. – Kąciki jego ust uniosły się w gorzkim uśmiechu. – Okazało się, że kiedy cię odepchnąłem, wcale nie stałem się lepszym Strażnikiem. Wprost przeciwnie. I mimo tych wszystkich wysiłków moje uczucia do ciebie nie osłabły. Przeciwnie, patrząc, jak radzisz sobie z ciężarem odpowiedzialności, jak z każdą walką stajesz się silniejsza, jak tyle rzeczy cię rani, ale nigdy nie pokonuje, moja miłość do ciebie pogłębiała się coraz bardziej. – Spojrzał mi w oczy. – Nie mogę cofnąć błędów, nie mogę oddać życia tym, którzy je przeze mnie stracili. Muszę znaleźć sposób, by temu zadośćuczynić, a nie wiem, ile to zajmie czasu. I wiem, że jeśli ma mi się

udać, muszę być mądrzejszy, silniejszy. Ale może będę myślał jaśniej, pozostając szczerzy sam ze sobą, i z tobą, w jednej sprawie. – Miękkimi, ciepłymi ustami dotknął mojej skroni, a potem czoła. – I możesz uderzyć mnie za to, kiedy już odzyskasz władzę w rękach – wyszeptał.

Ostrożnie zdjął mi jedną z rękawiczek i przycisnął sobie moją dłoń do piersi. Popatrzył w dół, gdzie od koszuli odcinały się moje pomalowane na bordowo paznokcie. A potem znów spojrzał na mnie.

– To serce bije dla ciebie. Już od dawna. I zawsze tak będzie. Bez względu na to, co się teraz wydarzy, bez względu na twoje uczucia do mnie, ja właśnie tak czuję.

Skrzywił się i ostrożnie odłożył moją rękę na łóżko.

– Nie, Lela, proszę, nie płacz. – Otarł mi łzy, a moje gardło ścisnęło się tak, że nie mogłam zaczerpnąć tchu. – Niczego od ciebie nie oczekuję. Nie stanę pomiędzy tobą i Ianem. Pragnę tylko, żebyś była szczęśliwa. Po prostu... Nie mogłem już dłużej udawać. Zasługujesz na kogoś lepszego ode mnie.

– Mądry wybór, poruczniku – powiedział Rafael, wchodząc do pokoju. – Henry pojechał do Jima, ale nie będą działali na własną rękę, czekają tam na rozkazy od Leli.

Malachi cofnął się, zabierając rękę z mojej twarzy i zostawiając mnie przytłoczoną emocjami. Prawie nie słyszałam, co mówił dalej Rafael, siadając na skraju łóżka – byłam zbyt zajęta odtwarzaniem w myślach słów Malachiego, aby upewnić się, że sobie ich nie wyobraziłam. Tak bardzo pragnęłam powiedzieć mu, jak mocno go kocham, że mu wybaczam, że... Poczułam, jakby mnie rozcinano, jakby rozgrzane do czerwoności ostrze przesuwano się po moich plecach od karku po kość ogonową, rozsyłając agonálny ból w rozgałęzienia nóg i rąk, sprawiając, że wyginałam się bezradnie na materacu. Zaczęło się prawdziwe leczenie, ponowne scalanie nerwów, mięśni, kości. Proces ten oddarł mnie z myśli, okradł ze słów. Po ścianach klatki piersiowej zaczął wspinać się żar, który pompowany przez poparzone serce do tętnic, eksplodował po całym ciele, zmieniając mnie w popiół.

Musiałam krzyczeć, bo Malachi objął mnie, wtulając twarz w szyję.

– Jestem tu – szeptał mi do ucha. – Nie puszczę cię. Zaraz się skończy. Trzymaj się mnie.

I tak zrobiłam. Wstrząsały mną fale agonii, a ciało zespalało się na powrót. W miejscach połączeń zostawały jedynie srebrzyste blizny i złe wspomnienia. Ledwie zrosniętymi kośćmi i tkankami wczepiałam się w niego, wykorzystując go jak kotwicę, pozwalając mu przytrzymać miotane drgawkami ciało, odcinać mi umysł z pomocą słów i dotyku. Możliwe, że sprawiałam mu ból – trzymałam się go miażdżącym uchwytem. Ale Malachi był silny, przyjmował wszystko i dawał jeszcze więcej. Przywarłam do tego ochoczo, kiedy ból zaczął powoli ustępować, a świat stawał się coraz wyraźniejszy. Coraz lepiej widziałam jego twarz,

wpatrywałam się w nią i wiedziałam, że Malachi jest cały czas ze mną.

– Cierpisz – wyszeptalam pomiędzy falami żaru emanującymi z rąk Rafaela, który doleczal ostatnie rany, wzmacniając i przygotowując moje ciało na to, co miało nadejść.

Malachi zajrzał mi w oczy.

– Cierpię, bo cię kocham. Ale bycie z dala od ciebie jest bardziej bolesne niż to.

– Gotowe – oznajmił Rafael.

Malachi natychmiast mnie puścił, poderwał się i zrobił kilka chwiejnych kroków, zanim odetchnął głęboko, odzyskując równowagę. Przez chwilę leżałam nieruchomo, czekając, aż resztki bólu wyparują ze mnie, stając się tylko odległym wspomnieniem, jakby mój umysł opakowywał go mocno i odcinał. Usiadłam i spojrzałam na Malachiego, ogarnięta rozpaczliwym pragnieniem wyznania mu wszystkiego, odwzajemnienia jego miłości. Ale teraz musieliśmy się zmierzyć z czymś innym. Nie mogłam ot tak zawieść Tegan, nie mogłam pozwolić sobie na romantyczne rozmowy z Malachim, podczas gdy ją Mazikiny będą przywiązywały do stołu i wydzierały z niej duszę. Zaprzyjaźniłyśmy się, a ja nie odwracam się od przyjaciół.

– Zadzwoń do Jima i Henry'ego – powiedziałam do Malachiego, opuszczając nogi na podłogę. – Przekaż, że zaraz u nich będziemy.

– Co planujesz? – zapytał, sięgając po telefon.

– Zamierzam oddać się w ręce Mazikinów.

TRZYDZIESTY TRZECI

Malachi nie sprzeczał się ze mną. Zadzwoił, powiedział Henry'emu, że do nich jedziemy, cicho poprosił Rafaela o załatwienie samochodu i jakichś ubrań dla mnie, a potem zamknął drzwi pokoju.

– Jesteś moim dowódcą, ale potrzebuję więcej konkretów, nie tylko: „Oddaję się w ręce Mazikinów”.

Podszedł do szafy, wyjął bawełnianą koszulkę z długim rękawem, spodnie i buty. Rzucił wszystko na łóżko, po czym niecierpliwie zzuł trzewiki, zerwał krawat, rozpiął koszulę i zdjął ją z siebie.

Odwróciłam się i głęboko odetchnęłam.

– Powiadomię je, że oddam się w ich ręce pod warunkiem, że nie skrzywdzą ani nie opętają Tegan. Potem wejdę do środka sama i nieuzbrojona, żeby zająć Sila. Wy tymczasem dostaniecie się inną drogą i wyprowadzicie Tegan, żeby mogła uciec, nie martwiąc się już o nią.

– No to lepiej, żeby Jim i Henry zdążyli zrobić porządny zwiad, zanim tam dotrzemy. Możesz się już odwrócić.

Kończył wiązać buty. Założył karwasze, skórzane osłony mające chronić przedramiona przed zębami i szponami Mazikinów, a także kamizelkę.

– Nie muszę się wtapiać w tłum – powiedział, widząc, że mu się przyglądam – więc uznałem, że przyda mi się lepsza ochrona.

Miał rację. Spojrzałam po sobie – byłam zakrwawiona, sukienkę miałam w strzępach. Pożałowałam, że nie mogę założyć zbroi. Sil musiał uwierzyć, że nie przyszedłam z nimi walczyć. Od tego, czy dobrze odegram swoją rolę, zależało, czy pozostali Strażnicy będą mieli szansę wypełnić zadanie. Ale też miałam ochotę obłożyć się płatami pancernej skóry albo czymkolwiek, co osłoniłoby mnie od tych pazurów, zębów, rąk. A potem Malachi wstał, a wyraz jego oczu powiedział mi wszystko, czego potrzebowałam. Nie namyślając się wiele, padłam mu w ramiona. Objął mnie, położył rękę na karku i przyciągnął głowę do opancerzonej piersi. Wtuliłam się w niego, obejmując mocno w pasie.

– Nie zawiodę cię – obiecał.

– Wiem. Martwię się raczej, żeby to ja nie zawiodła ciebie.

– Na pewno nie... Kapitanie.

Uśmiechnęłam się. Po raz pierwszy od dawna czułam, że nie użył tych słów, by się ode mnie zdystansować. Uścisnęłam go jeszcze mocniej i zamknęłam oczy.

– Jak już skopiemy im tyłki, będziemy musieli porozmawiać.

Nawet przez pancerze czułam, że serce mu przyspieszyło.

– Wiem, przekroczyłem granicę.

Oczywiście, że akurat to przyszło mu do głowy. Przesunęłam rękę po jego torsie aż na kark.

– Słyszałeś, co powiedział Ian, że jesteś...?

– Ciemnym idiotą? Tak, słyszałem. Dzięki za przypomnienie – powiedział z przekąsem, ale i nadzieją w głosie.

– To objaśnienie dla ciebie. – Wspięłam się na palce, przyciągnęłam jego głowę. Nasze usta spotkały się na ułamek sekundy. Ten ulotny pocałunek był nieznośnie słodki, czuły i pełen obietnic. Opadłam na pięty. – Dzisiaj rozmowa, dobrze?

Patrzył na mnie z taką miną, jakbym właśnie zdzieliła go w głowę, ale zaraz rozjaśnił się w tym swoim najcudowniejszym wilczym uśmiechu.

– Dzisiaj.

Skinęłam głową, a potem otworzyłam Rafaelowi, zanim zdążył zapukać. Wzięłam od niego dzinsy, T-shirt i buty.

– Dzięki za uleczenie. To było genialne.

Uśmiechnął się lekko, ale zniewalająco.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Cieszę się, że jesteś w tak dobrej formie. Wóz czeka. Powodzenia. – Kiwnął głową do Malachiego i zniknął.

Przebrałam się i powyciągałam resztę wsuwek, pozwalając włosom opaść swobodnie. Z Malachim depczącym mi po piętach zesłam na dół i wyjęłam telefon ze zniszczonej kopertówki; na szczęście Malachi przezornie zabrał ją z wraku limuzyny. Wpisałam wiadomość i wysłałam ją na numer z kartki, który rzuciła mi Rita w gmachu opieki społecznej.

„Idę do was. Sama. W zamian za dziewczynę”.

Odpowiedź była natychmiastowa.

„Wiesz, gdzie nas znaleźć. Wypuścimy ją, jak dostaniemy ciebie”.

Ścisnęłam nerwowo aparat.

– Wiedzą, że znamy położenie gniazda.

Malachi podążył za mną do samochodu, czarnego hyundaia, który wyglądał, jakby znał lepsze czasy.

– Podejrzewam, że celowo pozwolili Henry’emu przeżyć. Gdyby chcieli, zabiliby go.

– Ale czemu go nie opętali?

Czarne oczy Malachiego zalśniły gniewem.

– Dobrze wiesz dlaczego. Upatryli sobie ciebie i nie poddadzą się, dopóki cię nie dostaną.

– Ale dlaczego akurat ja? To bez sensu.

– Jak dla mnie to całkiem zrozumiałe. Jesteś uosobieniem tego, czego pragną w człowieku.

Zjeżyłam się.

– Bo wyglądam jak zwierzak? – fuknęłam, wycofując z podjazdu.

– Bo wyglądasz na taką, jaka jesteś. Nieokiełznana, żywiołowa, silna.

Niepowstrzymana i niezłomna. Piękna i niebezpieczna. – Roześmiał się do siebie i dotknął kosmyka moich włosów. – Jesteś też uosobieniem tego wszystkiego, czego ja pragnę w drugiej osobie.

Ruszyliśmy do Providence. Najnowsze gniazdo znajdowało się w opuszczonym klubie nocnym nad rzeką. Od chwili, gdy zjechaliśmy z międzystanówki, Malachi w milczeniu patrzył przez szybę, uważnie śledząc naszą trasę. Zaparkowałam parę ulic od klubu i napisałam do Jima, że jesteśmy prawie na miejscu.

„Na brzegu za 5 min”, odpisał.

Dotarcie na umówione miejsce zajęło nam ponad pięć minut, bo trzymaliśmy się blisko budynków i wypatrywaliśmy czujek, które mogły nas razem zobaczyć. Henry i Jim czaili się za betonowym murem na granicy działki. Nad nami górował dwupiętrowy budynek klubu. Rozpadające się schody wiodły na moło. W wielkich oknach niczym obłuzowane kły tkwiły resztki powybijanych szyb. Okna na górnym piętrze jaśniały słabym, migotliwym blaskiem. Świeca. Oczywiście nad całą okolicą unosił się gęsty smród kadzidła.

– Byłem przetrzymywany na parterze – powiedział Henry, wpatrując się nienawistnie w budynek. Został całkiem wyleczony, po pobiciu pozostały mu tylko blizny na twarzy, ślady po torturach.

– Tam też trzymają Tegan – rzekł Jim, ściskając w pobielających palcach nóż.
– Widziałem, jak ją tam wnosili.

Henry wskazał na dolny taras usłany powywracanymi leżakami i kawałkami spróchniałego drewna, które pospadało ze zrujnowanej górnej platformy.

– Widzisz? To główne wejście. – Potem powiódł palcem w prawo, aż do narożnego okna, rozbitego tak jak pozostałe. – A tamtędy możemy wejść. To łazienka, nikt jej nie pilnuje. Ale w środku budynek przypomina labirynt. Ma masę pomieszczeń i w każdym przetrzymują więźniów. Jakby ich zbierali. Słyszałem, jak płakali, kiedy tam byłem.

– Ile jest Mazikinów? Zdołałeś je mniej więcej policzyć?

– Jest na pewno ten Sil, to on się mną zajmował. – Henry się skrzywił. – Poza nim jest... bo ja wiem? Chyba kilkudziesiąt. Część pilnuje pomieszczeń z więźniami.

– Teraz będzie ich mniej – zauważył Malachi. – Pozbyliśmy się przynajmniej piętnastu. I dwóch zaaresztowano.

– Zakładając, że przez ten czas nie przywołali kolejnych – burknął Henry.

– Na pewno nie aż tylu. To zajmuje trochę czasu. – Ale wzdygnęłam się na samą myśl o tym. Malachi przysunął się, wspierając mnie ciepłym ciałem i zbroją dotyku. Sprawa wydawała się możliwa do wygrania – trzech Strażników przeciwko kilkudziesięciu Mazikinom to całkiem przyzwoite proporcje. Oczywiście jeśli uda mi się zająć Sila.

– Wejdziecie tam, znajdziecie sposób na uwolnienie więźniów, dotrzecie do Tegan i wyprowadzicie ją.

Wpisałam tekst w komórce:

„Jestem. Gdzie mam iść?”. Wysłałam go, dumna, że nie trząśł mi się palec, kiedy nacisnęłam klawisz.

„Sama góra wejście od ulicy otwarte witaj dziewczyno lela”.

Zacisnęłam zęby i wyprostowałam się.

– Mam wejść od frontu. Dajcie mi dwie minuty. Potem wchodźcie, ale po cichu. Postaram się jak najdłużej zająć Sila i ewentualnie tych, którzy są z nim na górnym piętrze. Dajcie znać SMS-em, jak Tegan będzie bezpieczna, i wróćcie po mnie, gdybym nie wyszła. Potem spalimy tę norę. – Dotknęłam lekko plecaka Malachiego, w którym spoczywały potężne, zabójcze granaty mogące wysłać to miejsce w inny wymiar. – Przy odrobinie szczęścia skończymy z tym wszystkim. – Popatrzyłam na nich kolejno. – Zabijajcie wszystkich. Jutro pozbędziemy się niedobitków.

Moi zaprawieni w bojach Strażnicy skinęli potwierdzająco. Wciągnęłam do płuc wilgotne nocne powietrze, obróciłam się i zrobiłam kilka kroków w stronę ulicy, ale zostałam okręcona z powrotem. Malachi chwycił mnie w objęcia i przyciągnął do siebie.

– Masz zabić każdego, kto się do ciebie zbliży – nakazał żarliwie. Stał tak blisko, że czułam na policzku jego ciepły oddech. – Zrobisz, co będziesz musiała, ale nie pozwól im się schwytać.

Otoczyłam go ramionami i wtuliłam się w niego mocno. Wiedziałam, że to jego największy lęk i nie pierwszy raz musi się z nim mierzyć przeze mnie.

– Nie dostaną mnie, przyrzekam – wyszeptalam.

Pocałował mnie mocno.

– W takim razie zobaczymy się po wszystkim. – Puścił mnie, a ja natychmiast ruszyłam ulicą, w obawie, że zmienię zdanie.

Obeszłam kwartał i zbliżyłam się do klubu z innej strony. Od ulicy budynek wyglądał na całkiem ciemny i opuszczony. Uwagę zwracał tylko snujący się zapach kadzidła. Rozbite szkło chrzęściło mi pod butami, gdy zbliżałam się do stalowych drzwi wejściowych, pokrytych grubą warstwą gaffiti. Drzwi rzeczywiście otworzyły się, ledwie je pchnęłam. Wsunęłam głowę do środka.

Przez pozbawione szyb okna majaczyły w oddali reflektory łodzi i wdzierał się poblask bijący z oświetlonego doku i lamp ulicznych. Weszłam i zamknęłam drzwi za sobą. Nagle ogarnęło mnie straszne przeczucie, że nie wyjdę z tego miejsca żywa.

Przymknęłam oczy i potrząsnęłam głową, błagając umysł, żeby mnie teraz nie zawiódł.

Idź naprzód, Lela. Czas zrobić show.

Ruszyłam szerokim korytarzem do głównej sali. Wreszcie ujrzałam przed sobą migotliwy płomyk grubej świecy. Dziwaczne, ale świeca była zapachowa, brzoskwiniowa. Stała na barze w kształcie litery „U”, znajdującym się przy parkiecie tanecznym. Szeroki widok na rzekę, na masę czarnej wody lśniącej pod gwiazdami zapierał dech w piersiach.

– Żyjesz – dobiegł mnie zdławiony szept.

Odwróciłam się. Na skraju przegniłego, popękanego parkietu stały dwie postaci.

Moja matka. Nie. Mazikin, który przejął jej ciało.

Oraz Sil. Mazikin, który chciał przejąć całą resztę.

Wyszczrzył się, gładząc szopę włosów Rity.

– Powiedziała mi, że umierałaś. Chyba się myliła.

– Nie po raz pierwszy.

– Dawno cię nie widziałem, dziewczyno. Wyglądasz lepiej niż w Mrocznym Mieście. To do tego miejsca naprawdę należysz.

– To pewnie dzięki makijażowi. – Wskazałam na twarz.

Sil odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się, pokazując brązowe, połamane zęby. Ja może i wyglądałam teraz lepiej, ale on wprost przeciwnie. Mniej przypominał japońskiego biznesmena, a bardziej zwierzę. Był jeszcze dzikszy. I jeszcze bardziej szalony, o ile to możliwe.

– To coś więcej niż farba. Nigdy nie należałaś do tamtego martwego miejsca. Jesteś całkiem żywa.

Złapał garść włosów Rity, przyciągnął sobie jej głowę i nosem powiódł po jej policzku. Miauknęła żalśnie, a potem objęła go w pasie. Żołądek przewrócił mi się, kiedy patrzyłam, jak przekrzywiła twarz i pozwoliła mu pocałować się tak głęboko, że chyba dotknął językiem jej migdałków. Wreszcie odepchnął ją i znów spojrzał na mnie.

– Byłem zachwycony, kiedy znalazłem tu Ritę. Od razu wydała mi się do ciebie taka podobna. To dlatego ją sobie wziąłem. Nie wiedziałem, że jesteście spokrewnione. To była miła niespodzianka. – Przesunął ręką po jej piersi, szczypiąc i obmacując.

Zacisnęłam pięści.

– Gdzie Tegan? – zapytałam, robiąc krok w ich stronę.

– Przyprawdzą ją, kiedy się upewnię, że nie uciekniesz. – Wskazał brodą na drugi koniec pomieszczenia, gdzie na otwartej przestrzeni, po drugiej stronie baru, stał stół. Do jego nóg przywiązano liny, a w rogach ustawiono cztery misy z dymiącym kadzidłem. – Ale chciałem, żebyście najpierw mogły sobie porozmawiać, jak to w rodzinie.

– Ona nie jest moją rodziną – warknęłam. – Ale niezła próba.

Wtulił twarz we włosy Rity, ale poderwał głowę, kiedy robiąc kolejny krok, zmiażdżyłam podeszwami szklane odłamki.

– Mylisz się. Ryzykowałeś dla niej życie. Osłoniłeś ją własnym ciałem przed pociskiem przeznaczonym dla niej. Zdradziłeś się, dziewczyno Lelo. A nasza Rita... Czego by nie robiła, nie może się ciebie pozbyć z głowy.

Rita-Mazikin uśmiechnęła się trwożliwie, a zarazem czule.

– *Mija* – wyszeptała.

Sil zachichotał, obmacując ją w sposób, który mówił wyraźnie, że jest w jego posiadaniu.

– Widzisz? Rita jest kiepska – powiedział łagodnie, pieszcząc jej szyję. – Jest kiepska, jest słaba. Pierwszy raz jest poza krainą Mazikinów. A to ciało... Ma zepsuty mózg. Przez to jest zdezorientowana. Nie wie, kim jest naprawdę. – Parsknął. – Zapomina, wobec kogo powinna być lojalna.

Rita, niezdolna pojąć jego słów, przymilała się do niego. Sil objął ją w talii.

– Mówiła, że rozumie, jak działa to miejsce. Upierała się, że może cię sprowadzić, nie przyciągając uwagi tutejszych władz, więc pozwoliliśmy jej spróbować. Wymyśliła tyle planów, a ponieważ twierdziła, że cię zna, słuchaliśmy jej. Dopóki nie zdaliśmy sobie sprawy, że ma pomieszane w głowie, że gubi się w strzępach starych wspomnień i że wcale cię nie zna. Dzisiaj ostatecznie miała cię sprowadzić i znów zawiodła. Przywlokła tu to chude chuchro, myśląc, że mnie zadowoli. Okazało się, że Rita jest dla mnie prawie całkiem bezwartościowa. – Stał za jej plecami. – Prawie.

Obserwowałam ich z płonącymi policzkami, modląc się, by mój telefon wreszcie zawibrował, żebym dostała sygnał, że Tegan jest bezpieczna, że mogę zaatakować, a potem się stąd wynieść. Ale aparat tkwił w kieszeni martwy i głuchy.

– Przykro mi, że nie sprostała twoim oczekiwaniom – powiedziałam. – To samo było ze mną.

Zarechotał.

– Aleś ty wroga, dziewczyno z włosami. To stąd się bierze ten twój gniew? To ta kobieta cię skrzywdziła? – Złapał Ritę za włosy i szarpnął. Z jej ust wydarł się słaby okrzyk protestu.

– Nie, nigdy mi nic nie zrobiła. Po prostu... odeszła. Dawno, prawie jej nie pamiętam. – *Puść ją. Nie podoba mi się to, jak na mnie patrzy.*

– Twoje wspomnienia gdzieś tam są. Założę się, że wolałabyś, żeby ich nie było.

– Czasami – przyznałam.

– Ja dam ci nowe wspomnienia. Podziękujesz mi. Znów będziesz z nią. Nie chciałabyś drugiej szansy? – Pochylił się ochoczo. – Wasze ciała mogą być razem tutaj, a wasze dusze razem w krainie Mazikinów. Doskonale!

– Twoje pojęcie doskonałości różni się od mojego.

Zachmurzył się i przekrzywił głowę.

– Ty, porzucona dziewczyna, nie chcesz być naszą królową? – Jego rysy stwardniały. – Jesteś niewdzięczna.

Wreszcie telefon zabręczał. Zacisnęłam szczęki.

– Och, ależ jestem wdzięczna. – Zrobiłam kolejny krok.

– To tak jak ja – powiedział, a potem sięgnął do pasa i nożem poderżnął mojej matce gardło.

TRZYDZIESTY CZWARTY

W bursztynowo-brązowych oczach zamigotało odbicie płomyka świecy, pozwalając mi uchwycić moment, gdy życie uchodziło z jej ciała. Gors jej bluzki momentalnie przesiąkł krwią. Sil puścił ją. Runęła na podłogę. Otarł nóż o spodnie.

– Nie chciałem, żeby ci pomogła w najgorszym momencie – mruknął, trącąc ciało czubkiem buta.

Gdzieś pod nami rozległo się chóralne wycie, a potem stłumiony wybuch. Po drugiej stronie sali zapadł się kawał podłogi.

Oczy Sila rozbłysły gniewem.

– Nie wygrają, nawet z tymi materiałami wybuchowymi. Gdy Ricie nie udało się schwycić ciebie, obmyśliliśmy inny plan.

Strach ścisnął mi serce, zabulgotał w gardle kwasem. Wiedział, że nie przyszedłem sama. Nie był tym nawet zaskoczony.

– Nie lekceważyłabym ich. Jeśli chcesz, możemy tam iść i przyłączyć się do zabawy.

– Głupia dziewczucha. Nie każ mi cię uszkodzić.

– Niestety, chyba nie będziesz miał wyjścia. No, chyba że grzecznie poczekaasz, aż cię zabiję.

Zrobiłam zwód w prawo, a potem na lewo, przyciągając go w stronę najeżonej odłamkami paszczy okna. Trzymałam ręce przy sobie, ale swobodnie. Czułam, że mój dopiero co zrośnięty nadgarstek jest silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Miałam wrażenie, że mogłabym złamać nim Sila na pół.

Podniósł nóż, śmiejąc się nerwowo.

– Pewnie powinienem wziąć coś większego. – Cisnął nóż przez okno, odbierając mi nadzieję na zdobycie broni i wyprucie mu nią flaków. Zagiął palce niczym szpony, nastawiając brudne, połamane pazury.

Mój telefon zabrzączał drugi raz.

Sil spojrział na wyrzuczenie w moich spodniach, gdzie w kieszeni spoczywała komórka.

– Odbierz, to pewnie coś ważnego.

– To może poczekać.

Zaatakowałam.

Sil, szybki jak zwykle, rzucił się do ucieczki. Poruszając się na czterech kończynach, dał susa na bar, zgarnął jedną z pozostałych lamp i cisnął nią za siebie, żeby mnie spowolnić. Okrzyknęłam bar i znalazłam się przy stole z linami, do którego planowano mnie przywiązać i złożyć w ofierze. Sil obserwował mnie spod półprzymkniętych powiek, czekając, aż znów zaatakuję. Zamieszałam butem w jednej z kadzielnic. Kiedy otoczył mnie gęsty dym, zrobiłam to samo z drugą. Ukryta w gęstej zasłonie oparu wyszarpnęłam telefon i sprawdziłam nowszą

wiadomość.

„Mam Tegan”.

Od Jima. Nogi się pode mną ugięły z ulgi. Sil ryknął, poderwałam głowę. Jednym susem przesadził dzielącą nas przestrzeń, lądując na stole. Nie zwalniając, rzucił się na mnie, złapał za ramiona i usiłował przewrócić na stół. Podciągnęłam kolano, uderzając go w brzuch tak mocno, że na moment stracił dech, a potem z całej siły grzmotnęłam go pięścią w tę brudną, szczurzą gębę.

Podłogą zatrzęsł kolejny wybuch, pozbawiając nas równowagi. Jeszcze trochę, a całe to miejsce się zawali. Sil wykorzystał zamieszanie, żeby zarzucić mi pętlę jednej z lin na rękę i zacisnąć, przywiązując do stołu.

– Jedna gotowa, zostały trzy – wyszeptał, a potem zarechotał, jakby opowiedział właśnie świetny dowcip. Szarpnęłam linę, ale musiałam przestać, bo znów zaatakował. Uchyliłam się i naciągnęłam postronek, żeby przewrócić go na blat. Rzuciłam się na niego, przyszpilając chude ramiona kolanami. Wściekła i przerażona, okręciłam mu liną gardło i przytrzymując jedną ręką jego głowę, drugą zadzierzgnęłam pętlę i pociągnęłam.

Ciągnęłam.

Ciągnęłam.

Aż przed oczami zaczęły mi latać płaty. Aż zwały się ze sobą, stając się oczami matki, spoglądającymi na mnie potępiająco, kochająco, wybacząco, sama już nie wiedziałam.

Z transu wyrwał mnie chór zwierzęcego wycia, który dochodził z niższego piętra. Popatrzyłam w dół, na Sila. Jego nabiegłe krwią oczy częściowo przysłaniały powieki, a twarz zastygła w upiornym uśmiechu. Pochyliłam się, przykładając mu palce do szyi. Nic.

Stoczyłam się z niego, zdjęłam pęta z nadgarstka, zesłam ze stołu i otarłam ręce o spodnie. Dokonałam tego. Było to łatwiejsze, niż się spodziewałam. Teraz musiałam sprawdzić, co do diabła, działo się tam na dole. Najpierw jednak sprawdziłam wcześniejszą wiadomość. Wysłał ją Malachi:

„Zaraz uwolnimy więźniów”.

Ale SMS przyszedł już kilka minut temu, a do tej pory na górze nie pojawił się żaden Strażnik. Czując łupiący w skroniach puls, pobiegłam do okna i ostrożnie weszłam na rozpadający się górny taras, żeby zabrać nóż. Mimo pokonania Sila nadal nie mogłam otrząsnąć się ze straszliwego przecucia, które opadło mnie przy wejściu do budynku. Już z nożem wróciłam do środka i przeszłam ostrożnie przez cały parkiet, który miękki, uginał się pod moimi stopami, jakby był przegniły na wylot. Mijając wyrwę w podłodze, usłyszałam dźwięk, który zmroził mi krew w żyłach. Nucenie.

Mazikiny nie powinny śpiewać. Powinny uciekać, gdzie pieprz rośnie. Klęknęłam i na czworaka podpełzałam do dziury. Z dołu bił nikły poblask, a smugi

kadzidlanego dymu wędrowały do góry i rozpraszaly się nad wyrwą. Poruszałam się powoli, bojąc się, że podłoga może zapaść się w każdej chwili, a ja runę wprost pomiędzy Mazikiny. Wreszcie zahaczyłam palcami o skraj dziury i zajrzałam, mrużąc oczy i powstrzymując odruch kaszlu wywoływany przez obrzydliwe słodkawe opary. Kilka metrów pode mną ujrzałam kraniec drugiego stołu ofiarnego i ustawione w rogach misy z kadzidłem. Grupa Mazikinów pochylała się nad miotającą się, uwiązaną do ołtarza postacią. Widziałam jej pierś i ramiona napinające się w wysiłkach uwolnienia. Gdy jedna z Mazikinic opadła na kolana, żeby zamieszać w misie, odsłoniła mi twarz ofiary.

Malachi.

TRZYDZIESTY PIĄTY

Sparaliżowana, z niedowierzaniem i zgrozą wpatrywałam się w ukochanego, nie rozumiejąc, jakim cudem zdołały go schwytać. Był przecież taki silny, niepokonany, niezniszczalny. Teraz jednak leżał nagi do pasa, oddarty z pancerza, który rzucono na podłogę obok stołu. Z jego szyi ciekła krew, zalewając bark, ale rana wyglądała raczej na cięcie niż na ugryzienie. Zaciskając szczęki i powieki, usiłował uwolnić się z więzów. Nadgarstki miał już otarte do krwi.

Mazikiny dotykały go, obmacywały swoją ofiarę. Jedna z Mazikinic, młoda kobieta stojąca przy jego ramieniu, pogładziła go po torsie, a potem pochyliła się, wysuwając język, żeby polizać go po policzku. Malachi otworzył oczy i gwałtownie odwrócił od niej głowę.

I wtedy mnie zobaczył. Jego oddech przyspieszył, a oczy rozszerzyły się. Ujrzałam w nich zbyt wiele uczuć, by je wymienić wszystkie. Miłość, żal, strach. I błaganie. To ostatnie widziałam u niego po raz pierwszy i serce podeszło mi do gardła, kiedy zrozumiałam, co ono oznacza. Wiedział, co się z nim stanie, i nie chciał, bym to oglądała.

Ta świadomość wyrwała mnie z bezwładu. Ogarnięta falą strasznego gniewu zacisnęłam palce na nożu. Wściekłość wymyła ze mnie lęk i wahanie, napełniając w zamian siłą i determinacją.

Postanowiłam dać Malachiemu to, czego chciał. Nie zamierzałam patrzeć. Zamierzałam zabijać. Pozabijać je wszystkie.

Zerwałam się i z hurgotem łamanych desek skoczyłam w dół, wprost na Mazikinicę, która chciała go polizać. Chwyciłam ją za włosy, szarpnęłam głowę do tyłu i poderżnęłam gardło. Zaskoczone Mazikiny zawyły, chaotycznie pierzchając od stołu ofiarnego. Odepchnęłam nieżywą Mazikinicę i z ociekającym krwią nożem w ręku okręciłam się wokół. W słabo oświetlonym prostokątnym pomieszczeniu, prawdopodobnie prywatnej salce, znajdowało się około dwudziestu Mazikinów.

Rzuciłam się, żeby przeciąć więzy, ale gdy gorączkowo piłowałam linę, atletyczny Mazikin złapał mnie w tali i pociągnął, nim zdołam uwolnić choćby jedną rękę Malachiego. Odciągana, dźgnęłam napastnika w przegub. Puścił mnie, zatoczył się w tył, a ja odwróciłam się i zatopiłam ostrze w jego szyi. Krew obryzgała grupkę otaczających mnie Mazikinów. Malachi coś krzyczał, ale nie rozróżniałam słów poprzez powarkiwanie i chrząkanie Mazikinów.

Gęsty dym zaczął gryźć mnie w oczy. Jeden z Mazikinów zamieszał w kadzielnicy, wypełniając pomieszczenie nieprzejrzystym oparem. Nad stołem zaczął materializować się kształt, ale szybko przestałam widzieć, co się dzieje, bo rzuciło się na mnie kilku napastników, przypierając mnie do ściany. Uderzyłam potylicą o tapicerkę. Kopałam, a w końcu udało mi się dźgnąć grubasa atakującego

mnie z przodu. Gdy zgiął się wpół, zobaczyłam unoszący się pod sufitem kształt, który obrócił się i... zanurkował w ciało Malachiego.

Barki Malachiego uderzyły o blat, całe ciało wygięło się, a głowa odchyliła. Twarz wykrzywił grymas cierpienia, usta rozwarły się w bezgłośnym krzyku. Mój świat rozpadł się na kawałki.

Jak przez mgłę czułam ręce Mazikinów usiłujących obalić mnie na podłogę, bo całym sercem byłam z Malachim. Każdy jego mięsień napinał się w walce z dymnym potworem, który pragnął wydrzeć z niego duszę i odesłać ją do piekła.

A skoro on nadal walczył, to ja też. Musiałam się do niego przedostać. Musiałam go ocalić.

Moja egzystencja skurczyła się do półmetrowej przestrzeni przede mną. Nic i nikt nie był w stanie powstrzymać mojego ostrza, które cięło, napędzane zabójczym gniewem i żarliwą miłością. Skąpane w lepkiej krwi ręce dźgały i wyszarpywały nóż. Pragnęłam zabić każdego Mazikina, który odważył się tknąć Malachiego, zranić go, wejść pomiędzy nas. Rozum gdzieś zniknął, racjonalne myślenie też. Przekroczyłam granicę bólu. Granicę wahania.

Mazikiny szalały, kłapiąc zębami, mlóćąc powietrze szponami, ale nie były w stanie mnie powstrzymać czy obezwładnić. Odcinałam palce, nosy, zatapiałam ostrze w gałkach ocznych, gardłach i wnętrznościach. Miażdżyłam łokciami wargi, kości policzkowe, wrażałam kolana w krocza i brzuchy. Mazikiny wpadały na siebie, wywracały się w coraz większą kałużę krwi, ale mnie wciąż było mało. Chciałam utopić je w ich własnej krwi. Czerwona mgła przesłaniała mi oczy. Na pewno sama też odnosiłam rany w tym wirze walki, ale nie czułam ich. Wiedziałam, że w końcu padnę pod ich naporem, ale walczyłam zaciekle o każdą następną chwilę, o każde drżenie stali zanurzającej się w ciele i trafiającej na kość. Metaliczna woń wypełniła mi nozdrza, wybijając się ponad smród kadzidła. Nie słyszałam już nic poza grzmiotem własnego serca.

Aż ponad to wszystko wybił się jeden okrzyk.

– Zostawcie ją!

Był tak głośny, tak potężny, tak apodyktyczny, że pozostałe przy życiu Mazikiny zamarły na moment, a potem wszystkie odwróciły się, żeby spojrzeć na mówiącego. A był nim Malachi. Z nadgarstków zwisały mu przecięte liny. W jednej ręce ścisnął nóż do rzucania. Krew z rany na szyi ciemniała się na jego torsie, ale stał na stole, silny i niezłomny.

Wykorzystując moje zaskoczenie, jeden z Mazikinów chwycił mnie szponiastą dłonią za gardło.

Nóż Malachiego świsnął w powietrzu i z głuchym łupnięciem wbił się w plecy napastnika, który nie wydawszy żadnego dźwięku, runął na ziemię. Reszta stworów zaczęła powarkiwać, a ja, osłabiona z ulgi, musiałam oprzeć się o ścianę. Widocznie nacięłam więzy na tyle mocno, że sam mógł się uwolnić. I jakoś udało

mu się pokonać dymną bestię.

Malachi powiódł drapieżnym wzrokiem po Mazikinach, które oszołomione, kulily się pod najdalszą ścianą salki, a potem po tych, które mnie otaczały, żywych i martwych. Jeden kącik jego ust uniósł się w uśmiešku, a potem nasze spojrzenia skrzyżowały się. Jego oczu nie przepełniały już lęk, żal czy błaganie, ale spokój i duma. Spojrzenie tych oczu odczułam jak pieszczotę.

Malachi zeskoczył ze stołu i obojętnie przekroczył ciała poległych. Reszta Mazikinów nawet nie drgnęła, jakby sparaliżowało je przerażenie. Kilka nadal kulilo się wokół mnie, najwyraźniej nie bardzo wiedząc – atakować czy uciekać.

Zrobił zwód w ich stronę, a wszystkie, piszcząc, pierzchły pod ścianę, byle jak najdalej od niego. Malachi uśmiechnął się i wyszarpnął nóż z ciała Mazikina, który usiłował mnie udusić. Otarł nóż o spódnie, ale nie schował go.

– Już dobrze – powiedział, wyciągając ku mnie rękę. – To ja.

– Jak to zrobiłeś? – zapytałam chrapliwie.

Uniósł brwi.

– Widocznie byłem silniejszy od niego.

Pozostałe Mazikiny nerwowo łypały na drzwi znajdujące się po przeciwnych stronach pomieszczenia, ale nie próbowały uciekać, bojąc się widocznie wystawić na cel. Malachi wziął mnie za rękę i pomógł przejść przez wał zabitych, który nas rozdzielał. Wreszcie padłam mu w ramiona, obejmując mocno. Łzy napłynęły mi do oczu, a kiedy zaczęłam łkać, Malachi przytulił mnie. Niemal go straciłam i nie chciałam już odwlekać wyznania mu swoich uczuć. Chciałam zrobić to wieczorem, ale nurt szczęścia sam wyniósł słowa z mych ust.

– Kocham cię – wyszeptalam. – Tak bardzo cię kocham.

Wtulił twarz w moją szyję i poczułam, jak się uśmiecha.

– Powiedz to jeszcze raz. – Jego wargi muskały moją skórę, sprawiając, że nogi się pode mną ugięły.

– Kocham cię. – Zaśmiałam się.

– Bardzo za tobą tęskniłem, Lelo – powiedział chrapliwie. – Nawet nie wiedziałem, że aż tak bardzo.

– Nic ci nie jest? – zapytałam. – Wyglądało to strasznie.

– Było straszne. – Roześmiał się, chuchając mi w szyję. – Ale już czuję się dobrze. Nawet lepiej niż dobrze. Czuję się doskonale.

A potem zatopił zęby w mojej szyi.

Krzyknęłam, kiedy zrozumienie zalało mi umysł niczym tsunami, siejąc zniszczenie i zmywając całą moją siłę, zastępując ją gorzkim, palącym żalem. Jak mogłam być tak głupia? To przez tę nadzieję, przez desperackie pragnienie odzyskania go. Zaślepiły mnie tak bardzo, że uwierzyłam.

Ale wraz z narastającym bólem w szyi, wraz z rozchodzącym się jadem, docierała do mnie straszna świadomość.

Malachi odszedł.

Zabiły go.

Mój ukochany został zwyciężony. Jego miejsce zajął potwór.

A teraz ten potwór zamierzał zabić także mnie.

Nie rozwierając szczęk, przyparł mnie do ściany w farsie uścisku. Wykręcałam się i wierzgałam, ale chwycił mnie za przegub i ścisnął w odpowiednim miejscu, sprawiając, że upuściłam nóż.

Walczyłam z nim bez przekonania. Nie chciałam mu się opierać. Obezwładniała mnie myśl, że to ciało, które dotykało mnie czule, które mnie pieściło, chroniło... rozdzierało mnie teraz, wpuszczając w krwiobiegi wrzący jad. Mazikiny pochrząkiwały i powarkiwały, z zadowoleniem obserwując przedstawienie. Wzrok mi się zamglił od łez, gdy rozkwitły we mnie mroczne wspomnienia: unieruchomiona, bez możliwości obrony. Fakt, że ktoś, kogo kochałam, komu ufałam, robił mi to teraz, zatopił mnie w tych wspomnieniach, budząc we mnie wolę przetrwania. Wolną ręką uderzyłam go w ramię, ale była to żalosna próba. Mimo tego, przez co do tej pory przeszłam, nigdy wcześniej nie czułam się tak słaba. Strata Malachiego pozbawiła mnie woli walki. Nagle coś łupnęło w jedne drzwi. Z zewnątrz dobiegały odgłosy potyczki.

– Malachi! Jesteś...?! – krzyknął Henry, ale reszta jego słów została zagłuszona hukiem wybuchu.

Stwór w ciele Malachiego oderwał się ode mnie.

– Jest ich dwóch – powiedział. Krew ściekała mu po brodzie. – Zabijcie ich. I nie przeszkadzajcie. – Potem szczeptał coś w ich charkotliwym języku. Obce, straszliwe odgłosy wydobywały się z ust Malachiego. Skinął w stronę wejścia po przeciwnej stronie pomieszczenia. Mazikiny zakaszły, uśmiechając się do niego podekscytowane, a ja dopiero teraz zrozumiałam, że nie bały się Malachiego wstającego ze stołu, one bały się tego konkretnego Mazikina. Musiał być jednym z przywódców. Jakby na potwierdzenie moich przypuszczeń, jak jeden mąż rzuciły się ku drzwiom, gotowe natychmiast włączyć się do trwającej walki.

Kiedy pomieszczenie opustoszało, potwór wyzierający z czarnych oczu Malachiego spojrzał na mnie z dziwną miną, mieszaniną czułości i okrucieństwa.

– Nie bardzo wiem, co z tobą począć, Lelo Santos.

– Zabiłeś go – wyszeptałam, wpatrując się w twarz, którą tak dobrze znałam i tak bardzo kochałam.

Uśmiechnął się, zlizując moją krew z warg.

– Nie do końca, ale tego to akurat pożałuje. Jest teraz w naszym mieście. Czekali tam na niego. Trochę mi szkoda, że nie fetuje tam teraz z nimi.

Zamknęłam oczy, nie chcąc wyobrazić sobie, jak w mieście pełnym Mazikinów potraktują Strażnika, który przez siedemdziesiąt lat siał wśród nich

grozę.

– Spójrz na mnie, Lela. Jesteś taka piękna. – Wsparł czoło o moje. – On też je kochał, wiesz? Twoje oczy. Twoje usta. Twoje ciało. Ducha. Część mnie pragnie cię chronić...

Serce mi pękło, kiedy powtórzył słowa, które Malachi wypowiedział podczas tamtego treningu. Cofnął się trochę, więc otworzyłam oczy.

– Nie powiedział ci reszty – stwierdził spokojnie. – Reszta jest tu. – Postukał się ostrzem noża po skroni. – Wszystkie wspomnienia. Powiem ci to, bo on nigdy by tego nie zrobił. – Pochylił się, a mnie z oczu popłynęły łzy. – Chciał cię chronić, ale też mocno cię pragnął. Nie wyobrażasz sobie nawet, co tkwi w jego głowie. – Zamknął oczy, jakby się tym napawał. Zaśmiał się i odstał, a ja bezsilnie osunęłam się na podłogę, łkając za tym wszystkim, co straciłam. – Wszystkie jego fantazje – ciągnął. – Biedny Malachi. Teraz już wiem, dlaczego był wiecznie sfrustrowany. Tyle dusił w sobie. – Wykrzywił się kpiąco. – Wiesz, że umarł jako prawiczek? – Zaśmiał się twardo, okrutnie. – I to dwa razy!

Słowa te wywołały we mnie maleńką iskrę.

– Nie mów tak o nim – powiedziałam załamującym się głosem.

– Ach! Powinienem wyrażać się o nim z szacunkiem, tak? Może, może... W końcu zabił mnie kilkakrotnie. – Przekrzywił głowę i otaksował mnie wzrokiem. – Ty zabiłaś mnie tylko raz, ale nieźle ci poszło. I miałaś do tego tylko kawałek gruzu. Nie doceniłem cię.

Zalała mnie fala dławiącego strachu.

– Juri.

Rozpromienił się i przesunął językiem po dolnej wardze.

– Powiedz to głośniej, Lela. Chcę, żebyś to wykrzyczała.

– Pieprz się – szepnęłam, a iskra pojaśniała.

Zarechotał, wskazując na swoją szyję.

– Powinniśmy zająć się swoimi ranami, zanim do tego przejdziemy. Straciłem sporo krwi. Gdy twój kochany porucznik zorientował się, że to pułapka, usiłował poderżnąć sobie gardło, żebyśmy nie wzięli go żywcem.

Dźwignęłam się na czworaka, czując w sercu piekielny ogień gniewu. Ogarnęła mnie czysta nienawiść. To wystarczyło, żeby rozgrzać mi mięśnie i rozruszać rozbite serce. Wszystko to skupiło się na Jurim. Obserwował mnie z leniwym uśmieszkiem, pochylając się nad stołem bilardowym i rozcinając więzy z przegubów.

Odwróciłam wzrok, bojąc się, że widok Malachiego znów mnie obezwładni. Skoncentrowałam się na dochodzących z zewnątrz odgłosach. Uderzenia, warczenie. Zastanawiałam się, czy Henry i Jim wrócą. Czy w ogóle wiedzą, że tu jesteśmy.

– Zastawiliśmy na niego specjalną pułapkę, znając jego gotowość do

ratowania zagubionych dusz ludzkich – rzekł Juri, przeglądając się w ostrzu noża, po czym otarł krew z brody. – Warto było zaczekać, warto było poświęcić tych parę tygodni na planowanie i gromadzenie ludzi. Kiedy wszedł tutaj, zobaczył kilkudziesięciu przerażonych młodych ludzi. Związanych, bezbronnych, rozpaczliwie pragnących uwolnienia. – Oczy mu zabłysły wilgocią. Wiedziała, że widzi to wszystko teraz poprzez wspomnienia Malachiego. – Uwolnił ich, a wtedy zwrócili się przeciw niemu. Na początku nie wiedział, że wszyscy są opętani. A nawet gdy to do niego dotarło... wahał się. Bał się, że pośród nich są ludzie.

Juri popatrzył po sobie, po nagim torsie, wybrzuszeniach i krągłościach mięśni, które teraz kontrolował, a potem podszedł do kupki zbroi i ubrań Malachiego. Założył koszulkę i przytroczył pałkę do pasa.

– Byli ostrożni, mimo iż zabił wielu z nich. – Wskazał na kąt pomieszczenia.

Dopiero teraz zauważyłam, że w cieniu kryje się przepierzenie. Łoża dla VIP-ów. Na siedziskach i pod stołem piętrzyły się tam trupy, zużyte ciała ludzkie, wyrzucone jak śmieci przez demony z piekła.

– Wynagrodzę im poświęcenie – rzekł Juri.

Nie miał na myśli ludzi. Byli dla niego tylko pustymi skorupami. Mówił o swoich krewniakach, Mazikinach. Nagrodzi je, sprowadzając z powrotem, pozwalając opętać innych. Zabić więcej ludzi. Nagle zapłonęła we mnie wola walki, rozlała się niczym pożar, wcześniej stłumiony rozpaczą. Malachi zginął, broniąc niewinnych. Mazikiny wykorzystały jego bezinteresowność, odwagę, determinację. Jego dobroć obrócili w słabość. Współczucie zmienili w broń, którą go pokonali.

– Zabiję cię – wyrzuciłam z siebie, przeczesując wzrokiem podłogę w poszukiwaniu noża. Dostrzegłam go i natychmiast rzuciłam się w tę stronę, ale Juri był szybszy. Dopadł mnie i przygniótł do ziemi, a potem złapał za włosy i powiódł nosem po policzku.

– Uwielbiam ten twój ogień, Lela. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie cię przemienić. – Dojrzał chyba zdziwienie w moich oczach. – Naprawdę myślałaś, że chcieliśmy cię dla naszej królowej? – Zaśmiał się, a wibracje tego dźwięku rozeszły się po moich plecach. Przytrzymał mnie całym sobą, na wpół kochanek, na wpół wróg. – Nie obraż się, byłabyś doskonałym naczyniem. Królowa jednak nie przybędzie, dopóki wszystkie jej dzieci się tu nie znajdą.

– To czemu ja? – wystękałam, miotając się bezsilnie pod ciężarem jego ciała.

– Nadal nie rozumiesz? Dopóki się nie pojawiłaś, nie było sposobu na złapanie Malachiego. Miłość do ciebie sprawiła, że stał się nieostrożny. Byłaś dla niego wszystkim, więc z łatwością uwierzył, że i dla nas jesteś ważna. Im bardziej ci groziliśmy, tym bardziej pochłaniała go jedna myśl, aż wreszcie przestał myśleć o czymkolwiek innym, o własnym bezpieczeństwie, o sobie. I teraz, kiedy już mamy Malachiego, jego ciało i duszę, Straż z Krainy Cieni stała się niczym.

Zmieciemy was z powierzchni tego świata i zagarniemy go dla siebie.

Przetoczył mnie błyskawicznie na plecy i przytrzymując mi ręce nad głową w żelaznym uścisku, znów przygniótł mnie sobą. Poderwałam głowę, usiłując rozbić mu nos, ale złapał mnie za włosy. A potem polizał ranę, którą mi zadał, rozsyłając mi po ciele bolesne dreszcze.

Oczywiście, że to nie mnie chciały Mazikiny. Kimże byłam naprzeciw Malachiego? Głupią dziewczuchą, udającą, że jest dowódcą. Malachi był Strażnikiem przez siedemdziesiąt lat, bezlitosnym, skutecznym, śmiercionośnym. Jego umysł zawierał informacje o Straży, Rafaelu i jego mocach, Michaelu i jego broni, o Sędzi. O naszych taktykach, pochodzeniu, słabościach. A Mazikin, który go opętał, był jednym z najgroźniejszych, najsilniejszych. Kombinacja nie do pokonania.

A dusza Malachiego była teraz zdana na niełaskę tych stworów, uwięziona w krainie ognia i śmierci. Okrzyk gniewu i rozpacz, który wydarł się z moich ust, zaskoczył Juriego. Podniósł głowę, a ja wykorzystałam ten moment rozproszenia uwagi, zrzuciłam go z siebie, zerwałam się i popędziłam przez pokój.

– Jim! Henry! – wrzasnęłam.

Juri staranował mnie jak pociąg, przyszpilając do ściany.

– Nie bądź taka, Lela. Nie chcesz poznać zwierzęcej strony natury Malachiego? Mogę ci ją pokazać.

– Puszczaj! – krzyknęłam, wbijając mu łokieć w brzuch.

Stęknął i cofnął się leniwie, ale zaraz chwycił mnie za przegub, okręcił i znów przygwoździł do ściany.

– Uwielbiał z tobą walczyć i wcale mu się nie dziwię. To dość... stymulujące.

Pochylił się, żeby mnie pocałować, ale uderzyłam go kolanem w udo. Poluźnił chwyt, warcząc i odsłaniając kły. Po raz pierwszy przestał przypominać Malachiego. To ułatwiło mi uderzenie go pięścią w twarz. Poczułam, jak skóra na moich knykciach pęka w zderzeniu z jego zębami. Juri ryknął i rzucił mnie na ziemię. Ktoś za drzwiami zawołał mnie po imieniu.

Juri spojrzał w tę stronę i zaklął.

– Koniec zabawy.

– Zgadza się – powiedziałam i rozłożyłam pałkę, którą chwilę wcześniej mu zabrałam.

– Żartujesz sobie, Lela? Jeśli zdołasz mnie raz uderzyć, może rozważę wypuszczenie cię. Zobaczymy, może twój anioł cię ponaprawia i odeśle w lepszym stanie. No, dalej. – Przywołał mnie gestem dłoni, tak jak robił to Malachi, gdy był w figlarnym nastroju. – No, pokaż, ile się nauczyłaś, pani Kapitan.

Zamarkowałam cios w lewy bok, w ostatniej chwili zmieniając cel, i grzmotnęłam go w kolana. Wyszczrzył się.

– To prawie zabolalo. Niezle. Będiesz zyła. Do końca dnia. Chcesz zawalczyć o następny?

– Kapitanie! To ty? – zawołał Jim, waląc w drzwi tak mocno, że prawie je roztrzaskał.

– Tutaj! – zdążyłam odkrzyknąć, zanim cios Juriego zaparł mi dech w piersiach. Wypuściłam z ręki pałkę i runęłam jak długa, kiedy podciął mi nogi. Rzężąc, z wirującymi przed oczami plamami, zwinęłam się w kłębek i skupiłam na zaczerpnięciu tchu, co okazało się niezwykle trudnym zadaniem.

Juri podniósł mnie i przygarnął do piersi.

– Trzymaj język za zębami, inaczej załatwię ich na twoich oczach.

Potem pocałował mnie i zawołał:

– Jim! Tutaj jesteśmy. Sil nie żyje, Lela jest ze mną. – W chwili, gdy wypowiedział te słowa, zrozumiałam, że śmierć Sila była częścią planu. Dał mi się zabić, żeby zająć moją uwagę na czas pojmania Malachiego. Wiedział, że Juri go opęta.

Jim wpadł do pokoju z przyklejoną do boku Tegan. Oplatała mu szyję bladymi, nagimi ramionami. Wyglądała na bliską omdlenia ze strachu, jakby tylko bliskość Jima powstrzymywała ją od histerycznego krzyku. Jego twarz pokrywały ciemne smugi i miał rozcięcie nad okiem, ale poza tym wydawał się w dobrej kondycji. Na widok stosów ciał, zakrwawionej podłogi i mnie, całej poobijanej i oszołomionej, jego niebieskie oczy zaokrągliły się jak spodki.

– Miałaś być na górze, Kapitanie.

Juri wskazał głową na sufit.

– Zeskoczyła. Pokonaliśmy tych tu, ale została ugryziona. Zabierajmy się stąd. – Ruszył w stronę drzwi. Jim wziął na ręce Tegan i przepuścił nas. Kiedy Juri przekraczał próg, udało mi się nawiązać kontakt wzrokowy z Jimem. Na ułamek sekundy, ale wystarczyło, żeby skonsternowany zmarszczył czoło. Zapach Juriego nic by mu nie powiedział, bo całe to miejsce było przesiąknięte smrodem, który wczepił się też w nasze ubrania, włosy i skórę.

Juri pociągnął mnie do pomieszczenia wychodzącego na wielkie patio połączone z rozlatującym się pomostem. Znajdowaliśmy się na tyłach klubu, częściowo niewidocznym z ulicy, otwierającym się na rzekę. Większość ścian działowych przestała istnieć, zmieciona wybuchami. Wszędzie leżały trupy. Henry przybiegł z patio, a na widok jego chudej sylwetki Juri stężał.

– Nie dałem rady ich dogonić – wydyszał, wchodząc przez pustą ramę panoramicznego okna. Zatrzymał się na nasz widok. – Części udało się zwiać – powiedział zdegustowany. – Opętali każdego więźnia, z wyjątkiem niej. – Popatrzył na Tegan. – Jutro musimy tu porządnie posprzątać. – Przekrzywił głowę, przyglądając mi się w mroku. – Wszystko w porządku, Kapitanie?

Palce Jurija wbiły się ostrzegawczo w mój bok.

– Tak, nic mi nie jest. Będzie jeszcze lepiej, jak Rafael nade mną trochę popracuje.

Henry wymienił ponad moim ramieniem spojrzenia z Jimem.

– Może sprowadźmy go od razu – zaproponował, robiąc krok w naszą stronę.

– Nic ci nie będzie, prawda? – zapytał Juri, patrząc na mnie znacząco.

– Dam radę – szepnęłam.

Jim zachichotał, przytulając Tegan.

– Zachowujemy się jak jaskiniowcy. Możesz iść, kochanie? – Tegan przytaknęła słabo. Postawił ją na ziemi, ucałował z łamiącą serce czułością i zwrócił się do mnie. – Nie bądź babą, Kapitanie.

Zaśmiałam się lekko.

– Masz rację. – Wyprostowałam nogi i Juri niechętnie, ale pozwolił mi stanąć.

– Musimy się dostać do samochodu. Na pewno któryś z zakładników wezwał już policję.

Skrzywiłam się, słysząc, że brzmiał tak podobnie do Malachiego.

Zacisnął mi palce na bicepsie.

– Idź przodem, Kapitanie. – Popchnął mnie lekko ku panoramicznemu oknu.

– Chodź, idziemy – zwróciłam się do Tegan.

Popatrzyła na mnie wystraszona, idąc do wyjścia. Cóż, przynajmniej szła. Ja musiałam skakać, bo jedna noga zaczynała mi już drętwieć.

– Hej, Malachi – zawołał przyjaźnie Jim, który został z tyłu. – Zapomniałeś o palce.

Odwróciłam głowę. Juri spojrział przez ramię, a Jim w tym momencie uderzył go pałką w twarz.

Ryk wściekłości zdradził Juriego. Zakrywając twarz dłońmi, zatoczył się, co wykorzystał Henry, żeby wypchnąć bezwolną Tegan przez okno.

– Uciekaj! – nakazał jej. – Biegnij w stronę ulicy.

Potem wypchnął mnie, a kiedy wylądowałam niezdarnie po drugiej stronie, sam wyskoczył. Popchnął mnie ku schodom, ale odgłosy walki sprawiły, że stałam jak sparaliżowana. Nie chciałam zostawiać Jima. Ścierali się z Jurijem w brutalnej walce - akrobatyczne ciosy i kopniaki Jima przeciwko precyzyjnemu, skutecznemu stylowi Malachiego. Obaj trzymali w rękach noże. Ich ruchy stawały się rozmazanymi smugami.

Juri zrobił zwód na lewo, a potem, zanim Jim się zorientował, obrócił się i ciał go przez żebra. Biała koszula Jima poczerwieniała na boku.

Tegan krzyknęła, ściągając uwagę Jima.

– Wynoście się! – krzyknął zrozpaczony. – Henry, weź je stąd!

Henry chwycił Tegan w pasie i pociągnął, ale jej krzyk wybił Jima z rytmu walki. Juri uderzył go brutalnie w brzuch. Jim zgiął się wpół i zachwiał, co Juri

wykorzystał, kopiąc go kolanem w twarz. Głowa Jima odskoczyła w tył, a na twarzy Juriego pojawił się wyraz bestialskiej rozkoszy.

Ruszyliśmy jednocześnie na pomoc Jimowi, ale w tym momencie Juri chwycił go za włosy i rzucił na kolana, a potem szarpnięciem odchylił mu głowę. Jim spojrzał na nas błagalnie.

– Uciekajcie – wyszeptał.

Juri wraził mu ostrze w szyję.

Tegan krzyknęła rozziewając i rzuciła się z powrotem do okna. Musieliśmy ją przytrzymać. Kiedy ją odciągaliśmy, Juri wykończył Jima, potem pozwolił bezwładnemu ciału upaść na podłogę. Wreszcie podniósł wzrok i spojrzał na mnie.

– Do zobaczenia wkrótce – powiedział bezgłośnie.

Henry złapał mnie za rękę. Pobiegliśmy.

TRZYDZIESTY SZÓSTY

Henry zawiózł nas prosto do Strażnicy. Szybko ubywało mi sił, a pozostały zapas musiałam wykorzystywać do przytrzymywania Tegan. Przez całą drogę histeryzowała i wołała Jima, a dźwięki, które wydierały się jej z gardła, harmonizowały z tymi, które pobrzmiwały mi w duszy zrozpaczonej utratą Malachiego. Pod dom dotarliśmy po trzeciej nad ranem. Rafael czekał już na nas na schodach. Miał ponurą minę. Henry wysiadł z samochodu, zostawiając mnie z szamoczącą się Tegan.

Rafael zszedł ze stopni, patrząc na Tegan, która miotała się, to próbując mi się wyrwać, to przytulić. Jej drobną postacią wstrząsały łkania. Rafael otworzył drzwi i pochylił się, całkowicie skupiony na niej.

– Spójrz na mnie, Tegan. – Jego głos opłynął mnie złotą falą ciepła.

Tegan przestała się szarpać i posłuchała go.

Przykucnął przed nią i popatrzył jej w oczy. Miał przy tym tak współczującą minę, tak serdeczną, że nie mogąc tego znieść, uciekłam z samochodu.

– Mogę sprawić, że o nim zapomnisz. Chcesz tego? – zapytał. – Poczujesz się lepiej.

Zamrugła.

– Naprawdę możesz? – wyszeptała.

– Tak. Nie będziesz pamiętała, jak umiera.

– A będę pamiętała inne rzeczy?

Rafael zasepił się.

– A jakie wspomnienia chcesz zachować?

– Powiedział, że mnie kocha. – Jej oczy znów napełniły się łzami. – Dzisiaj. Powiedział, że mnie kocha.

Zamknęłam powieki.

– Mogę zrobić tak, żebyś myślała, że odszedł, wyprowadził się. Tak byłoby lepiej?

– Wszystko będzie lepsze od widoku, jak umiera. Ciągle mam to przed oczami. Wszystko będzie lepsze od tego.

Ruszyłam w stronę domu. Bolała mnie szyja, drętwiało ramię i połowa twarzy, a w sercu wrzał gniew. Wiedziałam, że Rafael nie robi tego dla Tegan. Mnie odmówił odebrania bólu złamanego serca. Nigdy nie leczył ludzi, nigdy nie wkroczył, żeby uratować kogoś niewinnego. Zawsze pozwalał, by sprawy toczyły się własnym torem. Chyba że miały wpływ na naszą zdolność ukończenia zadania. Teraz udawał, że współczuje Tegan, ale tylko dlatego, żeby nie mogła opowiedzieć o śmierci Jima, o Jurim i o naszych powiązaniach z tą sprawą. Rafael po prostu wykonywał swoją robotę – usuwał niedogodności, żebyśmy mogli pełnić obowiązki Strażników, jak zwykle.

Tegan skinęła, akceptując bez zastanowienia jego propozycję wymazania pamięci, zbyt oślepiona rozpaczą i strachem, żeby ją zakwestionować. W nowo stworzonej rzeczywistości Jim odejdzie od niej bez pożegnania. Miejsce smutku zajmie gniew. Miejsce strachu gorycz. Nasunęło mi się pytanie, co ja zrobiłabym w takiej sytuacji? Czy wolałabym wierzyć w odejście Malachiego, czy wiedzieć, co naprawdę się z nim stało?

Ogłuszające zamieszanie w moim umyśle zdawało się nie mieć końca. Przypominałam sobie jego ostatnie chwile – odchylona głowa, walka, przegrana. Ugięły się pode mną nogi, osunęłam się zgięta wpół, bezwładna. Od czubków palców poprzez nogi, wnętrzości aż po głowę przetaczał się we mnie rozdzierający jęk, ból straty i świadomość grozy jego końca. Wiedziałam, że nigdy się z tego nie otrząsnę, nawet jeśli będę dalej żyła. A nie chciałam żyć. Ani trochę. Nie chciałam żyć dalej.

Wstałam i zaczęłam iść. Wyminęłam Rafaela niosącego Tegan do domu. Dowlokłam się do Henry'ego z pełną świadomością, że właśnie zamierzam go zawieść. Ale gdy napotkałam jego szare oczy, ujrzałam w nich zrozumienie.

– Całkiem dobrze zdążyłem poznać Malachiego – powiedział. – Nigdy mi tego nie mówił, ale wiem, co do ciebie czuł.

Otworzyłam usta, ale nie mogłam wydobyć głosu. Kocham go. Nie mogę tu zostać bez niego.

Po wyrazie mojej twarzy poznał chyba, co chciałam powiedzieć.

– Wiem, co to rozłąka z ukochanym. Rób, co uważasz za słuszne.

– Juri o nas wie. Może się tu pojawić w każdej chwili.

– Nie znajdzie mnie. I tak muszę się na jakiś czas przycząić przez tę sprawę z policją i ucieczką ze szpitala. – Zerknął przez ramię na Rafaela, a potem odwrócił się do mnie. – Idź, Lela. Utrzymam nasz przyczółek i będę chronił twoich przyjaciół, dopóki nie wrócisz.

Zajrzałam w jego nawiedzone oczy. Żadne z moich kłamstw czy obietnic zrodzonych z dobrych chęci nie precisnęło mi się przez ściśnięte w bezgłośnym krzyku gardło, odwróciłam się więc i wsiadłam do samochodu. Przekręciłam kluczyk i ruszyłam.

Zanim wjechałam na autostradę, rozpaczliwy jęk w mojej duszy nabral rytmu i zadomowił się jak stary przyjaciel, który zamierzał torturować mnie przed odebraniem życia. Nie potrzebowałam kolejnego takiego przyjaciela. Nie było jednak sposobu, by wygnać zakorzenione w głowie cierpienie, wyświetlające mi surowe, piękne oblicze Malachiego, odgrywające w kółko różne momenty, jak wtedy gdy powiedział, że towarzyszenie mi w bólu jest mniej bolesne niż pozostawanie z dala ode mnie i świadomość, że nie może mi pomóc.

– Wiem, jak to jest – wyszeptalam do siebie, pokonując mosty do Newport.

Podjechałam na sam początek Szlaku Urwiska i stamtąd ruszyłam pieszo,

brnąć w ciemności. Zamknęłam oczy, pozwalając przywołać z pamięci wizję, tak jak w przypadku Nadii. Ale tym razem wizją tą – przynętą – był Malachi, odarty z ciała, staczający się w czarną otchłań.

Kiedy otworzył oczy, czekały na niego. Bardziej niż uszczęśliwione jego widokiem. Zamierzały więzić go w swoim świecie i torturować za to, co im uczynił. Przez całą wieczność.

Zachwiałam się, owiana morską bryzą.

– To niesamowite, że jeszcze jesteś w stanie chodzić – powiedział Rafael, pojawiając się obok mnie. – Ale to nie potrwa długo. Może wrócisz ze mną do samochodu, odwiozę cię do domu.

Pokazałam mu środkowy palec.

– Nie udawaj, że się o mnie martwisz. Chcesz mnie uleczyć, żebym dalej mogła walczyć.

– Nie sądzę, żebym kiedykolwiek dał ci do zrozumienia, że się o ciebie martwię. Wykonuję swoje obowiązki, ty też powinnaś wykonywać swoje.

Odwróciłam się do niego, czując, jak w żyłach wrze mi czysta czerwona wściekłość.

– Tak? Czyżbym to tego właśnie potrzebowała, Rafaelu? Tego potrzebował Jim? Umrzeć na klęczkach ze świadomością, że zawiódł? – wrzasnęłam.

– Jim nie zawiódł, Lela – odparł łagodnie, zupełnie niestropiony. – Wprost przeciwnie. Oddał swoje życie za towarzyszy. To była najbardziej bezinteresowna rzecz, jaką zrobił.

Zacisnęłam pięści. Obojętne, miał rację czy też nie, nie potrafiłam spojrzeć poza ten rozpaczliwy, tęskny wzrok, jakim Jim obrzucił Tegan, patrząc na nią po raz ostatni, wiedząc, że zaraz ją straci, że straci życie, którego tak pragnął, i te wszystkie prawdziwe rzeczy, których wreszcie zaznał.

– A ty, Lela, jak myślisz, czego potrzebujesz? – zapytał Rafael, przekrzywiając głowę.

– Malachiego – odpowiedziałam automatycznie.

– Nie, Malachiego pragniesz.

Gniew eksplodował, żelazny, szkarłatny, wypalał sobie we mnie drogę. Z całej siły popchnęłam Rafaela. Zatoczył się, ale kiedy odzyskiwał równowagę, jego twarz ani na chwilę nie straciła łagodności. Doprowadziło mnie to do ostateczności.

– Czy Malachi potrzebował tego, żeby jego dusza została wyrwana z ciała? Potrzebował tortur, które go czekają? – wrzeszczałam, a z oczu lały mi się gorące łzy. – Bo to właśnie się dzieje! W tej chwili! Po siedemdziesięciu latach służby dla Sędzi tego właśnie potrzebował?

Rafael ujął mnie za ramiona, a jego twarz zaczęła jarzyć się nieziemskim blaskiem, jak zwykle, kiedy zaczynał tracić spokój. Próbowałam się wykręcić, ale

trzymał mnie mocno.

– Sędzia nie ma władzy nad Mazikinami, Lela. Przecież nie myślisz chyba...

– Och, ale właśnie tak – przerwałam mu. – Na pewno jest zachwycona. Przecież tego chciała od samego początku. Żeby się tam dostał. Wszystko to było zasadzką i dla niego, i dla mnie. No więc, dawaj, ciągnijmy tę farsę. Chcę zobaczyć się z Sędzią, natychmiast.

– Nie zostałam jeszcze zaproszona do jej sali. – Uśmiechnął się.

– Sama się wpraszam, teraz, już. I ona dobrze o tym wie. Myślicie, że sznurki są niewidzialne, ale ja wiem, że je pociągacie.

– Ależ jesteś zmyślna, mały człowieku. – Jego twarz przemieniła się ze zwyczajnej w oślepiającą, ale nie odwróciłam wzroku. – Rozgryzłaś nas.

– Nie do końca. Ale powiem ci, co zamierzam zrobić. A wy mi w tym pomożecie.

– Tak uważasz? – Zachichotał, puszczając mnie.

– Tak. – Cofałam się, aż pod piętami wyczułam skraj urwiska. Balansowałam, wyciągając ramiona, żeby zachować równowagę. – Powiedz mi wobec tego, Rafaelu, pozwolisz mi skończyć u Wrót Samobójców? Tego właśnie potrzebuję?

Zmrużył oczy, ale milczał. Przestał jednak chichotać.

– Zamierzasz mnie powstrzymać, archaniele? Czy potrzebuję zostać tu i żyć w żałobie, czekając cierpliwie na wezwanie do Sanktuarium? A w tym czasie może potrzebuję, żeby psychol, który ukradł ciało najlepszemu z waszych Strażników, poderżnął mi gardło? Powiedz mi, proszę – krzyczałam. – Tego. Właśnie. Potrzebuję?

Wcale nie chciałam, żeby odpowiadał. Nie obchodziło mnie, co ma do powiedzenia. Byłam gotowa zagrać o największą stawkę, bo tylko na jednym mi zależało. Na jednej osobie. Bardziej niż na służbie. Tak, że nie mieściło się to w rozsądku.

Tak, że przewyższało to mój lęk przed ponownym umieraniem.

Zrobiłam szybko krok w tył, rzucając się z urwiska.

Staczając się i lecąc, zdążyłam tylko dostrzec blask księżyca na wodzie i usłyszeć cichy szum fal, bo hałas w mojej głowie ucichł natychmiast, gdy pogodziłam się z tym, co musiałam zrobić.

Zamierzałam znaleźć sposób, by dostać się do krainy Mazikinów.

I wydostać stamtąd Malachiego.

Podziękowania

Wiele osób przyłożyło rękę, by książka ta uzyskała ostateczny kształt: ekipa Amazon Children's Publishing, szczególnie Margery Cuyler, Tim Ditlow, Deborah Bass, Jenny Parnow i oczywiście Courtney Miller, mój wspaniały wydawca, która doglądała całego procesu i pilnowała książki na każdym kroku. Moja redaktor, Leslie Miller, której pozytywne nastawienie, cierpliwość i zrozumienie sensu oraz postaci sprawiło, że praca nad poprawkami była prawdziwą przyjemnością.

Chciałabym podziękować załodze New Leaf Literary, szczególnie Joannie Volpe, Danielle Barthel, Jaidzie Temperly, and Pouya'y Shahbazian za wsparcie całej serii i ogólnie mojego pisarstwa. Najbardziej pragnę podziękować Kathleen Ortiz, mojej agentce za zajmowanie się małymi i większymi sprawami, za zrozumienie sfery, gdzie rozum krzyżuje się z emocjami, za zachowanie perspektywy i w razie potrzeby trzymanie w ryzach.

Moim niestrudzonym beta readerom - Justin Dell, Jaimemu Lawrence, Leah Block i Stinie Lindenblatt - dziękuję wam po tysiąc kroć za zdrową krytykę i wsparcie. Moim przyjaciółom, Jennifer R., Lydii Kang i Brigid Kemmerer, za słuchanie – zawsze poprawia mi się nastój na widok waszych imion w skrzynce odbiorczej. Moim cierpliwym, wyrozumiałym szefom, Paulowi Blockowi, za umożliwienie zbalansowania dwóch światów oraz kolegom – Liz Cantor, Catherine Allen, Kim Bennett, Heather Drever, Anne-Marie Bora, Yerissie Mago i wszystkim z CCBS za zrozumienie dziwaczności mojego podwójnego życia, za to, że są wspaniali i dzięki nim moja „dzienna” praca jest łatwa. Oraz Petrze (Safari Poet) za to, że zza morza wspiera cel, zapobieganie samobójstwom, cel, który jest mi bardzo bliski.

Autorom blogów książkowych, szczególnie Alexie, Lili, Bethzaidzie, Maji, Heidi, Keertanie, Rachel, Nicole, Christy i Ali - wasz entuzjazm i wnikliwość sprawiły, że moje zapoznawanie się ze światem wirtualnych czytelników i recenzentów było przyjemne i satysfakcjonujące. I wszystkim moim czytelnikom! Nie spodziewałam się, że kontakt z Wami może być tak inspirujący. To dla mnie zaszczyt i jestem Wam wdzięczna. Jeśli będziecie chcieli dowiedzieć się czegoś o świecie Strażników krainy cieni, wejdźcie na www.GuardsOfTheShadowlands.tumblr.com, gdzie możecie zadawać pytania i szukać informacji na temat serii.

I w końcu chciałabym podziękować najważniejszym osobom, mojej rodzinie. Mam nadzieję, że wiecie, ile dla mnie znaczą i że bez was nie dokonałabym niczego. Moim rodzicom, Jerry'emu i Julie Fine, siostrom, Cathryn i Robin, mężowi, Joeyowi, moim maluchom, Asherowi i Almie (no dobrze, nie jesteście maluchami, jesteście DUZI). Cóż mogę powiedzieć poza: Dajecie mi ogromną radość.

